

BESTSELLER NEW YORK TIMES A

Znakomita biografia prezydenta Lincolna.

Vanity Fair



Abraham Lincoln
ŁOWCA WAMPIRÓW

SETH GRAHAME-SMITH

Tytuł oryginału: *Abraham Lincoln. Vampire Hunter*

Copyright © 2010 by Seth Grahame-Smith

All rights reserved.

Cover art © 2012 Twentieth Century Fox Film Corporation

All rights reserved.

Copyright for the Polish Edition © 2012 G + J Gruner + Jahr Polska

Sp. z o.o. & Co. Spółka Komandytowa

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 41–42

faks 22 360 38 49

Sprzedaż wysyłkowa:

Dział Obsługi Klienta, tel. 22 360 37 77

Redakcja: Małgorzata Grudnik-Zwolińska

Korekta: Kinga Szafruga

Redakcja techniczna: Mariusz Teler

Redaktor prowadząca: Agnieszka Koszałka

ISBN: 978-83-7778-351-1

Skład i łamanie: KATKA, Warszawa

Druk: Abedik SA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o. o.](#)



Spis treści

Dedykacja

Motto

Fakty

Wprowadzenie

CZEŚĆ I CHŁOPIEC

JEDEN Wyjątkowe dziecko

DWA Dwie historie

TRZY Henry

CZTERY Nieznośna prawda

CZEŚĆ II ŁOWCA WAMPIRÓW

PIĘĆ New Salem

SZEŚĆ Ann

SIEDEM Fatalny pierwszy

OSIEM Wielkie nieszczęście

DZIEWIĘĆ Nareszcie spokój

CZEŚĆ III PREZYDENT

DZIESIĘĆ Dom podzielony

JEDENAŚCIE Ofiary

DWANAŚCIE „Zagłodzić diabła”

TRZYNAŚCIE Tak zawsze tyranom

CZTERNAŚCIE Dom

PODZIĘKOWANIA

Przypisy

Dla Erin i Joshuy

*Granice oddzielające Życie od Śmierci są w najlepszym wypadku skryte
i niewyraźne. Któż wie, gdzie jedno się kończy, a zaczyna drugie?*

Edgar Allan Poe

Fakty

1. Przez niemal dwieście pięćdziesiąt lat, od 1607 do 1865 roku, wampiry z powodzeniem mnożyły się w zakamarkach Ameryki. Niewielu ludzi dawało wiarę w ich istnienie.
2. W swoim czasie Abraham Lincoln należał do najwytrawniejszych łowców wampirów i prowadził sekretny dziennik, w którym opisywał swoją walkę z tymi kreaturami.
3. Pogłoski o istnieniu dziennika od dawna stanowią ulubiony temat historyków i biografów Lincolna. Większość z nich odrzuca je jako niepotwierdzony mit.

Wprowadzenie

Nie mogę mówić o tym, co widziałem, ani szukać ukojenia bólu, który czuję. Gdybym to zrobił, naród nasz popadłby w jeszcze głębszy obłęd lub uznał swojego prezydenta za szaleńca. Obawiam się, że prawda musi przeżyć wyłącznie w postaci atramentu na papierze. Ukryta i zapomniana do czasu, gdy wszyscy wymienieni tu z nazwiska obrócą się w pył.

Abraham Lincoln, wpis do dziennika, 3 grudnia 1863

I

Wciąż krwawiłem... ręce mi się trzęsły. O ile się nie myliłem, on nadal tam był, obserwował mnie. Gdzieś w oddali ktoś oglądał telewizję. Jakiś mężczyzna mówił o jedności.

Nie miało to żadnego znaczenia.

Teraz liczyły się tylko rozłożone przede mną książki. Dziesięć oprawionych w skórę tomów o różnych rozmiarach – każdy w innym odcieniu czerni lub brązu. Niektóre po prostu stare i wytarte. Inne ledwie spięte w całość przez popękane okładki, z kartkami gotowymi rozpaść się w drobny mak, gdyby tylko obróciło je coś cięższego niż oddech. Obok nich leżał plik listów, ciasno ściągniętych czerwoną gumką. Kilka miało przypalone brzegi, kilka było pożółkłych jak

papierosowe filtry porzucane po podłodze w piwnicy. Jedyne jaskrawy wyjątek wśród tych zabytkowych pamiątek stanowił pojedynczy arkusz lśniącego, białego papieru. Z jednej strony nic mi niemówiące nazwiska jedenastu osób. Żadnych numerów telefonu ani adresów e-mailowych. Tylko adresy dziewięciu mężczyzn i dwóch kobiet oraz wiadomość nabazgrana u dołu strony:

Czekam na ciebie.

Mężczyzna w telewizorze wciąż mówił. Osadnicy... nadzieja... Selma.

Tomik, który trzymałem w dłoni, był najmniejszy ze wszystkich i bez wątpienia najbardziej kruchy. Jego wyblakłą brązową okładkę popstrzyły plamy, zadrapania i wytarcia. Mosiężna klamra, która niegdyś strzegła spisanych tajemnic, już dawno się odłamała. Wewnątrz każdy centymetr kwadratowy papieru pokrywał atrament, tu i ówdzie dość intensywny, a w innych miejscach zaledwie widoczny. W sumie było sto osiemnaście dwustronnie zapisanych kartek przyczepionych do grzbietu, wypełnionych osobistymi pragnieniami, teoriami, strategiami, prostymi rysunkami mężczyzn o dziwnych twarzach, historiami z drugiej ręki i szczegółowymi listami. W trakcie lektury widziałem charakter pisma ewoluujący od przesadnie ostrożnych linii dziecka ku ciasno stawianym literom młodego mężczyzny.

Kiedy skończyłem czytać ostatnią stronę, spojrzałem przez ramię, by się upewnić, że wciąż jestem sam, po czym wróciłem na początek. Musiałem przeczytać jeszcze raz. Już teraz, zanim rozum poszczułby psami groźne wierzenia, które zaczynały wędrować po moim umyśle.

Książeczkę otwierały cztery absurdalne, fascynujące słowa:

Oto dziennik Abrahama Lincolna.

Rhinebeck to jedno z tych miasteczek prowincjonalnych, o których zapomniał czas. Miejsce, gdzie pełno jest rodzinnych sklepików i znajomych twarzy, a najstarsza gospoda w Ameryce (w której, jak każdy tutejszy mieszkaniec z dumą ci powie, kładł niegdyś swoją zmęczoną po całym dniu głowę sam generał Waszyngton) do dziś oferuje usługi po rozsądnych cenach. Jest to miasteczko, w którym ludzie obdarzają się nawzajem ręcznie robionymi narzutami i ogrzewają domy piecykami na drewno, miejsce, gdzie na własne oczy widziałem, i to nie raz, stygnący na parapecie placek z jabłkami. Rhinebeck należałoby umieścić w gablotce.

Jak większość miejsc w Rhinebeck, sklep wielobranżowy przy East Market Street jest żywym przykładem umierającej przeszłości. Od 1964 roku tutejsi mieszkańcy kupowali w nim wszystko – od minutników do jajek po taśmę krawiecką, ołówki i prezenty gwiazdkowe. „Jeśli tego nie mamy, to ty tego nie potrzebujesz”, głosi dumnie skąpany w promieniach słońca szyld w oknie sklepu. „A jeśli będziesz się upierał, to zamówimy specjalnie dla ciebie”. Wewnątrz, pomiędzy linoleum w szachownicę a wątpliwej jakości świetlówkami, można znaleźć wszelkie suszone owoce świata, wystawione w wiadrach. Ceny zapisane ołówkiem. Karty płatnicze przyjmuje się z niechęcią. Tu był mój dom od wpół do dziewiątej rano do wpół do szóstej wieczorem. Przez sześć dni w tygodniu.

Zawsze wiedziałem, że tuż po ukończeniu nauki wyląduję w sklepie, jak w każde wakacje od piętnastego roku życia. Nie byłem

formalnie członkiem rodziny, ale Jan i Al zawsze traktowali mnie jak własne dziecko. Dawali pracę, gdy najbardziej jej potrzebowałem, wręczali kieszonkowe, gdy wyjeżdżałem do szkoły. Uważałem więc, że jestem im winny sześć miesięcy, od czerwca po Boże Narodzenie. Taki miałem plan. Sześć miesięcy pracy w sklepie za dnia i pisanie powieści wieczorami oraz w weekendy. Mnóstwo czasu na ukończenie pierwszego szkicu i naniesienie poprawek. Od Manhattanu dzieliło mnie zaledwie półtorej godziny jazdy pociągiem. Tam właśnie zamierzałem się w końcu udać, z dwoma, trzema kilogramami niezamówionej, niezredagowanej okazji pod pachą. Żegnaj, Zatoka Hudsona. Witaj, akademio.

Dziewięć lat później nadal pracowałem w sklepie.

Gdzieś pomiędzy ślubem, wyjściem cało z wypadku samochodowego, spłodzeniem dziecka, porzuceniem powieści, rozpoczęciem i porzuceniem sześciu innych, spłodzeniem drugiego dziecka i szukaniem sposobu, by powiązać koniec z końcem, wydarzyło się coś całkiem nieoczekiwanego i przygnębiająco typowego: przestało mi zależeć na pisaniu i zacząłem dbać o wszystko inne. O dzieci, małżeństwo, hipotekę, sklep. Dostawałem szafu na widok ludzi, którzy robili zakupy w konkurencyjnym sklepie obok. Kupiłem komputer, by prowadzić szczegółowy rejestr. Ale przeważnie szukałem nowych sposobów na przyciągnięcie klientów. Gdy splajtował antykwariat, odkupiłem od właściciela część towaru i urządziłem na tyłach sklepu małą wypożyczalnię książek. Losy na loterię. Wyprzedaże. Bezprzewodowy internet. Wszystko, byle tylko ludzie zaczęli przekraczać nasz próg. Co roku wprowadzałem coś nowego. I co roku z trudem wiązaliśmy koniec z końcem.

Henry¹ był naszym stałym klientem od dwóch lat, gdy wreszcie się

do siebie odezwaliliśmy. Wymieniliśmy obowiązkowe uprzejmości, nic ponadto.

– Miłego dnia.

– Do zobaczenia.

Usłyszałem o nim dzięki ulicznej poczcie pantoflowej. Wieść głosiła, że Henry kupił jeden z największych domów przy drodze 9G i wynajął armię robotników, by przeprowadzili remont. Henry był nieco młodszy ode mnie, mógł mieć jakieś dwadzieścia siedem lat. Nosił niedbałą, ciemną czuprynę, był zawsze opalony i na każdą okazję zakładał inną parę okularów przeciwsłonecznych. Widać było, że odziedziczył fortunę. Wykrzykiwały to jego ubrania: stare T-shirty, wełniane swetry, dzinsy droższe od mojego samochodu. Ale różnił się od innych bogaczy, którzy do nas zachodzili – weekendowych dupków podniecających się „uroczym” miasteczkiem i naszym „cudownym sklepikiem” – przesuwających się bez żenady obok szyldu z napisem „Prosimy nie wchodzić z napojami i jedzeniem” z ogromnymi kubkami orzechowej kawy w dłoniach i nigdy, ale to nigdy nie wydających nawet dziesięciu centów. Henry był uprzejmy. I cichy. Przede wszystkim nigdy nie wyszedł bez zostawienia w kasie co najmniej pięćdziesięciu dolarów, z czego większość wydawał na relikty dostępne dzisiaj już tylko w wyspecjalizowanych sklepach: mydło Lifebuoy, pastę do butów Angelusa. Wchodził, płacił gotówką i wychodził.

– Miłego dnia.

– Do zobaczenia.

Któregoś dnia jesienią 2007 roku podniosłem wzrok znad zeszytu i zobaczyłem, że stoi po drugiej stronie lady i gapi się na mnie, jakbym powiedział coś oburzającego.

– Czemu to porzuciłeś?

– Słucham?

Henry wskazał leżący przede mną notes. Zawsze trzymałem jakiś zeszyt przy kasie na wypadek, gdyby przyszła mi do głowy genialna myśl. Żadna nigdy nie przyszła, ale wiadomo: *semper fi*. W ciągu minionych czterech godzin zapełniłem pół strony pomysłami na opowiadanie. Każdy zajmował jedną linijkę i nie potrzebował drugiej. Na dole strony nabazgrałem malutkiego mężczyznę, który pokazuje środkowy palec gigantycznemu, wściekłemu orłowi o piekielnie ostrych szponach. Pod spodem widniał napis: *To Mock a Killing Bird*². Był to niestety najlepszy pomysł, jaki miałem od kilku tygodni.

– Pisanie. Ciekawi mnie, czemu je pan porzucił.

Teraz to ja się na niego gapiłem. Nie wiem czemu, lecz nagle uderzyła mnie myśl o człowieku z latarką, który przeszukuje pokryte pajęczyną półki w ciemnym magazynie. Nie była to przyjemna myśl.

– Przepraszam, ale ja nie...

– Rozumiem, dobrze. Nie, to ja przepraszam. Nie powinienem był panu przeszkadzać.

Chryste. Teraz czułem potrzebę przeproszenia go za jego przeprosiny.

– Nie, nie. Nic nie szkodzi. Ale... skąd pan...

– Sprawia pan wrażenie osoby, która pisze.

Wskazał dłonią półkę z książkami do wypożyczenia.

– Ewidentnie żywi pan szacunek dla literatury. Od czasu do czasu widzę, że coś pan tu notuje. Wyszedłem z założenia, że to pańska pasja. Byłem po prostu ciekaw, dlaczego nic pan z nią nie zrobił.

Rozsądne pytanie. Nieco napuszone (Bo co? Skoro pracuję w sklepie wielobranżowym, to musi koniecznie oznaczać, że nie

rozwijam swojej pasji?), lecz dostatecznie rozsądne, by w rozmowie znów pojawiło się trochę świeżego powietrza. Udzieliłem mu szczerzej, dołująco typowej odpowiedzi, którą można oddać słowami: „życie jest tym, co się dzieje, gdy jesteś zajęty kreśleniem planów na życie”. To sprowokowało rozmowę o Johnie Lennonie, co z kolei skłoniło nas do poruszenia kwestii Beatlesów, z której płynnie przeszliśmy do dyskusji na temat Yoko Ono; ta rozmowa doprowadziła nas donikąd. Ale rozmawialiśmy dalej. Zapytałem Henry’ego, jak mu się podoba tutejsza okolica, czym się zajmuje, i jak idzie renowacja domu. Na wszystkie pytania udzielił mi zadowolających odpowiedzi. Jednak przez cały ten czas, gdy staliśmy sobie we dwójkę, zabijając czas pogawędką, nie mogłem się pozbyć uczucia, jakby jednocześnie toczyła się inna rozmowa. Rozmowa, w której nie brałem udziału. Pytania Henry’ego stawały się coraz bardziej osobiste, moje odpowiedzi tak samo. Spytał o moją żonę. O moje dzieci. O pisanie. Wypytał o rodziców. I o to, czy żałuję czegoś w życiu. Na wszystkie odpowiedziałem, zdając sobie sprawę z tego, w jak dziwnej znalazłem się sytuacji. Nic mnie to jednak nie obchodziło. Chciałem, żeby to wiedział. Ten młody, bogaty facet z rozczochranymi włosami, w nedorzecznie drogich spodniach i ciemnych okularach. Facet, którego oczu nigdy nie widziałem. Którego ledwie znałem. Pragnąłem powiedzieć mu o wszystkim. Informacje wypływały ze mnie strumieniem, jakby Henry wyjął kamień, który przez lata zalegał mi w ustach i trzymał moje tajemnice w szczelnym zamknięciu. Utrata mamy w młodym wieku. Problemy z ojcem. Ucieczka z domu. Moje pisarstwo. Moje wątpliwości. Wkurzająca pewność, że istnieje coś więcej. Nasze kłopoty finansowe. Moje zmagania z depresją. Wiele pomysłów na ucieczkę. Liczne chwile, gdy myślałem o odebraniu

sobie życia.

Ledwie pamiętam, bym o tym wszystkim mówił. Może mi się tylko wydawało.

W pewnym momencie poprosiłem Henry'ego, by przeczytał moją niedokończoną powieść. Oburzała mnie myśl o tym, że ktoś mógłby ją przeczytać, nawet to, że ja sam mógłbym to zrobić. Mimo to go poprosiłem.

– Nie muszę – odparł.

Do tego momentu była to najdziwniejsza rozmowa w moim życiu. Gdy Henry się zegnał i wychodził, miałem wrażenie, jakbym przebiegł sprintem dziesięć kilometrów.

Potem już nigdy tak nie było. Przy następnej okazji wymieniliśmy uprzejmości i nic poza tym.

– Miłego dnia.

– Do zobaczenia.

Kupił mydło i pastę do butów. Zapłacił gotówką. Trwało to jakiś czas. Przychodził coraz rzadziej.

Gdy zjawił się po raz ostatni, w styczniu 2008 roku, miał przy sobie niewielki pakunek, zawinięty w brązowy papier i obwiązany sznurkiem. Położył go na ladzie, bez słowa. Szary sweter i pąsowy szalik Henry'ego były lekko przyprószone śniegiem, a okulary przeciwsłoneczne pokrywały kropelki wody. Nie zdjął ich, co w ogóle mnie nie zdziwiło. Do paczki przyklejona była biała koperta z moim imieniem i nazwiskiem. W kilku miejscach atrament zmieszał się z topniejącym śniegiem i lekko się rozmazał.

Sięgnąłem pod ladę i ściszyłem malutki telewizor, w którym zwykle oglądałem mecze Jankesów. Dzisiaj nastawiłem go na wiadomości. Był poranek prawyborów w stanie Iowa i Barack Obama

szedł łeb w łeb z Hillary Clinton. Każdy sposób dobry, byle jakoś zabić czas.

– Chcę, żebyś to miał.

Przez chwilę patrzyłem na niego tak, jakby powiedział to po norwesku.

– Zaraz. To dla mnie? Z jakiej...

– Przepraszam, ale czeka na mnie samochód. Przeczytaj najpierw list. Będziemy w kontakcie.

I tyle. Patrzyłem, jak wychodzi ze sklepu na ziąb, i zastanawiałem się, czy kiedykolwiek pozwolił komuś dokończyć zdanie, czy tylko przy mnie tak się zachowywał.

II

Przez resztę dnia pakunek leżał pod ladą. Potwornie mnie korciło, by go otworzyć, ale ponieważ nie miałem pojęcia, kim naprawdę był ten człowiek, nie zamierzałem ryzykować. Bałem się, że wyjmę nadmuchiwaną lalę albo kilogram heroiny w chwili, gdy do sklepu wejdzie grupa harcerzy. Ciekawość zżerała mnie tak długo, że ulice zdążyły poszarzeć, a pani Kallop w końcu zdecydowała się na ciemniejszą z dwóch zielonych włóczek (po koszmarnej dziewięćdziesięciu minutach wahania). Wtedy zamknąłem sklep, kilka minut przed czasem. Do licha z maruderami. Święta dobiegły końca, a i tak ruch nie był wzmożony. Poza tym wszyscy siedzieli w domach i oglądali w telewizji dramat pt. *Obama i Hillary*, który rozgrywał się w Iowa. Postanowiłem zapalić papierosa w piwnicy i pójść do domu dopiero na ogłoszenie wyników. Wziąłem do ręki prezent od Henry'ego, wyłączyłem jarzeniówki i pogłośniłem telewizor. Gdyby

pojawiły się jakieś wiadomości wyborcze, usłyszałbym je z dołu.

Nieduża piwnica była prawie pusta. Poza kilkoma pudłami z towarem, opartymi o ściany, w oczy rzucała się brudna, betonowa podłoga i zwisająca z sufitu pojedyncza żarówka czterdziestowatowa. Pod jedną ze ścian stało stare metalowe biurko, na nim komputer, a obok szafka z dwiema szufladami, w których trzymaliśmy dokumenty. Do tego dwa składane krzesła. Bojler. Skrzynka bezpiecznikowa. Dwa małe okna wychodziły na ścieżkę. Piwnica służyła mi przede wszystkim jako palarnia w zimowe miesiące. Przysunąłem krzesło do biurka, zapaliłem papierosa i zacząłem rozwiązywać sznurek, którym...

List.

Ta myśl po prostu wskoczyła mi do głowy jak jeden z tych genialnych pomysłów, z powodu których zawsze nosiłem notes. Najpierw miałem przeczytać list. Z kieszeni spodni wyjąłem szwajcarski scyzoryk (\$7,20 plus podatki – taniej niż gdziekolwiek indziej w hrabstwie Dutchess, gwarantuję) i sprawnym ruchem nadgarstka otworzyłem kopertę. W środku znalazłem kartkę białego papieru z listą nazwisk i adresów po jednej stronie i odręcznie napisaną wiadomością po drugiej:

Zanim otworzysz tę paczkę, musisz się zgodzić na kilka warunków:

Po pierwsze, to nie jest prezent, ale pożyczka. W wybranym przeze mnie czasie poproszę cię o zwrot znajdujących się w niej przedmiotów. Potrzebna mi jest twoja przysięga, że będziesz je chronił za wszelką cenę oraz traktował z taką samą troską i poważaniem, jakimi obdarzyłybyś każdą rzecz o niezwyklej wartości.

Po drugie, zawartość tej paczki ma nadzwyczaj delikatny charakter. Muszę cię prosić, byś nie dzielił się nią ani o niej nie rozmawiał z nikim oprócz mnie i jedenastu osób wymienionych na liście obok, dopóki ci na to nie pozwolę.

Po trzecie, niniejsze materiały zostają ci wypożyczone po to, byś na ich podstawie sporządził rękopis o, powiedzmy, sporej objętości, który ja dostanę do akceptacji. Możesz pisać tak długo, jak będziesz chciał. Po ukończeniu pracy otrzymasz stosowną zapłatę.

Jeżeli nie jesteś w stanie spełnić któregokolwiek z powyższych warunków, z dowolnego powodu, nie podejmuj żadnych działań i czekaj, aż się do ciebie odezwę. Jeśli się zgadzasz, możesz zacząć pracę.

Wierzę, że taki jest twój życiowy cel. H.

Cholera... Teraz już nie mogłem jej nie otworzyć.

Rozdarłem papier, a wtedy ukazał się plik listów związanych czerwoną wstążką i dziesięć tomików oprawionych w skórę. Otworzyłem pierwszy z nich i na biurko wypadł kosmyk blond włosów. Podniosłem go i uważnie mu się przyjrzałem, po czym obracając go w palcach, zacząłem czytać pierwszy z brzegu fragment ze strony, w którą był wciśnięty:

...chciałbym zniknąć z tej ziemi, gdyż nie ma w niej już miłości. Odebrano mi ją, a wraz z nią wszelką nadzieję na...

Poruszony, przekartkowałem resztę pierwszego tomiku. Nad moją głową jakaś kobieta wyczytywała listę hrabstw. Strona za stroną –

wszystkie wypełnione drobnym pismem. Z datami: 6 listopada 1835, 3 czerwca 1841. Z rysunkami i listami. Z nazwiskami Speed, Barry i Salem. I z jednym powtarzanym po wielokroć słowem:

Wampir.

Pozostałe książki były takie same. Zmieniały się tylko daty i charakter pisma. Wszystkie pobieżnie przejrzałem.

...i tam zobaczyłem po raz pierwszy mężczyzn i dzieci sprzedawanych jako... środki ostrożności, bo wiemy, że w Baltimore roi się od... grzech, którego nie mogłem wybaczyć. Zmuszony byłem zdegradować...

Dwie rzeczy zdawały się oczywiste: wszystkich wpisów dokonała ta sama osoba i były one bardzo, bardzo stare. Nie miałem pojęcia, o co w nich chodzi ani co skłoniło Henry'ego, by mi je pożyczyć. I nagle rzuciłem okiem na pierwszą stronę pierwszej książki i na te cztery absurdalne słowa: *Oto dziennik Abrahama Lincolna*. Zaśmiałem się na głos.

Wszystko nagle nabrało sensu. Byłem zdumiony. Po prostu mózg na ścianie. Nie dlatego, że trzymałem w dłoniach utracony dziennik Wielkiego Emancypatora, ale dlatego że tak błędnie oceniłem człowieka. Brałem skrytość Henry'ego za oznakę samotniczego trybu życia. Jego przelotne zainteresowanie moim życiem uznałem za świadectwo towarzyskości. Teraz wszystko stało się jasne. Facet był ewidentnie stuknięty. Albo brakowało mu piątej klepki, albo złośliwie się ze mną zabawiał i wykręcił mi numer, jak to czasem bywa

z bogaczami, którzy mają zbyt dużo wolnego czasu. Z drugiej strony jednak to nie mogło być oszustwo. Kto by sobie zadawał aż tyle trudu? A może była to jego własna zarzucona powieść? Pisarskie przedsięwzięcie w niezwykle złożonym opakowaniu. Nagle poczułem się okropnie. Tak. Oczywiście, że to jego dzieło. Jeszcze raz przejrzałem każdą książkę, szukając śladów, które wskazywałyby na dwudziesty pierwszy wiek, pęknięć w grubej zbroi. Nie znalazłem ani jednego, przynajmniej na pierwszy rzut oka. W dodatku jedna rzecz nie dawała mi spokoju. Jeśli to był jego tekst autorski, to co tam robiło jedenaście nazwisk z adresami? Dlaczego Henry poprosił mnie, bym napisał coś *na podstawie* tych książek, zamiast polecić mi ich przepisanie? Szala znów zaczęła się przechylać w stronę koncepcji „wariat”. Czy to możliwe? Czy Henry naprawdę wierzył, że dziesięć brulionów zapisał... Nie, nie. Na pewno tak nie uważał.

Nie mogłem się doczekać, kiedy opowiem o wszystkim swojej żonie. Musiałem jak najszybciej porozmawiać z kimś o tym całym obłędzie. Na długiej liście małomiasteczkowych świrów ten facet zajmował czołowe miejsce. Wstałem, pozbierałem książki i listy, zgasilem papierosa butem i odwróciłem się, by...

Coś stało dziesięć centymetrów ode mnie.

Zrobiłem krok w tył, potknąłem się o krzesło i upadłem na ziemię, uderzając tyłem głowy o stare, metalowe biurko. Straciłem ostrość widzenia i już czułem ciepło krwi płynącej przez moje włosy. Coś się nade mną pochyliło. Oczy miało jak czarne kamyki, a zamiast skóry – przezroczysty kolaż pulsujących niebieskich żył. A usta... Usta z trudem mieściły mokre, lśniące kły.

To był Henry.

– Nie zrobię ci krzywdy – powiedział. – Chcę tylko, żebyś

zrozumiał.

Chwycił mnie za kołnierz i podniósł. Czuję, że krew spływa mi po karku.

Zemdlałem.

Miłego dnia. Do zobaczenia.

III

Otrzymałem instrukcje, by nie mówić, dokąd zabrał mnie tamtego wieczoru Henry ani co mi pokazał. Dość powiedzieć, że wywołało to we mnie fizyczne obrzydzenie. Nie ze względu na okropności, jakie zobaczyłem, ale z powodu poczucia winy, że brałem w nich udział, choć nie z własnej woli.

Spędziłem z nim niecałą godzinę. W tym krótkim czasie moje rozumienie świata zostało doszczętnie zburzone. Sposób, w jaki myślałem o śmierci, przestrzeni i Bogu – wszystko to uległo nieodwracalnej zmianie. Przez ten krótki czas uwierzyłem ponad wszelką wątpliwość w coś, co jeszcze godzinę wcześniej wydałoby mi się kompletnym szaleństwem:

Wampiry istnieją.

Przez tydzień nie mogłem zasnąć. Najpierw ze strachu, później z podniecenia. Codziennie zostawałem w sklepie do późna i zagłębiałem się w zapiski Abrahama Lincolna. Sprawdzałem zawarte w nich niewiarygodne twierdzenia, porównując je z „twardymi” faktami zaczerpniętymi z jego uznanych biografii. Wyłożyłem ściany piwnicy wydrukami starych fotografii, wykresami chronologicznymi i drzewami genealogicznymi. Pisałem do wczesnych godzin porannych.

Przez pierwsze dwa miesiące żona się o mnie martwiła. W ciągu następnych dwóch stała się podejrzliwa. Po sześciu byliśmy w separacji. Bałem się o bezpieczeństwo swoje i naszych dzieci oraz o własne zdrowie psychiczne. Miałem mnóstwo pytań, ale Henry’ego nie było w pobliżu. W końcu zdobyłem się na odwagę, by przeprowadzić wywiady z jedenastoma „osobami” wskazanymi na liście. Niektóre z nich okazywały zwykłą antypatię, inne – otwartą wrogość. Lecz z ich pomocą (choć udzielaną niechętnie) zacząłem rekonstruować ukrytą historię amerykańskich wampirów, ich wkładu w narodziny, rozwój i bliską śmierć naszego narodu oraz jedyne go człowieka, który ocalił ten naród przed ich tyranią.

Przez jakieś siedemnaście miesięcy poświęciłem całe życie tym dziesięciu obciążonym skórą dziennikom i plikowi listów związanych ciemnoczerwoną wstążką. W pewnym sensie były to najlepsze miesiące mojego życia. Co rano budziłem się na nadmuchiwym materacu w piwnicy pod sklepem i czułem, że mam cel. Wiedziałem, że robię coś naprawdę ważnego, choć byłem zmuszony działać w całkowitej samotności. Mimo że postradałem zmysły.

Wampiry istnieją. A Abraham Lincoln był jednym z najznamienitszych łowców wampirów tamtych lat. Dziennik – który zaczął pisać w wieku dwunastu lat i prowadził aż do dnia swojej śmierci z rąk zamachowca – jest zadziwiającym, rozdzierającym i przełomowym dokumentem. Dziełem rzucającym nowe światło na wiele spośród doniosłych zdarzeń z amerykańskiej historii i w pełni odzwierciedlającym złożoność postaci, którą już wcześniej uznawano za nieprzeciętnie skomplikowaną.

Napisano ponad piętnaście tysięcy książek o Abrahamie Lincolnie.

O jego dzieciństwie, o zdrowiu psychicznym, życiu seksualnym, poglądach na kwestie rasy, religii i prawa. Większość z tych prac zawiera sporą dozę prawdy. W niektórych pojawiają się wzmianki o istnieniu „sekretnego dziennika” i o „obsesyjnej fascynacji okultyzmem”. Ale żadna nie wspomina choćby słowem o fundamentalnej walce jego życia. Walce, która z czasem przeniosła się na front wojny secesyjnej.

Okazuje się, że dominujący mit o Prawym Abie, wpojony nam we wczesnym dzieciństwie, jest z gruntu nieprawdziwy. Stanowi ledwie patchwork półprawd i przemilczeń.

To, co następuje, prawie zrujnowało mi życie.

To, co następuje, jest wreszcie prawdą.

Seth Grahame-Smith
Rhinebeck, Nowy Jork
styczeń 2010

CZEŚĆ I CHŁOPIEC

JEDEN

Wyjątkowe dziecko

W tym smutnym świecie przygnębienie wszystkich nas nawiedza. Lecz młodym przynosi wyjątkowo gorzkie cierpienie, gdyż nachodzi ich niepostrzeżenie.

Abraham Lincoln w liście do Fanny McCulloch,
23 grudnia 1862

I

Chłopak kuczał już tak długo, że nogi mu zdrętwiały, jednak nie śmiał teraz wykonać najmniejszego ruchu, ponieważ właśnie w tym miejscu, na małej polance w środku zaszronionego lasu, zebrały się stwory, których tak długo wyczekiwał. Stwory, które kazano mu zabić. Zagryzł wargę, by powstrzymać dzwonienie zębów i wymierzył flintę ojca dokładnie tak, jak go nauczono. *Korpus*, przypomniał sobie. *Korpus, nie szyja*. Bezgłośnie, ostrożnie odciągnął kurek i wycelował lufę w cel, w sporego samca, który został lekko w tyle za grupą. To, co wydarzyło się potem, dziesięć lat później chłopiec odtworzył w ten oto sposób:

Zawahałem się. Nie z powodu wyrzutów sumienia, ale

z obawy, że strzelba była zbyt namoknięta i nie wypali. Lęk ten okazał się jednak nieuzasadniony, bo gdy pociągnąłem za spust, kolba uderzyła mnie w bark z taką siłą, że upadłem na plecy.

Indyki rozbiegły się na wszystkie strony, a siedmioletni Abraham Lincoln podniósł się z ośnieżonej ziemi. Stał i przyłożył palce do dziwnie ciepłej brody. „Przegryzłem sobie wargę”, napisał. „Ale prawie w ogóle nie jęknąłem. Bardzo chciałem wiedzieć, czy trafiłem drania, czy nie”.

Trafił. Duży samiec wymachiwał dziko skrzydłami, czołgając się w kółko przez śnieg. Abe przypatrywał mu się z oddali, „bałem się, że bestia wstanie i rozszarpie mnie na strzępy”. Trzepot skrzydeł, szuranie piór po śniegu – istniały tylko te dwa dźwięki. W końcu dołączyło do nich skrzypienie śniegu pod stopami Abe’a, który zdobył się na odwagę i ruszył przed siebie. Po chwili skrzydła biły już z mniejszą mocą.

Bestia umierała.

Chłopak postrzelił ją prosto w szyję. Głowa zwisała pod nienaturalnym kątem, a ptak ciągnął ją po ziemi, tłukąc skrzydłami. *Korpus, nie szyja.* Z każdym uderzeniem serca krew wypływała z rany na śnieg i mieszała się z ciemnymi kroplami skapującymi z ust Abe’a i łzami, które właśnie zaczęły spływać po jego twarzy.

Próbował złapać powietrze w płuca, ale bez skutku. W jego oczach zobaczyłem strach, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Wydawało mi się, jakbym stał nad tym nieszczęsnym ptakiem cały rok, prosząc Boga, by uciszył

trzepot jego skrzydeł. Błagając o wybaczenie za tak poważne zranienie stworzenia, które nie okazało mi złości, nie stwarzało zagrożenia dla mnie ani dla mojego dobrobytu. Wreszcie się uspokoiło, a ja, zbierając się na odwagę, pociągnąłem jego zwłoki przez las i położyłem u stóp mojej matki. Zwiesiłem nisko głowę, by ukryć łzy.

Już nigdy później Abraham Lincoln nie odebrał życia, a mimo to stał się jednym z najznamienitszych zabójców dziewiętnastego wieku.

Tamtej nocy zrozpaczony chłopiec nie zmrużył oka. „Myślałem tylko o niesprawiedliwości, jaką wyrządziłem innej żywej istocie, i o strachu, który zobaczyłem w jej oczach, o uciekającej obietnicy życia”. Abe odmówił jedzenia swojej zdobyczy i żywił się niemal wyłącznie chlebem, podczas gdy jego matka, ojciec i starsza siostra przez następne dwa tygodnie do cna ogryźli kości z mięsa. Nie wiemy nic o ich reakcji na jego strajk głodowy, ale z pewnością uznali go za ekscentryka. W tamtych czasach dobrowolne pozbawienie się pożywienia w imię zasad było decyzją niespotykaną, zwłaszcza wśród chłopców urodzonych i wychowanych na Dzikim Zachodzie.

No ale Abe Lincoln zawsze się wyróżniał.

Ameryka była jeszcze w powijakach, gdy jej przyszły prezydent urodził się 12 lutego 1809 roku, zaledwie trzydzieści lat po podpisaniu Deklaracji Niepodległości. Wielu spośród gigantów rewolucji amerykańskiej, jak Robert Treat Paine, Benjamin Rush czy Samuel Chase, wciąż jeszcze żyło. John Adams i Thomas Jefferson dopiero za trzy lata mieli odnowić swoją burzliwą przyjaźń, a umrzeć za siedemnaście, w dodatku, niesamowitym zrzędzeniem losu, tego samego dnia. Czwartego lipca.

Zdawało się, że tamte pierwsze dekady Ameryki były okresem niczym nieograniczonego wzrostu i ogromnych szans. Zanim Abe Lincoln przyszedł na świat, liczba mieszkańców Bostonu i Filadelfii podwoiła się w ciągu niespełna dwudziestu lat. W tym samym czasie Nowy Jork powiększył się trzykrotnie. Miasta się ożywiły, stały się bogatsze. „Na każdego rolnika przypadają dwa sklepy z odzieżą, na każdego kowala – jeden budynek opery”, żartował Washington Irving w swoim nowojorskim periodyku „Salmagundi”.

Ale miasta, których obszar się powiększał, jednocześnie robiły się coraz bardziej niebezpieczne. Podobnie jak mieszkańcy Londynu, Paryża i Rzymu, również Amerykanie zaczęli rozumieć, że pewnej ilości przestępstw nie da się uniknąć. Zdecydowanie najczęstsze były przypadki kradzieży. Brak kartotek z odciskami palców i kamer pilnujących porządku powodował, że złodziei powstrzymywać mogło wyłącznie sumienie lub brak predyspozycji. O rozbojach ledwie wspomniano w gazetach, chyba że ofiarą był ktoś godny uwagi.

Znana jest historia starszej wdowy, Agnes Pendel Brown, która mieszkała ze swoim leciwym kamerdynerem (prawie tak starym jak ona i głuchym jak pień) w dwupiętrowej kamienicy przy Amsterdam Avenue. Drugiego grudnia 1799 roku obydwójce położyli się do snu – on na parterze, ona na drugim piętrze. Nazajutrz stwierdzili, że z domu zniknęły wszystkie meble, dzieła sztuki, suknie, naczynia i świecznik (razem ze świeczkami). Jedynymi sprzętami, jakie złodzieje zostawili, były łóżka, na których spali Agnes i jej kamerdyner.

Od czasu do czasu zdarzało się morderstwo. Przed wojną o niepodległość zabójstwa były w amerykańskich miastach niezwykle rzadkie (nie sposób podać dokładnych danych, ale przegląd trzech

bostońskich gazet wydawanych w latach 1775–1780 pozwala wspomnieć o jedenastu przypadkach, z których dziesięć zakończyło się ukaraniem sprawców). Większość stanowiły tak zwane zabójstwa honorowe, w wyniku pojedynku lub kłótni rodzinnej. Wówczas najczęściej nie wnoszono sprawy do sądu. Przepisy prawa w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku były niejasne i, wobec braku regularnej policji, dość luźno egzekwowane. Warto zauważyć, że zabicie niewolnika nie było kwalifikowane jako morderstwo, bez względu na okoliczności. Uważano je wyłącznie za „zniszczenie mienia”.

Zaraz po uzyskaniu przez Amerykę niepodległości zaczęło się dzieć coś dziwnego. Liczba morderstw wzrosła lawinowo niemal z dnia na dzień. W przeciwieństwie do dawnych zabójstw honorowych, te nowe wydawały się całkowicie przypadkowe i bezsensowne. W latach 1802–1807 w samym tylko Nowym Jorku zdarzyły się dwieście cztery nierozwikłane morderstwa. Zabójstwa bez świadków, bez motywu i nierzadko bez wyraźnej przyczyny śmierci. Ponieważ śledczy (najczęściej byli nimi ochotnicy) nie prowadzili kartotek, to wskazówki, jakie przetrwały do dziś, można znaleźć jedynie w nielicznych wyblakłych gazetach. Szczególnie jeden artykuł w dzienniku „New York Spectator” dobrze oddaje panikę, która ogarnęła miasto w lipcu 1806 roku.

Niejaki Stokes, zamieszkały przy Dziesiątej Ulicy pod numerem 210, znalazł nieszczęsną ofiarę, Mulatkę, podczas porannej przechadzki. Mężczyzna ów zauważył, iż oczy denatki były szeroko otwarte, a ciało dość sztywne, jakby wysuszone na słońcu. Konstabl McLeay poinformował mnie, iż ani obok

nieszczęsnej kobiety, ani też na jej ubraniu nie znaleziono krwi, a jedyną raną było niewielkie nacięcie na nadgarstku. Jest już czterdziestą pierwszą osobą w tym roku, którą spotkał podobny los. Pan burmistrz Dewitt Clinton radzi szanownym obywatelom, by wyostrzyli swą czujność, dopóki winny zabójstw łotr nie zostanie schwytyany. Kobiety i dzieci powinny chadzać w towarzystwie panów, a panowie po zmroku winni chodzić parami.

Miejsce zbrodni niepokojąco przypominało kilkadziesiąt innych, w których tamtego lata doszło do morderstw. Żadnych obrażeń, żadnej krwi. Otwarte oczy i sztywne zwłoki. Twarz zastygła w przerażeniu. Tożsamość ofiar wskazywała na pewną prawidłowość: byli nimi wolni Murzyni, włóczęgi, prostytutki, wędrowcy i umyślowo upośledzeni, a więc ludzie pozbawieni znajomości, bez rodziny. Raczej nic nie wskazywało na to, że wściekłe tłumy ruszą na ulice wymierzać sprawiedliwość. Problem nie dotyczył zresztą tylko Nowego Jorku. Podobne artykuły pojawiały się tamtego lata na łamach gazet w Bostonie i Filadelfii, których mieszkańcy rozpowszechniali te same plotki. Mówiono o kryjących się w cieniu szaleńcach i o obcych szpiegach.

Przebąkiwano też o wampirach.

II

Farma Sinking Springs leżała tak daleko od Nowego Jorku, jak tylko można było się od niego oddalić w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku. Choć nazwa sugerowała obecność strumieni, rozległe

trzystuakrowe gospodarstwo było w znacznej mierze zalesione, a kamienista gleba, charakterystyczna dla wschodniego Kentucky, raczej nie pozwalała żywić nadziei na rekordowe plony. Trzydziestojednoletni Thomas Lincoln kupił farmę za weksel o wartości dwustu dolarów na kilka miesięcy przed narodzinami Abe'a. Na swojej nowej ziemi pośpiesznie zbudował jednoizbowy domek o wymiarach pięć i pół na sześć metrów z twardym klepiskiem zamiast podłogi, zimnym w dotyku przez okrągły rok. Gdy padał deszcz, woda obficie kapiała przez dach. Gdy wył wiatr, przeciąg wciskał się do środka przez niezliczone szpary w ścianach. Właśnie w takich skromnych warunkach, w nietypowo ciepły niedzielny poranek, przyszedł na świat szesnasty prezydent Stanów Zjednoczonych. Podobno w ogóle nie płakał, tylko wpatrywał się w swoją matkę i w końcu szeroko do niej uśmiechnął.

Abe nie zachował żadnych wspomnień z Sinking Springs. Kiedy miał dwa lata, wybuchł spór o akt własności ziemi, więc Thomas przeprowadził się wraz z rodziną piętnaście kilometrów na północ, gdzie założył mniejsze gospodarstwo Knob Creek, które zapewniało większe plony. Mimo iż miał do dyspozycji znacznie lepszą glebę, z której mógłby dostatnio żyć, gdyby sprzedawał okolicznym osadnikom kukurydzę i zboże, Thomas zaorał niecały akr.

Był analfabetą i leniem, który nie potrafił nawet podpisać się własnym nazwiskiem, póki nie nauczyła go tego moja matka. Nie miał za grosz ambicji, nie interesowało go poprawienie swojego bytu ani zaspokojenie innych niż podstawowe potrzeby swoich bliskich. Nigdy nie obsiewał żadnej grządki częściej, niż było to konieczne do uciszenia

naszych żołądków, i nie szukał ani centa dodatkowego dochodu ponad to, co starczało do okrycia nas najprostszymi szmatami.

Tę przesadnie surową ocenę zapisał czterdziestoletni Abraham w dniu pochówku ojca (w którym postanowił nie uczestniczyć, i być może gryzły go wyrzuty sumienia). Choć faktycznie trudno byłoby określić Thomasa Lincolna mianem ambitnego, to zdawało się, że jest rzetelnym, jeśli nie wręcz szczodrym żywicielem. Sporo mówi o jego charakterze fakt, iż nigdy nie opuścił rodziny w czasach skrajnego ubóstwa ani nie porzucił życia na Dzikim Zachodzie na rzecz wygodnego bytu w mieście, jak to uczyniło wielu jego rówieśników. I choć nie zawsze rozumiał i aprobował poczynania syna, zawsze w końcu na nie zezwalał. Abe jednak nie wybaczył mu tragedii, która odmieniła życie ich obu.

Jak przystało na tamte lata, codzienność Thomasa Lincolna naznaczona była nieustającą walką i częstymi nieszczęściami. Urodził się w 1778 roku i, jeszcze jako dziecko, przeprowadził z ojcem Abrahamem i matką Bathshebą z Wirginii do Kentucky. W wieku ośmiu lat stał się świadkiem mordu na swoim ojcu. Była wiosna i Abraham przygotowywał ziemię pod zasiew, gdy „napadła go banda szaunskich dzikusów”. Thomas patrzył bezradnie, jak Indianie tłuką jego ojca na śmierć, podrzynają mu gardło i zdejmują skalp. Nie potrafił później powiedzieć, co spowodowało atak ani dlaczego jemu napastnicy darowali życie. Tak czy inaczej, nic już nie było dla Thomasa Lincolna takie samo. Nie miał żadnego spadku, dlatego zmuszony był wędrować od miasta do miasta i podejmować niekończącą się serię najdziwniejszych prac. Uczył się w terminie

u cieśli, służył jako strażnik w więzieniu i sterował barkami na Missisipi i Sangamon. Ścinał drzewa, orał pola i gdy tylko mógł, uczęszczał do kościoła. Historycy nie znaleźli dowodów wskazujących, by kiedykolwiek chodził do szkoły.

To zupełnie zwyczajne życie z pewnością przeminęłoby niezauważone przez historię, gdyby pewnego dnia dwudziestoosmioletni Thomas nie wybrał się do Elizabethtown, gdzie przypadkiem natknął się na młodą córkę farmera z Kentucky. Ich małżeństwo, które zawarli 12 czerwca 1806 roku, miało odmienić bieg historii w sposób, jakiego nie mogli sobie nawet wymarzyć.

Wszystkie źródła zgodnie określają Nancy Hanks jako bystrą, łagodną i przystojną kobietę o „niezwykłej” umiejętności władania słowem, a jednocześnie jako osobę, która rzadko się odzywała w obecności nieznanomych, a to ze względu na chorobliwą wręcz nieśmiałość. Umiała czytać i pisać dzięki formalnej edukacji szkolnej, której potem zabrakło jej synowi. Nancy była kobietą obrotną i choć wśród chaszczy Kentucky trudno było o książki, zawsze miała przy sobie przynajmniej jeden pożyczony lub wyblągany tom, by cieszyć się nim w tych rzadkich chwilach, kiedy nie zostawało już nic do zrobienia w domu. Zaczęła czytać Abe’owi, gdy był jeszcze niemowlęciem, i czytała wszystko, co wpadło jej w ręce: *Kandyda* Woltera, *Przypadki Robinsona Crusoe* Defoe, poezję Keatsa i Byrona. Lecz młody Lincoln najbardziej pokochał Biblię. Uważny dzieciak siadał мамie na kolanach i wsłuchiwał się w niesamowite historie Starego Testamentu: o Dawidzie i Goliacie, o arce Noego i plagach egipskich. Szczególnie fascynowała go opowieść o Hiobie, człowieku prawym, któremu wszystko odebrano, a nałożono klątwę, smutek i zdradę, a mimo to on wciąż kochał i wychwalał Boga. „Mógłby

zostać księdzem”, napisał później o Lincolnie w wyborczym pamflecie kolega z dzieciństwa, „gdyby tylko życie lepiej go potraktowało”.

A życie na farmie Knob Creek nie należało do najłatwiejszych, nawet jak na wczesne lata dziewiętnastego wieku. Na wiosnę burze z piorunami zalewały okolicę i przeobrażały pola uprawne w głębokie grzędawiska. W zimie ze zmrożonego krajobrazu odpływał wszelki kolor, a drzewa stawały się poskręcanyimi paluchami, grzechoczącymi o siebie nawzajem na wietrze. To z tym miejscem wiązały się najwcześniejsze wspomnienia Abe’a: gonienie starszej siostry Sarah między jesionami i orzesznikami, trzymanie się grzywy kucyka podczas spokojnych letnich przejażdżek, rąbanie drewna u boku ojca małym toporem. Ale też tutaj doświadczył pierwszej z licznych strat pustoszących jego duszę.

Gdy Abe miał trzy lata, Nancy Lincoln urodziła chłopca, któremu nadano imię Thomas, po ojcu. Synowie stanowili podwójne błogosławieństwo dla rodzin żyjących na Dzikim Zachodzie i starszy Thomas z pewnością wyczekiwał dnia, w którym dwaj silni synowie zaczną mu pomagać w pracy. Jednak tego marzenia nie mógł pielęgnować zbyt długo. Niemowlę zmarło pod koniec pierwszego miesiąca. Abe pisał o tym dwadzieścia lat później, jeszcze zanim pochował swoich dwóch synów.

Co do żalu, nie pamiętam, bym takowy czuł. Pewnie byłem zbyt młody, by pojąć nieodwracalność sytuacji. Nigdy jednak nie zapomnę udręki moich rodziców. Opisać ją byłoby daremnym trudem. Jest to ten rodzaj cierpienia, któremu słowa nigdy nie oddadzą należytej czci. Mogę powiedzieć jedynie, iż taki ból nie opuszcza człowieka nigdy. Chodząca

śmierć.

Nie sposób ustalić, co zabiło Thomasa Lincolna juniora. Częstymi przyczynami śmierci były w tamtych czasach odwodnienie, zapalenie płuc i niska waga ciała przy narodzeniu. Dopiero sto lat później zaczęto diagnozować i rozumieć genetyczne wady wrodzone. Nawet w najbardziej sprzyjających warunkach porodowych odsetek zgonów wśród noworodków wynosił w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku dziesięć procent.

Thomas senior zbił małą trumnę i pochował syna nieopodal domu. Nie zachował się krzyż znaczący grób. Nancy wzięła się w garść i skupiła na żyjących dzieciach, zwłaszcza na Abie. Pobudzała jego niezaspokojoną ciekawość i wrodzoną miłość do zapamiętywania historii, nazwisk i faktów oraz do odtwarzania ich przy każdej okazji. Mimo sprzeciwów męża zaczęła uczyć chłopca czytać i pisać jeszcze przed piątym rokiem życia. „Ojcu niepotrzebne były książki”, wspominał po latach, „chyba że do rozpalania paleniska, gdy drewno zamokło”. Choć nie możemy wiedzieć, co sobie myślała, Nancy Lincoln musiała przeczuwać, że jej syn jest szczególnie uzdolniony. Z pewnością zależało jej, by osiągnął w życiu więcej niż ona sama i jej mąż.

Bezpośrednio przez farmę Knob Creek biegł szlak Old Cumberland. Był to rodzaj szosy, główna droga, która łączyła Louisville i Nashville, więc w obie strony podróżowali każdego dnia najróżniejsi ludzie. Pięcioletni Abraham godzinami przesiadywał na ogrodzeniu i śmiał się z przewoźnika melasy, który zawsze przeklinał swoje muły, albo machał do gońca pocztowego pędzącego na koniu. Od czasu do czasu mały Abe widział niewolników wiezionych na aukcję.

Pamiętam przejeżdżający wóz pełen czarnych. Same kobiety w różnym wieku. Miały... skute ręce i były wspólnie przypięte do ławki. Nie dostały nawet garści siana dla złagodzenia wyboistej drogi ani koca przeciw zimowej aurze. Woźnice siedzieli oczywiście na miękkim koźle z przodu, opatuleni wełną. Moje oczy napotkały spojrzenie najmłodszej dziewczynki, która była mniej więcej w moim wieku. Mogła mieć pięć, sześć lat. Przyznaję, że wytrzymałem jej wzrok tylko przez chwilę, taki smutek wyzierał z jej twarzy.

Jako baptysta Thomas Lincoln został wychowany w przekonaniu, że niewolnictwo to grzech. Ten pogląd stanowił jeden z niewielu trwałych wkładów ojca w charakter młodego Abe'a.

W Knob Creek znużeni drogą podróżnicy zmierzający szlakiem Old Cumberland mogli spędzić noc. Sarah ścieliła gościom łóżka w budynkach gospodarczych (farma składała się z domu, szopy i stodoły), a Nancy podawała o zachodzie słońca gorące posiłki. Lincolnowie nie prosili gości o zapłatę, choć większość jakoś rewanżowała się za pobyt, niektórzy zostawiali gotówkę, większość zboże, cukier albo tytoń. Po kolacji kobiety kładły się spać, a mężczyźni spędzali wieczór, sącząc whisky i paląc fajki. Abe leżał w swoim łóżku na strychu, ale nie spał i słuchał, jak jego ojciec zabawia przybyszów, czerpiąc z pozornie nieprzebranego zasobu opowieści, mrozących krew w żyłach historii z życia wczesnych osadników i żołnierzy wojny o niepodległość, humorystycznych anegdot i przypowiastek oraz prawdziwych (lub częściowo prawdziwych) przygód z własnego wędrowniczego życia.

Ojciec miał swoje braki, ale w tym był mistrzem. Noc w noc zadziwiała mnie jego umiejętność trzymania słuchaczy w ciągłym napięciu. Potrafił opowiadać tak szczegółowo i z taką emfazą, iż człowiek, który go słuchał, potem był gotów przysiąc, że to jego własne wspomnienia, nie żadna opowiastka. Walczyłem ze snem do późnych godzin nocnych, starając się zapamiętać każde słowo i obmyślając sposób na przekazanie wszystkiego moim kolegom tak, by zrozumieli.

Abe podobnie jak ojciec miał naturalny dar opowiadania i wkrótce sam stał się mistrzem gawędy. Umiejętność skutecznej komunikacji, ubierania złożonych idei w proste, barwne przypowieści bardzo mu się później przyda w karierze politycznej.

Od przybyszów Lincolnowie czerpali najnowsze wieści ze świata. Większość gości po prostu przekazywała informacje wyczytane w gazetach z Louisville czy Nashville lub powtarzała plotki zasłyszane w drodze. „Czymś zwyczajnym było słuchanie, trzy razy w tygodniu i z trzech różnych źródeł, opowieści o tym samym pijaku wpadającym do tego samego rowu”. Co jakiś czas zjawiał się jednak podróżny z wiadomościami innego rodzaju. Abe zapamiętał noc, gdy trząśł się ze strachu pod kołdrą, słuchając przybysza z Francji relacjonującego obłąd na ulicach Paryża w latach 80. osiemnastego wieku.

Ludzie zaczęli nazywać Paryż *la ville des morts*, powiedział Francuz. Miastem śmierci. Każda noc przynosiła nowe krzyki, a każdy poranek – kolejne blade ciała na ulicach albo rozdęte zwłoki wyłowione z kanałów ściekowych, nierzadko

spływających czerwienią. Były to zwłoki mężczyzn, kobiet i dzieci. Niewinne ofiary, których nie łączyło nic ze sobą oprócz ubóstwa. W całej Francji nie było ani jednej osoby, która miałaby jakiegokolwiek wątpliwości, kto stał za morderstwami. „To były *les vampires!*”, powiedział. „Widzieliśmy je na własne oczy!” Mówił, że wampiry od wieków stanowiły „ciche przekleństwo” Paryża. Ale teraz, gdy szalały choroby i głód, a biedacy tłoczyli się w slumsach... bestie nabierały tupetu. Były jeszcze bardziej głodne. „Ale Ludwik nie ruszył nawet palcem! On i jego *aristocrates pompeux* siedzieli beczynn timer, podczas gdy wampiry zajały się ich wygłodniałymi poddanymi. I w końcu poddani stracili cierpliwość”.

Oczywiście opowieść Francuza, jak wszystkie historie o wampirach, traktowano z przymrużeniem oka, jako bajkę wymyśloną po to, by straszyć nią dzieci. Mimo to Abe był zafascynowany tymi opowieściami. Całymi godzinami snuł własne wizje, w których występowali „skrzydlaci nieśmiertelni” o „białych kłach poplamionych krwią”, „czyhający w ciemnościach na następną ofiarę”. Uwielbiał sprawdzać reakcje innych na własne historie, dlatego opowiadał je siostrze, dziewczynie „bardziej strachliwej od myszy, ale i tak lubiącej mnie słuchać”.

Z kolei Thomas karciał Abe'a, ilekroć przyłapywał go na snuciu opowieści o wampirach. Nazywał je „dziecinnymi bzdurami”, na które nie było miejsca w rozmowach kulturalnych ludzi.

III

W 1816 roku kolejny spór o prawo do ziemi zakończył pobyt Lincolnów w Knob Creek. Własność na Dzikim Zachodzie była dość kruchym pojęciem i na jeden kawałek gruntu nieraz wydawano kilka aktów notarialnych, a dokumenty w tajemniczych okolicznościach pojawiały się bądź znikwały, zależnie od rodzaju łapówki. Chcąc uniknąć kosztownej walki w sądzie, Thomas przesiedlił rodzinę po raz drugi w ciągu siedmioletniego życia Abe'a; tym razem poprowadził ich na zachód, przez rzekę Ohio do Indiany. Kiedy tam dotarł, ewidentnie nic sobie nie robiąc z przeszłych sporów o ziemię, po prostu zajął liczącą sto sześćdziesiąt akrów działkę w gęsto zaludnionej osadzie Little Pigeon Creek, niedaleko dzisiejszego miasteczka Gentryville. Decyzja o wyprowadzce z Kentucky podyktowana była względami praktycznymi i moralnymi. Praktycznymi, bo po wypędzeniu Indian w następstwie wojny 1812 roku pojawiło się sporo taniej ziemi. Moralnymi, ponieważ Thomas był abolicjonistą, a Indiana stanowiła wolne terytorium.

W porównaniu z farmami w Sinking Springs i Knob Creek nowe gospodarstwo Lincolnów było naprawdę dziewicze – otoczone „szerokim pasem dziczy” i zamieszkane przez niedźwiedzie i rysie, które przechadzały się po okolicy bez lęku przed człowiekiem. Pierwsze miesiące spędzili w naprędce skleconej przybudówce, z trudem mieszczącej cztery osoby i z jednej strony otwartej na żywioły. Przenikliwy chłód tamtej pierwszej zimy w Indianie musiał być nie do zniesienia.

Little Pigeon Creek był miejscem odległym, ale nie odludnym. Półtora kilometra od domu Lincolnów mieszkało osiem lub dziewięć

rodzin, niektóre z nich również po przeprowadzce z Kentucky. „W odległości, którą można było pokonać podczas krótkiego spaceru, mieszkało kilkunastu chłopców w moim wieku. Założyliśmy bandę i rozpoczęliśmy łobuzerską kampanię, o której w południowej Indianie pamiętają do dziś”. Rozwijająca się lokalna społeczność była czymś więcej niż tylko wylęgarnią niesfornych dzieciaków. Jak to często bywało na ziemiach zachodnich, rodziny łączyły siły i zasoby, by zwiększyć szanse na przetrwanie. Wspólnie prowadziły zasiewy i zbiory, wymieniały się towarami i pracą, pomagały sobie w chorobie i biedzie. Thomas, uważany za najlepszego cieślę w okolicy, rzadko narzekał na brak pracy. Jednym z jego pierwszych wkładów w życie lokalnej społeczności było zbudowanie małej jednoizbowej szkoły, do której jego syn miał później uczęszczać nieregularnie. Podczas swojej pierwszej kampanii prezydenckiej Abe napisał krótką autobiografię, w której przyznał, że całe jego wykształcenie to „niespełna rok nauki”. Ale nawet w tych wczesnych latach przynajmniej jedna z jego nauczycielek, Azel Waters Dorsey, widziała w Abrahamie Lincolnie „wyjątkowe dziecko”.

Po pamiętnym epizodzie z indykiem Abe oznajmił, że nie zamierza już nigdy polować na dzikie zwierzęta. Za karę Thomas kazał mu rąbać drewno. Sądził, że wysiłek fizyczny skłoni chłopca do zmiany zdania. Choć Abe ledwie mógł unieść siekiere powyżej bioder, godzinami niechlujnie ciął pieńki i układał szczapy na stertę.

Po jakimś czasie nie wiedziałem już, gdzie kończy się moje ramię, a zaczyna topór. W końcu siekiera zwyczajnie wysunęła mi się z rąk, które zwisały wzdłuż boków niczym zasłony w oknie. Gdy ojciec przyłapywał mnie na odpoczynku,

obrzucał mnie przekleństwami, chwycił topór i w minutę rąbał na kawałki tuzin bierwion, by wzbudzić we mnie poczucie winy i w ten sposób zmusić mnie do wznowienia pracy. Nie poddawałem się i z czasem nabrałem sił w ramionach.

Wkrótce Abe rąbał więcej polan w minutę niż jego ojciec.

Tymczasem minęły dwa lata od pierwszych miesięcy życia w przybudówce. Cała rodzina mieszkała teraz w małej, solidnej chacie z kamiennym kominkiem, dachem pokrytym gontem i podwyższoną podłogą z drewna, która była ciepła i sucha nawet w zimie. Jak zwykle Thomas pracował tylko tyle, ile musiał, by zapewnić bliskim wikt i opierunek. Do Lincolnów dołączyli cioteczna babcia i dziadek Nancy, Tom i Elizabeth Sparrowowie. Przybyli z Kentucky, by zamieszkać w jednym z budynków gospodarczych i pomagać w pracy na farmie. Wszystko układało się pomyślnie. „Później nauczyłem się patrzeć nieufnie na taki spokój”, napisał Abe w 1852 roku, „jako że zawsze, zawsze stanowi on wstęp do jakiejś gigantycznej katastrofy”.

Pewnej nocy we wrześniu 1818 roku Abe obudził się wystraszony. Usiadł na łóżku i zakrył twarz dłońmi, jakby ktoś nad nim stał i groził, że rozłupie mu głowę pałką. Nikogo jednak przy nim nie było. Kiedy zrozumiał, że niebezpieczeństwo tylko mu się przyśniło, chłopiec opuścił dłonie, odzyskał oddech i rozejrzał się po izbie. Wszyscy spali. Sądząc po żarze w kominku, była druga lub trzecia w nocy.

Abe wyszedł na dwór w samej koszuli nocnej, mimo iż jesienny chłód nastąpił wcześniej niż zwykle. Wciąż w półśnie poszedł w kierunku wychodka, zamknął za sobą drzwi i usiadł. Czekał, aż oczy przywykną do panującej w środku ciemności, nagle zauważył, że

światło księżyca stało się tak jasne, iż można było czytać. Ponieważ nie miał przy sobie książki, Abe zaczął przebiegać dłonią przez cienkie snopy światła i przyglądać się wzorom, jakie tworzyły na jego palcach.

Nagle dobiegły go głosy na zewnątrz.

Abe wstrzymał oddech, bo usłyszał kroki dwóch mężczyzn, którzy w końcu przystanęli. *Są przed chatą.* Jeden z nich mówił gniewnym szeptem. Choć chłopak nie słyszał go wyraźnie, wiedział, że nie jest to nikt z Little Pigeon Creek. „Miał angielski akcent i wyjątkowo wysoki głos”. Obcy gorączkował się przez chwilę, potem zamilkł i czekał na odpowiedź. Ta nadeszła i tym razem głos brzmiał znajomo. Należał do Thomasa Lincolna.

Przyłożyłem oko do jednej ze szpar między deskami. Faktycznie, drugim mężczyzną był ojciec. Rozmawiał z człowiekiem, którego nie znałem. Obcy miał przysadzistą figurę i ubrany był w najbardziej elegancki strój, jaki kiedykolwiek widziałem. Brakowało mu prawej ręki od łokcia w dół. Rękaw miał starannie przypięty do barku. Ojciec, choć z nich dwóch wyraźnie większy, wydawał się kulić ze strachu przed swoim rozmówcą.

Abe usiłował ich podsłuchać, ale stali zbyt daleko. Patrzył więc, próbując odczytać gesty i ruchy warg, aż...

Nagle ojciec w obawie, że nas obudzi, nakłonił swojego towarzysza, by oddalili się od chaty. Wstrzymałem oddech, widząc, że idą w moją stronę. Byłem pewien, że zdradzi mnie

bicie serca. Zatrzymali się ledwie trzy metry ode mnie. Właśnie wtedy usłyszałem koniec ich kłótni. „Nie mogę”, powiedział ojciec. Obcy stał w milczeniu, wyraźnie rozczarowany.

Wreszcie jednak udzielił odpowiedzi. „W takim razie odbiorę je sobie w inny sposób”.

IV

Tom i Elizabeth Sparrowowie byli umierający. Przez trzy dni i trzy noce Nancy opiekowała się ciotecznymi dziadkami, których dręczyły wysoka gorączka, urojenia i tak bolesne skurcze, że zwalisty Tom płakał jak dziecko. Abe i Sarah trzymali się blisko matki, pomagali jej robić okłady i ścielić łóżka. We trójkę też modlili się o cud, o którym wiedzieli jednak, że nie nadejdzie. Okoliczna starszyzna już знаła tę chorobę, zwano ją „mleczną”. Było to wolno przebiegające zatrucie spowodowane wypiciem skażonego mleka, nieuleczalne i śmiertelne. Abe nigdy wcześniej nie obserwował czyjejś śmierci i miał nadzieję, że Bóg wybaczy mu, że jest trochę ciekawy, jak to wygląda.

Nie śmiał pytać ojca o to, co widział i słyszał przed tygodniem. Thomas był od tamtej nocy wyjątkowo oschły (i w znacznej mierze nieobecny) i nie chciał mieć nic wspólnego z czuwaniem przy łóżku Toma i Elizabeth.

Obydwoje umarli w bardzo krótkim odstępie czasu – najpierw ona, on kilka godzin później. Abe skrywał rozczarowanie. Spodziewał się desperackiej walki o ostatni oddech lub poruszającego monologu, jak w książkach, które w tym czasie czytał przed snem. Tymczasem Tom

i Elizabeth po prostu zapadli w śpiączkę, leżeli bez ruchu przez kilka godzin, po czym umarli. Thomas Lincoln nie znalazł dla swojej żony choćby najskromniejszych wyrazów współczucia, tylko zabrał się nazajutrz do szykowania dwóch trumien z desek i drewnianych kołków. Przed kolacją małżeństwo Sparrowów leżało już pod ziemią.

Ojciec nigdy nie przepadał za wujem i ciotką. W dodatku nie byli pierwszymi krewnymi, których musiał pochować. A jednak nigdy nie widziałem go w takim stanie. Milczał i zdawał się pochłonięty myślami. Niespokojny.

Cztery dni później zachorowała Nancy Lincoln. Początkowo upierała się, że to tylko zwyczajny ból głowy spowodowany stresem, jaki wywołała w niej śmierć Toma i Elizabeth. Mimo to Thomas posłał po najbliższego lekarza, który mieszkał pięćdziesiąt kilometrów od nich. Przybył na miejsce, nazajutrz tuż przed wschodem słońca. Nancy była już w malignie.

Uklękliśmy z siostrą przy mamie, trzęsąc się ze strachu i braku snu. Ojciec siedział obok na krześle, podczas gdy lekarz przeprowadzał badanie. Wiedziałem, że mama umiera. Wiedziałem, że Bóg mnie w ten sposób karze za moją ciekawość śmierci Toma i Elizabeth. Za zabicie stworzenia, które nie wyrządziło mi krzywdy. Odpowiedzialność spoczywała wyłącznie na mnie. Skończywszy badanie, lekarz poprosił ojca o rozmowę przed domem. Gdy wrócili, ojciec płakał. Wszyscy płakaliśmy.

Tej nocy Abe siedział sam przy matce. Sarah zasnęła przy kominku, a Thomas drzemał na krześle. Nancy zapadła w śpiączkę. Wcześniej przez wiele godzin była – najpierw z powodu urojeń, potem z bólu. W pewnym momencie Thomas i lekarz musieli ją skrepować, a ona wykrzykiwała coś o „patrzeniu diabłu w oczy”.



RYS. 23A – MŁODY ABE PISZE W DZIENNIKU PRZY ŚWIETLE KOMINKA. OBOK KILKA Wczesnych NARZĘDZI ŁOWIECKICH.

Abe zdjął okład z jej czoła i zamoczył go w misce z wodą, która stała u jego nóg. Wiedział, że wkrótce będzie musiał zapalić kolejną świeczkę, bo ta, która oświetlała pokój, teraz zaczęła mrugać. Gdy zdejmował okład, matka chwyciła go za przegub.

– Mój synku – wyszeptała.

Odmiana była całkowita. Na twarzy matki rysował się spokój, mówiła delikatnym, cichym głosem. W jej oczach znów pojawił się błysk. Serce mi podskoczyło – to musiał być ten cud, o który się modliłem. Spojrzała na mnie z uśmiechem.

„Mój synku”, szepnęła znowu. „Żyj”. Po policzkach zaczęły mi spływać łzy. Zastanawiałem się, czy to aby nie jakiś okrutny sen. „Mamo?”, spytałem, a ona powtórzyła: „Żyj”. Rozpłakałem się. Bóg mi wybaczył. Oddał mi ją. Znow się uśmiechnęła. Poczulem, że jej dłoń wysuwa się z mojej, i zobaczyłem, że zamykają się jej oczy. „Mamo?” Jeszcze raz, teraz już prawie szeptem, powiedziała: „Żyj”. Już nie otworzyła oczu.

Nancy Hanks Lincoln zmarła 5 października 1818 roku w wieku trzydziestu czterech lat. Thomas pochował ją na wzgórzu za domem.

Abe został sam jak palec.

Matka była jego bratnią duszą. Okazywała mu miłość i wsparcie od dnia, w którym przyszedł na świat. Przez te wszystkie lata czytała mu do snu, zawsze trzymając książkę w lewej dłoni, a prawą kręcąc loki w jego ciemnych włosach, podczas gdy on zasypiał z głową na jej kolanach. To jej twarz przywitała go, gdy przyszedł na świat. Nie płakał wtedy. Tylko na nią spojrzał i się uśmiechnął. Była miłością i światłem. A teraz jej zabrakło. Abe ją opłakiwał.

Kiedy tylko została pogrzebana, postanowił uciec z domu. Nie mógł znieść myśli o dalszym życiu w Little Pigeon Creek z trzynastoletnią siostrą i pogrążonym w żalu ojcem. Od śmierci matki nie minęło jeszcze nawet trzydzieści sześć godzin, gdy dziewięcioletni Abraham Lincoln przedzierał się przez dzikie obszary Indiany, niosąc cały swój skromny dobytek w wełnianej derce. Miał genialnie prosty plan. Zamierzał dotrzeć nad rzekę Ohio, dostać się na pokład barki i spłynąć nią do Missisipi, a potem do Nowego Orleanu, gdzie z łatwością mógłby się załapać na jakiś statek. Może udałoby

mu się dopłynąć do Nowego Jorku albo Bostonu. A może nawet do Europy i jej nieśmiertelnych katedr, o których zwiedzeniu często marzył.

Jedyną wadą tego planu była pora wyruszenia w podróż. Abe opuścił dom po południu i pokonał zaledwie siedem kilometrów, gdy krótki zimowy dzień zaczęły spowijać ciemności. Otoczony dziką przyrodą i wyposażony jedynie w pled i garść pożywienia, chłopak się zatrzymał, usiadł pod drzewem i zapłakał. Był sam w ciemności i tęsknił za domem, który przestał istnieć. Tęsknił za matką. Pragnął poczuć włosy siostry na swojej twarzy, kiedy położy głowę na jej ramieniu. Ku swojemu zdziwieniu zatęsknił nawet za bezpiecznym uściskiem ramion ojca.

W ciemnościach usłyszałem odległe wołanie – przeciągłe, zwierzęce wycie, odbijające się echem wokół mnie. Od razu pomyślałem o niedźwiedziach, które nasz sąsiad, Reuben Grigsby, zauważył przy strumyku zaledwie dwa dni wcześniej. Poczułem się jak burak, że wyruszyłem w drogę bez żadnej broni, choćby tylko noża. Odgłosy się powtarzały, zdawały się otaczać mnie ze wszystkich stron. Im dłużej ich słuchałem, tym bardziej stawało się oczywiste, że nie wydają ich niedźwiedź ani pantera, ani w ogóle żadne zwierzę. Miały inne brzmienie. Ludzkie. W jednej chwili pojąłem, co słyszę. Nie dbając o swoje rzeczy, skoczyłem na równe nogi i pobiegłem, ile sił w nogach, w stronę domu.

Abe słyszał krzyki.

DWA

Dwie historie

Zatem obierając kurs, nie podstępem, i wyraźny widząc cel, odnowmy naszą wiarę w Boga i idźmy naprzód bez lęku, mężnie.

Abraham Lincoln, przemowa w Kongresie, 4 lipca 1861

I

Brak jakichkolwiek wzmianek, by Thomas Lincoln próbował pocieszyć swoje dzieci po śmierci ich matki. Nie wiadomo, czy pytał je, jak się czują, ani czy dzielił się z nimi własnym żalem. Zdaje się, iż miesiące po pogrzebaniu żony spędził w kompletnym milczeniu. Gotował kawę, skubał śniadanie. Pracował do zmierzchu i zazwyczaj pił na umór. Krótka modlitwa przed posiłkiem stanowiła nierzadko jedyną okazję, by Abe i Sarah mogli słyszeć głos ojca.

Bądź przy naszym stole, Panie.

Bądźże wszędzie uwielbiany.

Niech Twa łaska da nam siłę,

Byśmy wiecznie Ci służyli.

Jednak pomimo wszystkich swoich wad, Thomas Lincoln posiadał

coś, co starsi nazywali „psim węchem”. Wiedział, że ich obecna sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Rozumiał, że w pojedynkę nie zdoła utrzymać rodziny.

Zimą 1819 roku, czyli w rok z okładem po śmierci Nancy, Thomas nagle zapowiedział swój wyjazd „na dwa, trzy tygodnie”, i obiecał dzieciom, że gdy wróci, będą miały nową mamę.

Mocno nas tym zaskoczył, przecież przez cały rok ledwie się odzywał, więc nie wiedzieliśmy, że snuje takie plany. Nie powiedział nam, czy ma na myśli konkretną kobietę. Zastanawiałem się, czy zamierza dać ogłoszenie do gazety, czy postanowił przechadzać się ulicami Louisville w poszukiwaniu dam bez towarzystwa, którym mógłby się oświadczyć. Muszę przyznać, iż nie zaskoczyłoby mnie, gdyby zdecydował się na któreś z tych rozwiązań.

Abe i Sarah nie zdawali sobie sprawy, że Thomas miał na myśli konkretną osobę – niedawno owdowiałą znajomą w Elizabethtown (w tym mieście przed trzynastoma laty po raz pierwszy ujrzał Nancy). Chciał pojawić się na jej progu bez zapowiedzi, zaproponować małżeństwo i wrócić z nią do Little Pigeon Creek. To wszystko. Taki miał plan.

Dla Thomasa podróż oznaczała koniec milczącej żałoby. Dla dziewięcioletniego Abe’a i jedenastoletniej Sarah – zostanie pierwszy raz bez opieki.

Na noc ustawialiśmy zapaloną świeczkę na środku pokoju i chowaliśmy się pod kołdrami, drzwi zastawialiśmy łóżkiem

ojca. Nie wiedzieliśmy, przed czym się tak chronimy, ale dawało nam to poczucie komfortu. I tak trwaliśmy do późnych godzin nocnych, słuchając dźwięków dobiegających ze wszystkich stron. Odgłosów zwierząt. Odległych jęków niesionych przez wiatr. Gałązek trzaskających pod nogami stworzeń, które chodziły wokół domu. Trzęśliśmy się w łózkach, aż świeczka w końcu się dopalała, po czym klóciliśmy się szeptem, które z nas porzuci bezpieczne schronienie pod kołdrą, by wyjść i zapalić kolejną. Gdy ojciec wrócił, dał nam porządnie w skórę za to, że w tak krótkim czasie zużyliśmy tyle świec.

Thomas dotrzymał słowa i przyjechał wozem, do którego zapakował cały dobytek (a w każdym razie wszystko to, co udało się zmieścić) nowo poślubionej Sarah Bush Lincoln i jej trójki dzieci: trzynastoletniej Elizabeth, dziesięcioletniej Matyldy oraz dziewięcioletka Johna. Dla Abe'a i jego siostry widok furi wyładowanej meblami, zegarami i zastawą stołową był niczym natknięcie się na skarb maharadży. Podobny wstrząs musiała przeżyć nowa pani Lincoln, gdy ujrzała te bose, brudne dzieci Dzikiego Zachodu. Jeszcze tego samego wieczoru Abe i Sarah zostali rozebrani i porządnie wyszorowani.

Jednemu nie dało się zaprzeczyć – Sarah Bush Lincoln była prostą kobietą. Miała zapadnięte oczy i wąską twarz, co nadawało jej wygląd osoby wiecznie wygłodzonej. Szorstkie brązowe włosy zawsze ściągała mocno w kok, przez co jej wysokie czoło wydawało się jeszcze wyższe niż w rzeczywistości. Była chuda, miała iksowate nogi i brakowało jej dwóch dolnych zębów z przodu. Ale wdowiec

o ograniczonych możliwościach i z wąłym dorobkiem nie mógł być wybredny. To samo dotyczyło zresztą kobiety z trójką dzieci i niespłaconymi długami. Oto był związek zrodzony ze starego dobrego „psiego wężu”.

Abe nie miał trudności ze znalezieniem w sobie nienawiści do macochy. Od momentu gdy Thomas ogłosił zamiar wzięcia jej za żonę, chłopiec snuł plany podkopania jej pozycji. Wyobrażał sobie wady, które mógłby wykorzystywać przeciwko niej.

Nie była mi zatem na rękę jej serdeczność, okazywane mi wsparcie i nieskończona wrażliwość. Wrażliwość zwłaszcza na fakt, że ja i moja siostra zawsze zachowamy w naszych sercach specjalne miejsce dla ukochanej matki.

Podobnie jak Nancy, nowa pani Lincoln poznała się na miłości Abe'a do książek i postanowiła ją pielęgnować. Pośród rzeczy, które przywiozła ze sobą z Kentucky, znalazł się słownik ortograficzny Webstera. Dla chłopaka nieznającego szkoły okazał się on prawdziwą atrakcją. Sarah (która, jak jej nowy mąż, była analfabetką) często prosiła Abe'a, by po kolacji czytał Biblię. Uwielbiał zachwycać rodzinę fragmentami z Listu do Koryntian i Księgi Królów, mądrością Salomona i lekkomyślnością Nabala. Wiara Abe'a umocniła się po śmierci jego matki. Lubił sobie wyobrazać, jak patrzy na niego z góry, gładząc swoimi anielskimi palcami kasztanowe włosy syna, podczas gdy on czyta. Chroni go i pociesza.



RYS. 12-B. – MŁODY ABE STOI NAD GROBEM MATKI. RYCINA Z POCZĄTKU XX W., ZATYTUŁOWANA „PRZYSIĘGA ZEMSTY”.

Abe polubił też swoje przyszywane rodzeństwo, a zwłaszcza Johna, którego nazywał Generałem, bo John uwielbiał bawić się w wojnę.

John nie potrafił stać beczynnie, prawie codziennie organizował jakąś wyimaginowaną bitwę i zgarniał okolicznych chłopców, by pomogli mu walczyć. Zawsze nalegał, bym odłożył książki i przyłączył się do zabawy. Gdy odmawiałem, nie dawał mi spokoju, obiecywał, że mianuje mnie kapitanem lub pułkownikiem i że wykona za mnie wszystkie moje prace w gospodarstwie. Męczył mnie tak długo, aż nie pozostawało mi nic innego, jak zrezygnować z przyjemnej lektury w cieniu drzewa i rzucić się w wir walki. W tamtym czasie uważałem go za głupka, lecz dzisiaj widzę,

jak wielka cechowała go mądrość. Chłopcy potrzebują bowiem czegoś więcej niż tylko książek, by być chłopcami.

Na jedenaste urodziny Sarah wręczyła Abe'owi niewielki oprawiony w skórę pamiętnik (wbrew woli Thomasa). Kupiła go za pieniądze zarobione podczas sprząwania i naprawiania ubrań pana Gregsona, starszego sąsiada, którego żona odeszła wiele lat wcześniej. Na dalekim zachodzie trudno było nawet o książki, a pamiętniki stanowiły absolutny luksus, zwłaszcza dla chłopców z biednych rodzin. Można sobie tylko wyobrazić radość, jaką Abe musiał czuć, gdy dostał taki prezent. Nie tracił czasu i jeszcze tego samego dnia dokonał niewprawnym charakterem pisma pierwszego wpisu.

Oto dziennik Abrahama Lincolna.

9 lutego 1820

Dostałem tę książkę w prezencie na jedenaste urodziny od ojca i macochy, która nazywa się Sarah Bush Lincoln. Zamierzam [sic] używać go codziennie, by doskonalić pismo.

Abraham Lincoln

II

Pewnego wiosennego wieczoru, niedługo po starannym zapisaniu tych pierwszych słów, ojciec wezwał Abe'a, by usiadł z nim przy ognisku. Thomas był pijany. Chłopak wiedział to, jeszcze zanim usiadł na pieńku, by ogrzać się przy płomieniach. Ojciec rozpałał ognisko tylko wtedy, gdy miał ochotę mocno się wstawić.

– Czy ja ci kiedyś mówiłem o twoim dziadku?

Była to jedna z tych historii, które najbardziej lubił opowiadać po pijanemu: o tym, że kiedy był małym chłopcem, widział na własne oczy, jak brutalnie mordowano jego ojca. Wydarzenie to zostawiło w jego psychice głęboką ranę, ale wygoda freudowskiej leżanki nie była znana jeszcze przez dobrych kilkadziesiąt lat, więc Thomas robił ze swoimi smutkami to, co każdy szanujący się, emocjonalnie upośledzony pionier z Dzikiego Zachodu: upijał się w sztok i rozdrapywał stare rany. Jakimś pocieszeniem dla Abe'a było to, że jego ojciec miał wyjątkowy dar opowiadania. Thomas potrafił ożywić najmniejszy szczegół. Naśladował gwary, odgrywał scenki, zmieniał tembr głosu i rytm opowiadania. Miał we krwi występy sceniczne.

Niestety ten konkretny występ Abe widział już wiele razy. Potrafił wyrecytować opowieść z pamięci, słowo w słowo. Jego dziadek (też Abraham) orał pole za swoim domem w Kentucky. Ośmioletni Thomas i jego bracia obserwowali, jak pracuje w upale majowego popołudnia, przewracając skiby. Przeraziły ich wojenne okrzyki oddziału Szaunisów, który wyskoczył z ukrycia i rozpoczął atak. Thomas skrył się za drzewem i patrzył, jak kamiennym młotkiem rozwalają głowę jego ojcu. Tomahawkami poderżnęli mu gardło. Abe był w stanie to wszystko opisać, łącznie z reakcją swojej babci, gdy mały Thomas relacjonował jej potem całe zdarzenie.

Tyle tylko, że teraz ojciec opowiedział mu inną wersję.

Historia zaczęła się tak jak zawsze, czyli od fali upałów w maju 1786 roku. Thomas miał osiem lat. Wraz z dwoma starszymi braćmi, Josiahem i Mordecaiem, udali się z ojcem na liczącą cztery akry polanę w lesie, niedaleko od wiejskiego domu, który kilka lat wcześniej pomogli mu zbudować. Obserwował ojca, który prowadził niewielki pług za Benem, starzejącym się koniem pociągowym, który

pracował w ich gospodarstwie jeszcze przed wojną. Pałace słońce zaszło wreszcie za horyzont, wypełniając dolinę rzeki Ohio delikatnym, niebieskawym światłem, choć powietrze nadal było „gorętsze niż palony drewnem piec w samym piekle” i skrajnie wilgotne. Abraham senior pracował bez koszuli, by lekki wiatr chłodził jego długi, muskularny tors. Mały Thomas siedział na grzbiecie Bena, trzymając lejce, podczas gdy jego bracia szli za pługiem i rozsypywali ziarna. Wszyscy wyczekiwali odgłosu dzwonka obwieszczającego kolację.

Do tego momentu Abe znał każde słowo. Potem nastąpił fragment, w którym całą czwórkę wystraszyły okrzyki bojowe Szaunisów. Ten, w którym stary koń stanął dęba i zrzucił Thomasa na ziemię. W którym chłopak pobiegł do lasu i stamtąd patrzył, jak Indianie zarzynają jego ojca. Ale Szaunisi się nie zjawili. Nie tym razem. To była nowa opowieść, którą ponad dwadzieścia lat później Abe sparafrazował w liście do Joshuy Speeda.

„Prawda jest taka”, powiedział mi ojciec półszepem, „że twojego dziadka nie zabili ludzie”.

Półnagi Abraham pracował przy skraju polany, tuż obok linii drzew, gdy nagle z lasu, z odległości nie większej niż dwadzieścia metrów, dobiegł go „głośny szelest i trzask łamanych gałęzi”.

„Tata kazał mi ściągnąć lejce i nadstawił uszu. To pewnie nic, tylko kilka jeleni, ale zdarzało się, że widzieliśmy tam czarne niedźwiedzie”.

Słyszeli też opowieści. Doniesienia o oddziałach wojennych Szaunisów, którzy czyhali na niczego niepodrzejwajających osadników. Zabijali białe kobiety i dzieci bez mrugnięcia okiem. Palili domy. Skalpowali mężczyzn żywcem. Były to wciąż sporne ziemie. Wszędzie krążyli Indianie. Nie istniało coś takiego, jak nadmiar ostrożności.

„Tym razem szelest dobiegł z innej części lasu. Cokolwiek go wywoływało, nie było jeleniem i z pewnością nie szło w pojedynkę. Tata przeklął się pod nosem, że nie wziął sztucera, i zaczął wyprzęgać Bena. Nie zamierzał pozwolić jakimś bandytom, by uprowadzili mu konia. Posłał swoich braci do domu – Mordecaia po broń, a Josiaha, by wezwał pomoc na Stacji Station³.”

Po chwili szelest zabrzmiał jakoś inaczej. Wierzchołki drzew zaczęły się pochylać, jakby coś skakało z jednego na drugi.

„Ojciec zaczął szybciej odpinać uprzęż. »Szaunisi«, wyszeptał.

Na dźwięk tego słowa serce prawie wybiło mi dziurę w piersi. Śledziłem wzrokiem ruch drzew, czekając, aż z lasu wybiegnie banda dzikusów, wrzeszcząc i wymachując tomahawkami. Już prawie widziałem ich czerwone twarze wpatrzone we mnie. Czuję ciągnięcie za włosy i odcinanie skóry z głowy”.

Abraham wciąż mocował się z uprzężą, gdy Thomas ujrzał, że coś

białego zeskakuje z drzewa na ziemię, „z jakichś piętnastu metrów”. Coś o rozmiarach i kształcie człowieka.

„To był duch. Tak leciał nad ziemią. Tak jego białe ciało falowało, sunąc przez powietrze. Duch Szaunisa przybył, by zabrać nam dusze za zajęcie jego ziemi”.

Thomas patrzył, jak to coś leciało w ich stronę, zbyt przerażony, by krzyknąć i ostrzec ojca, że obcy nadciąga. Że jest tuż nad jego głową. Teraz.

„Zobaczyłem biały błysk i usłyszałem jęk, który obudziłby trupa leżącego kilometr dalej. Stary Ben się spłoszył, zrzucił mnie na ziemię i pobiegł dzikim pędem, ciągnąc za sobą pług, który podskakiwał zaczepiony jednym rzemieniem. Spojrzałem na miejsce, gdzie przed chwilą stał mój ojciec. Nie było go tam”.

Thomas z trudem podniósł się na nogi, z obtłuczoną głową i (choć z tego zdał sobie sprawę dopiero kilka godzin później) ze złamanym nadgarstkiem. Duch był pięć, sześć metrów dalej, plecami do niego. Stał nad jego ojcem, cierpliwy i spokojny. Wpatrywał się w niego niczym w bóstwo, pławiąc w bezsilności swojej ofiary.

„To nie był żaden duch, ale Szaunis też nie. Nawet patrząc z tyłu, wiedziałem, że ten obcy mógł być najwyżej chłopcem, wzrostem przypominał bowiem moich braci. Miał na sobie koszulę, która wyglądała, jakby uszyto ją na kogoś dwa razy

większego. Była biała jak kość słoniowa. Włożona luźno w szare spodnie w paski. Skórę miał niemal w tym samym odcieniu, a na karku widać było kratkowany wzór z cienkich, niebieskich kresek. Stał tak w kompletnym bezruchu, niczym pomnik”.

Abraham senior miał zaledwie czterdzieści dwa lata. Dobre geny dały mu wysoki wzrost i szerokie barki. Uczciwa praca zapewniła szczupłą i muskularną budowę ciała. Nigdy w życiu nie przegrał bójki i nie zamierzał tego zmieniać. Podniósł się z ziemi („powoli, jakby miał połamane żebra”), wyprostował i zacisnął pięści. Miał obrażenia, ale te mogły poczekać. Najpierw musiał się zająć tym gów...

„Tacie opadła szczeka, gdy zobaczył twarz chłopca. Cokolwiek w niej dostrzegł, piekielnie go to przeraziło”.

– Co u licha...?

Chłopiec zamachnął się na głowę Abrahama. *Nie trafiło mnie.* Abraham zrobił krok wstecz i uniósł pięści, ale nie wyprowadził ciosu. *Nie trafiło.* Poczłł szczypanie z lewej strony twarzy. *Czyżby jednak trafiło?* Swędzenie pod okiem. Przyłożył do policzka koniuszek palca wskazującego... *Ledwie mnie dotknęło.* Krew popłynęła fontanną z rany, cienkiej jak ostrze brzytwy, przesuwającej się od ucha do ust.

Jednak trafiło.

To ostatnie sekundy mojego życia.

Abraham poczuł, że głowa leci mu do tyłu, poczuł roztrzaskany oczodół. *Wszędzie światło.* Z nosa popłynęła mu krew. Kolejny cios. I jeszcze jeden. Gdzieś w oddali krzyknął jego syn. *Dlaczego nie*

*ucieka? Złamana szczęka. Wybite zęby. Pięści i krzyki coraz dalej.
Teraz zasnę i już nigdy się nie obudzę.*

Obcy chwycił Abrahama za włosy i okładał go, aż jego czoło wreszcie „wgniotło się niczym skorupka jajka”.

„Obcy ujął tatę za szyję i uniósł go w powietrze. Znowu krzyknąłem, będąc pewny, że zamierza go udusić. Tymczasem on wbił te swoje długie pazury, te sztylety, w gardło ojca i z głuchym trzaskiem rozerwał mu szyję. Przyłożył usta do otworu i zaczął żłopać jak pijak z butelki whisky. Gdy krew przestawała wypływać dostatecznie szybko, obejmował klatkę piersiową taty i mocno ścisnął, aż wyssał z serca ostatnią kroplę, po czym rzucił ojca na ziemię i się odwrócił. Popatrzył na mnie martwym wzrokiem. Wtedy zrozumiałem. Wiedziałem już, dlaczego ojciec tak się bał. Obcy miał oczy czarne jak węgiel, zęby długie niczym wilcze kły. Białą twarz demona, niech mnie piorun strzeli, jeśli zmyślam. Serce waliło mi jak oszalałe. Oddech mnie opuścił. To coś stało tak z twarzą pokrytą krwią mojego ojca, a po chwili... przysięgam: przyłożyło dłonie do piersi i zaśpiewało”.

Miało przepelniony szczerością, wprost doskonały głos młodego mężczyzny. Śpiewało z charakterystycznym angielskim akcentem.

Gdy z piersi płynie jęk,
A serce żal rozkrwawia
Muzyki srebrny dźwięk
Natychmiast ulgę sprawia⁴

Fakt, iż tak piękny głos dobył się z czegoś tak odrażającego, że na tej białej twarzy pojawił się tak ciepły uśmiech, był ponurym żartem. Kiedy skończył śpiewać, demon nisko się uklonił i pobiegł do lasu.

– Biegł tak długo, aż zniknął mi z oczu.

Ośmioletni Thomas ukląkł nad połamanymi, pustymi zwłokami ojca. Całym ciałem chłopca wstrząsały konwulsje.

„Wiedziałem, że będę musiał kłamać, że nikomu nie będę mógł powiedzieć, co widziałem, bo wezmą mnie za głupka, kłamcę albo coś jeszcze gorszego. Zresztą cóż tak naprawdę widziałem? Równie dobrze mogło mi się to przywidzieć. Gdy Mordecai przybiegł z flintą, gdy zażądał wyjaśnień, rozplakałem się i powiedziałem jedynie to, co mogłem. To, w co mógł uwierzyć: że naszego ojca zabił bojowy oddział Szaunisów. Nie mogłem powiedzieć mu prawdy. Nie mogłem powiedzieć, że zabójcą był wampir”.

Abe’owi odjęło mowę. Siedział naprzeciwko pijanego ojca w milczeniu, które przerywało trzaskanie ognia.

Słyszałem setki jego opowieści. Niektóre pozbierane z życia innych, niektóre autobiograficzne. Ale nigdy, przenigdy nie słyszałem, by jakkolwiek zmyślił, nawet w stanie upojenia. Zresztą nie sądziłem, by był do tego zdolny. Nie przychodził mi też do głowy żaden powód, dla którego miałby wyssać z palca taką historię. Zostawała więc tylko jedna, niepokojąca możliwość.

– Pewnie myślisz, że zwariowałem – powiedział Thomas.

Właśnie tak myślałem, ale nie dałem mu odpowiedzi. Nauczyłem się już wcześniej, by w podobnych sytuacjach trzymać język za zębami, gdyż inaczej ryzykowałem, iż jakaś niewinna uwaga zostanie błędnie zinterpretowana. Postanowiłem siedzieć cicho, dopóki ojciec nie pośle mnie do łóżka albo sam nie zaśnie.

– No cóż, nie zdziwiłbym się.

Wziął łyk swojego zeszlotygodniowego utargu⁵ i spojrzał na mnie z serdecznością, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem w jego oczach. Na chwilę odsunął wszystko na bok i patrzył na nas dwóch nie jak na ludzi, którymi byliśmy, ale jak na tych, którymi mogliśmy być w jakimś lepszym życiu. Ojciec i syn. Do jego oczu napłynęły łzy, co jednocześnie mnie zadziwiło i wystraszyło. Czułem, że błaga, bym mu uwierzył, lecz nie mogłem dać wiary w coś tak niedorzecznego. Upił się i opowiedział historię. I tyle.

– Mówię ci o tym, bo powinieneś wiedzieć. Bo... zasługujesz, by znać prawdę. Mówię ci, że widziałem w życiu dwa wampiry. Pierwszy był na tamtej polanie. Drugi...

Thomas uciekł wzrokiem, znów starał się powstrzymać łzy.

– Drugi nazywał się Jack Barts i widziałem go tuż przed śmiercią twojej matki...

Latem 1817 roku ojciec popełnił grzech zazdrości. Dość miał patrzenia, jak jego sąsiedzi czerpią zyski z uprawy pszenicy i kukurydzy. Dość miał harówki przy budowie stodoł, którą oni wykorzystywali, by się bogacić, oraz tego, że nie miał najmniejszych udziałów w ich zyskach. Pierwszy raz w życiu poczuł coś w rodzaju ambicji. Brakowało mu jednak kapitału.

Jack Barts był przysadzystym, jednorękim mężczyzną z upodobaniem do kosztownych ubrań, właścicielem dobrze prosperującego przedsiębiorstwa pocztowego w Louisville. Jako jeden z niewielu mieszkańców Kentucky zajmował się też udzielaniem prywatnych pożyczek. W młodości Thomas wykonał dla niego kilka prac – ładował i rozładowywał barki na rzece Ohio za dwadzieścia centów dziennie. Barts zawsze traktował go z sympatią i płacił bez zwłoki, a gdy się rozstawali, uścisnął mu dłoń i polecił się na przyszłość. Ponad dwadzieścia lat później, wiosną 1818 roku, Thomas Lincoln skorzystał z propozycji. Z kapeluszem w ręku i spuszczoną głową usiadł w biurze Jacka Bartsa i poprosił o pożyczkę w wysokości siedemdziesięciu pięciu dolarów, właśnie tyle potrzebował bowiem na zakup pługu, konia, nasion oraz „całej reszty potrzebnej do uprawy pszenicy, z wyjątkiem słońca i deszczu”.

Barts, który wyglądał „jak zawsze krzepko w swoim fioletowym płaszczu z jednym rękawem”, zgodził się bez namysłu i postawił proste warunki: Thomas miał zwrócić dziewięćdziesiąt dolarów (pożyczoną kwotę plus dwadzieścia procent odsetek) nie później niż 1 września. Wszelkie zyski, jakie by wypracował, mógł zatrzymać dla

siebie. Dwadzieścia procent to ponaddwukrotnie więcej, niż policzyłyby sobie dowolny szanujący się bank, ale ponieważ Thomas nie miał praktycznie nic na własność (bo działkę w Little Pigeon Creek po prostu sobie zajął), nie dysponował żadnym zastawem, więc Barts był jego jedyną nadzieją na zdobycie gotówki.

Ojciec przyjął warunki i poszedł ścinać drzewa, wrywać pnie, orać darń i siać ziarna. Była to wyczerpująca praca. Obsiał ręcznie siedem akrów pszenicy. Gdyby zebrał trzydzieści buszli z akra (a było to rozsądne założenie), wystarczyłoby mu na spłatę długu i utrzymanie nas przez zimę. W następnym roku zasiałby więcej, a rok później zatrudniłby pomocnika. Po pięciu latach mógł mieć największą farmę w hrabstwie, a za dziesięć największą w stanie. Po zasianiu ostatniego ziarna ojciec udał się na spoczynek i czekał, aż jego przyszłość wybije spod ziemi.

Ale lato 1818 roku okazało się najgorętsze i najsuchsze, jak daleko sięgano pamięcią. Gdy nadszedł lipiec, w całej Indianie nie było czego zbierać.

Thomas był zrujnowany.

Nie miał wyboru: musiał sprzedać pług i konia za niewielkie pieniądze. Podczas nieurodzaju nie były wiele warte. Wstydził się rozmowy w cztery oczy, dlatego wysłał Bartsowi dwadzieścia osiem dolarów oraz list (podyktował go Nancy), datowany na 1 września, w którym obiecywał rychły zwrot reszty pieniędzy. Tylko na tyle było go stać, ale Bartsowi to nie wystarczyło.

Dwa tygodnie później Thomas Lincoln zmuszony był prosić

o pobłażliwość gorączkowym szeptem, co w zimową noc widział z oddali jego syn. Kilka minut wcześniej Thomas został obudzony ze snu. Obudzony czymś ocierającym się o jego policzek. Rękawem granatowego jedwabnego płaszcza. Garścią banknotów, dwudziestoma ośmioma dolarami. Stojącą nad łóżkiem sylwetką Jacka Bartsa.

Barts nie przybył do domu Thomasa, żeby się z nim spierać, ale by go ostrzec. Zawsze miał do niego słabość. Dlatego dał mu dodatkowe trzy dni na zdobycie reszty pieniędzy. Bo chodziło wyłącznie o interes. Gdyby rozeszła się wieść, że Jack Barts lituje się nad dłużnikami, wkrótce inni przestaliby płacić na czas. I jak by na tym wyszedł? Nie, nie. To nie była sprawa osobista. Chodziło wyłącznie o wypłacalność.

Stali przy latrynie, by nikogo nie obudzić. Barts zapytał jeszcze raz:

– Zdobędziesz te pieniądze w trzy dni?

Thomas ponownie zwiesił głowę.

– Nie.

Barts się uśmiechnął i odwrócił wzrok.

– W takim razie...

Spojrzał ponownie na Thomasa, ale po jego twarzy nie zostało ni śladu, jej miejsce zajęło oblicze demona. Okno na piekło. Czarne oczy i biała skóra, a do tego „zęby długie i ostre jak u wilka, niech mnie piorun strzeli, jeśli kłamię”.

– Odbiorę je sobie w inny sposób.

Abe gapił się na ojca przez ognisko.

Strach. Strach wypełnił mi żołądek. Związał mi ręce i nogi. Zemdliło mnie. Nie miałem ochoty dłużej tego słuchać. Ani dzisiaj, ani nigdy. Ale ojciec nie przerywał, bo zbliżał się do końca. Do końca, którego już się domyśliłem, lecz nie śmiałem w niego uwierzyć.

- To wampir odebrał mi mojego ojca.
 - Przestań.
 - Wampir zabrał Sparr...
 - Dosyć!
 - I wampir zabrał twoją...
 - Idź do diabła!
- Thomas zapłakał.

Sam jego widok wywołał we mnie nieznane wcześniej pokłady nienawiści. Nienawiści do ojca. Do całego świata. Ojciec wydał mi się obrzydliwy. Pobiegłem w ciemną noc ze strachu przed tym, co mógłbym powiedzieć, co mógłbym zrobić, gdybym choćby jeszcze chwilę tam został. Gniew trzymał mnie z dala od domu przez trzy dni i trzy noce. Spałem w stodołach i latrynach sąsiadów. Kradłem jajka i kolby kukurydzy. Włóczyłem się, aż nogi zaczynały mi drżeć z wyczerpania. Płakałem na myśl o matce. Została mi odebrana. Przez ojca i Jacka Bartsa. Nienawidziłem siebie za to, że byłem zbyt mały, by stanąć w jej obronie. Nienawidziłem ojca za to, że powiedział mi tak nieprawdopodobne, potworne rzeczy. A mimo to wiedziałem, że mówił prawdę. Nie potrafię wytłumaczyć, skąd czerpałem

tę pewność, ale była faktem. Sposób, w jaki ojciec zawsze nas uciszał, gdy zaczynaliśmy opowiadać o wampirach. Krzyki, które po nocach przynosił wiatr. Gorączkowy szept matki o tym, że „spojrzała diabłu w oczy”. Ojciec był pijakiem. Nieudolnym, wyzutym z miłości pijakiem, lecz na pewno nie kłamcą. W tamtych trzech dniach gniewu i żalu poddałem się szaleństwu i zmuszony byłem coś przed samym sobą przyznać: wierzyłem w wampiry. Wierzyłem w nie i, co do jednego, ich nienawidziłem.

Gdy Abe w końcu wrócił do domu (do przerażonej macochy i milczącego ojca), nie odezwał się ani słowem. Poszedł prosto do swojego dziennika i zapisał w nim jedno zdanie. Zdanie, które miało odmienić bieg jego życia i zaprowadzić rodzący się naród na skraj zapaści.

Niniejszym ślubuję, że zabiję wszystkie wampiry w Ameryce.

III

Sarah liczyła na to, że Abe poczyta im po kolacji. Robiło się późno, ale w kominku płonął mocny ogień i zostało jeszcze dość czasu na kilka stron przygód Jonasza lub opowieści o wielokolorowym płaszczu Józefa. Uwielbiała sposób, w jaki Abe czytał. Tyle życia, tyle wyrazu i jakaż jasność. Miał w sobie mądrość znacznie przekraczającą jego wiek. Maniery i słodycz rzadko spotykaną u dziecka. Jak powiedziała Williamowi Herndonowi po zamachu na jej pasierba, Abe

„był najlepszym chłopcem, jakiego kiedykolwiek znałam i jakiego kiedykolwiek poznam”.

Jednak nigdzie nie mogła znaleźć swojej Biblii. Czyżby pożyczyła ją sąsiadom i zapomniała odebrać? Czyżby zostawiła ją u Gregsona? Szukała wszędzie, ale bez skutku. Nigdy już miała jej nie znaleźć.

Abe ją spalił.

Był to nieprzemyślany akt rozgniewanego chłopca. Później go żałował, choć nie w takim stopniu, by wyznać prawdę Sarah. Po wielu latach próbował się wytłumaczyć:

Jak mogłem czcić Boga, który pozwalał na istnienie [wampirów]? Boga, który pozwolił, by moja matka padła ich ofiarą?⁶ Albo nie był w stanie temu zapobiec, albo należało go traktować jako współwinnego. Tak czy inaczej, nie zasługiwał na moje pochwały. Tak czy inaczej, był moim wrogiem. Tak działa umysł wściekłego jedenastolatka, który widzi świat jako wybór między dwiema nieprzystającymi do siebie rzeczywistościami i wierzy, że wszystko „musi” być takie albo inne. Owszem, wstydzę się tego, co zrobiłem. Lecz nie zamierzam pogłębiać wstydu, udając, że było inaczej.

W obliczu bankructwa ojca jedenastoletni Abe posunął się w swoim postanowieniu o krok dalej i zanotował ten oto niedatowany manifest (około sierpnia 1820 roku):

Odtąd moje życie składać się będzie z pszykładnej [sic] nauki i poświęcenia. Będę uczonym wszystkich dziedzin. Stanę się większym wojownikiem nisz [sic] Aleksander. Przyświecać

mi będzie tylko jeden cel, czyli zabicie^z tak wielu wampirów, jak to tylko możliwe. W tym dzienniku będę pisał o zabijaniu wampirów i oprucz [sic] mnie nikt inny nie będzie go czytał.

Jego zainteresowanie książkami, których czytanie do tej pory było ulubionym zajęciem, przerodziło się w obsesję. Dwa razy w tygodniu szedł ponad godzinę do domu Aarona Stibela, szewca, który chwalił się własną biblioteką liczącą sto pięćdziesiąt tomów, z naręczem książek do oddania, a wracał z kolejną porcją pożyczonych. Ilekroć jego macocha jechała do Elizabethtown, by odwiedzić krewnych, Abe jej towarzyszył, by zamknąć się w stojącym przy Village Street domu Samuela Haycrafta seniora, jednego z założycieli miasta i dumnego właściciela blisko pięciuset książek. Abe czytał o okultyzmie, znajdował wzmianki o wampirach w europejskich przypowieściach ludowych. Sporządził listę rzekomych słabości, znaków rozpoznawczych i zwyczajów wampirów. Sarah nierzadko znajdowała go nad ranem śpiącego przy stole, z głową na otwartej księdze.

Gdy nie doskonalił umysłu, Abe ciężko pracował nad tężyzną fizyczną. Dwukrotnie zwiększył ilość rąbanego codziennie drewna. Stawiał długie, kręte mury z kamienia. Ćwiczył rzucanie toporem w drzewo. Najpierw z dziesięciu metrów. Potem z dwudziestu. Gdy przyszywany brat John zapraszał go do zabawy w wojnę, Abe ochoczo się przyłączał i walczył z nowym zacięciem, w wyniku którego niejeden syn sąsiadów wracał do domu z rozkwaszoną wargą. Dzięki wiedzy zaczerpniętej z książek zastrugał tuzin kołków i uszył na nie specjalny kołczan. Sklecił też mały krucyfiks (choć ogłosił Boga swoim wrogiem, wygląda na to, że Abe gotów był korzystać z Jego pomocy). Powziął zwyczaj noszenia przy sobie niewielkich

woreczków z czosnkiem i ziarnami gorczycy. Ostrzył swój topór, aż ostrze „oślepiało każdego, kto na nie spojrzeł”. Po nocach śnił o śmierci. O wyłapywaniu wrogów i wbijaniu im kołków w serca. O kolekcjonowaniu ich głów. O wspaniałej walce. Wiele lat później, gdy na horyzoncie zbierały się chmury wojny domowej, Abe tak pisał o swojej młodzieńczej żądzy krwi:

Są tylko dwa rodzaje ludzi pragnących wojny: ci, którzy nie mają najmniejszego zamiaru sami w niej walczyć, oraz ci, którzy nie mają najmniejszego pojęcia, czym ona jest. O swojej młodości mogę powiedzieć bez wątpienia, iż należałem do tych drugich. Marzyłem o mojej „wojnie” przeciwko wampirom, nie zdając sobie sprawy z jej konsekwencji. Nic nie wiedząc o tym, jak to jest trzymać w ramionach umierającego przyjaciela, ani o chowaniu dziecka. Człowiek, który widział twarz śmierci, wie, że nie opłaca się za nią rozglądać.

Ale w połowie 1821 roku od tej lekcji życia dzieliły młodego Lincolna całe lata. Chłopak pragnął wojny z wampirami, a po miesiącach nauki i ćwiczeń był gotów wyprowadzić pierwszy cios.

Napisał list.

IV

Jak na dwunastolatka Abe był wyjątkowo wysoki. Dorównywał już wzrostem ojcu, który był uważany za postawnego. Podobnie jak jego pechowemu dziadkowi, dobre geny i lata ciężkiej pracy przydały mu ogromnej krzepy.

Zdarzyło się to w poniedziałek, „jeden z tych letnich dni, jakie znali tylko mieszkańcy Kentucky – słoneczny i soczyście zielony, z wiatrem niosącym ciepło i nasiona mleczy”. Abe i Thomas siedzieli na dachu jednego z niższych budynków gospodarczych i naprawiali dach zniszczony przez zimę. Pracowali w milczeniu. Choć nienawiść Abe’a ostygła, wciąż z trudem przychodziło mu przebywanie z ojcem. Wpis do dziennika, datowany na 2 grudnia 1843 roku (niedługo po narodzinach pierwszego syna Abrahama, Roberta) rzuca nieco światła na naturę owej pogardy:

Dojrzały wiek utemperował mnie pod wieloma względami, ale w tej jednej kwestii pozostałem niewzruszony. Jego słabość! Jego nieudolność! Zawiódł rodzinę, gdy powinien był ją chronić. Myślał wyłącznie o własnych potrzebach, a innych zostawiał na pastwę losu. Gdyby chociaż zebrał nas wszystkich i uciekł w jakieś odległe rejony. Gdyby zwrócił się do sąsiada o poradę w zamian za przyszłe usługi. Ale on nie kiwnął palcem. Siedział tylko beczynn timer i w milczeniu. Karmiąc się w duchu nadzieją na to, że jakimś cudem wszystkie problemy po prostu znikną. Nie trzeba tu żadnego skomplikowanego tłumaczenia ponad proste stwierdzenie: gdyby był innym mężczyzną, moja matka do dziś byłaby ze mną. Tego mu nigdy nie wybaczę.

Thomas zdawał się rozumieć i akceptować potępienie ze strony syna. Od tamtej nocy ani razu nie wypowiedział słowa „wampir”. Nie zmuszał też Abe’a do zwierzeń.

Tak więc w to poniedziałkowe popołudnie Sarah zabrała

dziewczynki, by pomogły jej sprzątać dom Gregsona, a John toczył gdzieś jedną ze swoich wyimaginowanych bitew. Thomas i Abe siedzieli na dachu i pracowali, gdy dostrzegli, że zbliża się w ich stronę koń z dzieckiem na grzbiecie. Było to pulchne dziecko w zielonym płaszczu albo bardzo niski mężczyzna. Bardzo niski mężczyzna w ciemnych okularach i... z jedną ręką.

Był to Jack Barts.

Thomas odłożył młotek. Na myśl o tym, czego przybysz może zażądać, poczuł, że serce za chwilę wyskoczy mu z piersi. Gdy zszedł na ziemię i zaczął podążać w stronę nieoczekiwanego gościa, Abe był już w połowie drogi do chaty. Barts podał Thomasowi wodze i z pewną trudnością zeskoczył z siodła, przytrzymując się łąku i szukając stopami kontaktu z ziemią. Gdy już mu się to udało, wyjął wachlarz z kieszeni płaszcza i zaczął chłodzić sobie twarz. Thomas nie mógł nie zauważyć, że nie było na niej ani jednej kropli potu.

– Doprawdy nieznośny, okropny upał.

– Panie Barts, czemu...

– Muszę przyznać, że pański list mnie zaskoczył, panie Lincoln. Pozytywnie, rzecz jasna. Nie spodziewałem się go jednak.

– Mój list? Panie Ba...

– Gdyby wysłał go pan wcześniej, być może dałoby się uniknąć nieprzyjemności, która między nami wyniknęła. Okropna, okropna sprawa...

Thomas był zbyt zszokowany, by zauważyć Abe'a, który podążał w ich stronę, niosąc długi drewniany przedmiot.

– Wybacz mi pan mój pośpiech – wyjaśniał Barts – ale nie mogę długo zostać. Mam sprawę w Louisville, którą muszę się zająć jeszcze dziś wieczorem.

Thomas nie wiedział, co powiedzieć. Absolutnie nic nie przychodziło mu do głowy.

– No więc jak, panie Lincoln? Ma je pan?

Abe wreszcie podszedł do nich, trzymając w rękach długą, ręcznie rzeźbioną skrzynię z pokrywą na zawiasach. Małą trumnę na niewielkie zwłoki. Stał obok ojca, twarzą do Bartsa. Górował nad nim i patrzył mu prosto w oczy.

– Dziwne – odezwał się. – Nie spodziewałem się pana za dnia.

Teraz to Barts był zbity z tropu.

– Co to za dziecko?

– Mój syn – odparł Thomas z przerażeniem w głosie.

– Tutaj – odezwał się Abe i uniósł skrzynię w górę. – Wszystko, sto dolarów co do centa, jak w liście.

Thomas był pewien, że się przesłyszał. To musiał być sen. Barts spojrzał podejrzliwie na Abe'a. Był zdumiony. W końcu szeroko się uśmiechnął.

– Mój Boże! – zakrzyknął. – Przez chwilę myślałem, żeśmy wszyscy powariowali!

Barts zaczął się śmiać. Abe uchylił wieka skrzyni. Tyle, by wsunąć do niej rękę.

– Dobry chłopak – powiedział Barts, zanosząc się serdecznym śmiechem. – Zobaczmy tę gotówkę.

Podniósł dłoń i przebiegł grubymi palcami przez moje włosy. Momentalnie przypomniało mi się, że to samo robiła matka, gdy czytała mi do snu. W tej chwili myślałem tylko o jej słodkim obliczu. Spojrzałem na tego człowieka, na tę kreaturę. Odwzajemniłem jego śmiech, a mój ojciec stał

bezradnie. Czułem ogień w piersi i drewniany kołek w dłoni. Mogłem zrobić, co chciałem. Byłem bogiem.

To ostatnie sekundy twojego życia.

Nie pamiętam już momentu wbijania kołka. Pamiętam tylko, że to zrobiłem. Przestał się śmiać i zrobił nieporadny krok w przód. Jego oczy poczerniały, jakby w źrenicach pękły nagle woreczki z atramentem. Jak rozlewająca się ciecz przyciśnięta szkłem. Wypuścił kły i wtedy też zobaczyłem pod jego skórą bladoniebieską siatkę. Więc to jednak prawda. Aż do tej chwili miałem cień wątpliwości, teraz widziałem to na własne oczy. Teraz wiedziałem na pewno.

Wampiry rzeczywiście istniały.

Barts uniósł dłoń i instynktownie chwycił za kołek. Na razie w jego oczach nie było jeszcze strachu, tylko zdziwienie, jakby próbował zrozumieć, jak to się stało, że taki dziwny przedmiot znalazł się w jego ciele. Stracił równowagę i osunął się do pozycji siedzącej. Został tak przez chwilę, aż w końcu położył się na plecach. Puścił kołek i jego ramię opadło wzdłuż tułowia.

Chodziłem wokół niego, zastanawiając się, kiedy zaatakuje, kiedy wyśmieje daremność moich działań i zwali mnie z nóg. Gdy tak go okrążałem, wodził za mną oczyma, które były teraz jedyną ruchomą częścią jego ciała. I wзираł z nich strach. Barts umierał i się bał. Stał się już całkiem blady, a gęsta, ciemna krew popłynęła z jego nozdrzy i kącików ust. Kilka pierwszych kropel szybko zamieniło się w strumień, zalało

policzki i zbierało się wokół oczu. Nigdy nie sądziłem, że możliwy jest aż tak obfity krwotok. Widziałem jego duszę (o ile w ogóle miał coś takiego), jak powoli go opuszcza, niespodziewanie i w lęku żegnając to długie, długie życie, życie niewątpliwie przepelnione szczęściem, cierpieniem, walką i powodzeniem. Naznaczone chwilami zbyt pięknymi, by się nimi dzielić. Zbyt bolesnymi, by je wspominać. Wszystko to się teraz kończyło, a on się bał, bo nie wiedział, jaka nicość go czeka. Lub, co gorsza, jaka kara.

I w końcu odszedł. Spodziewałem się, że do oczu napłyną mi łzy, że poczuję skruchę na widok tego, co zrobiłem. Przyznaję jednak, że nie czułem niczego. Żałowałem tylko, że bardziej nie cierpiał.

Thomas stał przerażony.

– Coś ty zrobił? – powiedział po chwili przerażającego milczenia. – Zabiłeś nas.

– Wręcz przeciwnie. Zabiłem jego.

– Przyjdą kolejni.

Abe szedł już w swoją stronę.

– W takim razie przyda mi się więcej kołków.

TRZY Henry

To wieczna walka między tymi dwiema zasadami – dobrem i złem – toczona na całym świecie. To dwie zasady, które stoją twarzą w twarz od zarania dziejów i po wsze czasy będą w opozycji.

Abraham Lincoln, w debacie ze Stephenem A. Douglasem, 15
października 1858

I

W lecie 1825 roku południowo-wschodnie tereny Indiany opanował strach. Troje dzieci zaginęło w ciągu sześciu tygodni, począwszy od kwietnia. Pierwsze z nich, siedmioletni Samuel Greene, przepadło bez śladu podczas zabawy w lesie nieopodal rodzinnej farmy w pobliżu Madison, energicznie rozwijającego się miasteczka nad brzegiem Ohio. Ekipy poszukiwawcze ruszyły w teren. Osuszano nawet stawy, ale chłopca nie odnaleziono. Niecałe dwa tygodnie później, zanim mieszkańcy Madison porzucili nadzieję na znalezienie Samuela żywego, sześciolatnia Gertrude Wilcox zniknęła ze swojego łóżka w środku nocy. Niepokój przerodził się w panikę. Rodzice nie wypuszczali dzieci z domów. Sąsiedzi obrzucali się wzajemnie oskarżeniami. Kolejne trzy tygodnie minęły spokojnie. I wtedy,

20 maja, porwane zostało trzecie dziecko. Nie z Madison, ale z Jeffersonville, miasteczka położonego trzydzieści kilometrów w dół rzeki. Tym razem na zwłoki natrafiono szybko, w ciągu kilku dni znaleziono też ciała dwojga wcześniej zaginionych dzieci. Makabrycznego odkrycia dokonał myśliwy, którego psy zaprowadziły do płytkiego porośniętego drzewami rowu, gdzie leżały trzy poskręcane ciała, pośpiesznie przykryte chrustem. Wszystkie w stanie nienaturalnego rozkładu – niemal kompletnie straciły kolor. Twarze zastygły w wyrazie przerażenia.

Abe Lincoln miał wtedy szesnaście lat i jego misja „zabicia wszystkich wampirów w Ameryce” wciąż czekała na realizację. Lęki jego ojca okazały się bezpodstawne. Żaden wampir się nie zjawił, by pomścić Jacka Bartsa. Przez następne cztery lata Abe nie zobaczył nawet jednego wampira, choć nie można powiedzieć, że się nie starał. Niejedną noc spędził, podążając za odległymi krzykami, które niósł wiatr, i trzymając wartę nad świeżym grobem na wypadek, gdyby, jak podpowiadały przekazy ludowe, pojawił się przy nim wampir, by pożywić się zwłokami. Ale ponieważ miał do dyspozycji jedynie stare książki i dawne przypowieści oraz nieskorego do pomocy ojca, Abe przeżył tamten okres w stanie niesłabnącej frustracji. Nie pozostawało mu nic oprócz dalszego treningu. Osiągnął już wówczas swój ostateczny wzrost – metr dziewięćdziesiąt dwa – a ciało miał smukłe i umięśnione. Potrafił pokonać w zapasach i biegu większość mężczyzn dwa razy starszych od siebie. Potrafił wbić w drzewo ostrze topora, rzutem z odległości ponad trzydziestu metrów. Ciągnął pług równie szybko jak koń i bez trudu unosił nad głowę stukilowe kłody.

Jednego nie umiał: szyć. Po kilku tygodniach prób wyszykowania sobie długiego „płaszczka myśliwskiego”, który rozpadł się na kawałki

po kilkukrotnym noszeniu, Abe się poddał i zapłacił krawcowej (nie zwrócił się do macochy, nie chciał bowiem odpowiadać na nieuchronne pytanie, po co mu taki strój). Długi, czarny płaszcz podszyty był grubym materiałem na wysokości brzucha i klatki piersiowej, a wewnątrz kryły się liczne kieszenie, w których Abe zamierzał nosić najróżniejsze noże, główki czosnku i flaszkę wody, którą sam poświęcił. Kołczan z kołkami nosił na plecach, a na szyi gruby, skórzany kołnierz, który zamówił u garbarza w Elizabethtown.

Gdy wieść o poskręcanych ciałach dotarła do Little Pigeon Creek, Abe bez namysłu wyruszył nad rzekę.

Powiedziałem ojcu, że dostałem pracę na barce płynącej do Nowego Orleanu i że za sześć tygodni wrócę z dwudziestoma dolarami wynagrodzenia. Zrobiłem to, mimo iż nikt nie dał mi takiej pracy, a ja nie miałem pojęcia, skąd wziąć pieniądze. Nie przyszedł mi jednak do głowy żaden inny powód, który skłoniłby ojca, by pozwolił mi na tak długą nieobecność.

Wbrew powszechnemu mniemaniu na temat jego uczciwości, Abe dopuszczał możliwość kłamania, jeśli służyło szlachetnym celom. Oto stanął przed szansą, o której marzył przez ostatnie cztery lata. Szansą na wypróbowanie swoich umiejętności. Swoich narzędzi. Szansą na zasmakowanie znów tego uczucia, które towarzyszyło mu, gdy patrzył na wampira gasnącego u jego stóp i widział w jego oczach strach.

Istnieli tropiciele znacznie lepsi od Abrahama Lincolna, dużo lepiej od niego znający rzekę Ohio. Ale mało kto w rejonach Kentucky czy Indiany wiedział równie dużo na temat tajemniczych zniknięć i niewyjaśnionych morderstw.

Gdy poznałem opisy ciał znalezionych w Jeffersonville, od razu wiedziałem, że za śmierć tych dzieci odpowiadał wampir, i byłem prawie pewien, dokąd zmierzał. Kiedyś w *Historii rzeki Missisipi* Dugre'a czytałem o podobnym przypadku, który nie dawał spokoju osadnikom przed blisko pięćdziesięciu laty. Dzieci znikwały ze swoich łóżek w małych miasteczkach położonych wzdłuż rzeki – od Natchez, aż po Donaldsonville. Od północy po południe. Ciała znajdowano po kilka w jednym miejscu, nad brzegiem. Wszystkie w stanie zaawansowanego rozkładu. Wręcz nienaturalnie – każde z jednym nacięciem na wyrostku. Gotów byłem się założyć, że ten wampir, tak jak tamten, też wędrował na południe, z nurtem rzeki. Ponadto coś mi mówiło, że płynął łodzią, co oznaczało, że prędzej czy później musiał dotrzeć do Evansville.

Właśnie tam Abe czekał w czwartkową noc, 30 czerwca 1825 roku, ukryty za krzakami na porośniętym lasem brzegu Ohio.

Księżyc na szczęście był w pełni, odkrywał każdy szczegół nocy – lekką mgłę sunącą po powierzchni wody, krople rosy na listkach mojej kryjówki, sylwetki śpiących ptaków na gałęzi drzewa i barcę przycumowaną niespełna trzydzieści metrów od miejsca, w którym się schowałem. Wyglądała tak samo jak wszystkie inne, jakie widuje się na rzece – dwanaście metrów na trzy i pół, zbudowana z nieszlifowanych desek, w dwóch trzecich zajęta przez zadaszoną kabinę – a jednak to na niej zawiesiłem wzrok i gapiłem się na nią od kilku godzin, bo

byłem pewien, że w środku jest wampir.

Całymi dniami Abe przyglądał się barkom, które przybijały do brzegu przy Evansville. Uważnie badał każdego mężczyznę, który schodził na brzeg. Szukał charakterystycznych cech, znanych mu tak dobrze z lektur: bladej cery, unikania światła słonecznego, lęku na widok krzyży. Kilku podejrzanych z wyglądu przewoźników nawet śledził w mieście, ale nic nie odkrył. Aż w końcu jego uwagę przykuła barka, która się nie zatrzymała.

Byłem już bliski pójścia spać. Słońce prawie zaszło i wszystkie łodzie płynące w górę rzeki cumowały na noc. I wtedy ją zobaczyłem. Minał mnie zarys barki, ledwie widoczny w ciemnościach. Dziwne było, że przepływała, nie zatrzymując się w największym miasteczku na tym odcinku rzeki. Tym dziwniejsze, że zapadała noc.

Abe pobiegł brzegiem, zamierzał śledzić tę osobliwą łódź (którą, o ile dobrze widział, nikt nie sterował) tak długo, jak tylko się da.

Obfite deszcze przyspieszyły nurt i ciężko mi było dotrzymać kroku. Barka coraz bardziej się oddalała i gdy zniknęła za zakrętem, bałem się, że straciłem ją na dobre.

Jednak po półgodzinie niemal nieustannego sprintu Abe dogonił łódź, która zacumowała po tej samej stronie rzeki, kilka kilometrów za miastem. Z jej pokładu na ziemię prowadziła niewielka deska. Abe ukrył się w bezpiecznej odległości i rozpoczął całonocne czuwanie.

Godziny mijały mu w głodzie i zmęczeniu, ale nie porzucił stanowiska.

Siedziałem tak długo bez ruchu, że bałem się, iż w decydującym momencie nogi odmówią mi posłuszeństwa. Nie chciałem jednak atakować, dopóki go nie zobaczę, dopóki kreatura nie opuści miejsca do spania. Spojrzałem na topór w dłoni, by upewnić się, że wciąż go mam. Zatrząsałem się na myśl o wbiciu go w jego klatkę piersiową i ujrzeniu w jego oczach strachu przed ostatecznym odejściem z tego świata.

Od północy dobiegł Abe'a cichy szelest liści i trzask łamanych gałązek. Ktoś się do niego zbliżał, idąc wzdłuż brzegu. Abe uspokoił oddech. W prawej dłoni czuł rękojeść topora. Wyobraził sobie odgłos, jaki ostrze wyda, przebijając się przez skórę, kości i płuca.

Przez długie godziny czekałem, aż kreatura wyłoni się z kabiny łodzi. Ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że mogła już wcześniej wyjść na ląd. Nie miało to jednak znaczenia. Przygotowałem topór i czekałem, aż wampir się pokaże.

„Kreatura” okazała się drobną kobietą ubraną w czarną sukienkę i czepek do kompletu. Kształt jej ciała zdradzał zaawansowany wiek, choć z lekkością poruszała się brzegiem rzeki.

W ogóle nie brałem pod uwagę, że zobaczę kobietę, tym bardziej staruszkę. Nagle uderzyła mnie niedorzeczność moich

czynów. Jakim dysponowałem dowodem, prócz podejrzenia, że była to łódź wampira? Czyżbym zamierzał po prostu zabić jej właściciela w nadziei na to, że moja teoria okaże się słuszna? Czyżbym był gotów ściąć głowę tej starowince, nie mając absolutnej pewności?

Abe nie musiał zbyt długo się nad tym zastanawiać, bo gdy kobieta podeszła bliżej, zobaczył, że niesie na rękach coś białego.

Było to dziecko.

Patrzyłem, jak niesie je przez las w kierunku łodzi. Mogło mieć najwyżej pięć lat i było ubrane w niebieską koszulę nocną. Jego ręce i nogi zwisały bezwładnie. Widziałem krew na jego kołnierzyku. I na rękawach. Nie zaryzykowałbym uderzenia z takiej odległości, gdyż błąd mógł kosztować życie chłopca (o ile jeszcze żył).

Abe widział, że wampirzyca dotarła do barki i weszła na pomost. W połowie drogi jednak się zatrzymała.

Jej ciało zeszywniało. Wciągnęła powietrze, jak robią to zwierzęta, gdy wyczuwają niebezpieczeństwo. Spojrzała przez ciemności na drugi brzeg, po czym w moją stronę.

Abe zastygł w bezruchu. Ani oddechu, ani drgnięcia. Kiedy kobieta uznała, że nic jej nie grozi, ruszyła dalej prowizorycznym pomostem i weszła na pokład barki.

Poczułem mdłości. Wściekłość – skierowana bardziej ku sobie niż ku tej kobiecie. Jak mogłem siedzieć bezczynnie i pozwolić jej porwać tego chłopca? Jak śmiałem poddać się czemuś tak małosłownemu jak strach i unikać zrobienia tego, co należało zrobić? Nie! Nie! Wolałem zginąć z jej rąk, niż umrzeć ze wstydu. Opuściłem kryjówkę i pobiegłem w stronę rzeki. Do łodzi. Staruszka momentalnie usłyszała moje kroki, dostrzegła mnie i rzuciła dziecko na pokład. To właśnie była moja szansa! Uniosłem w górę topór i cisnąłem nim z całej siły, patrząc, jak obraca się w powietrzu. Wbrew pozorom kobieta była całkiem zwinna. Uchyliła się, skazując topór na spoczynek na dnie Ohio. Dalej biegłem, przekonany, iż moja siła i wyszkolenie pozwolą mi wygrać walkę. Przekonany, że nie mam innego wyjścia. Sięgnąłem do kieszeni płaszcza, wyjąłem dwa noże myśliwskie. Staruszka czekała na mnie z wyciągniętymi pazurami i czarnymi oczyma pasującymi do czepka. Poczułem deskę pod stopami. Rzuciłem się na kobietę, ale ona strzepnęła mnie, tak jak koń strzepuje muchy ogonem. Opadłem na pokład i nie mogłem nabrać powietrza w płuca. Przewróciłem się na plecy, cały obolały, i wyciągnąłem noże przed siebie, by w ten sposób utrzymać ją w bezpiecznej odległości. Chwyciła je za ostrza i wyrwała z moich dłoni, zostawiając mi do obrony wyłącznie gołe pięści. Skoczyłem na równe nogi i rzuciłem się na starą diablicę, wymachując bezładnie rękami. Usuwała się przed każdym ciosem z taką łatwością, że równie dobrze mógłbym mieć zawiązane oczy. Naraz poczułem w klatce piersiowej rozdzierający ból, który niemalże zwałił mnie z nóg na chłopca śpiącego u mych stóp.

Siła ciosów wampira złamała Abe'owi kilka żeber. Chłopak potknął się pod kolejnym uderzeniem w brzuch... i kolejnym. Zakaszłał i krople krwi obryzgały twarz staruszki.

W tym momencie przerwała atak, przeciągnęła brudny paluch po policzku i dotknęła go językiem. „Smaczna”, powiedziała z uśmiechem. Ze wszystkich sił starałem się utrzymać na nogach, bo wiedziałem, że jeśli znowu upadnę, będzie już po mnie. Pomyślałem o moim dziadku i jego twarzy zmiażdżonej pięściami wampira. O tym, że nie udało mu się oddać ani jednego ciosu. Nie zamierzałem godzić się na podobny los. Wykorzystałem jej beczynność, wyciągnąłem z płaszcza ostatnią broń – mały nóż. Rzuciłem się na wampirycę resztkami sił i wbiłem jej ostrze w brzuch. To tylko ją rozbawiło, bo chwyciła mnie za rękę i rozorała świeżą ranę, krwawiąc i śmiejąc się. Poczułem, że moje stopy odrywają się od pokładu. Diablica uniosła mnie w górę, chwyciwszy za gardło. Chwilę później tonąłem. Trzymała moją głowę pod wodą, a plecy przyciśnięte do burty. Moje nogi szaleńczo kopały, ale mogłem najwyżej patrzeć na jej twarz, na zmarszczki wygładzone przez wodę. Potem przestałem myśleć o walce i napełniła mnie osobliwa radość. Wkrótce to się skończy, pomyślałem, i będę mógł odpocząć. Czarne oczy nade mną zaczęły zmieniać kształt w miarę spokoju, który nastawał w wodzie i we mnie. Wkrótce miałem do niej dołączyć. Zapadła noc.

I wtedy się zjawił.

Abe był półprzytomny, gdy staruszka zniknęła, wciągnięta z powrotem na pokład barki. Ponieważ jej ręce już go nie trzymały, zaczął opadać lekko na dno rzeki.

Zostałem wyciągnięty z głębin ręką Bożą i położony na deskach obok śpiącego chłopca w białej koszuli. Z tego miejsca obserwowałem resztę zajścia, to tracąc, to znów odzyskując świadomość. Usłyszałem krzyk kobiety: „Zdrajca!”. Zobaczyłem zarys mężczyzny, który siłował się z nią, i jej głowę upadającą na pokład obok mnie. Jej ciało nie było już do niej przyłączone. Nie zobaczyłem już nic więcej.

II

– „Często, przyjacielu, narzędzia piekła prawdę nam podają, aby nas w zgubne potem sieci wplątać; łudzą nam dusze...”⁸

Obudziłem się w izbie bez okien, w której jakiś mężczyzna czytał przy lampie naftowej. Miał może dwa metry wzrostu, był szczupły, z ciemnymi włosami do ramion. Ujrawszy, że nie śpię, przerwał lekturę i włożył zakładkę między kartki grubego skórzanego tomu. Zadałem tylko jedno pytanie, które miało znaczenie. To, które dręczyło mnie przez sen.

– Co z chłopcem? Czy jest...?

– Bezpieczny. W miejscu, w którym go odnajdą.

Jego akcent nie zdradzał pochodzenia. Był Amerykaninem? Szkotem? Usiadł obok mnie na misternie wyrzeźbionym krześle z wysokim oparciem, założył nogę na nogę. Rękawy koszuli miał podwinięte do łokci, a na jego szyi wisiał mały srebrny krucyfiks. Moje oczy przywykły do ciemności, tak że mogłem dzięki światłu lampy naftowej zobaczyć, gdzie jestem. Ściany wyglądały na ułożone z kamieni, pustą przestrzeń między nimi wypełniono gliną. Na każdej ścianie wisiały dwa obrazy oprawione w złote ramy. Scenki z nagimi Indiankami niosącymi wodę ze strumienia. Skąpane w słońcu krajobrazy. Portret młodej kobiety obok portretu starej, o bardzo podobnych rysach twarzy. Zobaczyłem swoje rzeczy, rozłożone starannie na skrzyni w odległym rogu pokoju. Mój płaszcz. Moje noże. Mój topór, jakimś cudem wyciągnięty z dna rzeki. A dookoła najelegantsze meble, jakie kiedykolwiek widziałem. I książki! Całe sterty tomów najróżniejszej grubości.

– Nazywam się Henry Sturges – powiedział. – Jesteś w moim domu.

– Abraham Lincoln.

– „Ojciec wielu”. Miło mi poznać.

Próbowałem usiąść, ale doznałem takiego bólu, że niemal straciłem przytomność. Leżałem więc dalej na plecach, patrząc spod przymkniętych powiek. Klatkę piersiową i brzuch miałem owinięte bandażami.

– Wybacz, proszę, to naruszenie twojego poczucia przyzwoitości, ale doznałeś poważnych obrażeń. I nie przejmuj się zapachem. Bandaże zostały nasączone najróżniejszymi olejkami, doskonałymi na rany, nieco przykrymi dla zmysłów.

– Jak...

– Dwa dni i dwie noce. Pierwsze godziny były nie najlepsze. Nie miałem pewności, czy w ogóle się obudzisz. Dobrze świadczy o twojej formie fakt, że jeszcze...

– Nie, nie. Jak pan ją zabił?

– A, to akurat okazało się łatwe. Krucha z niej była staruszka.

Dość absurdalne stwierdzenie w rozmowie z osobą, której ta krucha staruszka zgruchotała ciało.

– No i nie zapominajmy, że mocno pochłonięta topieniem ciebie. Pod tym względem winny ci jestem wyrazy wdzięczności za odwrócenie jej uwagi. Czy mogę cię o coś spytać?

Moje milczenie okazało się dostateczną zachętą.

– Ile łącznie zabiłeś wampirów?

Dziwne było usłyszeć to słowo z ust obcego człowieka. Do tej pory jedynie mój ojciec mówił o nich jako o istotach realnych. Przez chwilę kusiło mnie, by wyolbrzymić swoje osiągnięcia, ale odpowiedziałem mu szczerze.

– Jednego – odparł Abe.

- No tak... To by się zgadzało.
- A pan? Ile pan zabił?
- Jednego.

Nie mogłem zrozumieć. Jak ktoś o takich umiejętnościach, kto z taką łatwością zabił wampira, mógł być tak niedoświadczony?

- Więc nie jest pan... łowcą wampirów?

Henry szczerze się roześmiał.

- Z całym spokojem mogę powiedzieć, że nie. Choć byłby to bez wątpienia ciekawy zawód.

W moim zamulonym stanie umysłu trochę czasu mi zajęło zrozumienie jego słów. Gdy ich treść wreszcie do mnie dotarła, poczułem jednoczesny przypływ strachu i wściekłości. Zabił wampirycę nie po to, by mnie ocalić, lecz by zachować mnie dla siebie. Nagle zniknął wszelki ból i czułem już tylko ogień w piersi. Zamachnąłem się na niego ze wszystkich sił, wkładając w cios cały swój gniew. Jednak moje pięści zostały powstrzymane w połowie drogi. Wrzasnąłem niczym dzikie zwierzę. Szarpnąłem za krępujący mnie sznur, aż twarz kompletnie mi poczerwieniała. Jak u szaleńca. Henry przyglądał mi się bez cienia konsternacji.

- No tak – powiedział. – Przewidziałem twoją reakcję.

III

Przez następne dwie doby nie odezwałem się ani słowem. Odmawiałem jedzenia i snu, unikałem spojrzenia mojemu gospodarzowi w oczy. Jak mogłem się na to wszystko godzić, wiedząc, że w każdej chwili moje życie może dobiec końca? Wiedząc, że wampir (Mój zaprzysięgły wróg! Morderca mojej matki!) jest stale ledwie kilka kroków ode mnie? Ile mojej krwi zdążył już wypić, gdy spałem? Słyszałem jego kroki na drewnianych schodach, skrzypienie otwieranych i zamykanych drzwi. Ale żadnych dźwięków ze świata zewnętrznego. Ani śpiewu ptaków, ani dzwonów kościelnych. Nie byłem świadom, kiedy jest noc, a kiedy dzień. Jedyłą miarą czasu był dla mnie odgłos zapalanej zapałki i ogień w piecu. Czajnik z wrzątkiem. Co kilka godzin Henry wchodził do pokoju z parującą miską rosółu, siadał przy moim łóżku i proponował, że mnie nakarmi. Natychmiast odmawiałem. Przyjmując odmowy równie bezzwłocznie, Henry brał do rąk dzieła zebrane Williama Szekspira i zaczynał czytać w miejscu, w którym poprzednio skończył. I taką prowadziliśmy grę. Przez dwa dni głodowałem i milczałem. Przez dwa dni gotował i mówił. Kiedy mi czytał, próbowałem zająć myśli banalnymi rzeczami. Wymyślonymi przez siebie piosenkami i opowieściami. Robiłem, co mogłem, by nie dać temu wampirowi satysfakcji, że zwracam na niego najmniejszą uwagę. Lecz trzeciego dnia, zmorzony głodem, nie zdołałem się oprzeć, gdy Henry wyciągnął w moją stronę łyżkę bulionu. Przysięgłem sobie, że wezmę tylko pierwszą. Tylko tyle, by

stłumić ból żołądka, ani kropli więcej.

Abe zjadł trzy miski, jedna po drugiej. Gdy w końcu się nasycił, siedzieli z Henrym w milczeniu „bodaj przez godzinę”, po czym Abe wreszcie się odezwał:

– Dlaczego jeszcze mnie nie zabiłeś?

Patrzyłem na niego z niesmakiem. Nie obchodziła mnie jego serdeczność. Nie byłem mu wdzięczny za uratowanie mi życia, opatrzenie ran i karmienie. Nie interesowało mnie kim, tylko czym jest.

– A jakież mógłbym mieć cel w zabiciu ciebie?

– Jesteś wampirem.

– I to znaczy, że całe moje życie jest już określone? Czyż nie mam ludzkiego umysłu? Ludzkich potrzeb: pożywienia, ubrania i doznawania serdeczności? Nie oceniaj nas podług jednej miary, Abrahamie.

Tym razem to ja mimowolnie się roześmiałem.

– Mówisz jak ktoś, kto nie morduje, by zdobyć „pożywienie”! Ktoś, czyje „potrzeby” nie rozdzielają matek i ich dzieci.

– Ach – westchnął Henry. – Czyżby to jeden z nas odebrał ci matkę?

Opuściły mnie resztki rozumu. Było coś potwornego w lekkości, z jaką o tym wspomniał. Jakaś bezduszność. Znów

górze nade mną wziął szalenic. Zamachnąłem się na Henry'ego i wytrąciłem mu z rąk miskę z rosołem, która upadła na kamienną podłogę. Gdyby nie krępujący mnie sznur, rozerwałbym mu twarz.

– Nie waż się nigdy o niej mówić! NIGDY!

Henry odczekał, aż mój atak minie, po czym ukląkł i pozbierał kawałki rozbitej miski.

– Musisz mi wybaczyć – powiedział Henry. – Minęło sporo czasu, odkąd byłem w twoim wieku. Zapomniałem już o młodzieńczej namiętności. Obiecuję większą staranność w doborze słów.

Kiedy zebrał wszystkie skorupy, wstał i ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się w drzwiach.

– Zastanów się, czy tak bardzo różnimy się od siebie? Czyż nie jesteśmy obaj mimowolnymi więźniami mojego stanu? Czy obaj nie straciliśmy na jego rzecz czegoś ważnego? Ty swoją matkę, ja – swoje życie?

Po tych słowach zniknął, zostawiając mnie samego z moim gniewem. Krzyknąłem za nim: „Dlaczego mnie nie zabiłeś?”. Odpowiedział łagodnym głosem, który dobiegł z sąsiedniego pokoju: „Niektórzy ludzie są zbyt interesujący, by ich zabić”.

Z każdym dniem poprawiał się stan zdrowia Abe'a. Jadł ochoczo i coraz chętniej słuchał, jak Henry czyta Szekspira.

Choć sam widok Henry'ego nadal wzbudzał we mnie gniew i lęk, to ta reakcja słabła, im bardziej moje ciało nabierało sił. Poluzował mi więzy, żebym mógł sam jeść. Zostawiał przy łóżku książki, żebym sam mógł czytać. Im lepiej poznawałem jego umysł, tym stawałem się spokojniejszy, że w istocie nie ma wobec mnie krwawych zamiarów. Dyskutowaliśmy o literaturze. O wspaniałych miastach tego świata. Nawet o mojej matce. Ale przede wszystkim rozmawialiśmy o wampirach. Na ten temat miałem najwięcej pytań. Chciałem wiedzieć absolutnie wszystko. Przez cztery długie lata poruszałem się po omacku, polegałem tylko na założeniach i karmiłem się nadzieją, że to Opatrzność postawi mnie kiedyś twarzą w twarz z wampirem. Teraz wreszcie mogłem się wszystkiego dowiedzieć. Jak udaje im się przeżyć wyłącznie dzięki krwi? Czy mają duszę? Skąd w ogóle się wzięli?

Niestety Henry nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań. Jak większość wampirów spędził sporo czasu na obsesyjnym roztrząsaniu swojego „pochodzenia”, z nadzieją, że wiedza ta doprowadzi go do jakiejś głębszej prawdy, a może nawet pozwoli się wyleczyć. I tak jak wszyscy przed nim poniósł porażkę. Nawet najbardziej zaradne wampiry są w stanie cofnąć się najwyżej o dwa, trzy pokolenia.

– To konsekwencja naszej samotniczej natury – wyjaśnił Henry.

Wampiry istotnie sporadycznie utrzymują kontakty

towarzyskie, a już prawie nigdy z innymi wampirami. Ponieważ łatwe zdobycie krwi jest rzadkością, rodzi zaciętą konkurencję, a nomadyczny tryb życia utrudnia nawiązywanie trwałych relacji. Tylko w nielicznych przypadkach wampiry działają parami lub w małych grupkach, ale tego typu sojusze wynikają zazwyczaj z desperacji i niemal zawsze okazują się tymczasowe.

– Jeśli chodzi o nasze pochodzenie – powiedział Henry – to obawiam się, że na zawsze pozostanie ono tajemnicą. Istnieje pogląd, że dał nam początek zły duch lub demon, który przenosił się z jednej nieszczęsnej duszy na drugą. Przekleństwo szerzące się drogą krwi. Inni wierzą, że jesteśmy potomkami samego diabła. Jeszcze inni, a ja wśród nich, podejrzewają, że nigdy nie było żadnego „przekleństwa”, a wampiry i ludzie to po prostu odrębne gatunki zwierząt, które żyły obok siebie od wygnania Adama i Ewy z raju. Jedna rasa obdarzona większą zręcznością fizyczną i dłuższym życiem, druga zaś liczniejsza. Z całą pewnością możemy twierdzić tylko to, że nigdy nie będziemy mieli pewności.

Jednak w kwestii bycia wampirem Henry dysponował niewyczerpaną wiedzą. Miał dar tłumaczenia swojego stanu w sposób, który był zrozumiały dla młokosa takiego jak ja. Dar ucłowieczania pojęcia nieśmiertelności.

– Śmiertelni są ograniczeni czasem – powiedział. – Przez to życie ich przynagła, co z kolei powoduje, że stają się ambitni. Każę wybierać to, co najważniejsze, trzymać się mocno rzeczy, które

uważają za najdroższe sercu. Żyją według pór, mają rytuały przejścia, konsekwencje, wreszcie nieuchronny koniec. Lecz co się dzieje z życiem pozbawionym pośpiechu? Co z ambicją? Co z miłością?

Pierwsze sto lat jest ekscytujące, to prawda. Świat przedstawia się jako źródło niewyczerpanych rozkoszy. Doskonalimy sztukę zdobywania pokarmu: uczymy się, gdzie zapuszczać sieci i jak czerpać największą satysfakcję ze zdobyczy. Przemierzamy świat i podziwiamy cuda cywilizacji skąpane w świetle księżyca. Gromadzimy małe fortuny, okradając niezliczone ofiary. Zaspokajamy wszystkie namiętności ciała. Och tak, wspaniale się bawimy.

Po stu latach zdobywania nasze ciała przepelniają się do granic wytrzymałości, ale umysły pozostają wygłodzone. Większość z nas jest już odporna na przykre skutki promieni słonecznych, więc świat żywych przestaje być poza zasięgiem i możemy swobodnie doświadczać wszystkiego, co w pierwszym stuleciu było dla nas niedostępne, ponieważ musieliśmy żyć w ciemności. Przesiadujemy w bibliotekach, studiujemy dzieła klasyków, na własne oczy oglądamy wspaniałe dzieła sztuki. Uczymy się muzyki i malarstwa, piszemy poezję. Wracamy do naszych ulubionych miast, by na nowo w nich zasmakować. Mnożymy swoje fortuny, zwiększamy władzę.

W trzecim stuleciu oczarowanie wiecznością słabnie. Zaspokoiliśmy już wszystkie pragnienia, jakie tylko potrafimy sobie wyobrazić, łącznie z dreszczem towarzyszącym odbieraniu życia raz za razem. I choć dysponujemy wszelkimi wygodami, jakie oferuje świat, nie znajdujemy w nich komfortu. To w tym stuleciu, Abrahamie, większość z nas ucieka się do samobójstwa: przez zagłodzenie się na śmierć, przebicie serca kołkiem, odcięcie głowy lub, w najbardziej rozpaczliwych przypadkach, przez samospalenie.

Tylko najmocniejsi z nas, obdarzeni wyjątkowo silną wolą i kierujący ponadczasowym celem, potrafią żyć czterysta, pięćset lat i dłużej.

Nie potrafiłem zrozumieć, że człowiek uwolniony od nieuchronnej śmierci mógłby sam ją sobie zadać. Powiedziałem o tym Henry'emu.

„Bez śmierci”, odparł, „życie nie ma sensu. Jest historią, której nie sposób opowiedzieć. Pieśnią, której nie da się zaśpiewać. Bo jak ją zakończy?”.

Wkrótce Abe odzyskał siły na tyle, by móc usiąść na łóżku, a Henry zaufał mu na tyle, by zupełnie zrezygnować z krępowania mu rąk. Ponieważ nie uzyskał odpowiedzi na bardziej ogólne pytania o wampiry, Abe postanowił sięgnąć do bezdennej studni szczegółów. Na temat promieni słonecznych:

– Kiedy powstajemy, najmniejszy nawet kontakt ze słońcem parzy nam skórę i odbiera zdrowie, co przypomina stan, jaki u normalnego człowieka wywołuje nadmiar blasku. Z czasem stajemy się odporni na to działanie i możemy poruszać się swobodnie w ciągu dnia, musimy tylko unikać naprawdę ostrego światła. Jednak nasze oczy nigdy się nie przyzwyczajają.

O czosnku:

– Obawiam się, że czosnek tylko nam ułatwia namierzenie z daleka osoby w niego wyposażonej.

O spaniu w trumnach:

– Nie mogę mówić za innych, ale mnie w zupełności wystarcza wygoda łóżka.

Gdy Abe zadał pytanie o to, jak można stać się wampirem, Henry na chwilę zamilkł.

– Opowiem ci, jak ja się nim stałem.

V

Niedługo po powrocie do Little Pigeon Creek, 30 sierpnia 1825 roku, Abe napisał w dzienniku:

Poniżej przedstawiam całą historię, taką jaką usłyszałem z ust Henry’ego. Nie upiększyłem jej ani nie pominąłem żadnej części. Żadnej też nie próbowałem potwierdzić. Jedynie ją tutaj powtarzam, by istniał jakiś jej zapis. „Dwudziestego drugiego lipca roku tysiąc pięćset osiemdziesiątego siódmego”, zaczął Henry, „trzy okręty ze stu siedemnaściorgiem Anglików przybiły do północnego brzegu wyspy Roanoke, w miejscu zwanym dzisiaj Karoliną Północną”.

Pośród tych mężczyzn, kobiet i dzieci znajdował się dwudziestotrzyletni uczeń kowala, Henry O. Sturges, chłopak średniego wzrostu, o długich, ciemnych włosach sięgających połowy pleców. Towarzyszyła mu żona Edeva.

„Była o jeden dzień młodsza ode mnie i o jeden centymetr niższa, miała wyjątkowo piękne włosy i oczy o dziwnym odcieniu brązu. Nigdy w historii nie żyła delikatniejsza, piękniejsza istota”.

Właśnie zakończyli straszliwą podróż, uprzykrzoną przez wyjątkowo złą pogodę i naznaczoną niesłychanym pechem. Wprawdzie nie było nic nadzwyczajnego w przypadkach zachorowań i śmierci podczas rejsów atlantyckich (szesnastowieczne statki były najczęściej zgrzybiałymi, rojącymi się od szczurów wylęgarniami najróżniejszych schorzeń przenoszonych przez powietrze i w jedzeniu), ale zgon dwóch osób, w żaden sposób ze sobą niepowiązanych, był dostatecznie złowieszczy, by wzbudzić trwogę.

Obydwie śmierci zdarzyły się na pokładzie „Lionu”, największego spośród karawany trzech okrętów, którym dowodził kapitan John White. Ten czterdziestosiedmioletni artysta został osobiście wybrany przez sir Waltera Raleigha do ustanowienia trwałej obecności Anglików w Nowym Świecie. Dwa lata wcześniej uczestniczył w pierwszej próbie skolonizowania Roanoke, próbie zakończonej niepowodzeniem po tym, jak złożona wyłącznie z mężczyzn grupa kolonizatorów po wyczerpaniu zapasów zabrała się z powrotem do Anglii z sir Francisem Drakiem, który szczęśliwym zrzędzeniem losu w przerwie między kolejnymi atakami na hiszpańską flotę zakotwiczył nieopodal swój statek.

„Za drugim razem”, opowiadał Henry, „plan Raleigha był bardziej ambitny. Zamiast szorstkich marynarzy posłał młode rodziny. Miały one zapuścić korzenie. Spłodzić potomstwo. Wybudować świątynie i szkoły. To była jego szansa na zapoczątkowanie »Nowej Anglii w Nowym Świecie«. Z kolei dla mnie i Edevy wyjazd był okazją do zostawienia za sobą domu, w którym nie zazналиśmy szczęścia. Było wśród nas dziewięćdziesięciu mężczyzn, dziewięćdziesięciu dzieci

i siedemnaście kobiet, w tym córka Johna White'a, Eleanor Dare”.

Na pokładzie „Lionu” Eleanor, która była w ósmym miesiącu ciąży, towarzyszył mąż Ananias. Była nadzwyczajnie ładną dwudziestoczterolatką o uderzająco rudych włosach i piegowatej twarzy. Można sobie tylko wyobrazić dyskomfort, jaki odczuwała, gdy płynęła 120-tonowym statkiem w nieubłaganym, lipcowym upale, który zamieniał wnętrze okrętu w gigantyczny piec parowy.

„Nawet najtwardsi spośród marynarzy zielecieli na twarzach i wychylali się za burty, kiedy fale wzbierały, a z nieba lał się na nas żar”.

Do pierwszego z dwóch zgonów doszło w niedzielę 24 maja, nieco ponad dwa tygodnie po wypłynięciu załogi z Plymouth. Oficer o nazwisku Blum (albo Bloom – Henry nie poznał właściwej pisowni) spędził noc na bocianim gnieździe, skąd miał wypatrywać odległych kształtów na oświetlonym gwiazdami horyzoncie. Hiszpańskie karaki, osławione atakami na angielskie okręty, stanowiły wówczas realne zagrożenie. Niedługo po północy pilot pokładowy Simon Ferdinando (który zdobył już renome dzięki wcześniejszym wyprawom do Maine i Wirginii), usłyszał trzask na głównym pokładzie. Chwilę później stał nad nieruchomym ciałem Bluma, który miał przetrącony kark.

„Ferdinando się dziwił, że tak doświadczony żeglarz, i do tego zaprzysięgły abstynent, doznał podobnego upadku na spokojnym morzu. Takie jednak było życie na Oceanie

Atlantyckim. Wypadki się zdarzały. Po odmówieniu kilku modlitw w intencji duszy nieszczęśnika załoga i pasażerowie nie rozmawiali o Blumie”.

Kapitan White odnotował incydent w dzienniku pokładowym w raczej oschły sposób: „Człowiek spadł z bocianiego gniazda. Umarł. Wyrzucon za burtę”.

„Gdyby to był jedyny wypadek podczas podróży, uznalibyśmy się za szczęściarzy. Jednak nasze nerwy poddane zostały jeszcze jednej próbie we wtorek 30 czerwca, gdy noc pochłonęła na zawsze Elizabeth Barrington”.

Elizabeth, niemal komicznie niska, kędzierzawa szesnastolatka, została na pokład dosłownie zaciągnięta przez ojca i kilku majtków, bo kopała, krzyczała i gryzła. Dla niej „Lion” był więzieniem.

Wiele miesięcy wcześniej zakochała się w młodym dependencie z kancelarii adwokackiej swojego ojca. Dwoje kochanków, świadomych, że nigdy nie dostaną zgody na wspólne życie, prowadziło potajemny romans, którego odkrycie wywołało mały skandal w kręgach prawniczych i poważnie nadszarpięło reputację jej ojca wśród adwokatów. Zawstydzony pan Barrington skorzystał z okazji, by zacząć nowe życie po drugiej stronie Atlantyku, i zabrał ze sobą swoją nieposłuszną córkę.

„W tamten wtorek pogoda dramatycznie się pogorszyła, a nasza karawana wpłynęła w ścianę burzowych chmur. Z nastaniem nocy prawie cała załoga zesła pod pokład, by

schronić się przez wichurą i deszczem. Statkiem tak rzucało, że kapitan White rozkazał pogasić wszystkie świece, w obawie, że wiatr mógłby je przewrócić i spowodować pożar. Z Edevą w ramionach skuliłem się w kompletnych ciemnościach pod pokładem, cały czas czując ruchy statku pobudzające mdłości. Słyszałem jęki drewnianych desek i wymiotujących pasażerów. Wiem, że w chwili, gdy gasły światła, Elizabeth Barrington była wśród nas. Widziałem ją na własne oczy. Jednak rano nie było po niej śladu”.

Burza w końcu minęła, a słońce znów dręczyło żarem. Ponieważ Elizabeth spędzała dużo czasu w samotności, pod pokładem, jej nieobecność zauważono dopiero późnym rankiem. Pasażerowie wykrzykiwali jej imię, ale nikt nie odpowiadał. Dokładnie przeszukano cały statek, lecz nic to nie dało. Druga runda poszukiwań, kiedy to opróżniono wszystkie worki z mąką i zaglądano do beczek z prochem, okazała się równie bezowocna. Elizabeth zniknęła. Kapitan White dokonał kolejnego beznamiętnego zapisu w dzienniku pokładowym: „Dziewczyna wypadła za burtę podczas sztormu. Umarła”.

„Wszyscy byliśmy pewni, że nieszczęśliwa dziewczyna odebrała sobie życie. Że skoczyła do morza i utonęła. Zmówiono modlitwy za jej duszę (choć wiedzieliśmy, że jej dusza została skazana na piekło, jako że samobójstwo to w oczach Boga niewybaczalny grzech)”.

Ostatnie trzy tygodnie podróży były wolne od tragedii. Pogoda

dopisywała. Mimo to widok lądu przyniósł wszystkim wyjątkową ulgę. Osadnicy zabrali się do ścinania drzew, odbudowywania porzuconych schronisk, siania zbóż i nawiązywania kontaktów z rdzennymi mieszkańcami, zwłaszcza z Kroatanami, którzy w przeszłości witali Anglików z entuzjazmem. Tym razem jednak rozejm nie trwał długo. Tydzień po tym, jak przy Roanoke zacumował pierwszy statek Johna White'a, jeden z jego osadników, George Howe, został znaleziony twarzą w dół w płytkiej wodzie Zatoki Albemarle. Łowił samotnie ryby, gdy grupa „dzikusów” zaatakowała go z nienacka. White zrekonstruował napad na podstawie dowodów odnalezionych na miejscu zbrodni. W dzienniku napisał:

„Dzicy, ukryci pośród trzciny, w których nierzadko znajdowali śpiącego jelenia i go zabijali, zoczyli naszego człowieka brodzącego w wodzie w pojedynkę. Niemalże nagi i uzbrojony wyłącznie w cienki, zaostrzony patyk, łowił kraby i był oddalony od kompanów o dobre dwie mile. Tam też go zaatakowali, zadając mu strzałami szesnaście ran. Jak już go zabili, drewnianymi mieczami rozłupali mu głowę na kawałki i zbiegli”.

White doszedł do wniosku, że Howe'a trafiło szesnaście strzał, ponieważ w jego ciele znaleziono szesnaście drobnych nakłuc.

„Tymczasem ani w jego ciele, ani nigdzie w pobliżu nie było żadnej strzały. Gubernator White przemilczał też istotny szczegół – że zwłoki były już częściowo rozłożone, mimo że Howe nie żył zaledwie od kilku godzin”.

Osiemnastego sierpnia osadnicy na chwilę przestali myśleć o Kroatanach, a całą uwagę i radość zwrócili ku pierwszemu dziecku, Virginii Dare, wnuczce Johna White'a. Była pierwszym angielskim dzieckiem urodzonym w Nowym Świecie i podobnie jak jej matka miała rudą czuprynę. Poród odbierał jedyny lekarz kolonii, Thomas Crowley.

„Crowley był pulchnym, łysiejącym, pięćdziesięciosześcioletnim mężczyzną, postawnym i obdarzonym sympatyczną, dziobatą twarzą. Znany był z upodobania do żartów. Za to oraz za wiedzę medyczną darzono go szczególną estymą. Nic nie dawało mu takiej satysfakcji jak pacjent, który w spazmach śmiechu zapominał na chwilę o swoich troskach”.

Zadowolony z udanego startu nowej kolonii (jeśli nie brać pod uwagę śmierci George'a Howe'a), John White popłynął do Anglii, by złożyć sprawozdanie z postępów w budowie osady i przywieźć zapasy. Zostawił sto trzynaścioro mężczyzn, kobiet i dzieci, w tym też swoją wnuczkę Virginie. Planował wrócić po kilku miesiącach z jedzeniem, materiałami budowlanymi i towarami, które miały służyć do wymiany z Indianami.

„Plan nie został zrealizowany”.

Cała seria wydarzeń zmusiła White'a do zostania w Anglii na kolejne trzy lata.

Po pierwsze, jego załoga odmówiła popłynięcia z powrotem w niebezpiecznych miesiącach zimowych. Rejs w lecie już i tak był dostatecznie ryzykowny. A ponieważ nie udało się znaleźć nikogo w zastępstwie, White spędził zimę na miejscu, prawdopodobnie odchodząc od zmysłów. Gdy nadeszła wreszcie wiosna, Anglia toczyła już wojnę z Hiszpanią i królowa Elżbieta musiała mieć do dyspozycji każdy sprawny okręt. Dotyczyło to też statków, które White zamierzał zabrać ze sobą do Nowego Świata. Nie poddał się i w końcu znalazł dwie mniejsze, starsze jednostki, które Jej Wysokości nie interesowały. Jednak niedługo po wypłynięciu obydwie zostały zaatakowane i złupione przez hiszpańskich piratów. Pozbawiony wszystkich zapasów, które chciał zawieźć osadnikom, White zawrócił i popłynął do Anglii. Wojna trwała jeszcze dwa lata, które sfrustrowany White spędził w ojczyźnie. W 1590 roku (porzuciwszy zamiar przywiezienia zapasów) White przemierzył w końcu Atlantyk na pokładzie statku handlowego. W dniu trzecich urodzin swojej wnuczki Virginii, 18 sierpnia, znów postawił nogę na Roanoke.

Nie zastał tam nikogo.

Mężczyźni, kobiety i dzieci – wszyscy zniknęli. Jego córka i wnuczka. Barringtonowie. Przepadli. Mieszkańcy kolonii po prostu rozplynęli się w powietrzu. Budynek zostały nietknięte, porosły je tylko lekko pnącza i podniszczyła pogoda. Narzędzia i zapasy leżały na swoich miejscach. Z tak żyzną glebą i w otoczeniu bujnej przyrody nie mogli przecież umrzeć z głodu. Jeśli doszło do wybuchu jakiejś zarazy, to gdzie były masowe groby? Jeśli doszło do bitwy, gdzie ślady po niej? White nic nie rozumiał.

Były tylko dwie wskazówki warte odnotowania: słowo „Kroatanie” wyryte w jednej z desek ogrodzenia oraz litery „CRO” wydłubane

w korze rosnącego nieopodal drzewa. Czyżby to Kroatanie zaatakowali osadę? Wydawało się to mało prawdopodobne. Po pierwsze, oni z pewnością spaliliby wszystkie budynki. Po drugie, nigdzie nie było ciał. Żadnych śladów ani dowodów. Niczego. White się domyślał (i taką miał nadzieję), że niejasne napisy oznaczały, iż osadnicy przenieśli się na pobliską wyspę Kroatan. Nie miał jednak możliwości sprawdzenia swojej teorii. Pogoda znacznie się pogorszyła i załoga statku handlowego nie miała ochoty dłużej czekać. Po trzech latach prób powrotu i zaledwie kilku godzinach na lądzie White stanął przed wyborem: wrócić do Anglii i zorganizować kolejną wyprawę lub zostać samemu na obcej ziemi i nadal gubić się w domysłach, gdzie są jego rodacy i czy w ogóle żyją. White odpłynął i nigdy później nie wrócił już do Nowego Świata. Resztę życia dręczyły go żal, poczucie winy i przede wszystkim konsternacja spowodowana zniknięciem sto trzynaściorga osadników.

„To chyba dobrze”, powiedział Henry, „że nigdy nie poznał prawdy”.

Niedługo po pierwszym powrocie gubernatora White'a do Anglii mieszkańców Roanoke dotknęła dziwna choroba, która wywoływała ostrą gorączkę. Gorączka z kolei powodowała urojenia, śpiączkę, a w końcu śmierć.

„Doktor Crowley podejrzewał, że choroba pochodziła od rdzennych mieszkańców. Był bezradny wobec jej skutków. W ciągu trzech miesięcy od powrotu kapitana White'a do

Anglii zachorowało dziesięcioro z nas. Przez trzy następne – jeszcze tuzin. Zanosiliśmy ich ciała do lasu i tam grzebaliśmy, by zaraza nie skaziła gleby w osadzie. Każdy z nas bał się, że to jego pogrzebią w następnej kolejności. Na wschodnim wybrzeżu wyspy prawie nieustannie ktoś czuwał w nadziei, iż na horyzoncie pojawią się jakieś żagle. Nikt jednak nie przyплыął. Możliwe, że sprawy toczyłyby się dalej tym torem, gdybyśmy nie dokonali potwornego odkrycia”.

Eleanor Dare nie mogła spać, ponieważ ledwie pięćdziesiąt metrów dalej jej mąż walczył o życie. Ubrała się, owinęła śpiące dziecko, Virginie, w koc i ruszyła przez mroźną noc w stronę budynku doktora Crowleya, by u boku męża spędzić noc na modlitwie.

„Kiedy pani Dare weszła do środka, ujrzała makabryczną scenę: Crowley pochylał się nad jej mężem z ustami przy jego szyi. Momentalnie zrobił krok wstecz i wystawił kły, na widok których Eleanor zaczęła krzyczeć. Usłyszawszy jej wołanie, kilku mężczyzn wbiegło do budynku ze szpadami i kuszami. Zobaczyli zmasakrowaną kobietę i niemowlę w rękach Crowleya, który nakazał im się wycofać. Odmówili. Nie mając żadnej wiedzy na temat wampirów, zginęli wszyscy w mgnieniu oka”.

Ich krzyki obudziły pozostałych osadników, w tym Henry’ego.

„Ubrałem się i kazałem Edevie zrobić to samo, bo sądziłem, że zostaliśmy zaatakowani przez Indian. Rzuciłem się

w ciemną noc, uzbrojony w pistolet, z twardym zamiarem obrony swojego domu. Jednak gdy dotarłem na polanę w środku wioski, moim oczom ukazał się niewiarygodny widok. Przerazający widok. Thomas Crowley – oczy jego zrobiły się czarne, a w ustach błyskały dwa białe ostrza – rozrywał Jacka Barringtona, rozrzucając dookoła jego wnętrzności. Zobaczyłem leżących na ziemi przyjaciół. Niektórych z pourywanymi członkami, innych bez głów. Crowley mnie spostrzegł i ruszył w moją stronę. Wycelowałem pistolet i strzeliłem. Pocisk znalazł cel, przeszył środek jego klatki piersiowej, ale to go nie zatrzymało. Dalej szedł w moim kierunku. Nie wstydzę się przyznać, iż w tamtej chwili odwaga kompletnie mnie opuściła. Myślałem już tylko o ucieczce. Tylko o Edevie i nienarodzonym dziecku w jej brzuchu”.

Henry odwrócił się i pobiegł do domu tak szybko, jak tylko mógł. Edeva czekała już na niego w drzwiach, a on prawie nie zwalniając, chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę linii drzew. *Brzeg. Śpieszmy się na brzeg...*

„Słyszałem, że za nami biegnie. Każdy jego krok wstrząsał ziemią. Każdy brzmiał bliżej i bliżej. Biegliśmy w stronę lasu, aż zaczęło palić nas w płucach i Edeva zwolniła. Poczułem jego obecność za plecami”.

Już nigdy nie zobaczymy wybrzeża.

„Niczego nie pamiętam. Tylko tyle, że obudziłem się, leżąc

na brzuchu, i od razu wiedziałem, że moje obrażenia są śmiertelne. Miałem pogruchotane ciało, ledwie mogłem ruszać kończynami. Zasnęta krew wokół oczu prawie kompletnie mnie oślepiła. Ciężki oddech Edevy mówił mi, że jest bliższa odejścia niż ja. Leżała na boku, jej żółta sukienka była poplamiona krwią, podobnie jak jej żółte włosy. Doczołgałem się do niej, podpierając złamanymi rękami. Przybliżyłem oczy do jej oczu, otwartych i nieobecnych. Przesunąłem dłoń po jej włosach i po prostu na nią spojrzałem. Patrzyłem, jak oddycha z trudem, i cały czas szeptałem: »Nie bój się, najdroższa«. W końcu ucichła”.

Jeszcze przed wschodem słońca Crowley zaciągnął większość osadników do lasu. Wy tłumaczenie zarazy było proste. Prawie tak proste, jak wyjaśnienie upadku mężczyzny z bocianiego gniazda, samobójstwa dziewczyny czy śmierci rybaka z rąk dzikich. Ale nocne krzyki, a po nich zniknięcie czterech mężczyzn, kobiety i niemowlęcia? Tego by nie wytłumaczył. Wzięliby go w krzyżowy ogień pytań, odkryli prawdę. Na to nie mógł pozwolić. Jedno za drugim, zaciągnął ich zmasakrowane zwłoki do lasu. Spośród sto dwanaściorga osadników ocalał tylko jeden.

Crowley zawahał się przed zabiciem Virginii Dare. Dziecko, którego poród sam odbierał? Pierwsza angielska dusza urodzona w Nowym Świecie? Takie rzeczy miały wartość sentymentalną. Poza tym dziewczynka niczego nie będzie pamiętała, a towarzystwo młodej kobiety mogło się okazać korzystne w nadchodzących latach samotności.

„Wrócił z lasu z dzieckiem na rękach. Sądzę, że był zaskoczony, iż żyję – choć ledwie – i z trudem trzymam się na nogach, ryjąc nożem w drzewie litery CRO. Moja ostatnia przed śmiercią próba ujawnienia tożsamości naszego zabójcy. Mordercy mojej żony i dziecka. Po chwili szok minął i Crowley mimowolnie się roześmiał, bo przypadkiem podsunąłem mu świetny pomysł. Odłożył niemowlę na ziemię, wziął ode mnie nóż i wyrył słowo Kroatanie na pobliskiej desce ogrodzenia. Przez cały czas uśmiechał się przy tym na myśl, ilu Indian John White zabije w odwecie”.

Crowley przyszykował się do odrąbania Henry’emu głowy, ale znów się zawahał.

„Nagle zdał sobie sprawę, że w promieniu pięciu tysięcy kilometrów będzie jedynym człowiekiem, który mówi po angielsku. Ponura perspektywa dla kogoś o takim zamiłowaniu do żartów. Któż miałby się z nich śmiać? Patrzyłem, jak klęka nade mną, przekłupa nadgarstek paznokciem i zapuszcza mi krew na twarz i do ust”.

Crowley pogrzebał ostatnich osadników i ruszył na południe, w stronę hiszpańskiego terytorium; na jednej ręce niósł płaczące dziecko, a drugą ciągnął ledwie żywego Henry’ego. Niedługo potem, gdy choroba ustąpiła, a kości się zrosły, jego towarzysz miał obudzić się do nowego życia w Nowym Świecie. Wcześniej jednak Thomas Crowley zapragnął uczcić tę okazję i pożywić się pierwszą angielską krwią, jaka na ten świat zawitała.

Postanowił nakarmić się Virginią Dare.

VI

Dwadzieścia jeden dni po tym, jak Henry wniósł go nieprzytomnego do domu, Abe wyzdrowiał na tyle, że mógł wyjść z pokoju i obejrzeć resztę pomieszczeń.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, iż mój pokój bez okien stanowił część tak samo zaciemnionego domu. Dom został wykopany w ziemi, a ściany starannie wyłożone kamieniami i gliną. Była w nim kuchnia, w której Henry przygotowywał dla mnie posiłki na piecu ogrzewanym drewnem. Biblioteka, z której przynosił mi książki. Druga sypialnia. Wszystko to oświetlone lampami naftowymi i wyposażone w eleganckie meble oraz obrazy w złotych ramach, jakby to one zastępowały Henry'emu okna na świat.

– To – powiedział Henry – był cel mojego życia przez ostatnich siedem lat. Wybudowanie tego domu. Łopata po łopacie.

Wszystkie cztery pokoje usytuowane były wokół niewielkich schodów, jedyne miejsce częściowo oświetlonego promieniami słońca, które wpadało od góry. Skrzypienie tych schodów słyszałem, gdy Henry chodził po nich niezliczoną ilość razy, w górę i w dół. Doszliśmy po nich do lichych, drewnianych drzwi, przez które przebijało słońce. Kiedy przekroczyłem próg, zdziwiłem się, bo zobaczyłem, że

stoję w środku niewielkiej chaty, skromnie urządzonej i wyposażonej w działający piecyk, dywan i łóżko. Gdy wyszliśmy na dwór, Henry założył okulary z ciemnymi szklami. Teraz dopiero dostrzegłem architektoniczny geniusz całości, ponieważ z zewnątrz dom wyglądał na najzwyklejszą chatkę na samotnym wzgórzu. „To co? Zaczynamy?”, zapytał Henry.

I tak rozpoczęła się jedyna nauka, jaką odebrał Abraham Lincoln.

Każdego ranka przez następne cztery tygodnie Abe i Henry wchodzili po schodach do fałszywej chatki. Codziennie Henry pogłębiał wiedzę Abe'a na temat tropienia i walki z wampirami.

Co noc, by teorię zamienić w praktykę, kazał mu go szukać w ciemnościach.

Skończyłem na dobre z czosnkiem i wodą święconą. Skończyłem z nożami. Zostały mi już tylko kołki, topór i rozum. I właśnie na doskonaleniu we mnie tej ostatniej broni Henry spędzał najwięcej czasu, ucząc mnie, jak ukryć się przed zwierzęcymi zmysłami wampira, jak wykorzystać jego szybkość, jak wyciągnąć go z kryjówki i zabić, bez narażania kończyn i karku. Ale ze wszystkich lekcji Henry'ego najwartościowsze były te ćwiczenia, w których próbowaliśmy się nawzajem zabić. Początkowo byłem zdumiony jego szybkością i siłą. Wątpiłem, bym kiedykolwiek mógł mu dorównać. Jednak z czasem zauważyłem, iż pokonanie mnie zajmuje mu coraz więcej czasu. Niekiedy nawet udawało mi się wyprowadzić celny cios. Wkrótce zupełnie normalne się

stało, że wygrywałem trzy pojedynki na dziesięć.

– Znalazłem się w osobliwym położeniu – powiedział Henry, gdy któregoś dnia Abe’owi udało się go unieruchomić. – Czuję się jak królik, który wziął sobie za ucznia lisa.

Abe się uśmiechnął.

– A ja jak mysz, która poszła po naukę do kota.

Nadeszła wczesna jesień, a wraz z nią zakończył się pobyt Abe’a w domu Henry’ego. Obydwaj stali o poranku przed jego fałszywą chatą, Henry w ciemnych okularach, Abe z bagażem i pożywieniem na drogę. Był już o kilka tygodni spóźniony i najprawdopodobniej czekało go srogie manto od ojca za powrót do domu bez obiecanych pieniędzy.

Henry postanowił temu zaradzić, dając mi w prezencie dwadzieścia pięć dolarów – o pięć więcej, niż przyrzekłem zarobić. Naturalnie moja duma kazała mi odmówić przyjęcia podarunku, który uznałem za zbyt hojny. Naturalnie duma Henry’ego kazała mu nalegać, bym pieniądze przyjął. Tak też zrobiłem, wylewnie mu dziękując. Kiedy myślałem wcześniej o tej chwili, zamierzałem powiedzieć wiele rzeczy. Chciałem podziękować za serdeczną gościnność. Za uratowanie życia. Za nauczenie mnie, jak mam je chronić w przyszłości. Rozważałem też przeproszenie go za to, jak surowo go oceniłem na początku naszej znajomości. Jednak żadna z tych deklaracji nie okazała się konieczna, gdyż Henry wyciągnął

szybko dłoń i powiedział: „Pożegnajmy się i nie mówmy już ani słowa”. Uścisnęliśmy sobie ręce i wyruszyłem w drogę. Ale zapomniałem zapytać go o jedną rzecz. Zastanawiałem się nad tym od pierwszego dnia. Odwróciłem się w jego stronę: „Henry, co robiłeś tamtej nocy nad rzeką?”. Nagle spoważniał. Wcześniej ani razu nie widziałem go z takim wyrazem twarzy.

„To nie honor porywać śpiące dzieci z łóżek”, odparł. „Ani żywić się niewinnymi. Przekazałem ci wiedzę niezbędną do ukarania tych, którzy tak postępują. Z czasem otrzymasz ode mnie ich nazwiska”.

Po tych słowach odwrócił się i poszedł w stronę chaty.

„Nie oceniaj nas podług jednej miary, Abrahamie. Może i wszyscy zasługujemy na piekło, ale niektórzy z nas powinni trafić tam wcześniej niż inni”.

CZTERY

Nieznośna prawda

Prędzej władca wszystkich Rosjan odda koronę i ogłosi poddanych wolnymi republikanami, aniżeli amerykańscy panowie dobrowolnie zrzekną się swych niewolników.

Abraham Lincoln w liście do George'a Robertsona,
15 sierpnia 1855

I

Moja kochana siostra odeszła...

W 1826 roku Sarah Lincoln wyszła za sąsiada z Little Pigeon Creek, Aarona Grigsby'ego, starszego od niej o sześć lat. Młoda para zamieszkała w chacie nieopodal obydwu swoich rodzin i po dziewięciu miesiącach ogłosiła, że spodziewa się dziecka. Poród nastąpił 20 stycznia 1828 roku i niemal natychmiast Sarah zaczęła tracić dużo krwi. Zamiast wezwać lekarza, Aaron postanowił sam odebrać dziecko, gdyż bał się zostawić żonę bez opieki. Kiedy wreszcie zrozumiał powagę sytuacji i pobiegł po pomoc, było już za późno.

Sarah miała dwadzieścia lat. Została pochowana razem z martwym

niemowlęciem na cmentarzu przy kościele baptystów. Na wieść o wszystkim Abe rozplakał się jak dziecko. Czuł się, jakby znów stracił matkę. Gdy poznał szczegóły i dowiedział się o niezdecydowaniu szwagra, jego smutek zamienił się w gniew.

Beznadziejny sukinsyn patrzył na nią, jak leży i umiera.
Nigdy mu tego nie wybaczę.

Owo „nigdy” nie trwało zbyt długo, ponieważ Aaron Grigsby zmarł w 1831 roku.

Do dnia, w którym ukończył dziewiętnaście lat, Abraham Lincoln zdążył pokryć atramentem każdy centymetr każdej strony swojego dziennika, pisząc pod koniec coraz mniejszymi literami. Książeczka zawierała niesamowite zapiski z siedmiu lat, przemyślenia o pogardzie dla ojca, o nienawiści do wampirów. A także relacje z wczesnych starć z żywymi trupami.

Między kartkami znajdowało też szesnaście listów. Pierwszy z nich dotarł do Abe'a zaledwie w miesiąc po tym, jak opuścił on chatę Henry'ego, by wrócić do Little Pigeon Creek.

Drogi Abrahamie,
mam nadzieję, że jesteś w dobrym zdrowiu. Poniżej znajdziesz nazwisko kogoś, kto zasługuje na szybką wizytę w piekle. Odnajdziesz go w miasteczku Rising Sun, trzy dni drogi w górę rzeki od Louisville. Nie odbieraj mojego listu jako zachęty do działania. Wybór należy do ciebie, jak zawsze.

Chcę jedynie dać ci sposobność do kontynuowania nauki i umożliwić odrobinę wytchnienia od zadanej ci niesprawiedliwości. Nie wątpię, iż sam będziesz szukał zadośćuczynienia za doznane krzywdy.

Poniżej widniały słowa „Silas Williams, szewc”. List podpisany był jedynie literą H. Abe wyruszył do Rising Sun tydzień później. Ojcu powiedział, że jedzie do Louisville szukać pracy.

Spodziewałem się miasta przejętego falą tajemniczych zniknięć lub dziesiątkowanego przez nieznaną zarazę. Jego mieszkańcy byli jednak w doskonałych nastrojach, wszyscy zdawali się żyć w zdrowiu. Chodziłem wśród nich, kryjąc broń pod długim płaszczem, sądziłem bowiem, że widok wysokiego nieznanomego z toporem w dłoni mógłby wywołać niepokój. Wykorzystałem uprzejmość jednego z przechodniów i zapytałem, gdzie znajdę najbliższy zakład szewski, jako że mocno już zużyłem swoje buty. Człowiek ten wskazał mi drogę do skromnego warsztatu położonego zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej. Wszedłem do środka i ujrzałem brodatego mężczyznę w okularach, pogrążonego w pracy. Na ścianach jego zakładu wisały znoszone i rozczłonkowane buty. Właściciel był drobnym człowiekiem w wieku trzydziestu kilku lat. „Silas Williams?”, spytałem.

„Słucham pana”.

Odrąbałem mu głowę toporem i wyszedłem na ulicę.

Gdy upadała na podłogę, jego oczy były tak czarne jak buty, które przed chwilą polerował. Nie mam najmniejszego

pojęcia, jakich zbrodni się dopuścił, i zupełnie mnie to nie interesowało. Obchodziło mnie jedynie, iż tego dnia na świecie było o jednego wampira mniej. Owszem, to dziwne, że zawdzięczam ten fakt wampirowi. Jednakowoż od dawna wiadomo, że wróg mojego wroga jest moim przyjacielem.

Przez następne trzy lata do Little Pigeon Creek dotarło jeszcze piętnaście listów – każdy jedynie z imieniem, nazwiskiem, nazwą miejscowości, podpisane literą „H”.

Zdarzało się, że przez dwa miesiące otrzymywałem sporo listów. Bywało też, że przez trzy nie doszedł ani jeden. Bez względu na to, kiedy je dostawałem, wyruszałem, gdy tylko pozwalała mi na to praca. Z każdej wyprawy wynosiłem nową naukę. Zyskiwałem nowe umiejętności, usprawniałem narzędzia. Niektóre przypadki były łatwe niczym dekapitacja Silasa Williamsa. Kiedy indziej musiałem godzinami czatować lub udawać ofiarę, by w chwili ataku wampira nagle odwrócić sytuację na swoją korzyść. Czasem podróż trwała jeden dzień lub krócej, ale bywało, że jechałem aż do Fort Wayne albo Nashville.

Bez względu na to, jak daleka czekała go podróż, Abe zawsze brał ze sobą ten sam sprzęt.

Pakowałem tyle jedzenia, ile się dało, oraz patelnię do smażenia wieprzowiny i czajnik do gotowania wody. Zawijałem je w płaszcz, który krawcowa po raz kolejny

ulepszyła przez wyprucie z niego wewnętrznych kieszeni, a na ich miejsce wszycie grubej, skórzanej podszewki. Pakunek przywiązałem do rękojeści topora, który regularnie ostrzyłem, by móc nim golić wąsy. Arsenał poszerzyłem o kuszę własnej roboty, skonstruowaną według ilustracji z pożyczonego egzemplarza *Broni taborytów*. Ćwiczyłem posługiwanie się nią, gdy tylko miałem na to czas, ale nie śmiałem jeszcze używać jej w walce.

Podczas gdy zabijanie wampirów dawało Abe'owi sporą dawkę mściwej satysfakcji, to nie zapewniało mu żadnych zarobków. Tymczasem jako młody mężczyzna był odpowiedzialny za utrzymanie rodziny. Zgodnie z panującym wówczas zwyczajem wszelkie jego zarobki stanowiły własność ojca, aż do dnia dwudziestych pierwszych urodzin. Jak nietrudno sobie wyobrazić, Abrahamowi nie podobał się ten stan rzeczy.

Nie wyobrażałem sobie przekazywania pieniędzy takiemu człowiekowi! Moja praca miałaby wynagradzać jego bezczynność? Moje działania przynosić korzyść komuś tak niezaradnemu? Tak samolubnemu i tchórzliwemu? Toż to nic innego, jak zakontraktowana niewola!

Abe zawsze szukał pracy, czy to przy wycince drzew, przy transporcie zboża, czy przeprowadzaniu pasażerów przez Ohio na barce, którą sam wybudował⁹. Na początku maja 1828 roku, gdy chłopak nadal dochodził do siebie po śmierci siostry, dla odmiany to praca poszukała jego. W dodatku miała na zawsze odmienić jego życie.

James Gentry był właścicielem jednego z największych i najbardziej dochodowych gospodarstw rolnych w Little Pigeon Creek. Przez większą część dekady był znajomym Thomasa Lincolna, lecz różnił się od niego niemal pod każdym względem. Abe, rzecz jasna, darzył go za to wielkim szacunkiem. Gentry też polubił wysokiego, ambitnego i skromnego chłopaka Lincolnów. Jego własny syn, Allen, był o kilka lat starszy od Abe'a, ale nieco mniej dojrzały. Przedsiębiorczy farmer chciał rozszerzyć swoją działalność (i pomnożyć zyski), poprzez sprzedaż kukurydzy i bekonu w Missisipi, gdzie królowały cukier i bawełna, lecz innych towarów brakowało.

Pan Gentry zapytał, czy nie zechciałbym pomóc Allenowi wybudować i prowadzić rzeką barki z jego towarami. Miałbym podróżować do Missisipi, by tam sprzedawać kukurydzę, wieprzowinę i inne suszone produkty. Proponował mi osiem dolarów miesięcznie oraz opłacenie powrotnej podróży parowcem z Nowego Orleanu.

Prawdopodobnie Abe przyjąłby propozycję Gentry'ego nawet bez obietnicy zapłaty. Była to szansa na ucieczkę. Okazja do przeżycia przygód.

Zaprzął swój topór (i, gwoli sprawiedliwości, swoje umiejętności ciesielskie, które przekazał mu ojciec) do pracy przy budowie solidnej, dwunastometrowej barki z drewna dębowego, ciosając deski i mocując je do szkieletu drewnianymi kołkami. Na środku pokładu wybudował kabinę, dostatecznie wysoką, by móc w niej stać na wyprostowanych nogach, bez obawy, że uderzy głową w sufit. Wewnątrz zainstalował dwie koje, niewielki piecyk, lampion oraz

cztery okna, które można było zamknąć „na wypadek ataku”. Wreszcie pokrył łączenia pakiem¹⁰ i skonstruował wiosło sterujące¹¹.

Może zabrzmiało to nader pyszałkowato, ale moja praca dała całkiem niezły efekt, zwłaszcza że była to moja pierwsza barka. Nawet gdy załadowaliśmy ją dziesięcioma tonami towaru, zwiększyła zanurzenie ledwie o pół metra.

Allen i Abe wyruszyli obładowaną barką 23 maja w podróż, która miała liczyć półtora tysiąca kilometrów. Dla Abe'a stanowiła pierwszą wyprawę na dalekie południe.

Walczyliśmy z wiatrem i prądami rzecznyymi, nieustannie pilnując kierunku. Wielokrotnie musieliśmy uwalniać naszą skromną łajbę z mułu i wodorostów, gdy grzęzła na mieliźnie. Napelnialiśmy brzuchy kukurydzą i wieprzowiną i praliśmy ubrania w Missisipi, ilekroć stawały się nieznośnie smrodliwe. Ciągnęło się to tygodniami. Czasem pokonywaliśmy nawet sto kilometrów dziennie. Niekiedy pięćdziesiąt lub nawet mniej.

Młodzi chłopcy aż krzyczeli z ekscytacji, gdy mijali się z parowcami, tymi cudownymi, lśniącoymi w słońcu tylnokołowcami, dyszącymi i chlupoczącymi, płynącymi niezmordowanie pod prąd. Podniecenie wzbierało w Allenie i Abrahamie już na widok dymu na horyzoncie, po czym wzmagąło się aż do momentu minięcia, kiedy wykrzykiwali na cały głos pozdrowienia dla pasażerów i członków załogi.

Ogłuszający dźwięk silników i przetaczanej wody. Czarny dym unoszący się z komina i biała para z rur. Statek, który mógł przewieźć człowieka z Nowego Orleanu do Louisville w niecałe dwadzieścia pięć dni. Czyż istnieją granice ludzkiej pomysłowości?

Gdy ekscytacja mijała, potrafili przebyć wiele mil bez słowa.

Był to rodzaj spokoju, jakiego później już prawie nigdy nie zaznałem. Jakbyśmy byli jedynymi dwiema osobami na ziemi, a całą naturę stworzono wyłącznie dla naszej przyjemności. Zastanawiałem się, dlaczego Stwórca, który wymyślił takie piękno, pokalał je takim złem. Takim smutkiem. Czemu nie zostawił go nietkniętym. Do dziś tego nie pojmuję.

Gdy słońce znikało z oczu, Allen i Abe szukali dogodnego miejsca do zacumowania barki, najlepiej w pobliżu miasta. Pewnego wieczoru, kiedy dopiero co minęli Baton Rouge, Lincoln i Gentry dobili do plantacji Duchesne i przywiązali łódź do drzewa. Jak to było w ich zwyczaju, przyrządzili ciepłą kolację, sprawdzili mocowanie cum i położyli się do łóżek. W kabinie czytali lub rozmawiali, aż ich powieki stały się ciężkie. Wtedy zgasili lampę i zasnęli w absolutnej ciemności.

Obudziłem się ze strachem i chwyciłem za kij, który trzymałem przy łóżku. Skacząc na równe nogi, zobaczyłem w drzwiach dwie sylwetki. Wyglądali na zaskoczonych moim wzrostem, a jeszcze bardziej wściekłością, z jaką zdzieliłem ich

po głowach pałąką. Wygoniłem ich na pokład (sam wałęsając głową w poprzecznice), gdzie księżyc oświetlił ich w całej okazałości. Byli to czarni, w sumie siedmiu. Pozostałych pięciu siłowało się z cumą, aby odwiązać barkę od drzewa. „Wynocha, łobuzy!”, zawyłem. „Bo rozłupię wam czaszki!” By pokazać im, że nie żartuję, zdzieliłem jednego po żebrach i uniosłem kij, by uderzyć następnego. Okazało się to niepotrzebne. Czarni uciekli. Gdy zeskakiwali z łodzi, na kostkach jednego z nich zauważyłem parę zerwanych kajdan i momentalnie zrozumiałem, z kim miałem do czynienia. Nie byli to zwykli złodzieje, lecz niewolnicy. Prawdopodobnie zbiegli z tej plantacji i chcieli zgubić tropiące ich psy, płynąc dalej naszą łodzią.

Słyszając zamieszanie, Gentry się obudził i pomógł Abe'owi przegonić resztę niewolników w głąb lasu. Przekonani, że intruzi nie wrócą, odwiązali cumy i zaryzykowali popłynięcie rzeką w nocy.

Wyruszyliśmy. Allen stał na dziobie z lampą, mrużąc oczy, a ja trzymałem ster, siedząc na dachu kabiny, i próbowałem płynąć samym środkiem rzeki. Coś kazało mi się odwrócić i ostatni raz spojrzeć na brzeg, a gdy to zrobiłem, ujrzałem sylwetkę białego człowieka, który pędził od strony plantacji ku rzece. Musiał to być pierwszy z nadzorców, nadbiegał, by złapać niewolników. Tyle że ten mężczyzna, ten drobny człowiek, nie zatrzymał się na brzegu, lecz przeskoczył przez rzekę jednym nieprawdopodobnym susem. Czarni nie uciekali przez ludźmi ani przed psami.

Uciekali przed wampirem.

Przez chwilę rozważałem zatrzymanie się na błotnistym brzegu, zabranie pakunku, który ukrywałem pod koją, i rzucenie się w pościg. Nie wiem już, czy uznałem swoje szanse za nikłe, czy też ofiarę za niewartą wysiłku. Mogę powiedzieć tylko tyle, że nie zatrzymałem barki. Tymczasem Allen zdał sobie sprawę, że o mały włos nie został zamordowany, więc wyrzucił z siebie wiązaną takich przekleństw, jakich nigdy nie słyszałem, a niektórych nie byłem nawet w stanie zrozumieć. Pluł sobie w brodę, że nie zabrał muszkietu, i posyłał do diabła „tych bezwzględnych sukinsynów”. Ja milczałem, skupiony na zachowaniu kursu środkiem rzeki. Nie potrafiłem zniechęcić naszych napastników, gdyż rozumiałem, że próbowali po prostu uratować swoje życie. Dlatego uznali, iż muszą pozbawić mnie mojego. Allen dalej krzyczał. Coś o „żałosnych czarnych”, takich czy owakich.

„Nie oceniaj wszystkich jedną miarą”, powiedziałem.

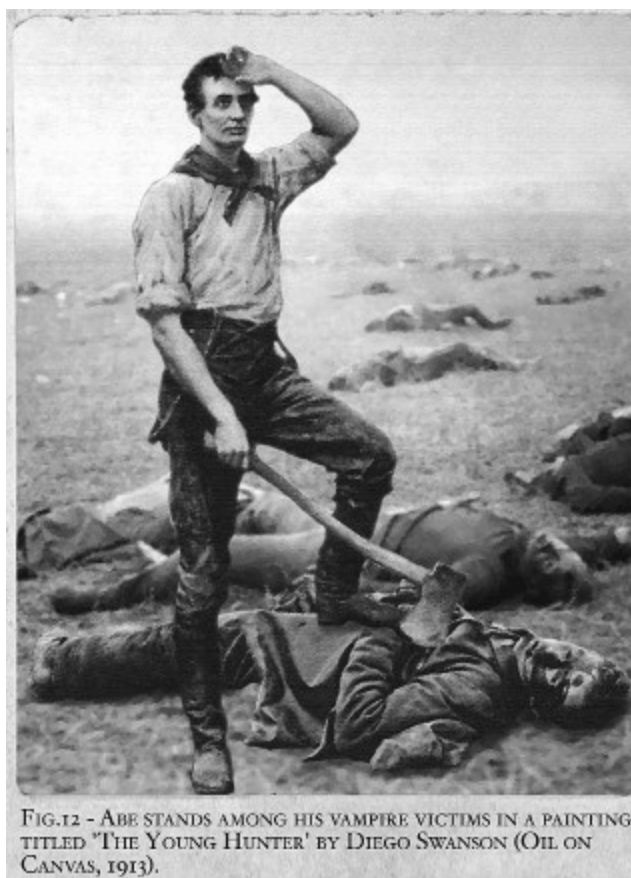


FIG.12 - ABE STANDS AMONG HIS VAMPIRE VICTIMS IN A PAINTING TITLED 'THE YOUNG HUNTER' BY DIEGO SWANSON (OIL ON CANVAS, 1913).

RYS. 12 – ABE STOI POŚRÓD ZABITYCH PRZEZ SIEBIE WAMPIRÓW. OBRAZ ZATYTUŁOWANY MŁODY ŁOWCZY NAMALOWANY PRZEZ DIEGO SWANSONA (FARBY OLEJNE NA PŁÓTNIE, 1913).

II

Allen i Abe lawirowali po coraz ciaśniejszych zakrętach Missisipi, aż dotarli do Nowego Orleanu w południe 20 czerwca. Zacumowali w centrum miasta, gdzie na każdym kroku otwierała się przed nimi możliwość sprzedania towarów (i barki na drewno). Przywitał ich lekki deszcz, dając ulgę po natrętnej wilgoci, która dręczyła ich przez większą część podróży.

Najpierw zobaczyliśmy północną część miasta, rozległą i tętniącą życiem. Farmy zamieniały się w domy, domy w ulice, a ulice w dwupiętrowe kamienice z żelaznymi balustradami na balkonach. Ileż statków żaglowych! Ileż parowców! Setki barek rzecznych walczących o miejsce w nurcie wielkiej rzeki.

Nowy Orlean był czterdziestotysięcznym miastem, południową bramą do świata. Przechadzając się po tamtejszych kejach, nietrudno było spotkać żeglarzy ze wszystkich zakątków Europy i Ameryki Południowej, a nawet z Orientu.

Chcieliśmy jak najszybciej pozbyć się towaru. Jakże pragnęliśmy zwiedzić to miasto niezliczonych cudów! Przepęniało mnie zdumienie, gdyż nigdy jeszcze nie widziałem takiej różnorodności – mowa mieszkańców ociekała francuskimi i hiszpańskimi frazami. Damy owinięte w najmodniejsze stroje, a panowie ubrani od stóp do głów w garnitury najznamienitszej jakości. Ulice tłoczne końmi i furmankami, kupcy oferujący wszystko, co tylko można sobie wyobrazić. Poszliśmy na spacer po rue de Chartres, a tam odjęła nam mowę Bazylika św. Ludwika na placu Jacksona, nazwanym tak na cześć heroicznej obrony miasta przez naszego prezydenta. Grupki mężczyzn i osłów kopały rowy pod rury gazowe. Jeden z robotników śpiewał dumnie, że gdy ich praca dobiegnie końca, miasto „załśni niczym klejnot w nocy i nie będzie potrzebowało pomocy od świateł pochodni”.

Abe był pod wielkim wrażeniem energii pulsującej w mieście i w ludziach. Zadziwiał go też wiek otaczających go budynków.

Wyobraziłem sobie, że zostałem przeniesiony do tych miejsc w Europie, o których tyle czytałem. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem domy ze ścianami porośniętymi bluszczem. Tutaj mieszkali uczeni, architekci i artyści. Tutaj stały ogromne biblioteki wypełnione żądnymi wiedzy uczniami i wspierającymi ich patronami. Tutaj było wszystko to, czego nie zrozumiąłby mój ojciec.

Pensjonat Marii Laveau przy St. Claude Street nie należał do najokazalszych spośród stylizowanych na hiszpańskie budynków w mieście, ale był w sam raz dla dwóch chłopaków z Indiany, którzy szukali dachu nad głową na tydzień.

Nieopodal mieściła się knajpa, gdzie można się było napić rumu, wina bądź whisky. Z kieszeniami napełnionymi gotówką po sprzedaży towaru i barki i z sercami napełnionymi radością po wpłynięciu do takiego miasta, zasmakowaliśmy w tych trunkach – przyznam, że bardziej, niż przystało dwóm młodym, niezbyt mądrym mężczyznom. Lokal wypełniony żeglarzami z najróżniejszych zakątków świata i operatorami barek rzecznych z każdego miasteczka w Missisipi, Ohio i Sangamon pękał w szwach. Co trzy minuty wybuchała jakaś kłótnia. Aż cud, że nie częściej.

Opryskliwi marynarze nie byli jedynymi osobliwymi postaciami napotkanymi przez Abe'a w ciągu pierwszej doby spędzonej w Nowym Orleanie. Nazajutrz, gdy przechadzali się z Allenem w poszukiwaniu strawnego śniadania, trzymając się za głowy i osłaniając oczy przed słońcem, Abe dostrzegł coś niewiarygodnego, co jechało w ich stronę od Bienville Street.

...lśniący bielą dyliżans, ciągnięty przez dwa białe konie i powożony przez chłopca w płaszczu o tym samym kolorze. Za jego plecami siedzieli dwaj mężczyźni. Jeden cherubinkowy z czerwonymi policzkami, ubrany w niezbyt atrakcyjny, zielonoszary garnitur. Strój drugiego uszyty był z białego jedwabiu, przez to idealnie pasował do jego jasnej cery i długich białych włosów. Oczy miał schowane za czarnymi okularami. Chyba nigdy wcześniej nie spotkałem się z bardziej oczywistym przykładem wampira, w dodatku, wszystko na to wskazywało, był to najzamożniejszy wampir, jakiego dane mi było zobaczyć. Elegancki i wytworny. Otoczony wyjątkowo pozytywną aurą. Obracający się swobodnie pośród ludzi. I roześmiany. On i żywy dżentelmen zdawali się pochłonięci radosną rozmową. Ja myślałem wyłącznie o wbiciu mu kołka w serce. O odrąbaniu mu głowy. O tym, jak jego krew wyglądałaby na białym jedwabiu jego surduta. Niestety mogłem tylko patrzeć, gdyż nie miałem przy sobie broni, w dodatku dręczył mnie ból głowy. Białowłosy wampir rzucił mi wymowne spojrzenie, gdy dyliżans przejeżdżał obok nas. Wtedy doznałem przedziwnego uczucia... Uczucia, że wścibskie oczy czytają mój dziennik.

Usłyszałem głos...

Nie oceniaj nas jedną miarą, Abrahamie.

Dyżans skręcił w Dauphine Street i zniknął mi z oczu. Uczucie, że wścibskie oczy czytają moje zapiski, pozostało. Tym razem jednak jego źródło było aż nadto oczywiste. Dostrzegłem bladego, niedużego jegomościa po drugiej stronie ulicy. Chowając się w alejce, wyraźnie mi się przypatrywał. Ubrany był na czarno i taką samą miał czuprynę. Do tego rzadki wąsik i ciemne okulary. Niewątpliwie wampir. Kiedy się zorientował, iż został zauważony, odwrócił się i zniknął w alejce. Nie mogłem tego nie zbadać! Do diabła z bólem głowy! Zostawiłem przyjaciela samego i rzuciłem się w pogoń za obcym; biegłem za nim po Conti Street, potem przez Basin Street, gdzie ten mały demon schronił się za murami cmentarza¹². Dzieliło mnie od niego ledwie dziesięć kroków, ale kiedy dotarłem do bramy, nigdzie go nie zauważyłem. Zapadł się pod ziemię. Zniknął w labiryncie krypt. Pomyślałem, że może wskoczył do jednej z nich. Zastanawiałem się też, ilu wampirów było...

„I cóż, dobry panie, zamierzasz, tak za mną gonić?”

Odwróciłem się i uniosłem pięści. Stał za mną, oparty plecami o mur cmentarza, przebiegły diabeł. Gapił się na mnie, trzymając okulary w dłoni. Miał zmęczone oczy i wysokie czoło.

„Goniąc, sir?”, odparłem. „Cóż pan zamierzał, uciekając?”

„Cóż, sposób, w jaki osłaniał pan oczy przed słońcem...

wymowne spojrzenie, które wymieniliście z dżentelmenem w dyliżansie... Wziąłem pana za wampira”.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom.

„A pan uznał, że ja jestem wampirem?”, spytał.
„Przecież...”

Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Spojrzał na swoje okulary i dostrzegł powagę w oczach postawnego, obcego mężczyzny. W końcu się roześmiał.

„Zdaje się, że obaj popełniliśmy zasadniczy błąd w ocenie”.

„Proszę wybaczyć, ale czy mam rozumieć, że nie jest pan wampirem?”.

„Niestety nie”, odparł, śmiejąc się. „W przeciwnym razie nie miałbym zadyszki”.

Przeprosiłem go i wyciągnąłem dłoń.

„Abe Lincoln”. Drobnego jegomościa podała mi swoją.

„Edgar Poe”.

III

Abraham Lincoln i Edgar Allan Poe urodzili się prawie w tym samym czasie, dzieliło ich zaledwie kilka tygodni. Obydwaj stracili matki, gdy byli dziećmi. Pod każdym innym względem ich dojrzewanie wyglądało zupełnie inaczej.

Po śmierci matki Poe'go przygarnął bogaty kupiec John Allan (który, oprócz sprzedaży innych towarów, handlował niewolnikami). Wyrwany z rodzinnego Bostonu, Edgar trafił do najlepszych szkół Anglii, gdzie zdobył gruntowne wykształcenie. Na własne oczy widział cuda Europy, o których Abe tylko czytał w książkach. Mniej

więcej wtedy, kiedy Abraham przysięgał zemstę wampirom i przebijał kołkiem serce Jacka Bartsa, Edgar Allan Poe wrócił do Ameryki, osiadł z przybranym ojcem w Wirginii i cieszył się wszelkim luksusem, jaki wiązał się z przynależnością do jednej z najzamożniejszych rodzin w stanie. Poe miał wszystko, o czym marzył Abe. Najlepsze wykształcenie. Najlepsze domy. Niezliczone książki. Ojca, któremu nie brakowało ambicji.

Jednak, podobnie jak Abe, był nieszczęśliwy.

Na pierwszym roku studiów, na Uniwersytecie Wirginii, Poe przepijał i przepuszczał w karty każdą kwotę, jaką wysyłał mu ojciec, aż w końcu John Allan zakręcił kurek z pieniędzmi. Rozwścieczony i porzucony, Poe wyjechał z Wirginii do Bostonu, gdzie zaciągnął się do wojska pod nazwiskiem Edgar A. Perry. Za dnia łądował pociski artyleryjskie, a nocami pisał przy świecy coraz posępniejsze opowiadania i wiersze. Właśnie tutaj, stacjonując w mieście, w którym się urodził, Edgar Allan Poe spotkał swojego pierwszego wampira.

Własnym sumptem Poe opublikował krótki zbiór wierszy, dając na okładce jedynie miano „Bostończyk” (ponieważ bał się docinków ze strony innych żołnierzy). Spośród pięćdziesięciu wydrukowanych egzemplarzy sprzedało się mniej niż dwadzieścia. Pomimo nikłego zainteresowania, pewien czytelnik dostrzegł w poezji Poego wyjątkowy geniusz i przekupił drukarza, by poznać prawdziwą tożsamość autora. „Niedługo potem odwiedził mnie niejaki Guy de Vere, wdowiec z okazałym majątkiem. Wyjaśnił, w jaki sposób poznał moje nazwisko, i powiedział, że moja poezja zrobiła na

nim niemałe wrażenie. Następnie zapytał, co wampir robi w wojsku”.

Guy de Vere był przekonany, że tylko wampir jest zdolny pisać wiersze zawierające podobne przemyślenia na temat śmierci i żalu. Wiersze o tak mrocznym gatunku piękna.

„Zdziwiło go więc, iż twórcą ich okazał się żywy człowiek. Mnie natomiast zdziwiło, że rozmawiam z człowiekiem, który żywy nie jest”.

Poe był bez reszty zafascynowany dostojnym, krwiożerczym de Verem, a de Vere – posepnym, genialnym Poem. Zrodziła się między nimi subtelna przyjaźń, podobna do tej, jaka połączyła Henry’ego i Abe’a. Tyle że Poe nie interesował się wampirami, by móc je lepiej tropić. Chciał wiedzieć, jak to jest żyć w mroku i poruszać się poza śmiercią, by móc lepiej o tym pisać. De Vere ochoczo mu w tym pomagał, rozumiejąc, że jego tożsamość nigdy nie zostanie ujawniona w druku¹³.

Kilka miesięcy po zaprzyjaźnieniu się z de Verem, Poe wyruszył ze swoim oddziałem do Fortu Moultrie w Karolinie Południowej. Oderwany od kultury i pozbawiony możliwości zgłębiania wiedzy o wampirach, nagle poczuł się w wojsku jak więzień.

W związku z tym postanowił udzielić sobie „nieoficjalnej przepustki” i przybył do Nowego Orleanu, by „badać wampiry”, jako że de Vere twierdził, iż „w całej Ameryce nie ma do tego lepszego miejsca”. Sądząc po ilości wypijanej

whisky, przyjechał tu też po to, by zapić się na śmierć. Tamtego wieczoru usiedliśmy przy stoliku w knajpie nieopodal pensjonatu pani Laveau. Allen Gentry poszedł „zadawać się z panienkami pewnego sortu”, dzięki czemu mogliśmy oddać się rozmowie na temat, który najbardziej nas zajmował, a którego nie mogliśmy poruszać swobodnie. Gawędziliśmy do późnych godzin nocnych, dzieląc się wszystkim, co przeczytaliśmy o wampirach, co o nich słyszeliśmy i co wiedzieliśmy z własnego doświadczenia.

– Jak zatem uczą się zdobywać pożywienie? – zapytał Abe, gdy barman zaczął zamiatać podłogę. – Skąd wiedzą, że należy unikać słoń...

– A skąd ciębie wie, jak stanąć na nogi? Skąd wiedza pszczoły o budowie ula?

Poe wziął kolejny łyk.

– Taka ich natura, piękna i prosta. Twoja chęć niszczenia tych istot, tak znacznie od nas lepszych, wydaje mi się szalona.

– Mnie szalony wydaje się szacunek w twoim głosie, gdy o nich mówisz.

– Czy możesz to sobie wyobrazić: patrzenie na świat takimi oczyma? Śmianie się w twarz czasowi i śmierci? Życie niczym w rajskim ogrodzie? Cały świat twoją biblioteką, twoim haremem?

– Owszem. Potrafię sobie również wyobrazić pragnienie towarzystwa i wytchnienia.

– A ja wyobrażam sobie niepragnienie niczego! Pomyśl tylko, jaką fortunę można zgromadzić, na jakie wygody sobie pozwalać, jakie cuda tego świata oglądać, gdy tylko się tego zechce!

– A gdy to oszołomienie minie, gdy zaspokoisz każde pragnienie i poznasz każdy język, gdy nie zostanie już żadne miasto do zwiedzania, żadne dzieło do przeczytania i gdy w szkatułach nie będzie już miejsca na żadną monetę, co wtedy? Możesz mieć wszelkie wygody tego świata, lecz co ci po nich, jeśli w duszy nie zaznasz spokoju?

Abe podzielił się z Edgarem ludową opowieścią, którą pierwszy raz usłyszał jeszcze na szlaku Old Cumberland.

Był kiedyś mężczyzna, który pragnął żyć wiecznie. Już za młodu modlił się do Boga, by ten uczynił go nieśmiertelnym. Był szczodry i szczery, uczciwie prowadził interesy, pozostawał wierny żonie i dobrze traktował swoje dzieci. Posłuszny Bogu, głosił Jego słowo przed każdym, kto chciał słuchać. Mimo to co roku stawał się starszy, a w końcu umarł jako stary, kruchy człowiek. Gdy znalazł się u wrót nieba, zapytał: „Panie, czemu nie usłuchałeś moich próśb? Czyż nie żyłem w zgodzie z Twoim słowem? Czyż nie głosiłem go przed innymi?”. Na to Bóg odparł: „Wszystko to prawda i dlatego nie przekląłem cię, spełniając twe życzenie”.

– Mówisz o życiu wiecznym. O zaspokajaniu umysłu i ciała – powiedział Abe. – A co z duszą?

– A na co dusza istocie, która nigdy nie umrze?

Abe mimowolnie się uśmiechnął. Oto siedział naprzeciwko dziwnego, drobnego mężczyzny o ekscentrycznym spojrzeniu na świat. To był dopiero drugi żywy człowiek, jakiego znał, który wiedział o istnieniu wampirów. Za dużo pił i mówił irytującym,

piskliwym głosem. Trudno było go nie lubić.

– Zaczynam podejrzewać – odparł Abe – że chciałbyś być jednym z nich.

Poe się zaśmiał.

– Czyż nasze życie już i tak nie jest zbyt długie i ponure? – zapytał.

– Któż by chciał je dobrowolnie przedłużyć?

IV

Po południu następnego dnia, 22 czerwca, Abe szedł sam po St. Philip Street. Allen Gentry nie wrócił na noc ze swojej grzesznej eskapady, a Poe zataczając się, wrócił o świcie do swojego pensjonatu. Po przespaniu pół dnia Abe postanowił zażyć świeżego powietrza. Spacer był niezbędny, by przegonić mgłę z głowy i gorzki smak z ust.

Zbliżając się do rzeki, ujrzałem na ulicy wielkie zamieszanie. Spory tłum zebrał się wokół podestu udekorowanego na biało, czerwono i niebiesko. Nad tą prowizoryczną sceną powiewał żółty transparent z napisem: „Aukcja niewolników! Dzisiaj o pierwszej!”. Przed platformą tłoczyło się ponad stu mężczyzn. Nieco dalej krążyło ponad dwa razy tyle czarnych. Potencjalni kupcy przechadzali się między zebranymi, napęłniając powietrze dymem z fajek. Co jakiś czas w harmidrze dawał się słyszeć ich śmiech. Trzymali w gotowości ołówki i kartki papieru, gdyż zbliżała się wyznaczona godzina. Po chwili pojawił się licytator, mężczyzna o posturze i barwie skóry identycznej jak u świni, i odezwał się tymi słowy: „Szanowni panowie, z przyjemnością

przedstawiam wam pierwszą grupę”. Na platformę wszedł pierwszy Murzyn, na oko trzydziestopięcioletni. Nisko się pokłonił i stał uśmiechnięty w źle skrojonym ubraniu (które wyglądało, jakby było kupione specjalnie na tę okazję). „Prawdziwy byk o imieniu Cuff! Wciąż w kwiecie wieku! Lepszej pomocy do pracy na polu nie znajdziecie. No i z pewnością spłodzi wielu synów o plecach równie mocnych jak jego!”. Kiedy zobaczyłem w oczach tego „byka” gorącą nadzieję na znalezienie kupca i patrzyłem, jak stoi uśmiechnięty i się kłania, podczas gdy licytator wymienia jego liczne zalety, poczułem litość i wstręt. Reszta jego życia... wszystkie przyszłe pokolenia jego potomków. Wszystko to na łasce tej właśnie chwili. Wszystko w rękach człowieka, którego nigdy nie pozna, a który zgodzi się zapłacić za niego najwyższą cenę.

W ciągu dwóch dni planowano zlicytować ponad dwustu niewolników. Przez tydzień przed aukcją przetrzymywano ich w dwóch stodołach, gdzie potencjalni kupcy mogli się im swobodnie przyglądać.

Badali ich w sposób inwazyjny, uwłaczający godności. Mężczyznom, kobietom i dzieciom kazano stawać przed obcymi ludźmi, którzy oglądali ich mięśnie, otwierali im usta i sprawdzali uzębienie. Czarni musieli chodzić, zginać się i nosić przedmioty, aby udowodnić, że nie ukrywają jakichś schorzeń. Kazano im wymieniać swoje zalety i tym samym windować cenę.

Było to sprzeczne z ich interesem, ponieważ im wyższą cenę¹⁴ uzyskaliby za nich sprzedający, tym mniejsze mieli szanse na uzbieranie kiedyś dostatecznej ilości pieniędzy, by wykupić wolność od życzliwego właściciela.

I jakież to spektakl! Mężczyźni i kobiety! Dzieci i niemowlęta, wszyscy pokazywani przed opryskliwym tłumem tak zwanych dżentelmenów! Widziałem ciemnoskórą dziewczynkę, trzy- lub czteroletnią, trzymającą się kurczowo swojej mamy, nierozumiejącą, czemu ubrano ją w taki strój, czemu dzień wcześniej porządnie ją wyszorowano i czemu teraz musi stać na tej platformie wśród mężczyzn, którzy wymachują kawałkami papieru i wykrzykują jakieś liczby. Znów nie mogłem zrozumieć, dlaczego Stwórca zdolny wymarzyć sobie takie piękno, splamił je tak jaskrawym złem.

Lincoln nie napisał w dzienniku, czy zdawał sobie sprawę z ironii kryjącej się w fakcie, iż przybył tu po to, by sprzedać towary tym samym właścicielom plantacji.

„A teraz, panowie, zwróćcie uwagę na zaiste doskonały okaz rodziny! Byk o imieniu Israel, z normalnymi zębami, lecz o niezwykłych rozmiarach ciała. Ani w tej, ani w żadnej innej gminie nie znajdziecie lepszego siewcy ryżu! Jego żona, Beatrice, ma ramiona i plecy siłą dorównujące męskim, a jednocześnie dłonie tak delikatne, że naprawią suknię waszej żony! Ich dzieci – chłopiec w wieku dziesięciu lub jedenastu

lat z pewnością stanie się równie silnym robotnikiem jak jego ojciec oraz czteroletnia dziewczynka o anielskiej buzi. Nigdzie nie znajdziecie lepszych okazów!”.

Każdy niewolnik z uwagą śledził swoją aukcję, obserwując niecierpliwie kupców wykrzykujących oferty. Jeśli dostawał się w ręce plantatora o dobrej reputacji lub tego, który wcześniej kupił już jego krewnych, wówczas schodził z platformy z wyrazem zadowolenia na twarzy, czasem wręcz z radością. Gdy jednak został sprzedany człowiekowi, który sprawiał wrażenie wyjątkowo okrutnego, lub gdy wiedział, że nigdy już nie zobaczy swoich bliskich, z jego oczu bił ból trudny do opisan.

Szczególnie jeden kupiec zwrócił moją uwagę – mężczyzna, którego portfel zdawał się nie mieć dna i którego zakupy sprawiały wrażenie nedorzecznych. Przybył na aukcję po jej rozpoczęciu (już to było nietypowe) i od razu kupił tuzin niewolników, nie zwracając najmniejszej uwagi na ich płeć, stan zdrowia czy umiejętności. Interesowały go niemal wyłącznie oferty, które licytator określał jako „okazyjne”. Jednak jego stosunek do licytacji był tylko jednym z powodów, dla których wydał mi się podejrzany. Był szczupłym mężczyzną w wytwornej marynarce do pasa, niższym ode mnie (choć i tak całkiem wysokim), z siwiejącą brodą skrywającą bliznę, która biegła przez całą długość twarzy – od lewego oka, przez usta, aż po podbródek. Miał parasolkę osłaniającą go przed promieniami słońca, a na nosie ciemne okulary. Jeśli nie był wampirem, to z pewnością

podziwiał ich styl. Co to mogło znaczyć? Po co kupił dwie starsze kobiety o podobnych umiejętnościach? I kulawego chłopca? Po co mu w ogóle było tylu niewolników?

Postanowiłem go śledzić, by znaleźć odpowiedzi na te pytania.

V

Dwanaścioro niewolników podążało boso na północ po krętej, błotnistej drodze wzdłuż rzeki. Byli wśród nich mężczyźni i kobiety, od czternastu do sześćdziesięciu sześciu lat. Niektórzy znali się od urodzenia, inni dopiero od kilku godzin. Każdy przewiązany był w pasie sznurem, który łączył go z pozostałymi. Konwój prowadził ich nowy pan z siwą brodą, a z tyłu pochód zamykał biały strażnik ze strzelbą gotową do strzału, gdyby ktoś spróbował uciec. Obydwaj mężczyźni jechali wygodnie na koniach. Abe starał się zachować bezpieczną odległość, śledząc ich ze skraju lasu.

Szedłem jakieś czterysta metrów za nimi. Dostatecznie blisko, by słyszeć pokrzykiwania nadzorcy, ale też na tyle daleko, by odgłosu moich kroków nie wyłapały uszy wampira.

Robiło się już ciemno, gdy dotarli do plantacji położonej dwanaście kilometrów na północ od miasta i półtora kilometra od wschodniego brzegu rzeki.

Wyglądała jak wszystkie plantacje, które widziałem wzdłuż Missisipi. Warsztat kowala, garbarnia, młyn zbożowy.

Magazyny, maszynownie, tkalnie, szopy, stajnie i około dwudziestu pięciu baraków dla niewolników, zbudowanych wokół domu plantatora. Były to jednoizbowe domki i w każdym mieszkał tuzin czarnych, którzy spali na ziemi lub na siennikach. Sosnowe pochodnie paliły się do późnych godzin nocnych, by kobiety mogły dokończyć wyszywanie kołder. W ciągu dnia otaczające mnie teraz ciemne pola miały wypełnić harmider i odgłosy pracy. Grupy liczące po stu mężczyzn będą kopać długie rowy, a kobiety pchać pługi w piekącym upale. Biali nadzorcy jeździć będą między nimi na koniach, wypatrując najmniejszych oznak nieposłuszeństwa, by karać za nie, chłoszcząc biedaków po plecach. W samym centrum posiadłości stał dom właściciela. Niewolnicy, których spotkało „szczęście” i zostali skierowani do służby w domu, nie harowali na polu, ale ich życie nie było wcale łatwe, bo im też groziły surowe kary za najdrobniejsze wykroczenia. W dodatku kobiety, stare i młode, spełniać musiały wszystkie najokropniejsze nawet życzenia swojego pana.

Abe nadal zachowywał bezpieczny dystans, gdy nowi niewolnicy byli prowadzeni obok głównego domu do dużej stodoły, oświetlonej w środku pochodniami i lampami naftowymi. Schowany za szopą jakieś dwadzieścia metrów dalej, dobrze widział wewnątrz przez otwarte drzwi.

Tutaj dołączył do nich wielki Murzyn (pan i nadzorca poszli już do domu). Trzymał on bat, którym smagał nowo przybyłych, ustawiając ich w szeregu na środku stodoły.

Następnie polecił im usiąść na ziemi, co uczynili, wciąż skrepowani sznurem. Wtedy w środku zjawiała się Mulatka z dużym koszem pod ręką, co tylko zwiększyło niepokój wśród niewolników, którzy z pewnością słyszeli opowieści o tym, że nowi właściciele wypalają znamiona na skórze. Na szczęście kosz był wypełniony jedzeniem, którym przybysze mieli się swobodnie częstować. Widziałem błysk w ich oczach na widok smażonej wieprzowiny i ciasta kukurydzianego, krowiego mleka i mnóstwa cukierków. Dostrzegłem na ich twarzach niezmierną ulgę, gdyż do tej chwili dręczyły ich obawy, jakie okrucieństwo ich czeka. W pośpiechu napełniali wygłodniałe brzuchy.

Abe'owi przyszło do głowy, że być może pośpieszył się z oceną. Henry udowodnił, iż istnieją wampiry zdolne okazywać dobro. Powściągliwe. Czyżby ci niewolnicy zostali doprowadzeni tu w celu uwolnienia? Może chociaż będą traktowani z elementarnym współczuciem?

Uczta trwała jakieś pół godziny, kiedy dostrzegłem grupę białych mężczyzn idących od domu w stronę stodoły. Było ich dziesięciu, w tym właściciel plantacji, którego śledziłem aż od Nowego Orleanu. Różnili się między sobą wyglądem, ale wszyscy sprawiali wrażenie zamożnych. Gdy dotarli do stodoły, wielki Murzyn ponownie strzelił z bicia i rozkazał niewolnikom wstać, a następnie rozwiązał krępujący ich sznur. Mulatka zabrała kosz i odeszła z widocznym pośpiechem.

Biali mężczyźni zebrali się przy wejściu, a jeden z nich

podał coś gospodarzowi (papiery, prawdopodobnie banknoty), po czym podszedł do szeregu niewolników. Przechadzał się tam i z powrotem, uważnie się im przyglądając, a gdy w końcu zdecydował się na starszą, najgrubszą kobietę, stanął za jej plecami i czekał, aż pozostali wybiorą swoich i jak on ulokują się za nimi. Żaden niewolnik nie ośmielił się odwrócić. Każdy stał ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Gdy dziewięciu czarnych miało już swoich kupców, wielki Murzyn wyprowadził pozostałych trzech na zewnątrz i pozwolił im zniknąć w ciemnościach. Nie potrafię powiedzieć, co spotkało te biedne istoty. Wiem tylko, jak wielki czułem lęk, gdy patrzyłem na ich sylwetki niknące w mroku. Coś miało się zaraz stać. Nie wiedziałem co, ale byłem pewien, że coś straszego.

Abe się nie mylił. Kiedy zwolnieni niewolnicy byli dostatecznie daleko, by go nie usłyszeć, gospodarz głośno zagwizdał. Na ten dźwięk dziewięć par oczu momentalnie poczerwiano, z dziewięciu ust wyłoniły się kły i dziewięcioro wampirów wbiło się w stojące przed nimi bezbronne ofiary.

Pierwszy wampir chwycił głowę grubej kobiety i wykręcił ją tak, że jej podbródek zetknął się z karkiem, a jego paskudna twarz była ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła przed śmiercią. Inna ofiara krzyczała i wiała się, czując kły wbijające się w jej bark. Im jednak silniej się wyrywała, tym rana stawała się głębsza i tym swobodniej jej krew płynęła do ust potwora. Widziałem głowę chłopca rozgniecioną, aż z otworu w czaszce wypłynął

mózg. Innemu mężczyźnie wampir całkiem oderwał głowę. Nie mogłem nic zrobić, by im pomóc. Nie wobec takiej przewagi liczebnej. Zwłaszcza że nie miałem broni. Właściciel plantacji powolnym ruchem zamknął drzwi stodoły, by stłumić odgłosy, jakie wydawali umierający, a ja rzuciłem się biegiem przez ciemny las z twarzą mokrą od łez. Czułem do siebie wstręt za swoją bezradność. Byłem zdruzgotany tym, co zobaczyłem. Ale jeszcze bardziej zniesmaczony prawdą, która zaczynała przybierać wyraźny kształt w moim umyśle. Prawdą, której wcześniej nie dostrzegałem.

Następnego dnia Abe kupił przy Dauphine Street notes oprawiony w czarną skórę. Pierwszy wpis, choć składał się z zaledwie piętnastu słów, stanowił niezwykle dosadny wyraz owej prawdy. Zarazem było to jedno z najważniejszych zdań, jakie kiedykolwiek napisał:

25 czerwca 1828

Tak długo, jak kraj ten dręczyć będzie przekleństwo niewolnictwa, tak długo nawiedzać go będą wampiry.

CZĘŚĆ II
ŁOWCA WAMPIRÓW

PIĘĆ New Salem

Jak może młody człowiek wznieść się na wyżyny? Musi doskonalić się pod każdym względem, ani przez chwilę nie podejrzewając, iż ktoś może chcieć mu w tym przeszkodzić.

Abraham Lincoln w liście do Williama Herndona,
10 lipca 1848

I

Abe dygotał.

Była przenikliwie zimna, lutowa noc i już prawie dwie godziny czekał, aż pewien mężczyzna wreszcie się ubierze. Chodził w tę i z powrotem po ubitym śniegu, co rusz spoglądając na niedokończony budynek sądu po drugiej stronie placu i na piętro stojącej nieopodal knajpy, gdzie za zasłoną w oknie prostytutki wciąż paliło się światło. Abe zajmował myśli wspomnieniem tygodni spędzonych na spływaniu rzeką Missisipi w nieznośnym upale. „Upale, w którym można było utonąć”. Myślał o porankach, kiedy rąbał drewno w cieniu, i o popołudniach, gdy ochładzał się, pływając w strumieniu. Ale wszystkie te wspomnienia były oddalone o trzy lata i trzysta kilometrów. Dzisiaj, w swoje dwudzieste drugie urodziny,

marzył na pustej ulicy w Calhoun, w stanie Illinois¹⁵.

Thomas Lincoln wreszcie dał sobie spokój z Indianą. Docierały do niego regularne doniesienia od Johna Hanksa, kuzyna matki Abe'a, o niewyczerpanych bogactwach Illinois.

John pisał o „obfitych i płodnych” preriach, o „płaskich terenach, których nie trzeba karczować, bez jednego kamienia, a w dodatku sprzedawanych za niewielkie pieniądze”. Thomas nie potrzebował większej zachęty do porzucenia Indiany i związanych z nią gorzkich wspomnień.

W marcu 1830 roku Lincolnowie zapakowali swój dobytek na trzy wozy, do każdego zaprzęgli po kilka osłów i na zawsze porzucili Little Pigeon Creek. Przez piętnaście wyczerpujących dni jechali błotnistymi drogami i przeprawiali się przez lodowate rzeki, „aż w końcu dotarliśmy do Macon County i osiedliliśmy się na zachód od Decatur”, w samym środku Illinois. Abe skończył wtedy dwadzieścia jeden lat. Minęły dwa lata, odkąd był świadkiem masakry niewolników w Nowym Orleanie. Dwa lata przekazywania ciężko zarobionych pieniędzy ojcu. Teraz mógł wreszcie zarobić własną fortunę. Pomimo palącej chęci ruszenia swoją drogą, Abe został przy ojcu jeszcze rok, aby pomóc mu postawić nową chatę i wesprzeć rodzinę w osiedleniu się na nieznanym terenie.

Dzisiaj kończył dwadzieścia dwa lata. I, Bóg świadkiem, były to ostatnie urodziny spędzone pod dachem domu ojca.

[Mój przyszywany brat] John nalegał, byśmy uczcili ten dzień w Calhoun. Z początku nie chciałem się zgodzić, gdyż nie leżało w mojej naturze robienie wielkiej afery z takiej okazji. Jak zwykle wiercił mi dziurę w brzuchu, aż nie

mogłem tego znieść. Wyjawił swoje zamiary w drodze do miasta i jeśli dobrze pamiętam, chodziło mu o „upicie się do nieprzytomności i kupienie towarzystwa kobiety”. Znał knajpę przy Szóstej Ulicy. Nie pamiętam, jaką miała nazwę i czy w ogóle wisiał na niej jakiś szyld. Pamiętam tylko, że na piętrze mężczyźni mogli za opłatą oddać się cielesnym przyjemnościom. Pomimo intencji Johna mogę powiedzieć, że moje sumienie jest pod tym względem czyste.

Lincoln oparł się wprawdzie wdziękom knajpianych dam, ale whisky pił bez oporów. Wraz z Johnem żartowali sobie z ojca, z sióstr i z siebie nawzajem. Było to „bardzo dobre dla duszy” i „bardzo dobry sposób spędzenia urodzin”. Po raz kolejny zrządzenie Johna się opłaciło. Jednak pod koniec wieczoru, gdy jego brat flirtował z pulchną brunetką Missy („jak Missisipi, złotko, ale dwa razy głębsza i duuużo cieplejsza”), Abe dostrzegł, że do knajpy wchodzi nieduży mężczyzna, ubrany w „strój zupełnie nienadający się na tak zimną noc”.

Na jego twarzy próżno było szukać rumieńców, jakie było widać u tych, którzy wpadali pośpiesznie z dworu do ciepłej izby. Jego oddech też nie był widoczny na tle nocy, gdy otwierał drzwi. Był bladym dżentelmenem, najwyżej trzydziestoletnim, lecz włosy miał brązowoszare, co dawało efekt przypominający wyschnięte na wietrze drewno. Od razu ruszył w kierunku barmana (oczywiste było, że się znają) i wyszeptał mu coś na ucho, co usłyszawszy, mężczyzna odziany w fartuch pobiegł szybko na piętro. Gość był

wampirem. Nie miałem wątpliwości – pod wpływem whisky czy nie. Ale jak się przekonać ponad wszelką wątpliwość?

Nagle Abe wpadł na pomysł.

Odezwałem się szeptem. „Widzisz tamtego mężczyznę przy barze?”, spytałem Johna, który zajęty był uchem panienki. „Czy kiedykolwiek widziałeś człowieka o tak paskudnej twarzy?”. John, który nie miał pojęcia, jak wyglądała twarz rzeczonego mężczyzny, serdecznie się roześmiał (tak już był pijany). Gdy to wyszeptałem, blady jegomość gwałtownie się odwrócił i przebił mnie spojrzeniem. Uśmiechnąłem się do niego i uniosłem szklankę gestem pozdrowienia. Żadne inne stworzenie nie usłyszałoby mojej obelgi w takim zgiełku i z takiej odległości. Moje wątpliwości zostały rozwiane, miałem pewność. Jednak nie mogłem się z nim zmierzyć. Nie tutaj. Nie przy tylu świadkach. Uśmiechnąłem się na myśl o postawieniu mnie przed sądem pod zarzutem morderstwa. Jaką przyjąłbym linię obrony? Że moja ofiara była wampirem? W dodatku płaszcz i broń zostawiłem w torbie przy siodle. Nie, walka była wykluczona. Musiałem wymyślić coś innego.

Barman wrócił z trzema kobietami, które ustawił przed stolikiem wampira.

Wybrawszy dwie, gość udał się z nimi na górę, a barman oznajmił, że przyjmuje ostatnie zamówienia.

Umysł Abe'a był przytłumiony przez whisky, musiała upłynąć dłuższa chwila, zanim „otrzymał błogosławieństwo kolejnego pomysłu”. Wiedząc, że jego brat nie pozwoli mu na samotne przemierzanie ulic, Abe powiedział, że zmienił zdanie i że przedsięwziął kroki, by spędzić noc z kobietą.

John miał nadzieję (gorącą, jak mniemam), że tak właśnie się stanie, więc sam też wynajął pokój na noc. Pożegnaliśmy się, gdy barman gasił lampiony i chował butelki do szafek. Odczekawszy, aż mój brat pójdzie do swojego pokoju z towarzyszką, wszedłem sam po schodach na górę. Znalazłem się w wąskim korytarzu, słabo oświetlonym lampą naftową i pomalowanym w skomplikowane, czerwono-różowe wzory. Po obu stronach było kilka par drzwi, wszystkie zamknięte. Na końcu korytarza zauważyłem drzwi, sądząc po kształcie budynku, prowadzące do tylnych schodów. Szedłem powoli środkiem, nasłuchując znaków, które wskazałyby mi pokój zajmowany przez wampira. Śmiech po mojej lewej. Bezbożność po prawej. Dźwięki, których nie potrafię opisać słowami. Dotarwszy do końca korytarza, usłyszałem wreszcie to, czego szukałem: odgłosy dwóch kobiet w jednym pokoju. Zostawiając Johna w ciepłych objęciach nieznajomej, zawróciłem i wyszedłem na dwór, gdzie narzuciłem na siebie swój długi płaszcz. Wiedziałem, że wampir wkrótce skończy swoje zajęcia i wyjdzie przed wschodem słońca. Zamierzałem na niego czekać.

Jednak po dwu godzinach na ulicy Abe'owi solidnie doskwierały

zmęczenie, ziąb i nuda.

Zabicie szesnastu wampirów przydało mi zuchwałości, przyznaję. Aby nie czekać dłużej na mrozie, postanowiłem szybko z tym skończyć. Wszedłem po przysypanych śniegiem schodach na tyłach budynku, starając się nie kroczyć zbyt ciężko, w dłoni trzymałem męczennika.

„Męczennikiem” Abe nazwał nową broń, którą sam stworzył. Wcześniej pisał w dzienniku:

Czytałem niedawno o angielskim chemiku o nazwisku Walker, któremu udało się opracować metodę wywoływania płomieni wyłącznie dzięki procesowi tarcia. Zdobywszy chemikalia niezbędne do zrobienia jego zapalek¹⁶, namoczyłem w miksturze kilka małych patyków. Gdy materiał zapalny wysechł, związałem dwadzieścia zapalek w ciasny pakiet (całość była mniej więcej dwa razy grubsza niż wieczne pióro), a drugi jego koniec zamoczyłem w kleju. Jeśli przeciągnąć odsłoniętym końcem po szorstkiej powierzchni, powstaje krótki, ostry płomień, jaśniejszy od słońca. Przyprawia on moich wrogów o tymczasową ślepotę, dzięki której pokrojenie ich na kawałki staje się znacznie łatwiejsze. Dwukrotnie już użyłem wynalazku ze wspaniałym skutkiem, choć oparzenia na moich palcach świadczą o wielu wcześniejszych nieudanych próbach.

Stałem przed wiadomymi drzwiami, z męczennikiem w jednej dłoni i toporem w drugiej, a światło padające przez

szparę przy podłodze oświetlało moje ośnieżone buty. Z wewnątrz nie dobiegały żadne odgłosy i momentalnie przyszło mi do głowy, że zastanę obydwie dziewczyny zamordowane i leżące na łóżku przesiąkniętym ich krwią, pasującym do czerwonych wzorów na ścianach. Główką topora zapukałem trzy razy.

Cisza.

Dając im dostatecznie dużo czasu na odpowiedź, zapukałem ponownie. Minęły kolejne chwile bez reakcji z wewnątrz. Kiedy zastanawiałem się nad ponownym uderzeniem w drzwi, usłyszałem trzeszczenie materaca, a zaraz potem skrzypienie podłogi. Przygotowałem się na uderzenie. Drzwi się otwały.

To był on. Kręcone włosy w kolorze wysuszonego drewna. Między jego skórą a mrozem nic prócz długiej koszuli nocnej.

– Co to ma znaczyć, do diaska? – zapytał.

Abe przeciągnął męczennikiem po ścianie.

Nic.

Przeklęte zapałki nie chciały zapłonąć, pewnie dlatego, że tak długo spoczywały w kieszeni wilgotnego płaszcza. Wampir spojrzał na mnie z pytającym wyrazem twarzy. Nie wypuścił kłów, nie poczerniały mu oczy, choć źrenice mocno się rozszerzyły na widok topora w mojej dłoni. Zatrzasnął drzwi z taką siłą, jakby chciał potrząsnąć całym budynkiem. Stałem

bez ruchu, patrząc na drzwi tak, jak pies patrzy na książkę, i dając wampirowi czas na ucieczkę. Gdy w końcu to do mnie dotarło, zrobiłem krok wstecz i z całej siły kopnąłem w drzwi; otwarły się z hukiem, który błędnie oceniłem jako odgłos łamanej framugi. Rozpoznałem go jako wystrzał z pistoletu, dopiero gdy ołowiana kula minęła moją głowę o centymetr i wbiła się w ścianę za moimi plecami. Przyznam, że mocno mną to wstrząsnęło. Do tego stopnia, że gdy zobaczyłem, jak mój wróg upuszcza pistolet i przeciska się przez okno (na pożegnanie pokazując mi swoje gołe plecy), nie rzuciłem się w pogoń, lecz rozważałem zbadanie swojej głowy na wypadek, gdyby się okazało, że wykrwawiam się na śmierć. Po stwierdzeniu, że nie jestem ranny, wbiegłem do pokoju, w którym obie panienki, całkiem rozebrane, siedziały na łóżku, krzycząc wniebogłosy. Słyszałem drzwi otwierane na korytarzu i klientów, którzy wybiegali z pokoi, by zobaczyć, cóż za harmider wybudził ich ze snu. Gdy dotarłem do okna, ujrzałem swoją ofiarę, jak podnosi się z zaśnieżonej ulicy i biegnie boso w ciemną noc, ślizgając się i przewracając co najmniej dwukrotnie, nim w końcu zniknęła mi z oczu, wołając o pomoc.

To nie był wampir.

Kląłem na głos przez większą część drogi powrotnej do domu. Nigdy w życiu tak się nie wygłupiłem ani nie popełniłem takiego pijackiego błędu. Nigdy wcześniej nie czułem aż takiego wstydu. Ciężkie pocieszenie dawała mi jedynie świadomość, że wkrótce będę wolny.

Zima 1831 roku była szczególnie sroga, ale w marcu nadeszła odwilż, a wraz z nią pojawiły się pierwsze ptaki na niebie i źdźbła trawy na ziemi. Dla Abe'a marcowe ocieplenie oznaczało koniec dwudziestu dwóch lat spędzonych u boku Thomasa Lincolna. Lat, które z czasem rodziły między nimi coraz większy chłód. Wątpliwe, by pożegnali się wylewniej aniżeli prostym uściskiem dłoni, o ile w ogóle je sobie podali. W dniu, w którym opuszczał rodzinny dom na dobre, Abe zapisał w dzienniku tylko te słowa:

Wyjeżdżam do Beardstown, przez Springfield. John, John i ja mamy nadzieję uwinąć się w trzy dni.

Lincoln pojechał na zachód z przyszywanym bratem, Johnem, i kuzynem, Johnem Hanksem. Wszyscy trzej zostali zatrudnieni przez znajomego, Dentona Offutta, do zbudowania barki i przetransportowania towarów rzeką Sangamon do Nowego Orleanu. Podróż w obie strony miała im zająć trzy miesiące.

Offutt został zapamiętany przez przynajmniej jednego rówieśnika jako „w gorącej wodzie kąpany, surowy, hałaśliwy sukinsyn”. Ale jak większość osób, które miały okazję spotkać Abe'a Lincolna, on również był pod wrażeniem jego pracowitości, inteligencji i charakteru. Gdy dotarli do Beardstown (w trzy dni, jak przewidywali), Abe kierował pracami przy zbudowaniu barki i załadowaniu jej towarami Offutta.

Moja druga barka była dwukrotnie dłuższa i znacznie ulepszona w porównaniu z pierwszą, w dodatku skonstruowałem ją dużo szybciej, gdyż oprócz doświadczenia

wyniesionego z budowy poprzedniej miałem do dyspozycji dodatkowe ręce do roboty. Wyruszyliśmy około trzech tygodni po przybyciu, czym uradowaliśmy naszego zleceniodawcę.

Sangamon wiła się przez czterysta kilometrów środkowego Illinois. Daleko jej było do „potężnej Missisipi”, często bardziej przypominała potok lub wręcz strumyk. Pełno nad nią było nisko wiszących gałęzi, a nurt niósł liczne, dryfujące kawałki drewna. Mijała przeszkody, by dotrzeć do nieco łagodniejszej rzeki Illinois i dalej do Missisipi.

Czterej operatorzy barki (Offutt też postanowił popłynąć) z trudem pokonywali nurt Sangamon. Każdy dzień przynosił nową katastrofę – a to wpływali na mieliznę, a to wpadali na przewrócone drzewo. Wieść niesie, że ich barka utknęła na zaporze niedaleko New Salem i zaczęła nabierać wody. Gdy okoliczni mieszkańcy zbierali się przy brzegu, wykrzykując porady i śmiejąc się z młodych mężczyzn, którzy próbowali ocalić łódź, Abe wpadł na kolejny świetny pomysł. Wywiercił otwór przy dziobie barki (który zwisał nad tamą) i wypuścił tamtędy całą wodę. Dzięki temu rufa uniosła się dostatecznie wysoko, by dało się bezpiecznie przeprowić. Po zatknięciu otworu Lincoln i jego towarzysze ruszyli w dalszą podróż, a mieszkańcy New Salem nie kryli, że zrobiło to na nich wielkie wrażenie. Na Dentonie Offuttcie też, choć akurat on większą uwagę zwrócił na kwitnącą osadę New Salem.

Pomimo przeszkód w podróży Abe’owi udawało się znaleźć ten ulotny spokój, który pozwalał mu co wieczór, po zacumowaniu, otwierać dziennik i rysować, zapisywać długie wspomnienia oraz swobodne skojarzenia. We wpisie datowanym na 4 maja rozwinął myśl zawartą wcześniej w zdaniu o związku między niewolnictwem

a istnieniem wampirów.

Niedługo po tym, gdy pierwsze statki zawinęły do Nowego Świata, wampiry musiały zawrzeć milczące porozumienie z właścicielami niewolników. Wierzę, iż nasz naród jest dla nich wyjątkowo atrakcyjny, gdyż u nas mogą się żywić ludzką krwią bez obaw o demaskację czy odwet. Mogą też oszczędzić sobie trudów życia w ciemnościach. Myślę, że dotyczy to szczególnie Południa, gdzie ekstrawagancy panowie wampiry opracowali sposób „hodowania” swoich ofiar: najsilniejsi spośród niewolników zatrudniani są przy uprawach tytoniu i żywności dla zamożnych i wolnych, a słabsi sami są hodowani i pożerani. Wierzę, że tak jest, choć na razie nie potrafię tego udowodnić.

Po swojej pierwszej podróży do Nowego Orleanu Abe wysłał list do Henry’ego, w którym opisał, co widział, i pytał, co to według niego oznaczało. Nie doczekał się odpowiedzi. Ponieważ niedługo miał wyjechać z Little Pigeon Creek, postanowił odwiedzić swojego niemartwego przyjaciela w jego niby-chacie.

Nikogo nie zastałem. Meble i łóżko zniknęły, chata była pustą izbą. Otworzyłem drzwi na dół i nie zobaczyłem schodów prowadzących do pomieszczeń w piwnicy, tylko gładką, dobrze uklepaną ziemię. Czyżby cała kryjówka Henry’ego została zasypana? A może raczej wszystko to sobie uroiłem?

Abe nie został w Indianie dostatecznie długo, by rozwiązać tę wątpliwość. Napisał coś w dzienniku, wyrwał kartkę i zawiesił ją na gwoździu nad kominkiem Henry'ego.

**ABRAHAM LINCOLN
NA ZACHÓD OD DECATUR, ILLINOIS
U JOHNA HANKSA**

Nowy Orlean stracił wiele ze swojego niegdysiejszego uroku i Abe nie mógł się doczekać, kiedy zakończą interesy i złapią parowiec płynący na północ. Został na miejscu jeszcze kilka dni, by brat i kuzyn mieli czas na zwiedzanie, ale sam nie za dużo wychodził, nie chciał bowiem natknąć się na kolejną aukcję niewolników lub na zbłąkanego wampira. Zaszedł natomiast do knajpy przy pensjonacie pani Laveau, nie po to jednak, by się napić, lecz w nadziei na spotkanie starego kumpla Poego. Nie zastał go tam.

Denton Offutt był pod takim wrażeniem pracy Lincolna, że po powrocie do Illinois dał mu kolejne zlecenie. Offutt patrzył na rzekę Sangamon jak na czterystukilometrowy pas możliwości biznesowych. Tereny graniczne kwitły i wszędzie powstawały nowe osady. Wielu ludzi wierzyło, iż wkrótce nawigacja rzeczna się poprawi, statki parowe zaczną dowozić pasażerów i towary pod drzwi ich domów. Wierzył w to również Offutt. „Mówię wam”, zwrócił się kiedyś do towarzyszy. „Sangamon to następna Missisipi. Dzisiejsze osady jutro będą miastami”. Jedno Offutt wiedział na pewno: każde rozwijające się miasteczko potrzebowało sklepu wielobranżowego oraz dwóch osób do jego prowadzenia. I tak Abraham Lincoln oraz Denton Offutt

powrócili na stałe do New Salem w stanie Illinois, miejsca swojej słynnej akcji ratunkowej z tonącą łodzią.

New Salem leżało na szczycie skarpy, na zachodnim brzegu Sangamon. Osadę tworzyły ciasno poustawiane, jedno- i dwuizbowe chatki, warsztaty, młyny i szkoła, która w niedzielę służyła za kościół. Mieszkało tam w sumie około stu osób.

Na miesiąc przed otwarciem sklepu znalazłem się w dziwnym położeniu – miałem aż nadto wolnego czasu. Przez to z wielką ulgą powitałem nową znajomość z Williamem Mentorem Grahamem, młodym nauczycielem, który podzielał moją miłość do książek. To on zapoznał mnie z *Gramatyką* Kirkhama, którą studiowałem tak długo, aż każdą zasadę i każdy przykład potrafiłem wyrecytować z pamięci.

Historia pamięta nieprzeciętny intelekt Abe'a, natomiast zapomina, że w tamtym czasie Lincoln był bardziej nieprzeciętny niż intelektualny. Po ojcu odziedziczył dar mówienia, lecz gdy trzeba było poprawnie zapisać własne słowa, Abe pozostawał ofiarą niepełnej edukacji. Mentor Graham pomógł mu to zmienić, przez co odegrał kluczową rolę w jego późniejszej umiejętności elokwentnego wypowiedzenia się w mowie i piśmie.

Gdy ciasny sklepik wreszcie otworzył drzwi, Abe zabrał się do składania zamówień, pilnowania zaopatrzenia i czarowania klientów niewymuszonym poczuciem humoru i niewyczerpaną wiedzą. Sprzedawali z Offuttem naczynia kuchenne i lampiony, materiały i zwierzęce skóry. Odmierzali cukier i mąkę, wypełniali butelki brzoskwiniową brandy, melasą i czerwonym octem z niewielkich

beczułek ustawionych na półkach za ladą. „Każdy towar dla każdego o każdej porze dnia”, mawiali. Oprócz skromnej pensji Abe otrzymywał też przydział towarów i mógł nocować w małym pokoiku na tyłach sklepu. Tam czytał przy świecy i pisał w dzienniku do późna.

A potem, gdy świeca się dopalała, a cała osada zasypiała, wkładał płaszcz i wychodził szukać wampirów.

II

Z powodu zniknięcia Henry’ego i ograniczonej ilości czasu i możliwości przemieszczania się (Abe musiał bowiem codziennie o siódmej rano otwierać sklep Offutta) seria polowań na wampiry została gwałtownie przerwana latem 1831 roku. Lincoln przechadzał się nocą po okolicznym lesie, wędrował brzegiem Sangamon, ale nie owocowało to ekscytującymi przygodami, jeśli nie liczyć kilku przypadków, gdy trzeba było zbadać ten czy inny podejrzany odgłos. Wkrótce Abe więcej czasu poświęcał wypoczynkowi niż wypadom zwiadowczym, a w końcu zupełnie zarzucił nocne wędrówki.

Nie oznacza to jednak, że nie zdarzały mu się okazje do walki.

Jakieś pół godziny piechotą od New Salem leżała osada Clary’s Grove, w której mieszkali, trzeba przyznać, nazwani raczej bez polotu Chłopcy z Clary’s Grove. Był to gang młodzieniaszków, najczęściej spokrewnionych ze sobą, lubujących się w picciu i wywoływaniu awantur.

Co noc wszczynali liczne bójki w tawernie biednego Jima Rutledge’a. Lubili też zakłócać chrzty, które odbywały się

w rzece, rzucając w wiernych kamieniami. Nikt nie śmiał im się przeciwstawić ze strachu, że wybiją mu szyby w oknach albo wepchną do beczki i puszczą z nurtem Sangamon.

Ponad wszystko Chłopcy lubili zapasy. Dumnie nazywali się „najlepszymi i najtwardszymi zapaśnikami w całej okolicy”. Kiedy więc rozeszła się wieść, że do New Salem „przyjechał do pracy duży jegomość”, uznali za swój obowiązek ocenić go na własne oczy i, w razie potrzeby, wskazać mu miejsce w szeregu.

Abe wiedział, że będą szukać z nim zwady, tak jak to czynili od lat z każdym silnym mężczyzną, jaki zjawiał się na ich terytorium. Dlatego też za wszelką cenę starał się ich omijać w nadziei na to, że z czasem przywykną do jego obecności. Udało mu się przez całe dwa miesiące uniknąć konfrontacji (według lokalnych zapisków). Niestety Denton Offutt miał długi język. Na widok kilku spośród Chłopców zaczął się przechwalać, że jego nowy sprzedawca jest nie tylko najmądrzejszym człowiekiem w hrabstwie Sangamon, lecz także „takim bykiem, że całą waszą paczkę spokojnie by unieszkodliwił”.

Przybyli bez zapowiedzi i wywołali mnie przed sklep. Widząc grupę dziesięciu mężczyzn, zapytałem, jaką mają do mnie sprawę. Jeden z nich wystąpił do przodu i oznajmił, że zamierzają nasłać na mnie najlepszego spośród nich, ponieważ pan Offutt określił mnie mianem „największego twardziela, jakiego w życiu widział”. Odparłem, że pan Offutt się myli, że wcale nie jestem twardzielem i że nie mam najmniejszej ochoty na podobne afery. Moja odmowa nie została dobrze przyjęta, bo cała banda natychmiast mnie otoczyła.

Powiedzieli, że nie pozwolą mi wejść z powrotem do sklepu, dopóki nie zgodzę się na pojedynek. Gdybym odmówił, oznajmili, całe New Salem pozna mnie jako tchórza, a oni wywrócą nasz sklep „do góry nogami”. Przyjąłem wyzwanie, pod warunkiem że walka będzie sprawiedliwa. „Nie będzie żadnej walki”, powiedział jeden z nich i zawołał Jacka.

Jack Armstrong był ludzkim odpowiednikiem murowanej ściany, niższym od Abe'a o dziesięć centymetrów i o dziesięć kilo cięższym. Sprawował niekwestionowane przywództwo nad Chłopcami z Clary's Grove, co nietrudno było zrozumieć.

Źle mu patrzyło z oczu. Krążąc wokół mnie, trzymał ręce i pierś stale naprężone, jakby całe jego ciało było naciągniętą cięciwą, w każdej chwili gotową do wystrzału. Zdjął koszulę przez głowę i rzucił ją na ziemię, nie przerywając krążenia. Ja wolałem się nie rozbierać i postanowiłem tylko podwinąć rękawy. Ledwie się do tego zabrałem, gdy nagle padłem na plecy i nie mogłem złapać tchu.

Chłopcy krzyknęli na wiwat, gdy Jack skoczył na równe nogi, i zaczęli buczeć, gdy zobaczyli, że Abe nie jest w stanie się podnieść.

Najwyraźniej moja prośba o sprawiedliwą walkę została zignorowana. Jack ponownie mnie zaatakował, lecz tym razem byłem przygotowany. Jego wyciągnięte ręce spotkały się z moimi, a nasze plecy i ramiona utworzyły coś na kształt blatu i w takiej pozycji zaczęliśmy się siłować, z pochylonymi

głowami, wzniecając nogami chmurę kurzu. Sądzę, że mocno go zdziwiła moja siła. Mnie z pewnością zaskoczyła jego tężyzna. Miałem wrażenie, jakbym wszedł w kłincz z rosyjskim niedźwiedziem.

Jednak choć Jackowi Armstrongowi nie brakowało siły, nie mógł się równać z wampirami, z którymi jeszcze nie tak dawno walczył Abe. Lincoln wciągnął powietrze w płuca, chwycił jedną ręką kark Jacka, a drugą złapał go za spodnie.

Trzymając go w ten sposób, uniosłem jego ciało nad swoją głowę i nie puszczałem, podczas gdy on wił się i przeklinał. Wpędziłem tym jego towarzyszy w niemałą rozpacz i nagle natarli na mnie wszyscy naraz, kopiąc i bijąc pięściami. Na taką niesprawiedliwość nie mogłem się zgodzić.

Twarz Abe'a mocno poczerwieniała. Zebrał wszystkie siły, by rzucić Jackiem Armstrongiem o ścianę sklepu i krzyknąć:

– Ja tu jestem najsilniejszy!

Chwyciłem stojącego najbliżej za włosy i uderzyłem pięścią w twarz, odbierając mu czucie. Inny dostał ode mnie cios w brzuch. Miałem wielką chęć unieszkodliwienia ich wszystkich, jednego po drugim, i z pewnością bym to zrobił, gdyby Jack się nie podniósł i nie odwołał napaści.

Teraz to ciało Lincolna było naprężone niczym cięciwa. Abe patrzył uważnie na dwóch Chłopców stojących w zasięgu ręki.

Jack wyjął ze swojego boku kilka drzazg i stanął obok mnie. „Chłopcy”, powiedział. „Ten człowiek jest najtwardszym sukinsynem, jaki kiedykolwiek postawił nogę w New Salem. Kto ma z nim jakiś problem, będzie miał problem z Jackiem Armstrongiem”.

Była to chyba najważniejsza walka w młodości Abe’a, bo po całym hrabstwie Sangamon błyskawicznie rozniosła się wieść, iż zjawił się w okolicy człowiek o nadzwyczajnej sile ciała i umysłu. Człowiek, z którego mogli być dumni. Pomimo niefortunnego początku znajomości Chłopcy z Clary’s Grove szybko przemienili się w najzagorzalszych stronników Lincolna, a w przyszłości mieli się okazać bezcenną siłą polityczną. Niektórzy z nich zostali nawet bliskimi przyjaciółmi Abe’a, choć żaden nie zbudował z nim więzi tak silnej jak Jack Armstrong.

Żałowałem, że mnie wówczas poniosło i że zawstydziłem go przed jego krewnymi. Wieczorem następnego dnia zaprosiłem go więc do sklepu na drinka.

Abe i Jack rozpiłi małą butelkę brzoskwiniowej brandy na zapleczu sklepiku. Niebo było jeszcze błękitne, choć zbliżała się godzina dziewiąta. Abe siedział na krawędzi łóżka, jedyne krzesło w izbie oddał swojemu gościowi.

Ku memu zdziwieniu ów krępy Jack Amrstrong okazał się cichym, refleksyjnym człowiekiem. Choć był ode mnie

młodszy o cztery lata, cechowała go dojrzałość znacznie przewyższająca wielu mężczyzn dwukrotnie starszych od niego. Miał też łatwość prowadzenia rozmowy, zaskakującą, z uwagi na jego aparycję. Na widok egzemplarza *Gramatyki* Kirkhama pochwalił wartość czytania i pisania, jednocześnie pożałował, że ma poważne braki w obu dziedzinach.

– Prawda jest taka, że musiałem być przede wszystkim twardy – powiedział Jack. – To jest twardy kraj, który wymaga twardych ludzi.

– A trzeba wybierać jedno albo drugie? – zapytał Abe. – Ja zawsze znajdowałem czas na książki, a wiem co nieco o trudach życia w tym kraju.

Jack się uśmiechnął.

– Ale nic o trudach życia w Illinois.

Abe spytał, co przez to rozumie.

– Czy widziałeś kiedyś, jak bliska ci osoba zostaje rozerwana na strzępy i rozrzucona po ziemi?

Abe pokręcił głową. Wyraźnie zaskoczyła go ta wypowiedź. Jack przez chwilę wiercił się na krześle. Patrzył w podłogę.

– Kiedyś wieczorem poszedłem z kumplem na spacer – powiedział. – Mieliśmy po dziewięć lat. Wracaliśmy do domu po zabawie, która polegała na rzucaniu kamieniami w barki na rzece. Podążaliśmy szlakiem, który znaliśmy na pamięć. W jednej chwili kolega szedł tuż obok mnie, trajkocząc w ciemności, a w następnej niedźwiedzie łąpska schwyciły go za głowę i wciągnęły na sam wierzchołek drzewa. Nic nie mogłem zobaczyć, słyszałem tylko jego krzyk i czułem ciepłe krople na czole i na ustach. Pobiegnę po pomoc. Gdy paru mężczyzn wróciło na to miejsce ze strzelbami, nie było do czego strzelać. Cały

ranek zbieraliśmy z ziemi szczątki mojego kolegi. Jared. Jared Linder, tak się nazywał.

Nastała cisza i Abe wiedział, że to nie on może ją przerwać.

– Ludzie, co tu mieszkają, wiedzą, że coś się kryje w tych lasach – ciągnął Jack. – Wiedzą, że człowiek, co nie ma głowy na karku i jest za słaby, żeby się zmierzyć z każdym nowo przybyłym, że taki człowiek prędzej czy później da się zabić. Ludzie mówią, że my, Chłopcy, trzymamy się razem, bośmy są spokrewnieni. Bo lubimy robić awantury. Prawda jest taka, że trzymamy się razem, bo tylko tak mamy szansę się zestarzeć. Prawda jest taka, że słaby człowiek to martwy człowiek.

– I jesteś pewien? – spytał Abe. – Jesteś absolutnie pewien, że to był niedźwiedź?

– No, koń by się na drzewo na pewno nie wdrapał.

– Ale... Może to było coś bardziej... nietypowego?

– Aha – powiedział Jack. – Coś jakby z legendy? Jakiś duch?

– Tak.

– Takie historie krążą tu nad rzeką od lat. Dzikie historie. Ludzie mówią o wiedźmach i diabłach i...

– Wampirach?

Na dźwięk tego słowa z twarzy Jacka zniknął uśmiech.

– Ludzie wygadują głupoty. Po prostu się boją i tyle.

Może sprawiła to brzoskwiniowa brandy w jego krwi albo poczucie, że znalazł bratnią duszę. A może zwyczajnie nie mógł dłużej znieść trzymywania swojej wiedzy w tajemnicy. Tak czy inaczej, Abe podjął nagłą, niezwykle ryzykowną decyzję.

– Jack... Jeśli powiem ci coś nieprawdopodobnego, obiecujesz wysłuchać mnie do końca?

III

Abe chodził tam i z powrotem... tam i z powrotem po miękkiej nawierzchni ulicy, co chwilę spoglądając na dopiero co ukończony budynek sądu po drugiej stronie placu i na piętro knajpy po drugiej stronie ulicy, gdzie za zasłoniętym oknem prostytutki wciąż paliła się lampa. Pogoda w to późne lato była tym razem znacznie przyjemniejsza, towarzystwo również.

Sporo musiałem się namęczyć, ale w końcu udało mi się przekonać Jacka, by przyjechał ze mną do Springfield. Początkowo nie chciał uwierzyć w ani jedno moje słowo. Posunął się wręcz do nazwania mnie „przeklętym kłamcą” i zagrożenia, że mnie „zbije” za sugerowanie, iż jest głupi. Błagałem go o cierpliwość i obiecałem, że albo udowodnię prawdziwość moich słów, albo na zawsze wyjadę z New Salem. Składałem tę obietnicę, absolutnie przekonany, iż będę w stanie jej dotrzymać, ponieważ wcześniej tego samego dnia dostałem wreszcie list.

Był zaadresowany zgodnie z instrukcją, którą Abe zawiesił nad kominkiem Henry’ego.

**ABRAHAM LINCOLN
NA ZACHÓD OD DECATUR, ILLINOIS
U JOHNA HANKSA**

Przesyłka dotarła do jego krewnych dwa tygodnie wcześniej

i została dostarczona do New Salem. Rozpoznając charakter pisma, Abe rozdarł kopertę i przeczytał list kilkanaście razy, stojąc nad ladą sklepową.

Abrahamie,

Wybacz, że nie odzywałem się przez te miesiące. Znikanie od czasu do czasu jest, przyznaję to z żalem, niezbędną częścią mojego życia. Będę pisał częściej, gdy znajdę bardziej stałe miejsce zamieszkania. Tymczasem pozwól mi wyrazić nadzieję, że masz dom, w którym jest ci dobrze, oraz że pozostajesz w zadowalających zdrowiu i nastroju. Jeśli nadal cię to interesuje, możesz w wolnej chwili złożyć wizytę pewnemu jegomościowi, którego nazwisko podaję niżej. Wydaje mi się, że przebywa niedaleko od miejsca, w którym obecnie mieszkasz. Muszę cię jednak ostrzec, że jest bystrzejszy od tych, których odwiedzałeś w przeszłości. Bardzo łatwo pomylić go z człowiekiem.

Timothy Douglas.

Tawerna przy placu.

Calhoun.

Bądź zdrow, H.

Abe znał dobrze tę knajpę. Była w końcu miejscem jego największej wpadki jako łowcy wampirów. *Czy to możliwe, że od samego początku się nie myliłem? Czy pólnagi mężczyzna, który uciekał, wołając o pomoc, mógł jednak być wampirem?*

Weszliśmy do środka ubrani zwyczajnie (płaszcz

zostawiłem w torbie przy siodle). Przyjrzałem się twarzom mężczyzn siedzących przy stolikach, spodziewałem się ujrzeć gapiącego się na mnie kędzierzawego człowieka w zaśniewanej koszuli nocnej. Czy na mój widok od razu pierzchnie? Czy może jego natura wampira każe mu zaatakować? Nie zobaczyłem go jednak. Jack i ja podeszliśmy do baru, za którym właściciel tawerny zajęty był polerowaniem szklanek do whisky.

– Przepraszam najmocniej. Mój przyjaciel i ja szukamy niejakiego Douglasa.

– Tima Douglasa?

– Zgadza się.

– A jakąż to macie panowie do niego sprawę?

– Pilną i osobistą. Wie pan, gdzie go znajdziemy?

Barman wyglądał na rozbawionego.

– Daleko nie będziecie musieli szukać.

Odstawił szklanę i wyciągnął dłoń.

– Tim Douglas. Z kim mam przyjemność?

Jack wybuchnął śmiechem. Musiała zajść jakaś pomyłka. Ten niepozorny człowieczek, którego życie polegało na polerowaniu szklanek i zapoznawaniu pijaków z panienkami? To miał być wampir, o którym pisał Henry? Oczywiście nie miałem wyboru, musiałem ucisnąć jego dłoń i zrobiłem to. Była różowa i ciepła jak moja.

– Hanks – powiedział Abe. – Abe Hanks. Proszę o wybaczenie,

gdyż wydawało mi się, iż powiedział pan „Tom Douglas”. Tak, Thomas Douglas to ten, którego szukamy. Nie wie pan, gdzie możemy go znaleźć?

– Obawiam się, że nie znam nikogo o tym imieniu.

– Zatem dziękuję i życzę dobrej nocy.

Abe wyszedł pośpiesznie z tawerny, a Jack ruszył za nim, nie przestając się śmiać.

Postanowiłem zostać. W końcu przebyliśmy długą drogę, a Henry nigdy mnie jeszcze nie zawiódł. Chciałem przynajmniej poczekać, aż barman skończy pracę, i śledzić go w drodze do domu.

Po kilku godzinach chodzenia po placu przed budynkiem sądu Abe (który w tym czasie włożył swój płaszcz) i Jack (który od wyjścia z tawerny ani na chwilę nie przerwał drwin) zobaczyli w końcu, że w knajpie zgasło światło i po chwili barman wyszedł.

Udał się Szóstą Ulicą w stronę Adams Street. Ruszyłem dyskretnie za nim, z toporem w dłoni, a Jack dobre trzy kroki za mną. Przy każdym najmniejszym nawet ruchu głowy barmana chowałem się w cień, przekonany, że zostaniemy zauważeni. Na ten widok Jack z trudem powstrzymywał śmiech. Drobnym mężczyzną trzymał się środka ulicy, chował ręce w kieszeniach. Gwizdał coś pod nosem. Szedł tak jak każdy normalny człowiek, przez to jego kolejne kroki potęgowały moje zakłopotanie. Skręcił w Siódmą Ulicę, a my poszliśmy za nim. Skręcił w Monroe i my też. Ale gdy skręcił

w Dziewiątą, a my pozwoliliśmy mu zniknąć nam z oczu na ledwie kilka sekund, nie było po nim ani śladu. A w pobliżu żadnej alejki, w którą mógłby odbić, żadnego domu, do którego mógłby wejść. Jak to możliwe?

„A więc to ty”.

Głos dobiegł zza naszych pleców. Odwróciłem się błyskawicznie, gotowy do ataku, lecz nie mogłem tego zrobić. Oto bowiem zobaczyłem Jacka Armstronga. Stał na palcach. Z wygiętym kręgosłupem. Z szeroko otwartymi oczyma. A za nim mały wampir, przyciskając mu pazury do gardła. Gdyby Jack mógł zobaczyć te czarne oczy i błyszczące kły, trząsłby się ze strachu po dwakroć mocniej. Barman dał mi do zrozumienia, że jeśli nie chcę patrzeć, jak mój przyjaciel się wykrwawia, to powinienem odłożyć topór na ziemię. Zgodziłem się z jego oceną sytuacji i upuściłem broń.

– Ty jesteś tym, o którym opowiadał Henry. Człowiek z talentem do zabijania umarłych.

Choć Abe’a zaskoczyła wzmianka o Henrym, jego twarz nie zdradziła najmniejszego zdziwienia. Słyszał, że oddech Jacka przyspiesza, w miarę jak w jego gardło wbijają się pazury.

– Ciekaw jestem – powiedział barman – czy kiedykolwiek zastanawiałeś się dlaczego. Dlaczego wampir wykazuje takie zainteresowanie oczyszczaniem świata z własnego gatunku? I dlaczego posyła na tę misję człowieka, zamiast samemu się jej podjąć? A może ślepo wykonujesz jego polecenia? Jak wierny, oddany sługa.

– Służę jedynie sam sobie – odparł Abe.

Barman się zaśmiał.

– Wyznanie w iście amerykańskim stylu.

– Pomóż mi, Abe – jęknął Jack.

– Wszyscy jesteśmy sługami – powiedział barman. – Jednak z nas dwóch tylko ja mam szczęście wiedzieć, kto jest moim panem.

Jack wpadł w panikę.

– P-proszę cię... Puść!

Próbował się uwolnić, ale to sprawiło jedynie, że pazury wampira wbiły się głębiej. Krople krwi popłynęły po grdyce Jacka, a wampir uciszył go spokojnym:

– Śśśś...

Abe wykorzystał ten moment, by niepostrzeżenie wsunąć dłoń do kieszeni płaszcza.

Muszę uderzyć szybko, by namyślając się, nie zdradzić planu.

– Twój ukochany Henry zasługuje na ten topór nie mniej niż my wszyscy – powiedział barman. – Po prostu miał szczęście, że znalazł się pie...

Wyjąłem męczennika z kieszeni i przeciągnąłem po klamrze paska tak szybko, jak tylko umiałem.

Zapłonął.

Jaśniej niż słońce. Ulicę rozjaśniły iskry i białe światło. Wampir cofnął się, zakrywając oczy, a Jack uwolnił się z jego uścisku. Ukląłem, podniosłem z ziemi topór i rzuciłem nim. Ostrze wbiło się w klatkę piersiową wampira. Usłyszałem chrzęst łamanej kości i świst uciekającego powietrza. Barman upadł, łapiąc niezdarnie za rękojeść topora, drugą ręką próbował się czołgać. Upuściłem męczennika, by dopalił się na

ziemi, po czym wyciągnąłem topór z piersi potwora. Zobaczyłem wyraz przerażenia na jego twarzy. Strach przed tym, jakie piekło lub nicość go teraz czekają. Nie miałem ochoty pławić się w tym lęku. Uniosłem topór i odrąbałem mu głowę.

Jack był tak wstrząśnięty, że zwymiotował na swoje buty. Wstrząśnięty faktem, iż znalazł się tak blisko śmierci oraz widokiem czarnych oczu i kłów. W drodze do domu nie powiedział ani słowa. Żaden z nich się nie odzywał. Dotarli do New Salem o świcie i właśnie mieli się rozstać w milczeniu, gdy Jack, który jechał dalej do Clary's Grove, ściągnął wodze i ustawił się twarzą do sklepu.

– Abe – powiedział. – Chcę się dowiedzieć absolutnie wszystkiego o zabijaniu wampirów.

SZEŚĆ Ann

Czuję, jak słabe i bezowocne muszą być wszelkie słowa, którymi próbowałbym odwieść Panią od żalu nad stratą tak ogromną. Modłę się, by nasz Pan w Niebiosach złagodził Pani ból i zostawił ją li tylko z ciepłym wspomnieniem umiłowanych i utraconych osób.

Abraham Lincoln w liście do Lydii Bixby, matki dwóch synów
zabitych w wojnie secesyjnej,
21 listopada 1864

I

New Salem nie rozwijało się tak szybko, jak się tego spodziewał Denton Offutt. Od momentu otwarcia sklepu mogło nawet stracić kilkoro mieszkańców. Sangamon wciąż była w stanie dorównać Missisipi. Spływ jej nurtem pozostawał niebezpieczną przygodą i mało któremu parowcowi udawało się uciec z pułapki szerszych wód na południu, gdzie tkwiły z całym towarem i wszystkimi klientami. Offuttowi nie pomagał fakt, iż w New Salem był drugi sklep wielobranżowy, usytuowany bliżej centrum osady, który przyciągał do siebie klientów, zanim jeszcze mieli szansę dostrzec konkurencyjny szyld. Nim lody zaczęły na dobre topnieć na rzece wiosną 1832 roku,

sklep Offutta splajtował i Abe został bez pracy. Jego gniew widać dobrze we wpisie do dziennika z 27 marca.

Pozegnałem się [z Offuttem] dziś rano, po sprzedaniu ostatnich towarów. Moje rzeczy przeniesiono do domu Herndonów i pozostaną tam do czasu, aż będę w stanie ulokować je gdzie indziej. Nie obchodzi mnie, że Offutt wyjechał, nie czuję z tego powodu smutku ani nie mam najmniejszego zamiaru iść za jego ospałym przykładem. Nigdy nie znałem nieróbstwa i nie zaznam go teraz. Zostaję. Jeszcze się wzbogacę.

Jak zawsze, Abe dotrzymał słowa. Dwoił się i troił, by zarobić pieniądze. Rąbał drewno, karczował las, budował szopy. Zaczęła mu się opłacać znajomość z Chłopcami z Clary's Grove, a to dzięki najróżniejszym zleceniom, które dostawał od ludzi „namówionych” do tego przez grupę Armstronga. Znalazł nawet zatrudnienie jako „siekierowy” na pokładzie jednego z niewielu parowców pływających w górę rzeki. Stał na dziobie, a jego zadaniem było odrąbanie każdej przeszkody, która mogłaby spowolnić kurs na północ. I przez ten cały czas ani na chwilę nie zarzucił swoich polowań.

Dużo myślałem o słowach, które usłyszałem od barmana. Czy kiedykolwiek zastanawiałem się, dlaczego Henry'ego tak interesuje zabijanie wampirów? Czy pytałem, czemu się mną wysługuje? Przyznaję, że wiele godzin spędziłem na roztrząsaniu tych kwestii, zaciekawiony, czy aby nie kryje się w nich głębsza prawda. Że jestem zaprzysiężonym wrogiem

wampirów, a wykonuję polecenia wampira? Nie sposób temu zaprzeczyć i nie dostrzec tkwiącego tu paradoksu. Że jestem wykorzystywany do realizacji niewiadomych celów jednego konkretnego wampira? Muszę brać pod uwagę i taką ewentualność. Jednak rozważywszy to wszystko, doszedłem do następującego wniosku:

To bez znaczenia.

Jeśli faktycznie jestem tylko sługą Henry'ego, niech i tak będzie. Tak długo, jak to prowadzi do zmniejszania się liczby wampirów, pozostanę zadowolony ze swej posługi.

Listy od Henry'ego znowu nadchodziły częściej, a Abe po ich lekturze wyruszał na łowy, lecz nie sam.

Odnalazłem w osobie Jacka zdolnego i ochoczego towarzysza i zacząłem przekazywać mu całą swoją wiedzę na temat niszczenia wampirów (nie musiałem tylko uczyć go szybkości i odwagi, gdyż obydwu właściwości miał w nadmiarze). Jestem mu wdzięczny za pomoc, ponieważ listy od Henry'ego przychodzą tak często, że przemierzać muszę cały stan, tam i z powrotem.

Któregoś wieczoru Abe biegł przez ulice Decatur z zakrwawionym toporem w dłoni, a wraz z nim pędził Jack z kuszą. Nie więcej niż dziesięć kroków przed nimi umykał łysy mężczyzna, kierując się wprost ku rzece. Prawy bok jego koszuli przesiąknięty był krwią, a jego prawa ręka zwisała ledwie na kilku kawałkach skóry i ścięgna.

Minęliśmy dwóch dżentelmenów, którzy patrzyli na nasz pościg i wołali: „Hej tam! Natychmiast się zatrzymać!”. Jakże komicznie musieliśmy wyglądać! Mimowolnie się roześmiałem.

Abe i Jack pobiegli za jednorękim mężczyzną nad sam brzeg rzeki.

Wskoczył i zniknął pod powierzchnią czarnej wody. Jack rzuciłby się za nim, ale chwyciłem go za kołnierz i krzyknąłem: „Nie!”, dobywając resztki głosu. Jack stał na brzegu, ciężko dysząc, i celował z kuszy do każdego bąbla powietrza, jaki wypływał na powierzchnię.

– Mówiłem ci, żebyś poczekał na mój znak! – zawołał Abe.

– Czekalibyśmy całą noc!

– Teraz nam uciek!

– Stój cicho i wyteżaj wzrok. Prędzej czy później będzie musiał się wynurzyć, by zaczerpnąć powietrza.

Abe spojrzał na Jacka, a jego furia stopniowo przerodziła się w lekkie zdziwienie, wreszcie w śmiech.

– Tak – powiedział Abe. – W najbliższym tygodniu powinien się wynurzyć.

Abe położył dłoń na ramieniu Jacka i odprowadził go od brzegu rzeki, a jego śmiech niósł się echem po pogrążonych we śnie ulicach.

Jeżeli czegokolwiek [Jackowi] brakuje, to cierpliwości. Zbyt szybko wyskakuje z kryjówek i obawiam się, że aż nadto jest chętny, by dzielić się swoją wiedzą z Chłopakami z Clary's

Grove. Wciąż mu przypominam o konieczności zachowania dyskrecji i o panice, która opanowałaby hrabstwo Sangamon, gdyby rozeszła się wieść o naszych polowaniach.

Abe mieszkał w hrabstwie Sangamon ledwie od roku, ale w tym krótkim czasie stał się lokalną gwiazdą. „Młodym mężczyzną, który włada toporem z równą sprawnością jak piórem”, jak to określił jego przyjaciel, Mentor Graham. Abe dostatecznie dobrze znał swoich klientów, by wiedzieć, co im chodzi po głowach.

Główne ich zmartwienie stanowiła sama rzeka. W jakim jest stanie! W niektórych częściach to ledwie strumyk, zduszony najróżniejszymi gałęziami i przeszkodami. Jeśli mamy korzystać z dobrodziejstw Missisipi, Sangamon będzie musiała zostać znacznie uregulowana, by parowce mogły swobodnie nią podróżować. Tego typu ulepszenia będą wymagać, rzecz jasna, ogromnych nakładów pieniężnych. Znam tylko jeden sposób (oprócz kradzieży) na zdobycie niezbędnych kwot.

Abraham Lincoln postanowił ubiegać się o stanowisko w administracji państwowej. Ogłaszając na łamach lokalnej gazety swoją kandydaturę na członka Zgromadzenia Stanowego Illinois, uderzył w populistyczną, choć zarazem lekko defetystyczną nutę:

Jestem młody i wielu z was mnie nie zna. Urodziłem się i do dziś żyję w nader skromnych warunkach. Nie mam zamożnych ani popularnych krewnych czy przyjaciół, którzy

by mnie zarekomendowali. Mogę się zwrócić wyłącznie do niezależnych wyborców naszego hrabstwa i jeśli zostanę wybrany, nie ustane w wysiłkach, by wynagrodzić im poparcie. Gdybyście jednak w swojej mądrości uznali, iż miejsce moje jest w ostatnim rzędzie, cóż – zbyt przywykłem w życiu do rozczarowań, by mnie to mogło przygnębić.

Niedługo po pojawieniu się ogłoszenia Abe'a do New Salem dotarły wieści o „wojnie z Indianami”.

Wóz Sauków, Czarny Jastrząb, złamał traktat i po przejściu [Missisipi] wkroczył do położonego na północy miasteczka Saukenuk. On i jego Brytyjska Banda¹⁷ zamierzają zabić lub wygonić każdego białego osadnika i zająć ziemię, którą uważają za im należną. Gubernator Reynolds wezwał sześciuset silnych mężczyzn, by wzięli broń i stanęli w obronie mieszkańców Illinois przed tymi dzikusami.

Pomimo swoich ambicji politycznych (albo właśnie z ich powodu) Abe był jednym z pierwszych ochotników w hrabstwie Sangamon. Wiele lat później tak wspominał swoje ówczesne emocje:

Od dwunastego roku życia marzyłem o wojnie. I wreszcie miałem szansę jej doświadczyć. Wyobrażałem sobie radość szarżowania, strzelania z karabinu i wymachiwania toporem. Wyobrażałem sobie masakrowanie całych mas Indian, bez większego trudu, bo nie mogli być szybsi i silniejsi od

wampirów.

Ochotnicy zebrali się w Beardstown, szybko rozwijającej się osadzie po obu brzegach rzeki Illinois. Mężczyźni przeszli błyskawiczny kurs podstaw sztuki wojennej pod okiem kilku doświadczonych wojskowych. Przed wyruszeniem na północ oddział Abe'a – grupa łachmaniarzy z New Salem i Clary's Grove – wybrał go na swojego kapitana.

Kapitan Lincoln! Przyznam, że oczy zaszyły mi łzami. Pierwszy raz w życiu poczułem taką estymę. Pierwszy raz zostałem obrany przywódcą i święte zaufanie, jakim obdarzyli mnie moi ludzie, dało mi większą satysfakcję niż wszelkie wyborcze zwycięstwa i stanowiska, które stały się moim udziałem w późniejszych latach.

Wśród maszerujących na pole bitwy u boku Abe'a był jego kompan w polowaniach na wampiry, Jack Armstrong, oraz młody major, niejaki John Todd Stuart. Stuart był szczupłym mężczyzną o „wysokim czole i starannie przedzielonych włosach”. Miał „wydatny” nos i „niemiłe” oczy, które „wyrządzały krzywdę jego serdecznej naturze”. Stuart w przyszłości odegrał istotną rolę w powojennym życiu Lincolna, jako adwokat w Springfield, serdecznie usposobiony oponent w Kongresie, a przede wszystkim jako kuzyn dziewczyny o kruczoczarnych włosach, piękności z Kentucky, Mary Todd.

Rzeczywistość wojenna okazała się znacznie mniej ekscytująca, niż to sobie Abe wyobrażał. Podczas gdy tysiące wojskowych z Illinois

wypierało zbuntowanych Indian na północ, ochotnikom pozostawało tylko siedzieć i czekać w nieznośnym upale. Wpis datowany na 30 maja 1832 roku, dokonany po kilku tygodniach spędzonych w obozowisku rozbitym wiele kilometrów od pola bitwy:

Moi ludzie wiele wycierpieli (z nudy), przelali sporo krwi (przez komary), a ja nawymachiwałem się toporem (robiąc drzewo na ognisko). Niewątpliwie zasłużyliśmy na miejsce w annałach, bo nigdy w historii nie zdarzyła się wojna, w której byłoby tak mało wojny.

Na początku lipca Abe i jego podkomendni zostali w końcu zwolnieni i ruszyli w długą podróż do domu. Nie mieli do opowiedzenia ani jednej historii z pola bitwy. Abe dotarł do New Salem (gdzie czekały na niego dwa listy wymagające „pilnej lektury”) niecałe dwa tygodnie przed wyborami do Zgromadzenia Stanowego. Niezwłocznie wznowił kampanię, dniami i nocami pukając do drzwi wyborców. Niestety gdy był na wojnie, tocząc boje z komarami, lista kandydatów urosła do trzynastu. Przy takiej liczbie rywali i z powodu straty czasu nie miał szans na zwycięstwo.

Abe zdobył ósme miejsce. Była jednak dobra wiadomość, której nawet przygnębiony i pokonany Lincoln nie mógł nie zauważyć. Spośród trzystu głosów oddanych w New Salem, Abe nie otrzymał jedynie dwudziestu trzech. Wszyscy, którzy go znali, poparli go. „Była to zatem wyłącznie kwestia zapukania do większej liczby drzwi”.

Tak rozpoczęła się jego kariera polityczna.

II

W obliczu swojej pierwszej politycznej porażki Lincoln potrzebował jakiegoś zwycięstwa i dobrze wiedział, gdzie go szukać. Z wpisu datowanego na 6 marca 1833:

Zrobię to, czego nie był w stanie dokonać Offutt. Jak Bóg mi świadkiem, będę prowadził dochodowy sklep w New Salem! Berry¹⁸ i ja kupiliśmy dzisiaj cały lokal na własność za 300 dolarów z kredytu, który spodziewamy się spłacić w ciągu dwóch lat. Przez trzy lata zdołamy zaoszczędzić dostateczną kwotę, by kupić własny budynek!

Po raz kolejny rzeczywistość okazała się mniej kolorowa niż marzenia. W chwili gdy Lincoln i Berry otwierali swój biznes, w New Salem działały już dwa sklepy wielobranżowe i nawet one nie cierpiały na nadmiar popytu. Historycy od lat łamią sobie głowy nad faktem, iż człowiek o takim intelekcie jak Abe, w dodatku obdarzony wyśmienitym instynktem, nie przewidział problemów związanych z otwarciem trzeciego sklepu w tej samej osadzie. Nie wiadomo też, jak mógł tak bardzo się pomylić w ocenie współnika, który okazał się niezaradny, nierzetelny i „stale pijany”.

Wydaje się, że powodowało nim coś więcej niż ambicja. Gdy po upływie niecałego roku sklep Abe’a jest już na skraju bankructwa, wpisy w jego dzienniku wyrażają coraz większe zmęczenie i desperację. Szczególnie jeden zwraca uwagę, lecz nie ze względu na ostrość wypowiedzi, ale przez odniesienie do (jak możemy się domyślać) matki.

Muszę wytrzymać.
Muszę być lepszy, niż jestem.
Nie mogę przegrać.
Nie mogę jej zawieść.

Jednak przegrał, a przynajmniej w dziedzinie suszonej żywności i damskich czepków. Sklep Lincolna i Barry'ego po prostu się „zwinął”, a na każdego ze współników przypadło ponad dwieście dolarów długu. A na Barrym nie można było nawet polegać w kwestii pozostania przy życiu. Umarł kilka lat później, całą kwotę zrzucając na barki Abe'a, któremu spłacenie należności miało zająć siedemnaście lat.

W innych okolicznościach Abe pewnie spakowałby manatki i wyjechał z New Salem, ale tak się składało, że za kilka miesięcy miały się odbyć kolejne wybory do Zgromadzenia Stanowego. Nie mając zbyt wielu zajęć („ostatnio nie przychodzą do mnie listy od Henry'ego”) i czerpiąc zachętę z niezłego wyniku w poprzednim plebiscycie, Abe postanowił ponownie wystartować, lecz tym razem zamierzał przygotować się porządnie. Przemierzał kraj konno i na piechotę, rozmawiał z każdym napotkanym człowiekiem. Ścisnął dłonie rolników, którzy pracowali na skąpanych w słońcu polach, i zdobywał ich szacunek, demonstrując swoje umiejętności pioniera i nieprzeciętną krzepę. Przemawiał w kościołach i knajpach, na wyścigach konnych i piknikach, ozdabiając swoje przemówienie (z pewnością notowane w drodze, na kawałkach papieru, które trzymał w kieszeniach) autoironicznymi opowiastkami o wypadkach na rzece i walkach z komarami.

„Nigdy nie spotkałem człowieka o większym darze przemawiania”, wspominał Mentor Graham po śmierci Abe’a. „Był niezgrabnym – ktoś mógłby powiedzieć brzydkim – jegomościem. Wysokim jak drzewo, z nogawkami, które kończyły się dobre piętnaście centymetrów nad cholewkami butów. Jego włosy były wiecznie rozczochrane, płaszcz stale wymięty. Kiedy stawał przed tłumem, wszyscy przyglądali mu się ze zmarszczonymi brwiami i założonymi rękoma, ale gdy tylko zaczynał mówić, zwątpienie znikało i pojawiały się gromkie brawa, a pod koniec nawet łzy”.

Tym razem uściskał dostateczną liczbę dłoni. Abraham Lincoln został wybrany na członka Zgromadzenia Stanu Illinois 4 sierpnia 1834 roku.

Ubogie dziecko zachodnich terenów – ani grosza przy duszy czy dnia spędzonego w szkole – oddelegowane do Vandalii¹⁹, by bronić praw swoich współobywateli! Zwykły robotnik wśród ludzi pióra. Przyznam, że krępuje mnie myśl o spotkaniu tych ludzi. Czy przyjmą mnie do swego grona? A może odrzucą jako niedouczzonego chłoptasia w dziurawych butach? Tak czy inaczej, wygląda na to, że moje życie zmienia się na zawsze. Grudzień nadchodzi wielkimi krokami. Nie potrafię ukryć podniecenia.

Przecucie Abe’a okazało się trafne. Jego życie już nigdy nie miało być takie samo. Wkrótce zaprzyjaźni się z mężami stanu oraz uczonymi i zamieni prowincjonalną ludowość hrabstwa Sangamon na rodzące się na jego oczach wyrafinowanie Vandalii. Poczynił swój pierwszy krok na drodze do adwokatury. Pierwszy krok w marszu do

Białego Domu²⁰. Ale był to w tamtym roku ledwie jeden z dwóch punktów zwrotnych w jego życiu.

Ponieważ Abe szaleńczo się też zakochał.

III

Jack poważnie się zastanawiał nad wycelowaniem kuszy w Abe'a. Dopiero co zakończyli ciężką, trzystukilometrową podróż na północ, do Chicago, śpiąc pod mroźnym niebem późnej jesieni, przedzierając się przez błoto do kolan i wodę do pasa, a „ten dureń nic, tylko gadał całą drogę o jakiejś dziewczynie”.

Nazywa się Ann Rutledge. Sądzę, że ma dwadzieścia lub dwadzieścia jeden lat, choć nie ośmieliłbym się spytać. Zresztą to nieistotne. Jeszcze ziemi tej nie zaszczycała swoją obecnością doskonalsza istota! Żaden mężczyzna nie zaznał miłości silniejszej niż moja! Póki będę żył, zamierzam opisywać na tych stronach wyłącznie jej piękno.

Armstrong i Lincoln siedzieli na luźno rozrzuconym sianie, oparci plecami o tylną ścianę stajni. Ich oddechy parowały w chłodnym, nocnym powietrzu przychodzącym znad jeziora Michigan. Nad ich głowami górował koński zad i każde drgnięcie jego ogona wywoływało w nich strach, że zdarzy się coś paskudnego. Całą noc czekali na swoją ofiarę. Jeden szeptał coś z uśmiechem na twarzy, drugi rozważał morderstwo.

– Byłeś kiedyś zakochany, Jack?

Jack nie odpowiedział.

– To naprawdę dziwne uczucie. Co chwilę człowieka uderza fala szczęścia. Myśli idą osobliwym torem...

Jack wyobraził sobie porcję końskiego nawozu wpadającą Abe'owi do ust.

– Tęsknię za jej zapachem. Twoim zdaniem to dziwne, że tak mówię? Tęsknię za jej zapachem, za dotykiem jej delikatnych palców. Tęsknię za widokiem...

Drzwi stajni otworzyły się i rozległ się odgłos kroków na drewnianych deskach. Abe i Jack naszykowali broń.

Wampir nie mógł nas wywęszyć pośród zwierzęcego smrodu ani usłyszeć, że chodzimy po sianie. Jego kroki umilkły, otworzyły się drzwi boksu. Zanim zdążył mrugnąć powiekami, rzuciłem toporem w jego serce, a strzała Jacka przebiła mu oko i utkwiała w mózgu. Potwór upadł na plecy, wyjął, i chwycił się za twarz, z której krew spływała po promieniu strzały. Hałas spłoszył jego konia, który stanął dęba. Złapałem go za uzdę, żeby nas obu nie stratował. Gdy to robiłem, Jack wyciągnął topór z klatki piersiowej wampira i uderzył nim w jego głowę, rozłupując ją na pół. Potwór leżał bez ruchu. Jack uniósł topór i uderzył ponownie, z jeszcze większą siłą. Powtórzył to trzeci i czwarty raz, tłukąc tępą stroną obucha, aż z głowy wampira został jedynie płaski kawałek skóry, krwi i włosów.

– Na litość boską, Armstrong. Co w ciebie wstąpiło?

Jack wyciągnął topór z tego, co kiedyś było twarzą wampira, i spojrzał na Abe'a, ciężko dysząc.

– Wyobraziłem sobie, że to ty.

W drodze powrotnej Abe trzymał język za zębami.

Ann Mayes Rutledge urodziła się jako trzecie spośród dziesięciorga dzieci współzałożyciela New Salem, Jamesa, i jego żony, Mary. Była o cztery lata młodsza od Abe'a, ale dorównywała mu pod względem głodu czytania. Przez większą część pierwszych osiemnastu miesięcy Abe'a w New Salem Ann mieszkała w Decatur, gdzie opiekowała się chorą ciotką, a w wolnych chwilach czytała wszystko, co wpadło jej do rąk. Nie wiadomo, co się stało z ciotką (umarła albo wyzdrowiała bądź też Ann zwyczajnie znudziła się rola pielęgniarce), ale dziewczyna wróciła do New Salem przed latem 1834 roku lub w czasie jego trwania. Wiemy to, ponieważ poznała Abe'a 29 lipca w domu Mentora Grahama, z którego biblioteki obydwójce pożyczali książki i który obydwójgu udzielał czasem lekcji. Graham zapamiętał ją jako dwudziestokilkuletnią dziewczynę o „dużych, pełnych wyrazu, błękitnych oczach”, „jasnej cerze” i kasztanowych włosach, „nie lnianych wbrew temu, co mówili niektórzy”. Miała „dobre usta, a w nich dobre zęby. Była słodka jak miód i płochliwa niczym motyl”. Graham zapamiętał też dzień, w którym poznał ją Abe. „Ani wcześniej, ani później nie widziałem u żadnego mężczyzny tak nisko opuszczonej szczęki. Podniósł wzrok znad książki i został trafiony prosto w serce tą pradawną strzałą. Oboje wymienili uprzejmości, ale ich rozmowę wspominam jako jednostronną, bo Lincoln z trudem panował nad myślami, tak nim wstrząsnął ów piękny widok. Tak go uderzyła jej miłość do książek i wiedza na ich temat”.

Tego samego dnia Abe napisał o Ann:

Nigdy nie było takiego dziewczęcia! Nigdy nie istniało w jednym ciele stworzenie tak piękne i tak mądre! Jest dobre trzydzieści centymetrów niższa ode mnie, ma niebieskie oczy, kasztanowe włosy i idealny, jasny uśmiech. Jest nieco szczupła, ale nie sposób jej tego wypominać, gdyż pasuje to do jej serdecznej, delikatnej natury. Jakże mam jeszcze kiedyś zaznać snu, wiedząc, że jest ona gdzieś tam, w mrokach nocy? Jak mam o czymkolwiek myśleć choć przez chwilę, jeżeli w myślach mych jest tylko ona?

Abe i Ann zaczęli spotykać się, najpierw u Mentora Grahama, gdzie prowadzili ożywione dyskusje o Szekspirze i Byronie, potem na długich, letnich spacerach, podczas których rozprawiali żywo o życiu i miłości, a jeszcze później na jej ulubionym wzgórzu, z widokiem na Sangamon, gdzie nie rozmawiali prawie w ogóle.

Nieomal się wstydzę pisać tu o tym, gdyż boję się to zubożyć, ale nie mogę się powstrzymać. Dziś po południu spotkały się nasze usta. Stało się to, gdy siedzieliśmy na kocu i patrzyliśmy co jakiś czas w dół na barki sunące bezgłośnie po rzece. „Abrahamie”, powiedziała. Odwróciłem się i zdziwiłem, jak blisko mojej twarzy była jej twarz. „Abrahamie, czy wierzysz w to, co mówił Byron? Że »miłość zawsze drogę znajdzie tam nawet, kędy głodny zwierz nie zajdzie?«”. Odparłem, że wierzę w to całym sercem, na co ona bez słowa przycisnęła swoje usta do moich.

Pragnę, by ta chwila była moim ostatnim wspomnieniem

przed śmiercią.

Do wyjazdu do Vandalii zostały mi jeszcze trzy miesiące i zamierzam spędzić je wyłącznie w towarzystwie Anny. Jest najpiękniejszą, najczulszą, najmądrzejszą gwiazdą na niebie! Jediną jej wadą jest brak zdrowego rozsądku, niepozwalający jej uniknąć zakochania się w takim durniu jak ja.

Abe nigdy już później nie pisał w tak kwiecistym stylu. Ani o żonie, ani nawet o dzieciach. Była to obsesyjna, euforyczna miłość młodości. Pierwsza miłość.

Grudzień nastał „zbyt szybko”. Ze łzami w oczach Abe pożegnał się z Ann i wyjechał do Vandalii, by złożyć przysięgę jako członek Zgromadzenia. Perspektywa bycia „robotnikiem wśród ludzi pióra” (która wcześniej wywoływała w nim niemałe podniecenie) teraz nie była już tak istotna. Przez dwa nieżnośne miesiące siedział na Kapitolu i myślał niemal wyłącznie o Ann Rutledge. Gdy sesja Zgromadzenia dobiegła końca w ostatnich dniach stycznia, Abe był już za drzwiami budynku, „zanim wybrzmiało echo po stuknięciu laski marszałkowskiej”, by popędzić do domu i – jak się miało okazać – spędzić tam najwspanialszą wiosnę swojego życia.

Żadna muzyka nie jest przyjemniejsza dla ucha niż jej głos. Żaden obraz nie dorównuje pięknem jej twarzy. Dziś po południu siedzieliśmy w cieniu drzewa. Ann czytała *Makbeta*, a ja leżałem z głową opartą na jej nogach. Jedną dłonią trzymała książkę, a drugą bawiła się moimi włosami, całując mnie delikatnie w czoło, ilekroć przewracała kartkę. Oto nareszcie wszystko na świecie było na swoim miejscu. Oto

toczyło się życie. Ann jest odtrutką na cały mrok, który spowija świat. Gdy jest przy mnie, nie obchodzą mnie długi ani wampiry. Istnieje ona i nic więcej.

Postanowiłem poprosić jej ojca o rękę Ann. Jest tylko jedna mała znacząca przeszkoda i zamierzam jak najszybciej ją usunąć.

Owa mała znacząca przeszkoda nazywała się John MacNamar i wbrew słowom Abe'a stanowiła poważne zagrożenie dla ich wspólnego szczęścia.

A to dlatego, że on i Ann byli zaręczeni.

[MacNamar] to wedle wszelkich doniesień człowiek o wątpliwych cnotach. Ślubował miłość Ann, gdy miała osiemnaście lat, po czym wyjechał do Nowego Jorku i tam czekał na dzień, w którym będzie mógł ją poślubić. Nieliczne listy, jakie dotarły od niego do Decatur, nie wyrażały szczególnie głębokiego uczucia, a od dłuższego czasu w ogóle nie pisał, ale dopóki całkiem jej nie uwolni, nie będę usatysfakcjonowany. Jednak nie załamuję się (gdyż prawdziwa miłość nigdy nie idzie gładko²¹) i zakładam, że sprawa zostanie rychło i pomyślnie rozwiązana.

Abe zrobił to, w czym był najlepszy. Napisał do Johna MacNamara list.

IV

Nad ranem 23 sierpnia Abe zanotował w dzienniku jedenaście niewinnych słów:

List od Ann – nie czuje się dziś dobrze. Jadę ją odwiedzić.

Minione lato było wspaniałe. Abe i Anna spotykali się niemal codziennie na długich, banalnych spacerach brzegiem rzeki i całowali się, gdy tylko mieli pewność, że nikt ich nie widzi. Nie miało to jednak znaczenia, bo całe New Salem i Clary's Grove wiedziało, że są w sobie zakochani, po części dzięki długiemu językowi Jacka Armstronga.

Jej matka stanęła przed drzwiami i oznajmiła, że nie życzy sobie gości. Jednak słysząc nasze głosy, Ann wezwała mnie do środka. Zastałem ją w łóżku, z egzemplarzem *Don Juana* na piersi. Za pozwoleniem pani Rutledge zostaliśmy sami. Ująłem jej dłoń i powiedziałem, że jest rozgrzana. Ann uśmiechnęła się w reakcji na moją troskę. „To tylko gorączka”, odparła. „Wkrótce mi przejdzie”. Przez całą rozmowę nie mogłem się pozbyć wrażenia, że trapi ją coś innego. Coś więcej niż tylko letnie przeziębienie. Zapytałem ją o to, a jej łzy potwierdziły moje przypuszczenia. Z trudem uwierzyłem w to, co mi opowiedziała.

Od dawna niewidziany narzeczony Ann, John MacNamar, powrócił.

„Odwiedził mnie przedwczoraj wieczorem”, powiedziała. „Był wściekły, Abe. Wyglądał na chorego, dziwnie się zachowywał. Powiedział mi o twoim liście i zażądał ode mnie natychmiastowej odpowiedzi. *Natychmiast przyznaj, czy go*

kochasz, krzyczał. Wypowiedz te słowa, a wyjadę stąd dzisiaj i nigdy nie wrócę”.

Ann dała mu odpowiedź: kocha tylko jednego mężczyznę, Abrahama Lincolna. Zgodnie z danym przez siebie słowem MacNamar wyjechał tego samego wieczoru. Ann miała go już nigdy nie zobaczyć. Furia Abe'a widoczna jest w datowanym na ten dzień wpisie do dziennika.

Napisałem MacNamarowi o naszej miłości i poprosiłem, by zachował się jak dżentelmen i uwolnił ją od zobowiązań. Zamiast mi odpisać, przemierzył tysiące kilometrów dziczy i napastował kobietę, którą przez tyle lat ignorował! Nadal uważając ją za przynależną sobie pomimo odsunięcia jej na bok! Co za łotr! Gdybym tam wówczas był, rozłupałbym mu czaszkę i oskórował plecy! Jednak cieszę się, że odszedł, a wraz z nim jedyna przeszkoda w naszym dążeniu do szczęścia. Nie będę dłużej zwlekał. Gdy tylko Ann wyzdrowieje, zwrócę się do jej ojca z prośbą o jej rękę.

Ale Ann nie wyzdrowiała.

Gdy Abe powrócił nad ranem 24 sierpnia, była zbyt chora, by mówić pełnymi zdaniami. Gorączka wzrosła, a oddech stał się płytki. Kilka godzin później całkiem straciła mowę, zaczęła też mdleć. Gdy się wybudzała, miała koszmarnie urojenia, a jej ciało trzęsło się tak, że nogi łóżka uderzały o podłogę. Rutledge'owie siedzieli wraz z Abem przy Ann i pilnowali, by okłady były zimne i by świece nie gasły. Lekarz był z nimi od południa. Początkowo sądził, że to dur brzuszny, ale z czasem stracił pewność. Urojenia, konwulsje, śpiączka – i to

wszystko w tak krótkim czasie? Nigdy się z czymś takim nie spotkał.
Ale Abe owszem.

Przez cały dzień i wieczór pełzył mi po plecach znajomy strach. Strach, który pamiętałem z dzieciństwa. Znów byłem dziewięcioletnim chłopcem, patrzącym, jak jego matka poci się i cierpi od tych samych koszmarów. Szepczącym te same bezowocne modlitwy i czującym te same nieznośne wyrzuty sumienia. To ja ściągnąłem na nią tę chorobę, pisząc list z żądaniem, by została uwolniona. A od kogo tego żądałem? Od mężczyzny, który zniknął tajemniczo, po czym wrócił chorowity i ziemisty... Od mężczyzny, który czekał do zmroku, nim odwiedził swoją narzeczoną. Od mężczyzny, który wolał, by cierpiała i w końcu umarła, niż wybrała innego.

Od wampira.

Tym razem nie było ostatniego uścisku ani chwilowego wstrzymania egzekucji. Tym razem po prostu zgasła. Najwspanialsze z boskich dzieł. Zbezczeszczone.

Skończone.

Ann Rutledge umarła 25 sierpnia 1835 roku. Miała dwadzieścia dwa lata.

Abe był załamany.

25 sierpnia 1835

Henry Sturges

Lucas Place 200, St. Louis
Ekspres

Drogi Henry,

dziękuję ci za życzliwość, jaką mi okazywałeś przez te wszystkie lata, i błagam o ostatnią przysługę. Poniżej znajdziesz nazwisko tego, który zasługuje na to jak najszybciej. Jedynym błogosławieństwem tego życia będzie jego koniec.

John MacNamar.

Nowy Jork, A.

Przez następne dwa dni Jack Armstrong i Chłopcy z Clary's Grove bacznie obserwowali Abe'a podczas całodobowego czuwania. Zabrali mu scyzoryk, narzędzia ciesielskie i strzelbę. Skonfiskowali nawet pasek do spodni w obawie, że może się na nim powiesić. Jack dopilnował też, by ukryty magazynek z bronią myśliwską pozostawał poza zasięgiem przyjaciela.

Pomimo wzmożonej opieki przeoczyli jedną broń. Żadnemu nie przyszło do głowy zajrzeć pod moją poduszkę, gdzie trzymam pistolet. Drugiego dnia, gdy Jack zostawił mnie samego na krótką chwilę, wyjąłem go i przystawiłem sobie lufę do skroni, zdecydowany skończyć ze sobą raz na zawsze. Wyobraziłem sobie kulę penetrującą mi czaszkę. Byłem ciekaw, czy przed śmiercią usłyszę wystrzał, czy poczuję ból i czy zobaczę własny mózg rozbryzgujący się na ścianie, czy ujrzę tylko ciemność, jakby po prostu zgasła świeczka przy

moim łóżku. Trzymałem pistolet przy głowie dłużej chwilę,
lecz nie wystrzelił.

Żyj...

Nie mogłem...

Nie mogłem jej zawieść. Rzuciłem broń na podłogę
i rozplakałem się, przeklinając wszystko. Przeklinając Boga.

Zamiast odebrać sobie życie, Abe zrobił to, co zawsze pomagało
mu w czasach nieznośnego bólu lub niepoahamowanej radości. Zaczął
pisać.

Monolog samobójcy²²

A zatem wiem już, że to zrobię

I tu się to dokona:

Sztylet w zbolełe serce wbiję,

Choć za to w piekle spłonę.

Słodka ma stali! Z pochwy się wydostań

I błyszcząc, powiedz o swej mocy.

Rozerwij oddechu me narządy,

Krew niech się z nich utoczy.

Uderzam! Nóż drgać zaczyna w sercu,

Co mnie przywiodło do tej matni.

Wyciągam i szpic całuję krwawy,

Przyjaciel mój jedyny i ostatni.

Henry Sturges przybył do New Salem już nazajutrz.

Natychmiast odesłał całą resztę, podając się za mojego „bliskiego kuzyna”. Gdy byliśmy sami, opowiedziałem mu wszystko o śmierci Ann, nie próbując ukryć żalu. Rozpłakałem się, a Henry wziął mnie w ramiona. Dobrze pamiętam jego gest, gdyż podwójnie mnie zaskoczył – przez sam fakt, iż wampir był zdolny do takiej czułości oraz przez zimny dotyk jego skóry.

– Szczęśliwi są ludzie, którzy nie tracą ukochanych – powiedział Henry. – My nie jesteśmy szczęśliwi.

– Ty też straciłeś kobietę tak piękną? Tak dobrą?

– Mój drogi Abrahamie, cały cmentarz można by zapęnić kobietami, które opłakiwałem.

– Nie chcę bez niej żyć, Henry.

– Wiem.

– Jest zbyt piękna, by... zbyt dobra...

– Wiem.

Abe nie umiał powstrzymać łez.

– Im cenniejszy Jego dar – powiedział Henry – tym prędzej pragnie go odzyskać.

– Nie mogę być bez niej...

Henry siedział na krawędzi łóżka, trzymając Abe'a w ramionach, kołysał go niczym dziecko i walczył z myślami.

– Jest jedno wyjście – odezwał się w końcu.

Abe usiadł prosto i rękawem otarł twarz z łez.

– Starsi spośród nas... mogą wskrzesić zmarłego, o ile ciało nie jest zbyt zniszczone i śmierć nastąpiła nie później niż przed pięcioma tygodniami.

Abe potrzebował dłuższej chwili, by zrozumieć słowa Henry'ego.

– Przysięgnij, że mówisz prawdę.

– Mogłaby żyć, ale... Abrahamie, ostrzegam cię, że skazałbyś ją na życie wieczne.

Oto znalazł odpowiedź na mój ból! Sposób na to, bym znów mógł ujrzeć uśmiech ukochanej, by poczuć w dłoni jej delikatne palce. Siedzielibyśmy w cieniu naszego ulubionego drzewa, czytali Szekspira i Byrona – ja z głową na jej kolanach i ona bawiąca się moimi włosami. Zestarzelibyśmy się, spacerując po brzegu Sangamon. Sama ta myśl przyniosła mi taką ulgę. Taką radość...

Jednak nie trwała długo. Bo gdy wyobraziłem sobie Ann z bladą skórą, czarnymi oczyma i pustymi kłami, nie odczułem miłości, którą z nią dzieliłem. Owszem, bylibyśmy na nowo złączeni, ale moimi włosami bawiłyby się zimne palce. Nie siedzielibyśmy w cieniu ulubionego drzewa, lecz w ciemnościach osłoniętego przed słońcem domu. Chodzilibyśmy na spacerówkę wzdłuż Sangamon, jednak tylko ja bym się starzał.

Kusiło mnie niemal do utraty zmysłów, ale nie mogłem się na to zdecydować. Nie mogłem zaspokoić ciemności, która mnie jej pozbawiła. Przyczynić się do zła, które zabrało mi matkę.

Ann Rutledge została pogrzebana na cmentarzu Old Concord w niedzielę 30 sierpnia. Abe stał w milczeniu, gdy trumnę spuszczano do ziemi. Trumnę, którą sam wykonał i napisał na jej wieku wers:

Samotnością przynajmniej z nikim nie trzeba się dzielić.

Gdy wróciłem z pogrzebu, Henry czekał przed moją chatą. Nie było jeszcze południa. Nad głową trzymał parasol, a na oczach miał ciemne okulary. Kazał, bym szedł za nim. Nie zamieniliśmy ani słowa, kiedy pokonywaliśmy dobry kilometr do niewielkiej polany w lesie. Tam ujrzałem bladego, drobnego mężczyznę o jasnych włosach, rozebranego i zakneblowanego, przywiązanego za ręce i nogi do słupa. U jego stóp leżało drewno i podpałka, a obok stał duży dzban.

„Abrahamie”, powiedział Henry. „Przedstawiam ci Johna MacNamara”.

Wił się na nasz widok, jego skórę pokrywały pęcherze i czyraki.

„Jest w miarę nowy”, odezwał się Henry. „Wciąż wrażliwy na światło”.

Poczułem sosnową pochodnię, którą włożył w moją dłoń. Poczułem na twarzy ciepło, gdy ją zapalił. Ale ani na chwilę nie oderwałem wzroku od MacNamara.

„Domyślam się zatem, że tym bardziej będzie wrażliwy na płomienie”, dodał Henry.

Mnie nie przyszły do głowy żadne słowa. Patrzyłem tylko

na niego i podchodziłem bliżej. On zaczął się trząść i spróbował się wyswobodzić. Kiedy zobaczyłem jego strach i bezsilność, mimowolnie poczułem litość.

To jakieś szaleństwo.

A jednak pragnąłem zobaczyć, jak płonie. Rzuciłem pochodnię na stertę drewna. MacNamar walczył z więzami, ale bez skutku. Wrzeszczał, aż jego płuca zaczęły krwawić i nie był w stanie wydać z siebie już żadnego dźwięku. Płomienie niemal natychmiast dosięgły jego pasa i zwęgliły mu nogi. Musiałem zrobić krok w tył. Fala gorąca była tak silna, że jego blond włosy sterczały pionowo, jakby od dołu wiał wiatr. Henry stał blisko płomieni, bliżej niż ja. Trzymając w dłoni dzban, polewał wodą głowę, piersi i plecy MacNamara, zachowując go przy życiu i przedłużając jego cierpienie. Czułem, że po twarzy spływają mi łzy.

Jestem martwy.

Trwało to dziesięć, może nawet piętnaście minut, aż na moją prośbę Henry pozwolił mu umrzeć. Zgasił płomień i odczekał, aż zwęglone zwłoki ostygną.

Henry położył delikatnie dłoń na ramieniu Abe'a. Ten jednak ją stracił.

– Dlaczego zabijasz swoich? I bądź uprzejmy powiedzieć mi prawdę, bo na tyle sobie zasłużyłem.

– Nigdy jeszcze cię nie okłamałem.

– Więc powiedz to teraz i miejmy to za sobą. Dlaczego zabijasz swoich i czemu...?

– Czemu się tobą wysługuję? Tak, tak, wiem. Mój Boże, wciąż zapominam, jaki jesteś młody.

Henry otarł twarz dłonią. Miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał przeprowadzić tej rozmowy.

– Dlaczego zabijam swoich? Udzieliłem ci już odpowiedzi: czym innym jest karmienie się krwią starych, chorych i podstępnych, a czym innym porywanie śpiących dzieci z łóżek. A jeszcze czym innym jest ciągnięcie mężczyzn i kobiet w łańcuchach na pewną śmierć, co widziałeś na własne oczy.

– A czemu ja? Dlaczego sam tego nie robisz?

Henry zamilkł, by zebrać myśli.

– Gdy jechałem tu z St. Louis – odezwał się w końcu – wiedziałem, że nie znajdę cię martwego. Czułem to w głębi serca, ponieważ, wiem, jakie cele ci przyświecają.



RYS. I-3. – ABE PŁACZE U BOKU UMIERAJĄCEJ ANN RUTLEDGE. RYCINA Z KSIĄŻKI TOMA FREEMANA *PIERWSZA MIŁOŚĆ LINCOLNA* (1890).

Abe wreszcie spojrział Henry’emu w oczy.

– Większość ludzi pragnie tylko istnieć, przejść szybko przez historię jako drugoplanowe postaci w teatrze, na scenie, której nawet nie widzą. Chcą być zabawkami w rękach tyranów. Ale ty... Ty urodziłeś się po to, by zwalczać tyranię. Taki jest twój cel. Uwolnić ludzi od tyranii wampirów. To pragnienie kierowało tobą od samego początku, odkąd wyskoczyłeś z łona matki. Widziałem je w tobie już przy naszym pierwszym spotkaniu. Biło od ciebie tak jasno, jak biją promienie słońca. Myślisz, że nasze drogi skrzyżowały się

przypadkiem? Sądzisz, że to zbieg okoliczności, iż pierwszy wampir, jakiego zapragnąłem zabić od ponad stu lat, był tym, który zaprowadził mnie do ciebie?

Potrafię dostrzec w ludziach to, co nimi powoduje, mam taki dar. Widzę to tak wyraźnie jak teraz ciebie. Twoim celem jest walka z tyranią.... A moim: dopilnować, byś wygrał.

SIEDEM

Fatalny pierwszy

Postanowiłem już nigdy więcej nie myśleć o małżeństwie, a to z tego mianowicie powodu, iż nie może mi dać satysfakcji nikt, kto wykazałby się dostatecznym brakiem rozsądku, by się ze mną związać.

Abraham Lincoln w liście do pani Orville H. Browning,

1 kwietnia 1838

I

Abe był na piętrze domu plantatora. Widział ich już tyle podczas spływów rzeką Missisipi – przerośnięte, czterokolumnowe cuda wybudowane rękami niewolników – ale nigdy nie było mu dane zobaczyć żadnego od środka. Aż do dzisiaj.

Trzymałem na rękach Jacka, którego wnętrzności były widoczne przez szparę rozciętego brzucha. Widziałem, jak jego twarz traci kolor, a z oczu wyziera mu strach. A po nim pustkę. Mój odważny, silny kompan. Największy twardziel w Clary's Grove. Jednak nie mogłem go teraz opłakiwać, bo sam byłem niebezpiecznie bliski śmierci.

Było to kolejne proste zadanie do wykonania, kolejne nazwisko na liście Henry'ego. Ale miejsce było inne, wyjątkowe. Abe był na kolanach, pewien, że natrafił na gniazdo wampirów.

Ilu ich było, nie wiem. Ułożyłem ciało Jacka na podłodze i wszedłem na długi korytarz, trzymając topór w dłoni. Mój płaszcz był rozdarty przez pazury tego samego wampira, który odebrał życie Armstrongowi. Wzdłuż całego korytarza widziałem pootwierane drzwi i gdy je kolejno mijałem, każde ukazywały scenę potworniejszą od poprzedniej. W jednym pokoju malutkie ciała trójki dzieci z poderżniętymi gardłami zwisały na sznurach głowami do dołu. Pod nimi ustawione były wiadra, w których zbierała się ich krew. W innym pomieszczeniu wysuszone zwłoki kobiety na bujanym fotelu. Szkielet jednej z jej dłoni spoczywał na głowie dziecka na jej kolanach, którego ciało było w nieco mniej zaawansowanym stanie rozkładu od niej. Dalej... szczątki kobiety na łóżku. Jeszcze dalej... Przysadzisty wampir z kołkiem wbitym w serce. Przez cały czas słyszałem wokół siebie skrzypiący parkiet. Nad głową i piętro niżej. Szedłem dalej, ku schodom na końcu korytarza. Gdy wreszcie do nich dotarłem, odwróciłem się, by objąć wzrokiem całe piętro. Nagle stanął przede mną wampir, ale nie mogłem dostrzec jego twarzy, oślepiło mnie bijące zza jego pleców światło. Wyrwał mi topór i odrzucił go na bok, po czym podniósł mnie za kołnierz. Teraz zobaczyłem jego twarz.

Henry.

„Twoim celem, Abrahamie, jest uwolnienie ludzi od

tyraniu”, powiedział. „I dlatego musisz umrzeć”. Po tych słowach przerzucił mnie przez poręcz schodów. Moje ciało upadało na marmurową podłogę głównego holu. I upadało. Bez końca.

Był to ostatni koszmar senny, jaki przyśnił się Abe’owi w New Salem.

Lincoln potrzebował kilku miesięcy na otrząśnięcie się z paralizującej depresji po śmierci Ann, lecz choć odnowiła w nim ona nienawiść do wampirów, brakowało mu teraz energii i pasji do polowania na nie. Kiedy przychodził do niego list z St. Louis zaadresowany ręką Henry’ego, Abe często nie otwierał go wiele dni (a gdy w końcu go czytał, za wskazanego osobnika zabierał się po upływie kilku tygodni). Bywało też, że wysyłał Jacka Armstronga, gdy zadanie wiązało się ze zbyt długą podróżą. Jego zniechęcenie daje się wyczuć we wpisie do dziennika, datowanym na 18 listopada 1836 roku:

Ofiarowałem już zbyt wiele siebie. Od tej pory zamierzam polować wyłącznie, gdy będzie mi to pasowało, i tylko po to, by uczcić pamięć mojej cudownej matki... tylko, by uczcić Ann. Nie będę się zaczajał na dżentelmenów w ciemnych uliczkach, nie obchodzą mnie czarni sprzedawani na aukcjach ani dzieci porywane z łóżeczek. Występowanie w ich obronie nie przyniosło mi dotąd żadnych korzyści. Wręcz przeciwnie, mocno mnie zubożyło, ponieważ ekwipunek do wypraw na polowanie musiałem zdobywać własnym kosztem, a dni i noce spędzone na łowach nie zawsze są wynagradzane. Jeśli Henry

ma rację i rzeczywiście moim zadaniem jest uwolnienie ludzkości od tyranii, to muszę zacząć od uwolnienia samego siebie. Nic tu dla mnie nie ma [w New Salem]. Sklep splajtował i obawiam się, że osada wkrótce pójdzie w jego ślady. Od tej pory moje życie należeć będzie do mnie.

Abe był wcześniej zachęcany przez dawnego kompana w czasów wojny z Czarnym Jastrzębiem, Johna T. Stuarta, do studiów prawniczych. Stuart sam prowadził niewielką kancelarię w Springfield. Studiując całkiem samodzielnie (i wyłącznie w wolnym czasie), Lincoln zdobył licencję prawniczą jesienią 1836 roku. Niedługo potem Stuart zaproponował mu współpracę. Dwunastego kwietnia 1837 roku opublikowali ogłoszenie w „The Sangamon Journal” o ich firmie, której siedziba mieściła się „Przy Hoffman’s Row numer cztery, na górze”. Trzy dni później Abe wjechał z poważnym wyrazem twarzy do Springfield, na pożyczonym koniu i z całym dobytkiem spakowanym w dwie sakwy. Miał dwadzieścia osiem lat i ani grosza przy duszy. „Wszystkie pieniądze wydałem na spłatę długów i książki niezbędne w nowym zawodzie”. Przywiązał konia przed sklepem wielobranżowym po zachodniej stronie placu i wszedł do środka z pustymi kieszeniami. Sprzedawcą był szczupły mężczyzna, Joshua Fry Speed, dwudziestoczterolatek o kruczoczarnych włosach i „dostojnej” twarzy z parą „niepokojących” oczu.

Od razu wydał mi się dziwny i męczący. „A pan nowy w Springfield? Może kupi pan kapelusz? Jakie wieści z kraju? Pewnie musi się pan zawsze kłaniać, żeby przejść przez

drzwi?”. Nigdy nie słyszałem tylu pytań! Nigdy nikt nie wciągał mnie aż tak na siłę w rozmowę! Gdy sam pracowałem jako sprzedawca, nie przyszło mi do głowy traktować klientów w ten sposób. Nie mogłem zrobić ani kroku, żeby nie kręcił się wokół mnie niczym giez, i nie zarzucał pytaniami, gdy tymczasem ja chciałem tylko dokonać zakupu i wyjść. W tym celu podałem mu listę potrzebnych rzeczy, z chemikaliami niezbędnymi do polowania włącznie.

– Wybaczy pan – odezwał się Speed – ale to doprawdy przedziwna lista.

– A jednak właśnie te rzeczy są mi potrzebne. Chętnie podam panu nazwy...

– Przedziwna lista. Jest pan pewien, że już się nie spotkaliśmy?

– Może pan zamówić dla mnie wymienione towary czy nie?

– Tak, bez wątpienia! Tak... tak, widziałem, jak wygłaszał pan przemówienie rok temu w lipcu, w Salisbury! O potrzebie rozwoju rzeki Sangamon. Nie pamięta pan? Joshua Speed? Pański rodak z Kentucky?

– Naprawdę muszę już...

– Świetne przemówienie! Oczywiście uważam, że był pan w błędzie. Każdy dolar wydany na ten żałosny strumyk to dolar wyrzucony w błoto. Ale cóż za przemówienie!

Obiecał niezwłocznie załatwić moje zamówienie, po czym (na szczęście dla moich zmęczonych uszu) zajął się przepisywaniem listy. Przed wyjściem zapytałem jeszcze, czy wie, gdzie mogę wynająć pokój, najlepiej tani, jako że nie

miałem obecnie pieniędzy.

– Ależ, sir... Jeśli nie ma pan pieniędzy, to mam rozumieć, że przez „tani” rozumie pan „darmowy”?

– Na kredyt.

– Ach tak. Proszę wybaczyć, ale doświadczenie mówi mi, że „na kredyt” to po francusku: „Nigdy ci nie zapłacę”.

– Reguluję swoje długi.

– No tak, nie wątpię, nie wątpię. Mimo to nie znajdzie pan takiego pokoju w Springfield. Ludzie są tu dziwnie przywiązani do wymiany dóbr na pieniądze.

– Oczywiście. W takim razie dziękuję za fatygę. Do widzenia.

Być może uzalił się nad moją sytuacją lub strudzonym obliczem, a może był równie samotny jak ja. Tak czy inaczej, zatrzymał mnie i zaproponował, że podzieli się ze mną swoim pokojem nad sklepem – „na kredyt, do czasu, gdy będzie pan w stanie znaleźć własne lokum”. Przyznam, że rozważałem odmowę, gdyż bałem się zamieszkania z tak natrętną muchą. Już wolałbym poszukać miejsca w stajni. Ale z braku alternatywy podziękowałem mu i przyjąłem jego ofertę.

– Domyślam się, że trochę czasu zajmie panu przeprowadzka – powiedział Speed.

Abe wyszedł na dwór. Po chwili wrócił z sakwami i postawił je na podłodze.

– I po przeprowadzce.

II

Springfield było miastem w rozkwicie. Drewniane szopy i wozy zaprzężone w woły ustępowały budynkom z cegły i konnym powozom, a na każdego rolnika zdawało się przypadać dwóch polityków. Abe znalazł się daleko od New Salem, ale jeszcze dalej od trudów pionierskiego życia w Little Pigeon Creek. Jednak ze wszystkimi korzyściami płynącymi z ekscytującego miejskiego życia nadszedł też rodzaj okrucieństwa, do którego Abe nie był przyzwyczajony. Zawarty w dzienniku opis jednego z incydentów daje dobry obraz rosnącej przemocy w rozwijającym się mieście. Stanowi też kolejny dowód wciąż dręczącej Abe'a melancholii.

Byłem dziś świadkiem śmiertelnego postrzelenia kobiety i mężczyzny. Ten ostatni był odpowiedzialny za obydwie śmierci. Stałem na ulicy przed naszym biurem i rozmawiałem z klientem, Johnem S. Wilbournem, gdy usłyszałem krzyk i zobaczyłem mniej więcej trzydziestopięcioletnią kobietę wybiegającą od Thompsonów²³. Wyskoczył za nią mężczyzna z pieprzniczką²⁴, wycelował i strzelił prosto w plecy. Upadła na twarz, chwytając się za brzuch, po czym przekreśliła się na plecy i próbowała usiąść. Nie była w stanie. Wilbourn i ja pobiegliśmy w jej stronę, nie bacząc na to, iż jej mąż stał nad nią z pistoletem w dłoni. Inni gapie wyszli na ulicę, zaalarmowani nagłym zgiełkiem, a wtedy usłyszeliśmy kolejny strzał. Ten przedziurawił głowę męża. On również upadł na ziemię, a krew wypływała mu z rany z każdym uderzeniem serca.

Dziwne, jak szybko umiera ludzkie ciało. Jak kruche jest nasze istnienie. W mgnieniu oka dusza znika i zostawia puste, nieistotne naczynie. Czytałem o ludziach posyłanych w Europie na szubienice i gilotyny. Czytałem o wielkich wojnach z dawnych lat, o ofiarach liczonych w dziesiątki tysięcy. A jednak nie zastanawiamy się nad ich umieraniem, gdyż w naszej naturze leży wypieranie podobnych myśli. Czyniąc to, zapominamy, iż oni byli kiedyś tak samo żywi jak my i że kawałek sznura, pojedyncza kula lub ostrze noża zabrały ich życie w jednej, krótkiej chwili. Zabrały ich najwcześniejsze, niemowlęce dni, jak i mglistą, niespełnioną przyszłość. Jeśli pomyśleć o tym, ile dusz spotkał ten los od początku istnienia ludzkości, o niezliczonych morderstwach na mężczyznach, kobietach i dzieciach... Zbyt wielki to ciężar.

Na szczęście obowiązki prawnika i prawodawcy zajmowały Lincolnowi zbyt wiele czasu, by mógł zagłębiać się w myśli o śmierci. Jeśli tylko nie musiał brać udziału w pracach komisji lub w głosowaniu, najczęściej odbierał w swojej kancelarii zeznania od klienta lub składał pozew w sądzie w Springfield (większość spraw, w których brał udział, dotyczyła sporów o ziemię i niespłacone długi). Dwa razy w roku Abe wyruszał z innymi prawnikami w trzymiesięczny objazd po ósmym okręgu sądowym, na który składało się czternaście hrabstw środkowego i wschodniego Illinois. Na kilkadziesiąt osad przypadało zaledwie kilka sądów, więc jeśli pogoda na to pozwalała, sądy jeździły do nich. Adwokaci, sędziowie, wszyscy. Dla Abe'a podróże te były czymś więcej niż tylko ucieczką od długich wieczorów spędzanych przy świecy nad biurkiem.

Stanowiły też okazję do polowań na wampiry.

Wiedząc, że z racji wykonywanej pracy dwa razy w roku będę objeżdżał swój okręg, odsuwałem niektóre zadania na czas, gdy wywiązanie się z nich będzie łatwiejsze. W dzień prowadziliśmy sprawy sądowe w kościołach i knajpach. Wieczorami zbieraliśmy się przy kolacji i omawialiśmy plan na następnego dnia, a w nocy, gdy większość spała w zatłoczonych pokojach pensjonatu, ja wyruszałem na łowy, wyposażony w płaszcz i topór.

Szczególnie jedna taka wyprawa utkwiała w jego pamięci:

Otrzymałem list od Henry'ego z następującymi instrukcjami: „E. Schildhaus. Kilometr za północnym krańcem Mill Street w Athens, Illinois”. Zamiast jechać tam od razu, by wymierzyć boską sprawiedliwość, postanowiłem zaczekać, aż obowiązki zaprowadzą mnie tam. Dwa miesiące później nadszedł dzień, gdy nasza paczka była umówiona na wizytę w tym małym, północnym miasteczku. Adwokaci zebrali się w knajpie, która miała służyć za salę sądową. Tam przedstawiono im powodów i oskarżonych, których spory mieli rozstrzygnąć w ciągu kilku godzin. Ponieważ większą część nocy przechorowałem, mogłem dołączyć do Stuarta dopiero po południu, gdy nasza sprawa stała już na wokandzie. Chodziło o niewielki dług, a dłużnikiem była nasza klientka, starsza, ruda kobieta o imieniu Betsy. Pamiętam tylko tyle, że przegraliśmy i że mój udział w procesie

ograniczał się do uściśnięcia dłoni Betsy na pożegnanie, zbyt bowiem byłem rozkojarzony przez gorączkę. Tej nocy, gdy Stuart położył się spać wraz z innymi, rozpakowałem płaszcz i topór i po cichu ruszyłem w stronę miejsca wskazanego mi przez Henry'ego. Ponieważ nie czułem się w pełni sił, postanowiłem, że po prostu zapukam do drzwi i wbiję topór w pierś tego, kto otworzy, po czym jak najszybciej wrócę do łóżka. Drzwi otworzyły się gwałtownie.

Moim oczom ukazała się nasza klientka Betsy. Jej rude włosy podtrzymywane były przez grzebień z kości słoniowej. Zapiąłem płaszcz, by ukryć wiszący pod jego połami topór.

– Słucham pana, panie Lincoln.

– Bardzo przepraszam... za najście o tej porze. Musiałem się pomylić.

– Ach tak.

– Niestety. Myślałem, że mieszka tu E. Schildhaus.

– Ano mieszka.

Wampir i kobieta pod jednym dachem?

– Panie Lincoln, proszę wybaczyć, że pytam, ale czy dobrze się pan czuje? Trochę pan blady.

– Dobrze, dziękuję. Czy... Mógłbym może zamienić parę słów z gospodarzem?

– Panie Lincoln – zaśmiała się. – Właśnie pan to robi.

E. Schildhaus...

Elizabeth...

Betsy.

Dostrzegła topór pod moim płaszczem. Odczytała wyraz mojej twarzy, moich oczu. Odgadła moje myśli. Za chwilę leżałem na plecach i próbowałem odepchnąć jej kły od swojej szyi. Topór został mi wytrącony z ręki. Prawą dłonią pociągnąłem ją za włosy, a lewą włożyłem do kieszeni płaszcza. Znalazłem tam mały nóż, który zacząłem wbijać w każdą część jej ciała, do której mogłem dosięgnąć: w szyję, w plecy i ramiona, którymi mnie przygniatała do podłogi. Powtarzałem ciosy, aż w końcu puściła mnie i skoczyła na równe nogi. Ja zrobiłem to samo i przez chwilę chodziliśmy ostrożnie wokół siebie. Trzymałem nóż przed sobą, a ona wbijała we mnie te swoje czarne ślepia. Nagle, równie szybko jak wcześniej mnie zaatakowała, zatrzymała się i podniosła rękę w geście kapitulacji.

– Muszę spytać... W czym tkwi nasz spór, panie Lincoln?

– Twój spór jest z Bogiem. Ja chcę jedynie postawić cię przed jego sądem.

– No dobrze – zaśmiała się. – W takim razie lepiej, byś był sprawniejszym wojownikiem niż adwokatem.

Uderzyła mnie, wytrącając nóż z dłoni. Pomogła jej moja słabość spowodowana gorączką. Jej pięści fruwały mi przed twarzą z taką szybkością, że ledwie je widziałem. Po chwili poczułem w ustach słony smak świeżej krwi. Z każdym ciosem spychała mnie do tyłu, aż nie mogłem dłużej utrzymać się na nogach. Pierwszy raz od tamtej nocy, gdy Henry uratował mi życie, poczułem, że śmierć zagląda mi przez ramię.

Henry się mylił...

Upadłem, a ona momentalnie na mnie wskoczyła. Trzęsącą się ręką ponownie złapałem ją za włosy. Nagle poczułem jej kły w moim barku i ból przebitego mięśnia. Ciepło krwi napływającej do rany. Ciśnienie w żyłach. Przestałem ciągnąć ją za włosy i położyłem otwartą dłoń na jej głowie, jakbym pocieszał zrozpaczonego przyjaciela. Opuścił mnie lęk i ból. Poczułem ciepło whisky. Nieznaną radość.

Oto ostatnie chwile mojego życia.

Potarłem męczennikiem o jej grzebień. Zapłonął jaśniej niż słońce, niczym aureola. Jej rude włosy stanęły w płomieniach i momentalnie wyrwała mi kły z ramienia. Usłyszałem, że krzyczy, wijąc się po podłodze. Ogień przeniósł się na jej ubranie, nie chciał jej uwolnić. Resztkami sił podniosłem topór i wbiłem go w jej mózg. Przestała się ruszać, ale nie miałem sił, by ją pogrzebać ani nawet by wrócić do pensjonatu. Zaciągnąłem zwłoki do pokoju, oddarłem kawałek prześcieradła, by opatrzyć swoją ranę, po czym położyłem się na jej łóżku.

Nie sądzę, bym kiedykolwiek jeszcze miał okazję bronić klienta w sądzie, by w tym samym dniu go zamordować.

Podczas sesji objazdowych sądu Abe mógł polować wyłącznie w nocy. Ale gdy pracował w Springfield, coraz większą przyjemność

czерpał z łowów dziennych.

Jedną z moich ulubionych sztuczek było podpalenie domu wampira w porze, gdy słońce wisiało na niebie najwyżej. To dawało potworowi wybór dwóch możliwości: mógł wybiec i spotkać mnie w świetle dnia, kiedy był słaby i półślepy, albo zostać w środku i spłonąć. Nie obchodziło mnie, co wybierał.

Gdy Abe wygrywał kolejne wybory do Zgromadzenia Stanowego w 1838 roku, był już znany w okolicach Springfield jako elokwentny mówca i sprawny adwokat, mężczyzna o niezrównanej ambicji i umiejętnościach. Człowiek godny szacunku. Miał dwadzieścia dziewięć lat i w ciągu niespełna roku z ubogiego nowicjusza na pożyczonym koniu stał się członkiem elity (choć z powodu długów pozostawał ubogi). Czarował gości uroczystych kolacji prowincjonalną swojskością, a na kolegach po fachu robił wrażenie dogłębną znajomością tematów. „Nie umie się jeszcze zachować przy stole”, zauważył kiedyś jego znajomy wig w rozmowie z przyjacielem, „a jego garnitury przydałoby się oddać do krawca, ale dysponuje najznamienitszym umysłem, z jakim się spotkałem, w dodatku posiada dar formułowania myśli w nadzwyczaj elokwentnych zdaniach. Sądzę, że będzie kiedyś gubernatorem”.

Abe rzadziej teraz myślał o Ann Rutledge.

To prawda, co mówią o upływie czasu. Ostatnio melancholia nie męczy mnie już tak bardzo, dzięki czemu mogę znów pracować z werwą. Matka informuje mnie, że ona i moi przybrani bracia pozostają w dobrym zdrowiu²⁵. Stuart

jest dobrym wspólnikiem, Speed męczącym, lecz dobrym przyjacielem, a najznamienitsi mieszkańcy Springfield darzą mnie estymą. Gdyby nie moje długi, byłbym najszcześniejszym człowiekiem na ziemi. A jednak nieustannie dręczy mnie przecucie, że czegoś mi brak.

John T. Stuart miał plan.

Zajął mu to trochę czasu, w końcu jednak przekonał młodszego wspólnika, by wybrał się z nim na kotylion u jego kuzynki, Elizabeth.

Mając sporo do zrobienia, uważałem, że powinienem poświęcić czas na ważniejsze sprawy. Ale Stuart na mnie naciskał, męczył zupełnie jak [przybrany brat] John przed laty. „Życie to nie tylko dokumenty, Abrahamie! Chodź! Poczujemy się lepiej, jeśli wyjdziemy do ludzi”. Trwało to dobre trzy kwadransy, aż nie miałem wyboru i musiałem ustąpić. Gdy dotarliśmy do domu Edwardsów (zanim jeszcze zdążyłem strząsnąć śnieg z butów), Stuart przeprowadził mnie przez pokoje i przedstawił młodej damie siedzącej w salonie. W tym momencie jego intencje stały się oczywiste.

Nazywała się Mary Todd. Była kuzynką Stuarta i niedawno przybyła do Springfield. Tego samego wieczoru, 16 grudnia 1839 roku, Abe zanotował swoje pierwsze wrażenie:

Fascynujące z niej stworzenie. Dopiero w tym tygodniu skończyła dwadzieścia jeden lat, a doskonale sobie radzi

w konwersacji, i to nie w sztywny, wyuczony sposób, zdradzający przesadne ułożenie, lecz naturalnie, spontanicznie. Drobne, błyskotliwe dziewczę z przyjemną, okrągłą buzią i ciemnymi włosami. Mówi biegle po francusku, wyszkolona tanecznie i muzycznie. Moje oczy mimowolnie wracały do niej raz po raz. Kilkakrotnie przyłapałem ją, jak odwzajemnia spojrzenie i szepcząc coś na ucho przyjaciółce, bawi się wraz z nią moim kosztem. Tak, chętnie poznam ją lepiej! Gdy wieczór zbliżał się do końca i już nie mogłem wytrzymać, ukloniłem się nisko i powiedziałem: „Panno Todd, pragnę z panią zatańczyć w najgorszy możliwy sposób”.

Legenda głosi, że Mary powiedziała potem przyjaciółkom: „Dotrzymał słowa”.

Czuła jednak osobliwy pociąg do tego wysokiego, niezbyt dystyngowanego adwokata. Pomimo dzielącej ich przepaści, różnił ich stopień majątności i sposób wychowania, łączyło oboje kilka wspólnych cech, które miały się stać podstawą ich relacji. Obydwoje w młodym wieku zostali osieroceni przez matki i żyli w cieniu tej straty. Obydwoje byli stanowczy i emocjonalni – zdolni sięgać wyżyn, lecz i bezdennych otchłani. Obydwoje też uwielbiali dobry dowcip (zwłaszcza gdy jego obiektem był „jakiś niecny szarlatan”). Tamtej zimy Mary napisała w swoim dzienniku: „Nie jest najprzystojniejszym zalotnikiem, jakiego spotkałam, ani najlepiej wychowanym, ale z pewnością przewyższa innych intelektem. Lecz jego błyskotliwość idzie w parze ze smutkiem. Jest dosyć dziwny... Dziwny, acz intrygujący”.

Jednak choć Abe ją intrygował, Mary była niezdecydowana, bo już

wtedy zalecał się do niej niski, krępy demokrat, niejaki Stephen A. Douglas. Był on wschodzącą gwiazdą w swojej partii, w dodatku człowiekiem o niemałym majątku, zwłaszcza w porównaniu z Lincolnem. Mógł zapewnić Mary luksus, do jakiego przywykła. Ale mimo że był niewątpliwie inteligentny i niewątpliwie bogaty, to według słów samej Mary również „niewątpliwie nijaki”.

„Ostatecznie”, pisała wiele lat później w liście, „uznałam, że wolę się śmiać, niż jeść”.

Abe i Mary zaręczyli się pod koniec 1840 roku. Choć byli w sobie zakochani i marzyli o ślubie, to musieli jeszcze uzyskać pozwolenie od jej ojca. Młoda para nie musiała długo czekać na jego odpowiedź. Rodzice Mary zamierzali przybyć do Springfield na Boże Narodzenie. Wtedy miało dojść do pierwszego spotkania Abe’a z przyszłymi teściami.

Robert Smith Todd był zamożnym biznesmenem z wieloma znajomościami w wyższych sferach Lexington w stanie Kentucky. Podobnie jak Abe zajmował się prawem i prawodawstwem. W przeciwieństwie do Abe’a zgromadził pokaźną fortunę, a jej część wydawał na zakup niewolników do posiadłości, w której mieszkał ze swoją drugą żoną i kilkorgiem spośród piętnaściorga dzieci.

Przepelnia mnie niepokój, gdy myślę, że będę oceniany przez człowieka o takich wpływach i tylu osiągnięciach. A jeśli uzna mnie za głupca lub parobka? Co wtedy z naszą miłością? Wszystko inne schodzi na drugi plan. Od dwóch tygodni się zamartwiam.

Zupełnie niepotrzebnie. Spotkanie przebiegło lepiej, niż

przypuszczał. Tak przynajmniej można sądzić, czytając wiersz, który Mary wysłała do Lexington następnego dnia, 31 grudnia:

Abe się pokazał od dobrej strony,
Mój drogi tato nim zauroczony.
Wyda, jak zgadłaś, swą córkę za żonę,
Nasz związek został błogosławiony.

Podczas gdy jeden posłaniec zawoził wiersz do Lexington, inny dostarczał list do jej dopiero co błogosławionego narzeczonego. Został on zaadresowany charakterystycznym pismem Henry'ego jako „pilny”. Jak wszystkie listy Abe'a i Henry'ego również i ten był napisany w sposób zakamuflowany na wypadek, gdyby wpadł w niepowołane ręce, nie znalazła się w nim ani jedna wzmianka o wampirach.

Najdroższy Abrahamie,

otrzymałem twój list 18 grudnia. Przyjmij najserdeczniejsze gratulacje z okazji zaręczyn. Panna Todd zdaje się posiadać liczne zalety, a sądząc po twoim wyczerpującym opisie każdej z nich, one z kolei bez reszty posiadły ciebie.

Jednakowoż muszę cię ostrzec i czynię to po głębokim namyśle, gdyż wiem, że nie dostarczam ci dobrych wieści. Kobieta, z którą jesteś zaręczony, jest córką Roberta Smitha Todda – znany jest on wszystkim w Lexington jako człowiek bogaty i wpływowy. Wiedz jednak, że jego siła została zbudowana na zdradzieckich fundamentach. Większym jest stronnikiem moich niż twoich bliskich. W sojuszu z nim są

najgorsi z nas, których nazwiska wysyłałem ci przez minione lata. Jest ich sprzymierzeńcem w Zgromadzeniu Stanowym i prywatnym bankiem w sprawach biznesowych. Czerpał nawet zyski ze sprzedaży czarnych na ten najokrutniejszy cel.

Nie jest moim zamiarem zniechęcanie cię do jego córki, gdyż nie można obciążać jej odpowiedzialnością za grzechy ojca. Jednak bliska relacja z takim człowiekiem mogłaby się okazać niebezpieczna. Proszę tylko, byś poważnie się nad tym zastanowił i zachował trzeźwy umysł, bez względu na to, co postanowisz.

Na zawsze twój, H.

Następny dzień historia miała zapamiętać jako „fatalny pierwszy” stycznia Lincolna.

No i po wszystkim. Zniszczyłem ukochaną kobietę bez słowa wyjaśnienia. Zniweczyłem jej szczęście i swoje. Jestem najżałośniejszym stworzeniem, jakie żyło na ziemi, i zasłużyłem sobie na każdy ból, który jeszcze mnie czeka. Obawiam się... Nie, mam nadzieję, że czeka mnie go sporo.

Abe spotkał się z Mary tego samego dnia i zerwał zaręczyny, mamrocząc coś przez łzy („Nie pamiętam ani słowa”), po czym pobiegł do siebie.

Wiedziałem, że nigdy nie będę w stanie podać ręki jej ojcu ani spojrzeć mu w oczy, nie zdradzając furii. Pomyśleć, że

w moich dzieciach miałyby płynąć jego krew! Człowieka, który spiskuje przeciwko swoim! Człowieka, który zarabiał na śmierci niewinnych ludzi, do licha z kolorem ich skóry! Nie zniósłbym tego. Ale co mogłem zrobić? Powiedzieć Mary prawdę? Wykluczone. Nie miałem wyboru.

Drugi raz w ciągu pięciu lat myśli Abe'a krążyły wokół samobójstwa. I po raz drugi przed podjęciem ostatecznego kroku powstrzymało go życzenie jego umierającej matki.

John T. Stuart był z wizytą u krewnych. Niemal wszyscy członkowie zgromadzenia wyjechali, by powitać Nowy Rok w swoich okręgach. W całym Springfield była tylko jedna osoba, do której Abe mógł się zwrócić.

– Przecież ją kochasz! – zawołał Speed. – Czemuż, u diabła, zrobiłeś coś tak głupiego?

Abe siedział na łóżku w małym pokoiku nad sklepem, na łóżku, które dzielił z obłąkaną, „natrętną muchą”, która latała teraz od ściany do ściany.

– Pragnę z nią być, Speed... ale nie mogę.

– Z powodu jej ojca? Tego samego, który ledwie tydzień temu udzielił ci swojego błogosławieństwa?

– Zgadza się.

– Pragniesz z nią być. Jej ojciec dał ci błogosławieństwo. Musisz mi wytłumaczyć, jak przebiegają zaloty w stanie Illinois, bo najwyraźniej czegoś nie rozumiem.

– Dowiedziałem się, że jej ojciec jest złym człowiekiem. Że utrzymuje najpodlejsze znajomości. Nie będę w tym uczestniczył.

– Gdybym kochał jakąś kobietę, tak jak ty kochasz Mary, jej ojciec

mógłby jadać kolacje z samym diabłem i nie wpłynęłoby to na moje uczucie.

– Nie rozumiesz...

– W takim razie pomóż mi zrozumieć! Jak mam ci pomóc, skoro mówisz zagadkami?

Abe miał to na końcu języka.

– Lincoln, możesz mi powierzyć każdy sekret.

– Gdy powiedziałeś „jadać kolacje z samym diabłem”, byłeś bliższy prawdy, niż ci się zdaje. Mówię, że utrzymuje najpodlejsze znajomości. Mam na myśli to, że... jest przyjacielem zła, Speed. Przyjacielem kreatur, które nie poważają ludzkiego życia. Potworów, które mogłyby zabić ciebie i mnie, czując to samo, co czuje słoń, gdy nadeptnie na mrówkę.

– Aha... Twoim zdaniem przyjaźni się z wampirami.

Abe poczuł, jak krew odpływa mu z koniuszków palców.

III

Joshua Speed nigdy nie czuł się swojo wśród innych „dobrze urodzonych” chłopców z Akademii św. Józefa. Lubił płatać figle i opowiadać dowcipy. Snuł wizje życia na Dzikim Zachodzie, gdzie „ludzi mało i od strzał świstało”. Nie mógł znieść myśli o odziedziczeniu po ojcu cichego życia w przywilejach. Marzył o czymś więcej, pragnął otworzyć własny interes i zwiedzić świat. Gdy skończył dziewiętnaście lat, głód przygody zawiódł go do Springfield, gdzie kupił udziały w sklepie A.Y. Ellisa. Jednak zamawianie towarów i prowadzenie inwentarza nie okazało się dzikim życiem, na jakie liczył.

Na początku 1841 roku, niedługo po fatalnym pierwszym styczniu Lincolna, Speed sprzedał firmę i wyruszył do Kentucky. Pokój nad sklepem zostawił Abe'owi.

Przybyłem do Farmington. Potrzebuję snu.

Był sierpień i Abe przyjechał do Farmington, posiadłości rodziny Speeda w Kentucky, na zasłużony wypoczynek. Od miesiący nie ruszał się z domu z obawy, że wpadnie na Mary lub jej znajomych. Jego nazwisko „używane było jako przekleństwo we wszystkich salonach Springfield”. Speed napisał do dawnego współlokatora i zaprosił go na „tak długo, jak będziesz potrzebował, by wyleczyć się z trosk”.

Od lat Abe nie był tak odprężony i już nigdy potem nie zaznał takiego odpoczynku. Wyprawiał się na konne przejażdżki po posiadłości Speedów. Czasem jeździł do Lexington. Spędzał leniwe popołudnia na werandzie ogromnego domu przy plantacji (pierwszego, w jakim się zatrzymał, nie licząc koszmarów nocnych). Jediną wadą życia w Farmington był nieunikniony widok niewolników. Można było ich zobaczyć wszędzie – w domu, na polach.

Jadąc dzisiaj drogą do miasta, widziałem tuzin czarnych spiętych łańcuchem niczym schwyte zwierzęta. Przebywanie pośród nich, bycie w ich otoczeniu sprawia mi niemały dyskomfort. Nie tylko dlatego, że ich poddaństwo uważam za grzech, ale ponieważ przypominają mi o tym, co chciałbym zapomnieć.

Abe i Joshua Speed prowadzili wielogodzinne rozmowy: o potędze Wielkiej Brytanii, o silnikach parowych. I o wampirach.

– Ze wstydem przyznaję, że mój ojciec się z nimi zadawał – powiedział Speed. – Ich istnienie nie stanowiło tajemnicy wśród ludzi o jego pozycji społecznej, ani w naszym domu. Moi bracia uczestniczyli aktywnie w jego staraniach o zaskarbienie ich względów.

– Więc sprzedawał im czarnych?

– Z zasady głównie starych i niedołącznych. Uważał to za podwójne błogosławieństwo, sposób na pozbycie się bezużytecznego niewolnika, i to z zyskiem. Raz czy dwa sprzedał zdrowego byka albo dziewczynę w ciąży. Za te można było dostać wyższą cenę, bo miały więcej kr...

– Dosyć! Jak możesz tak o nich mówić? Wyrażać się o ludziach jak o bydle prowadzonym na rzeź?

– Jeśli wywołałem wrażenie, że ich śmierć nie sprawiła mi bólu, to przepraszam. Nigdy nie traktowałem tej kwestii lekceważąco. Było wręcz przeciwnie, wampiry to jeden z głównych powodów, dla których nie szukałem szacunku ojca i nie opłakiwałem go zbyt, gdy umarł. Jakże mógłbym to zaakceptować, skoro słyszałem krzyki mężczyzn i kobiet rzucanych na pożarcie po to, by mógł sobie napchać kieszenie? Skoro przez szpary w deskach stodoły widziałem twarze tamtych demonów? Gdybym tylko mógł pozbyć się tych wspomnień i naprawić zadane tu krzywdy, uczyniłbym to.

– Napraw je zatem.

Nie musiałem go długo przekonywać. Wystarczyło

powiedzieć, że polowanie na wampiry jest zarazem niebezpieczne i ekscytujące, zupełnie jak życie na Dzikim Zachodzie, o którym tak marzył. Podobnie jak w przypadku Jacka²⁶, podzieliłem się z nim całą swoją wiedzą. Uczyłem, jak i kiedy zaatakować, i odbywałem sparingi, by pomóc mu nabrać pewności siebie. Speed swoją niecierpliwością i gotowością do bezmyślnego rzucania się do walki przypominał Jacka. Jednak tamten nadrabiał tę wadę tężyzną fizyczną, której brakowało Speedowi. Usiłowałem uzmysłwić mu niesamowitą siłę i szybkość wampirów, tłumacząc, jak łatwo w walce z nimi otrzeć się o śmierć. Obawiałem się, że mnie nie zrozumiał, lecz jego zapał był tak wielki, że wkrótce znowu poczułem ochotę do łowów.

Abe opracował zuchwały plan, który stawiał jego niedoświadczonego kompana w sytuacji minimalnego ryzyka, a mimo to pozwalał upiec sześć pieczeni przy jednym ogniu. Pod koniec sierpnia Joshua Speed napisał list do sześciu spośród byłych kontrahentów ojca. Każdy kupował kiedyś od niego niewolników. Każdy był wampirem.

Gdy nadszedł dzień konfrontacji, poczułem lęk. Jak mogłem postąpić tak nierozważnie? Sześć wampirów! I to z nowicjuszem u boku! Jakże żałowałem, że nie dałem sobie więcej czasu. Jakże brakowało nam Jacka!

Było już jednak za późno, by odwołać akcję. Sześciu mężczyzn dołączyło do Joshuy na werandzie u nadzorcy²⁷: jeden

siedemdziesięciolatek o siwej brodzie, jeden dwudziestokilkuletni chłopak i czterech w pośrednim wieku. Wszyscy mieli ciemne okulary i złożone parasole.

Speed zebrał przed domem kilku czarnych i poinstruował ich, by rozpoczęli swoje pieśni. Tak donośne były ich głosy i klaskanie, że czekający na werandzie słyszeli niewiele więcej. Zgodnie z planem Speed zapraszał wampiry do wnętrza po kolei, brał od nich pieniądze i prowadził do stojących w środku ofiar.

Pięciu mnie nie złapie, dziesięciu nie zatrzyma, hej tam, zegnij kark.

Z tym, że to ja czekałem na nich z toporem. I gdy tylko skręcali z korytarza do salonu, atakowałem z całych sił (których w tamtym czasie miałem sporo). Spośród pięciu wampirów tylko jednemu nie strąciłem głowy pierwszym ciosem. Trzeci wymagał drugiego uderzenia, gdyż za pierwszym razem topór wbił mu się w twarz zamiast w szyję.

Będę jeszcze wolny, i moja dziewczyna, hej tam, zegnij kark.

Ostatni wampir był najmłodszy z wyglądu, lecz dojrzały duchem. Zniecierpliwił się czekaniem na werandzie i wszedł nieproszony do środka. Niestety zrobił to dokładnie w chwili, gdy na korytarz wytoczyła się głowa jego znajomego.

Chłopak rzucił się pędem do swojego konia, wskoczył mu na

grzbiet i uciekł.

Speed pierwszy wybiegł na dwór. Wskoczył na drugiego konia, wbił mu obcasy w boki i ruszył w pogoń, zanim ja zdążyłem dosiąść trzeciego. Zaczęła się regularna gonitwa. Speed jechał na złamanie karku, stojąc w strzemionach i tłukąc nogami w brzuch zwierzęcia. Wampir dostrzegł, że traci przewagę, i zrobił to samo, ale jego koń był o dobre dziesięć lat wolniejszy. Speed zrównał się z nim, nie mając przy sobie żadnej broni, nawet scyzoryka czy kamienia.

Speed wyjął stopy ze strzemion, chwycił oburącz łęk siodła i wstał. Gdy oba konie biegły galopem, skoczył i ściągnął wampira na ziemię. Obaj wylądowali na plecach, a ich rumaki pomknęły dalej. Speed z trudem podniósł się na równe nogi, walcząc z zawrotami głowy i oślepiającymi promieniami słońca. Nim zdążył otrzepać się z kurzu, otrzymał potężny cios pięścią, który posłał go dziesięć metrów w tył i zwałił z powrotem na plecy. Wziął gwałtowny wdech, dotknął twarzy i na lewym policzku wyczuł skaleczenie. Słońce nagle przesłonił cień stojącego nad nim wampira.

– Ty niewdzięczny kundlu – powiedział potwór i kopnął Speeda w brzuch, a ten poczuł, jak kotłują się w nim wnętrzności. – Jak myślisz, kto zapłacił za całą tę ziemię?

Kolejny kopniak. I jeszcze jeden. Spazmom bólu towarzyszyły kolorowe plamy przed oczami Speeda, który poczuł w ustach dziwny smak. Zrobiło mu się niedobrze.

Wampir chwycił go za kołnierz.

– Ojciec by się ciebie wstydził – syknął.

– Mam... nadzieję... – wymamrotał Speed.

Wampir uniósł łapę z zamiarem przecięcia mu krtani pazurami. Na szczęście topór przebił mu klatkę piersiową, zanim zdążył zadać zabójczy cios.

Gdy wampir padał na kolana, łapiąc bezradnie za ostrze i krwawiąc z ust, Abe pociągnął za wodze i zeskoczył z konia.

Chwycił szybko za rękojeść i postawił nogę na plecach wampira, wyciągnął topór i wbił go ostatecznie w czaszkę ofiary.

– Speed – powiedział, podchodząc do przyjaciela. – Mój Boże...

– No dobrze – odezwał się Speed. – Chyba wystarczy naprawiania krzywd jak na jeden dzień.

Po powrocie do Springfield Abe zastał miasto „opustoszałe i martwe”. Pobyt w Farmington kompletnie wyleczył go z melancholii, „lecz bez żywej duszy u boku, z którą dzielić bym mógł samotne godziny, cóż za różnica, w jakim będę nastroju?”.

 Nie obchodzi mnie, iż [ojciec Mary] jest łotrem, a jedynie to, że kocham jego córkę bezwarunkowo. Speed ma rację – liczy się tylko nasze małe szczęście. Głęboko rozważyłem całą sprawę. Niech Henry protestuje. Niech nadejdą konsekwencje. Postanowiłem ponowić swoją przysięgę, o ile ona znów mnie zechce.

– Niby czemu miałabym wyjść za mężczyznę, który wystawił mnie na samotne cierpienia? – zapytała Mary, kiedy Abe stanął w drzwiach

domu jej kuzyna. – Mężczyznę, który odszedł bez słowa wyjaśnienia!

Abe spuścił wzrok na trzymany w dłoniach kapelusz.

– Nie chciałem...

– Który wystawił mnie na pośmiewisko przed całym miastem!

– Najdroższa Mary, mam jedynie skromne...

– Zechciej mi powiedzieć, jakimż to mężem może być taki człowiek? Człowiek, który w każdej chwili może zmienić zdanie i znów mnie zranić? Niech pan powie, panie Lincoln, cóż miałyby mnie skłonić, by związać się z takim mężczyzną?

Abe podniósł wzrok znad kapelusza.

– Mary – odparł. – Jeśli zechcesz mówić o moich wadach, będziemy tu stali długi tydzień. Nie przybywam, by znów cię dręczyć, lecz by paść przed tobą na kolana i błagać o przebaczenie. Przychodzę z przysięgą, iż przez resztę życia będę się starał wynagrodzić ci ból, jaki czułaś przez te wszystkie miesiące. Jeśli moja oferta jest niewystarczająca, a mój widok nie przysparza ci radości, możesz zamknąć te drzwi i być pewna, że już nigdy nie będę cię nachodził.

Mary stała w milczeniu. Abe zrobił niewielki krok wstecz, spodziewając się, że lada chwila drzwi zatrzasną mu się przed nosem.

– Och, Abrahamie, przecież wciąż cię kocham! – zawołała Mary i rzuciła mu się w ramiona.

Narzeczeństwo zostało wznowione. Abe nie marnował czasu. Kupił dwie złote obrączki (na kredyt, rzecz jasna) w sklepie Chatteron's w Springfield. Oboje z Mary ustalili, że wewnętrzną stronę obydwu pierścionków zdobić powinna prosta inskrypcja.

Miłość jest wieczna

Abraham Lincoln i Mary Todd pobrali się w deszczowy piątkowy wieczór 4 listopada 1842 roku w domu Elizabeth Edwards, kuzynki Mary. Ich przysięgę obserwowało nie więcej niż trzydzieści zaproszonych osób.

Po ceremonii wymknęliśmy się z Mary do salonu, podczas gdy gospodarze podawali do stołu, chcieliśmy bowiem spędzić pierwsze chwile małżeństwa we dwoje. Wymieniliśmy parę czułych pocałunków i patrzyliśmy na siebie z konsternacją, gdyż dziwnie się oboje czuliśmy, będąc małżeństwem. Dziwnie i wspaniale.

„Mój najdroższy Abrahamie”, powiedziała w końcu Mary. „Nigdy mnie już nie opuszczaj”.

IV

Jedenastego maja 1843 roku Abe napisał list do Joshuy Speeda.

Och, Speed, jakże cudowne były ostatnie miesiące! Cóż za szczęście! Mary jest oddaną i kochającą żoną i z radością zawiadamiam cię, że spodziewa się dziecka. Obydwoje niezwykle się cieszymy, a Mary zaczęła już przygotowywać dom na nadejście maleństwa. Będzie wspaniałą matką. Odpisz mi, proszę, jak najszybciej, gdyż chcę wiedzieć, czy dochodzisz do zdrowia.

Wieczór 1 sierpnia tego roku był nadzwyczaj gorący i otwarte okno nie zaradziło upałowi, jaki panował w małym pokoju Abe'a i Mary na

piętrze Tawerny Glob. Przechodnie spoglądali na to okno zaciekawieni dobiegającymi z niego dźwiękami – najpierw kobiecymi okrzykami bólu, a potem płaczem niemowlęcia.

Syn! Matka i dziecko w najlepszym zdrowiu!

Mary wspaniale się spisała. Nie minęło nawet sześć godzin od porodu, a już trzyma małego Roberta na rękach i śpiewa mu przepięknym głosem. „Abe”, odezwała się do mnie podczas karmienia: „Spójrz tylko, co zrobiliśmy”. Przyznam, że oczy zasły mi łzami. Jakże pragnąłem, by ta chwila trwała wiecznie.

Robert Todd Lincoln (Mary nalegała, Abe trzymał język za zębami) urodził się ledwie dziesięć miesięcy po ślubie swoich rodziców.

Bywa, że gapię się na niego godzinami. Trzymam go na rękach i czuję delikatny rytm jego oddechu. Głaszczę jego tłuściutki, urocze stópki. Przyznaję też, że gdy śpi, wacham jego włosy. Szczypię jego paluszki, gdy je do mnie zbliża. Jestem mu sługą, bo gotów jestem zrobić wszystko, by zasłużyć na jego uśmiech.

Abe odnalazł w sobie rodzicielską miłość. Lecz dwadzieścia lat grzebania bliskich osób zaczęło zbierać plon. Gdy miesiące mijały i Robert rósł, Abe coraz bardziej obsesyjnie bał się stracić syna, bądź w wyniku choroby, bądź wypadku. W jego zapiskach w dzienniku z tamtego okresu widać coś, czego nie robił już od lat: targowanie się z Bogiem.

Mam tylko jedno życzenie: chcę zobaczyć, jak wyrasta na mężczyznę. Chcę, by miał u boku swoją rodzinę, gdy stanie nad moim grobem. To wszystko. Z radością oddam każdą uncję własnego szczęścia, by zapewnić szczęście jemu. Swoje osiągnięcia za jego. Proszę cię, Boże, nie pozwól go skrzywdzić. Chroń go przed złym losem. Jeśli kiedyś zapragniesz kogoś ukarać, błagam, niech to będę ja.

Zgodnie z własną nadzieją, by Robert dożył dorosłości, oraz w nadziei na zachowanie szczęścia, jakie znalazł w małżeństwie, Abe podjął jesienią 1843 roku trudną decyzję.

Mój taniec ze śmiercią musi się skończyć. Nie mogę ryzykować pozostawienia Mary bez męża i Roberta bez ojca. Dziś rano napisałem do Henry'ego, iż nie może dłużej polegać na moim toporze.

Po dwudziestu latach zwalczania wampirów nadszedł czas na odwieszenie płaszcza. Po ośmiu latach w Zgromadzeniu Stanowym nadszedł też moment, by dać o sobie znać wszystkim.

W 1846 roku Lincoln zdobył nominację wigów jako kandydat do Kongresu Stanów Zjednoczonych.

OSIEM

Wielkie nieszczęście

Prawdziwą zasadą decydującą o tym, czy coś przyjąć czy odrzucić, nie powinno być szukanie jakichkolwiek elementów zła, lecz ustalenie, czy więcej w tym zła czy dobra. Niewiele jest rzeczy całkowicie złych lub w pełni dobrych.

Abraham Lincoln,
przemówienie w Izbie Reprezentantów,
20 lipca 1848

I

Gdy pod koniec 1843 roku Abe odwiesił topór, jedno z powierzonych mu przez Henry'ego zadań nie zostało wykonane.

Wspomniałem o tym niezobowiązująco w listach do Armstronga i Speeda, którzy spełnili moje niewypowiedziane życzenie i zaproponowali, że dokończą dzieła. Ponieważ w gruncie rzeczy obaj byli amatorami w rzemiośle, uznałem, że najlepiej będzie, jeśli wybiorą się w tę misję razem.

Joshua Speed i Jack Armstrong poznali się w St. Louis 11 kwietnia

1844 roku. Jeśli wierzyć listowi Speeda (napisanemu do Abe'a trzy dni później), spotkanie nie przebiegło gładko.

Zgodnie z twoimi poleceniami umówiliśmy się w knajpie przy Market Street. Twój opis [Armstronga] był trafny. Bardziej z niego byk niż człowiek. Szerszy od stodoły i silniejszy od samego Samsona! Zapomniałeś jednak wspomnieć, że jest też kundlem. Równie prostym, jak krzepkim. Wybacz, że tak o nim piszę, wiem, że jesteście przyjaciółmi. Ale jeszcze nigdy nie spotkałem człowieka tak nieprzyjemnego, zادیornego i pozbawionego humoru! Oczywiście rozumiem, dlaczego go zwerbowałeś (z tego samego powodu, dla którego człowiek werbuje wielkiego, durnego wołu, by ciągnął ciężki wóz). Ale czemu ty, człowiek o wyrafinowanym umyśle i charakterze, chciałeś spędzać z nim czas także poza wyprawami na polowanie, tego nigdy nie zrozumiem.

Armstrong nie podzielił się nigdy swoimi odczuciami co do Speeda, ale można przypuszczać, iż były równie niepochlebne. Zamożny, przystojny syn Kentucky był ożywiony i gadatliwy, a tych cech Armstrong nie znosił nawet u najtwardszych mężczyzn. Tymczasem Speed był delikatny i drobny. Takich Chłopcy z Clary's Grove wsadzali do beczek i spuszczaali z nurtem Sangamon.

Wyłącznie z szacunku dla ciebie, mój przyjacielu, zgodziliśmy się przymknąć oczy na dzielące nas różnice i dopełnić zadania.

Ich celem był znany naukowiec, niejaki doktor Joseph Nash McDowell, dziekan wydziału medycyny w Kemper College.

Henry ostrzegł mnie [przed McDowellem]. Doktor był ponoć „wyjątkowym paranoikiem”. Do tego stopnia, że nosił pod ubraniem stalowy napierśnik, na wypadek gdyby ktoś zechciał wbić mu kołek w serce. Przekazałem tę wiadomość Speedowi i Armstrongowi, dodając własne ostrzeżenie: jako że „śmierć” McDowella z pewnością wywoła poruszenie w St. Louis, musieli dokonać czynu niezauważeni i wystrzegać się pytania ludzi o to, gdzie go mogą zastać. W przeciwnym razie ściągną na siebie gigantyczne kłopoty.

Armstrong i Speed zignorowali obydwie wskazówki.

Niechętny sobie duet stał na rogu Dziewiątej i Cerre Street w kwietniowe popołudnie. Obydwaj wyglądali podejrzanie w długich, wybrzuszonych płaszczach, pytając każdego z wchodzących do trzypiętrowego budynku uczelni: „Przepraszam, sir, czy nie wie pan, gdzie możemy znaleźć doktora Josepha McDowella?”.

Wreszcie zostaliśmy skierowani do stromej, okrągłej sali wykładowej. Był to miniaturowy amfiteatr z rozległymi rzędami i poręczami, na których ciekawscy panowie opierali ręce. Ich twarze oświetlały syczące lampy gazowe sali operacyjnej na dole. Wpatrywali się wszyscy w bladego jegomościa o rozwichrzonych włosach, który kroił skalpelem męskie zwłoki. Zajęliśmy miejsca w najwyższym rzędzie

i zobaczyliśmy, jak doktor McDowell wyjmuje ze środka serce, po czym podnosi do góry, by wszyscy mogli się przyjrzeć.

„Porzućcie wszystkie romantyczne myśli”, powiedział. „To, co tu trzymam, nie ma pojęcia o miłości czy odwadze. Zna tylko rytmiczne skurcze”. McDowell ścisnął serce kilka razy. „Tylko jeden piękny cel... dostarczać świeżą, bogatą krew do każdego zakamarka organizmu”.

Wampir uczący ludzi anatomii! Czy potrafisz to sobie przedstawić, Abe? (Muszę przyznać, że podobała mi się jego twarz).

Tymczasem naciął zwłoki głębiej i kontynuował swój wykład, wyjmując i omawiając kolejne narządy, aż martwy mężczyzna przypominał wypatroszoną rybę. (Armstrongowi było niedobrze przez całą demonstrację – ja byłem zafascynowany).

Wykład zakończył się „uprzejmym stukaniem laskami w poręcze” i studenci doktora McDowella opuścili salę. Wszyscy z wyjątkiem dwóch. Doktor zebrał pośpiesznie narzędzia oraz notatki i „czmychnął małymi drzwiami na tyłach sceny i zniknął”. Armstrong i Speed ruszyli za nim.

Znaleźliśmy się na wąskich, kamiennych schodach, w kompletnej ciemności. Poruszaliśmy się, macając dłońmi szorstkie, wilgotne ściany, aż nasze dłonie napotkały coś gładkiego. Potarłem zapałkę o podeszwę buta i naszym oczom ukazały się czarne drzwi, na których napisane było złotą farbą: „dr med. J.N. McDowell”. Wyciągnąłem pistolet, a Armstrong

kuszę. Zgasilem zapalke. Moje serce wzieto sie z wielkim entuzjazmem do spełniania swojego „jednego pieknego celu”, gdyz wiedzieliśmy, ze po drugiej stronie ciemności czeka na nas wampir.

Speed wyczul dłonią klamkę i bardzo cicho otworzył drzwi...
Słońce.

Weszliśmy do długiego, wysokiego pomieszczenia o gładkich ścianach. Daleko nad naszymi głowami rząd małych okien wpuszczał do środka popołudniowe światło i ukazywał nogi przechodniów. Po naszej prawej stronie stał długi stół, a na nim klatki ze szczurami, naczynia ze szkła i srebrne przyrządy. Na wprost coś, co wyglądało jak ludzkie ciało na kamiennej płycie. Przykryte białym materiałem. A po lewej... Abe, po lewej nagie zwłoki na całej długości pokoju, wszystkie na wąskich półkach, jedna nad drugą, sięgających ponad dwa metry w górę.

Byliśmy w kostnicy.

Spodziewałem się, że doktor będzie na nas czekał i że od razu zaatakuje, ale nigdzie go nie było. Armstrong i ja przesuwaliliśmy się powoli w stronę kamiennego stołu, trzymając broń w gotowości. Dopiero w tej chwili zauważyłem ciemne, szklane przewody nad naszymi głowami, biegnące od ciał na półkach do naczyń po prawej. Dopiero teraz dostrzegłem płynącą nimi krew, ogrzewaną rzędem małych gazowych palników.

Dopiero teraz zobaczyłem, że klatki piersiowe tych „zwłok”

poruszały się w rytm płytkich oddechów.

Wtedy pojąłem, jak straszne jest to, na co patrzę. Byli to bowiem żywi ludzie. Ułożeni na półkach niczym książki w bibliotece, tak ciasno, że ledwo starczało im miejsca na ruchy żeber. Karmieni rurkami wetkniętymi w brzuchy. Zbyt słabi, by się ruszyć, zbyt dożywieni, by umrzeć. Uwięzieni przez potwora, którego pogwizdywanie usłyszeliśmy nagle w sąsiednim pomieszczeniu. Gwizdał pod nosem, myjąc dłonie. Bez wątpienia szykował się do zarżnięcia tej biednej istoty, która wciąż oddychała pod białym prześcieradłem.

Nasz plan stał się nagle jasny jak słońce.

McDowell wrócił ubrany w fartuch, niosąc na tacy narzędzia chirurgiczne. Postawił ją na stole i, nie przerywając radosnego gwizdu, odsłonił biały materiał.

To nie ta sama osoba.

Armstrong usiadł i wystrzelił z kuszy prosto w serce łajdaka. W serce, Abe! Nie muszę ci mówić, że strzała odbiła się tylko z brzękiem. Ten dumny osiłek zapomniał o napierśniku!

Był to kosztowny błąd, bo McDowell pokazał prawdziwą naturę i zaatakował łapami. Jack usłyszał, że coś spada z hukiem na kamienną posadzkę. Spojrzał w dół, na miejsce, gdzie przed chwilą leżała jego kusza. Nie było już jednak po niej ani śladu, jak i po jego prawej dłoni. Cały zbladł na widok

krwi tryskającej z nadgarstka i odciętej dłoni na podłodze.

Wrzask Armstronga był tak głośny, że zbudził kilku z ledwie żywych na półkach.

Nie miałem wyboru – musiałem wyjść z ukrycia i wystrzelić z pistoletu w głowę wampira. Ale drżące ręce mnie zawiodły i kula świsnęła mu obok ucha, rozbijając cenne naczynia ze szkła. Wyobraź sobie ten huk. Wyobraź sobie ilość krwi, która popłynęła na podłogę. Można było w niej utonąć. Zbudowany przez niego system był tak kruchy, że po chwili wszystkie przewody z krwią potłukły się jednocześnie, czego efektem był deszcz krwi znad naszych głów.

„Nie!”, krzyknął McDowell. „Wszystko zniszczyłeś!”.

Nie pamiętam ciosu, który rzucił mną o półki z ludzkimi ciałami z taką siłą, że złamałem prawą nogę. Nigdy wcześniej nie zaznałem większego bólu, nawet wtedy, gdy otrzymywałem lanie w Farmington. Nagle zrobiło mi się zimno. Pamiętam McDowella (a właściwie dwóch, bo uderzenie pomieszało mi zmysły), szedł w moją stronę przez kałużę krwi głęboką na kilka centymetrów. Pamiętam też dziwną, zabawną myśl, że kostnica to dobre miejsce na śmierć, oraz kapiącą nam na głowę ciepłą ciecz i jej smak... I McDowella chwytającego się nagle za twarz.

Koniuszek strzały przebił mu skórę tuż pod prawym okiem! Reszta wystawała z tyłu czaszki. Za jego plecami stał durny osiłek z kuszą w drżącej lewej ręce.

Czując nienaturalnie dużą ilość spływającej mu po twarzy krwi, paranoik McDowell spanikował i uciekł²⁸.

Dzięki Bogu znajdowaliśmy się kilka kroków od najlepszego szpitala w całym St. Louis. Pomogliśmy sobie nawzajem wejść po schodach na górę (ja skacząc z trudem na zdrowej nodze i trzymając uciętą dłoń Jacka), obydwaj skąpani od stóp do głów we krwi ponad dwudziestu ludzi.

Chirurdzy uratowali życie Jackowi. Rękę niestety stracił na zawsze. Ale był bliski śmierci. Bliższy, niż kiedykolwiek przyzna. Przetrwał dzięki swojej sile i dzięki modlitwom, które z pewnością zmówiłeś za nasze bezpieczeństwo. Zostanę z nim, aż wyzdrowieje (aczkolwiek nie chce ze mną rozmawiać). Właśnie mi powiedziano, że moja noga się zagoi i będę mógł chodzić, co najwyżej lekko kuśtykając. Nie martw się z powodu Speeda, przyjacielu, gdyż on uważa siebie za największego szczęściarza pod słońcem.

II

Trzeciego sierpnia 1846 roku Abe został wybrany do Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych. W grudniu 1847 roku, ponad rok po wyborach, przybył wraz z rodziną do Waszyngtonu, by rozpocząć kadencję. W pensjonacie pani Sprigg²⁹ wynajęli niewielki pokój, którego ciasnotę spotęgowało pojawienie się czwartego członka rodziny.

Otrzymaliśmy powtórne błogosławieństwo w osobie drugiego chłopca, Edwarda Bakera, urodzonego 10 marca [1846]. Jest takim samym roześmianym urwisem jak Bob, choć podejrzewam, że ma nieco łagodniejsze usposobienie. Fakt, iż jest moim drugim synem, w najmniejszym stopniu nie zmniejsza miłości, jaką do niego czuję. Jestem na posługach jego uśmiechu i łaskoczę go w stópki, by się zaśmiał... wążam jego włosy, gdy śpi... kładę jego śpiącą pierś na swojej. Ech, prostego człowieka robią ze mnie ci chłopcy.

Tym razem Abe nie bał się o zdrowie czy życie Edwarda. Nie targował się z Bogiem (a w każdym razie nie wspominał o tym w swoim dzienniku). Być może okrzepł jako rodzic lub po prostu był zbyt zajęty, by dawać się ponieść obsesjom. Zajęty pilnowaniem interesu adwokackiego w Springfield. Zajęty poznawaniem nowego miasta i odnajdowaniem się w nowej rzeczywistości politycznej. Zajęty wszystkim, tylko nie polowaniem na wampiry.

Listy [od Henry'ego] przychodzą co miesiąc. Błaga mnie w nich, bym jeszcze raz się zastanowił, nim podejmę ostateczną decyzję. Utrzymuje, że jest konieczne, bym wznowił polowania. Za każdym razem odpisuję, przypominając mu te same proste powody: że nie chcę osierocić synów i zostawić żony bez męża. Jeżeli naprawdę mam uwolnić ludzkość od tyranii, tłumaczę mu, muszę czynić to w zgodzie ze starym porzekadłem o piórze i mieczu. Mój miecz spełnił swoją powinność. Przez resztę drogi musi mnie prowadzić pióro.

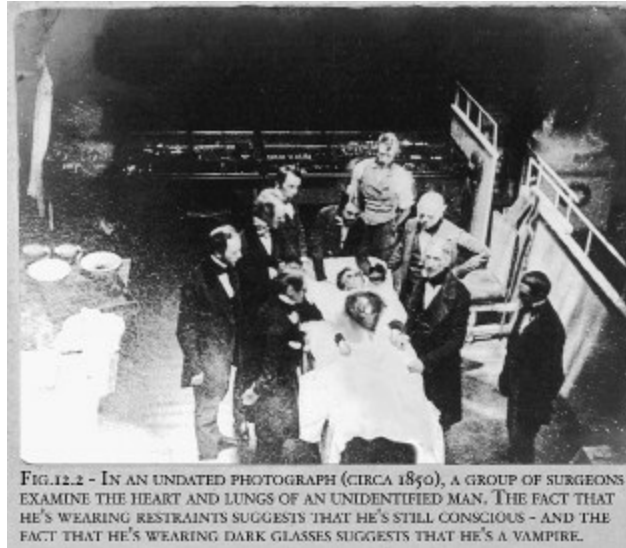
Waszyngton rozczarował Lincolna niemal pod każdym względem. Abe spodziewał się lśniącej metropolii, pełnej ludzi „o najznakomitszych umysłach i oddanych służbie wyborcom”. A tymczasem widział „kilka latarni geniuszu w gęstej mgłę głupoty”. Natomiast co do jego marzeń o życiu w wielkim mieście, Waszyngton przypominał Louisville albo Lexington, choć można było w nim znaleźć garść cudów architektury. „Kilka pałaców na prerii”, jak mawiał Abraham. Kamień węgielny pod pomnik Waszyngtona nie został jeszcze położony. Ani ten monument, ani Kapitol nie zostaną ukończone za życia Lincolna.

Jednym z największych rozczarowań związanych ze stolicą była wszechobecność niewolników. Pracowali nawet w pensjonacie, w którym Abe zajmował pokój z rodziną. Licytowano ich na ulicach, które Abe mijał w drodze do pracy. Trzymano ich w klatkach w miejscu, na którym w przyszłości miał stanąć park National Mall zwieńczony podobizną Lincolna.

Z okien Kapitolu widać stajnie, w których czarni są przetrzymywani i skąd zabiera się ich na targi na Południu, zupełnie jak konie. Ludzie – skuci łańcuchami i sprzedawani! Tutaj, w cieniu instytucji zbudowanej na zasadzie: „Wszyscy ludzie są stworzeni równymi”! Powołanej przy okrzykach: „Wolność albo śmierć!”. To więcej, niż może znieść człowiek honoru.

Jednym z jaśniejszych punktów w parlamentarnej karierze Abe'a był projekt ustawy zakazującej niewolnictwa w dystrykcie

Kolumbii. Pisał go z wielkim wycuciem, by „nie zrazić do siebie właścicieli niewolników, ale jednocześnie zjednać sobie abolicjonistów”. Jednak debiutujący kongresman nie miał wielkiej siły przebicia, bez względu na walory swojego intelektu. Projekt nie został nawet poddany pod głosowanie.



RYS. 12.2 – FOTOGRAFIA BEZ DATY (OK. 1850 R.) PRZEDSTAWIAJĄCA ZESPÓŁ CHIRURGÓW, KTÓRZY BADAJĄ SERCE I PŁUCA NIEZIDENTYFIKOWANEGO MĘŻCZYZNY. PONIEWAŻ ZOSTAŁ UNIERUCHOMIONY, MOŻNA PODEJRZEWAĆ, ŻE JEST PRZYTOMNY. FAKT, IŻ MA CIEMNE OKULARY, POZWALA PRZYPUSZCZAĆ, ŻE JEST WAMPIREM.

Pomimo porażek legislacyjnych Abraham Lincoln wywarł niemałe wrażenie na innych kongresmanach, i to nie tylko dzięki swojemu wzrostowi. Jego koledzy opisywali go jako „niezdarnego i tyczkowatego” i zwracali uwagę na spodnie, które „nigdy nie sięgały kostek”. Choć nie miał jeszcze czterdziestu lat, wielu demokratów (a także kilku wigów) ukuło dla niego przezwisko „Stary Abe”, a to ze względu na jego „nieokrzesany wygląd i zmęczone oczy”.

Któregoś wieczoru opowiedziałem o tym Mary, gdy kąpała chłopców. Przyznałem, że mnie to złości, na co odparła bez chwili zawahania i nie odrywając wzroku od wanny: „Abe, łatwo znaleźć w Kongresie mężczyzn dwa razy od ciebie przystojniejszych, ale ani jednego, który miałby choć połowę twojego rozsądku”.

Szczęściarz ze mnie.

Jednak nieprzychylnie ksywki były najmniejszym problemem Abe'a, o czym pisał już w kilka dni po objęciu urzędu:

Nie sposób przejść z jednego krańca sali na drugi i nie usłyszeć rozmów o wampirach. Nigdy wcześniej nie spotkałem się z tak otwartą i tak liczną dyskusją na ten temat. Przez te wszystkie lata sądziłem, że jestem w posiadaniu jakiejś mrocznej tajemnicy, którą ukrywałem nawet przed żoną i krewnymi. Tymczasem tutaj, pośród ludzi władzy, jest to sekret, który wszyscy zdają się znać. W naszej delegacji wielu powtarza pogłoski o „tych przeklętych południowcach” i ich „czarnookich” sprzymierzeńcach. Przy posiłkach opowiadane są żarty. Nawet [senator Henry] Clay³⁰ bierze w tym udział! „Dlaczego Jeff Davis nosi takie wysokie kołnierze? Żeby ukryć ślady ugryzień na szyi”. W ich dowcipach musi być jednak sporo prawdy, bo jak dotąd nie słyszałem jeszcze o kongresmanie z Południa, który nie byłby związany z wampirami, nie wspierał ich swoim działaniem i nie bał się z ich strony odwetu. Co do moich własnych doświadczeń z wampirami, będę o nich milczał. Do tej części mojego życia

nie zamierzam wracać, ani w praktyce, ani w rozmowie.

Abe'a obudził brzęk tłuczonego szkła.

Dwaj mężczyźni włamali się przez okna do naszego pokoju na piętrze. Nie miałem pistoletu pod poduszką ani topora przy łóżku. Zanim zdążyłem wstać, jeden z nich uderzył mnie w twarz z taką siłą, że tyłem czaszki roztrzaskałem wezgłowie.

Wampiry.

Gdy usiłowałem odzyskać przytomność, jeden z łotrów chwycił Mary i zasłonił dłonią jej usta, by stłumić krzyk. Drugi zabrał Boba z łóżeczka i obydwaj uciekli tą samą drogą, którą przyszli – przez okna, prosto na ulicę. Poderwałem się i rzuciłem w pogoń, bez zawahania skacząc przez okno, kalecząc się przy tym o wystające kawałki szkła. Biegłem teraz przez ciemne, wyludnione ulice Waszyngtonu. Słyszałem krzyk Boba gdzieś przed sobą. Ruszyłem za nimi w panice, jakiej nigdy wcześniej nie znałem. Panice wymieszanej z wściekłością.

Jak tylko cię dopadnę, rozerwę cię na strzępy...

Łzy w oczach... niekontrolowane jęki... naderwane mięśnie nóg. Ulica za ulicą, skręt to w ten zaułek, to w tamten. Za każdym razem wołanie Boba dobiegało mnie z innej strony. Jednocześnie stawało się coraz słabsze, a ja traciłem siły

w nogach. Upadłem... płacząc na myśl o moim synu, moim bezbronnym chłopcu niesionym w ciemność, w której nawet jego tatuś nie będzie mógł go znaleźć.

Abe z trudem uniósł głowę i ku swemu zdumieniu stwierdził, że stoi przed pensjonatem pani Sprigg.

Nagle przyszła mi do głowy straszna myśl i znów ogarnęła mnie panika.

Eddy...

Pobiegłem po schodach do naszego pokoju. Cisza... puste łóżka, rozbite okna... powiewające zasłony. Pod dalszą ścianą kołyska Eddy'ego. Nie widziałem jej wnętrza z miejsca, w którym stałem. Nie miałem odwagi spojrzeć. A jeśli go nie ma?

Błagam cię, Panie...

Jak mogłem go zostawić? Jak mogłem nie zabrać ze sobą topora? Nie... nie, nie mogłem spojrzeć. Stałem w drzwiach, łkając, gdyż wiedziałem, że jest martwy jak Bob i Mary.

I wtedy rozległ się jego płacz. Dzięki Bogu. Pobiegłem przez pokój, by poczuć jego ciepło w swoich dłoniach. Ale gdy stanąłem nad kołyską i zajrzałem do środka, zobaczyłem białe prześcieradło nasiąknięte krwią. Nie krwią Eddy'ego, nie – zamiast niego w kołysce leżał demon z kołkiem w sercu

i dziurą z tyłu czaszki. Leżał bez ruchu, a krew wypływała z jego ciała. Był dzieckiem i dorosłym zarazem. Jego zmęczone oczy były otwarte, ale puste. Wpatrzone we mnie. Znałem go.

To byłem ja.

Abe zbudził się z sercem walącym jak młot. Spojrzał w lewo i zobaczył śpiącą spokojnie Mary. Sprawdził, że i chłopcom nic się nie stało.

Następnie, zanim spróbował zasnąć (bez skutku), zapisał w dzienniku cztery słowa:

To miasto jest śmiercią.

III

W pewien lutowy wieczór 1849 roku Abe zasiadł przy ciepłym kominku ze starym znajomym.

[Edgar Allan] Poe od kilku tygodni bawił w Baltimore, a ponieważ Mary pojechała z chłopcami do Lexington, uznałem, że czas na spotkanie.

Przez minione lata pisywali do siebie sporadycznie: Abe chwalił opowiadania i wiersze Edgara Allana, a Poe gratulował Lincolnowi wyborczych zwycięstw. Ale dzisiaj, kiedy spotkali się pierwszy raz od dwudziestu lat, rozmawiali wyłącznie o wampirach.

Opowiedziałem Poemu o Henrym, o polowaniach

i o straszliwych odkryciach, które poczyniłem przy ich okazji. On mówił o swojej nieprzemijającej fascynacji wampirami. Powiedział, że zaprzyjaźnił się z nieśmiertelnym o nazwisku Reynolds i że bliski jest odkrycia jakiegoś złowrogiego spisku. Mówi z wielkim zapałem i pewnością siebie, lecz trudno jest uwierzyć w większość jego słów, gdyż wypowiada je przez maskę alkoholowego upojenia. Wygląda na zmęczonego. Postarzałego przez whisky i brak szczęścia. Czas po naszym ostatnim spotkaniu nie był dla niego dobry. Jego ukochana żona odeszła z tego świata, a sukces literacki nie przyniósł mu fortuny.

– Ludzie utrzymywani na granicy śmierci! – powiedział Lincoln. – Przechowywani niczym żywe beczki w piwnicy, a ich cenna krew podgrzewana palnikami gazowymi. Czyż zło wampirów nie ma granic?

Poe uśmiechnął się i napełnił opróżniony kieliszek trunkiem.

– Zakładam, że słyszałeś o krwawej hrabinie? – zapytał.

Abe wyraźnie zaprzeczył.

– Ty? – zdziwił się Poe. – Z całym twoim uganianiem się za wampirami? W takim razie pozwól, że ci o niej opowiem, bo to moja faworytka. I ważna postać w historii naszego kraju. Elizabeth Báthory była klejnotem węgierskiej arystokracji – zaczął Poe. – Piękna, z przeogromnym majątkiem. Jedyńm ciężarem w jej życiu było dzielenie łoża z człowiekiem, którego nie kochała, mężczyzną, któremu była przyobiecana od dwunastego roku życia: hrabią Ferencem Nádasym. Był on szczodrym mężem i zaspokajał wszystkie zachcianki Elizabeth. Nie wiedział jednak, że jej główną zachcianką

była czarnowłosa piękność o jasnej cerze, niejaka Anna Darvulia. Zostały kochankami. Nie wiadomo do końca...

– Dwie kobiety kochankami?

– Nieistotny szczegół. Nie wiadomo, kiedy Elizabeth dowiedziała się, że Anna jest wampirzycą, ani kiedy sama nią została, ale obydwie bardzo pragnęły rozpocząć wspólną wieczność. Po tajemniczej śmierci hrabiego w 1604 roku zaczęły zwabiać młode chłopki do zamku w Čachticach³¹ obietnicami zatrudnienia i pieniędzy dla ich głodujących rodzin. W rzeczywistości te dziewczęta miały być zabawkami w rękach mniejszych bogów, okradanymi z krwi i z życia. W sumie Elizabeth i Anna zabiły ponad sześćset dziewczyn w ciągu trzech lat.

– Mój Boże.

– To jeszcze nie wszystko, bo para szczyliła się opracowaniem najokrutniejszych, najbardziej nieludzkich i bolesnych metod mordowania. Dziewczyny były poddawane torturom, masakrowane. Konsumowane przez długie dni. Niektóre były zawieszane nad podłogą na hakach. Elizabeth i Anna kładły się pod nimi, nożem nacinały dziewczętom skórę i kochały się w kapiącej na nie krwi. Potrafiły też ofiarę ukrzyżować, przybijając jej dłonie do drewnianej...

– Błagam cię, przestań. Dosyć.

– Okoliczni chłopci w końcu stracili cierpliwość i szturmem zdobyli zamek. Znaleźli w nim lochy pełne żelaznych klatek. Półmartwe ofiary z odgryzionymi kawałkami rąk i brzuchów. Dziewczyny, których dłonie i twarze trzymane były nad ogniem, aż szerniały do kości. Ale ani śladu wampirów. Przeprowadzono rozprawę sądową i dla udobruchania chłopstwa spalono na stosie parę niewinnych

kobiet. Tymczasem prawdziwej Elizabeth Báthory i Annie Darvulii udało się zbiec.

Potworności, drogi Lincolnie... Potworności, jakie te kobiety wyrządziły w tak krótkim czasie... Wydajność i wyobraźnia, z jakimi mordowały... Jest w tym piękno. Nie sposób ich nie podziwiać.

– To ohydne – odparł Lincoln.

– Życie chyba zdążyło cię nauczyć, że jedna rzecz może być zarówno piękna, jak i ohydna.

– Obiecałeś mi opowieść o „ważnej postaci w historii naszego kraju”. Jakaś nauka tkwi w tych okropnościach czy tylko czerpiesz przyjemność z dręczenia starego przyjaciela?

– Nauka, stary przyjacielu, jest taka: Elizabeth Báthory jest w pewnej mierze odpowiedzialna za obecną wielość wampirów w Ameryce.

Poe w końcu wzbudził zainteresowanie Abe'a.

– Wieści o jej okrucieństwach rozeszły się po Europie – powiedział Edgar Allan. – Plotki o wampirzycy, krwawej hrabinie, i setkach zmasakrowanych dziewcząt. W ciągu ledwie dziesięciu lat przesady powtarzane szeptem całe wieki zamieniły się w otwartą nienawiść. Nigdy wcześniej podobna historia nie wywołała takiego szumu. Skończyły się czasy akceptowania wampirów jako nieodłącznego elementu życia, zniknął też strach przed stawieniem im czoła. Łowcy wampirów pojawiali się wszędzie, od Anglii po Chorwację. Uczyli się od siebie nawzajem, goniąc żywe trupy po całym kontynencie, zapędzali je do cuchnących kanałów i zainfekowanych slumsów Paryża, wyłapywali z ciemnych uliczek Londynu. Wampiry zmuszone były spać w kryptach i pić krew zbłąkanych psów. Lwy tropione przez owce! Życie w Europie stało się dla wampirów nieznośne. Zapragnęły

wolności. Wolności od prześladowań, od lęku. I gdzie mogły taką wolność znaleźć?

– W Ameryce.

– W Ameryce, Abe! Ameryka była rajem, w którym wampiry nie musiały wściekle konkurować o krew. Miejscem, gdzie niejedna rodzina miała piątkę, ósemkę lub nawet tuzin dzieci. Wampiry uwielbiały bezprawie panujące w Ameryce, jej rozmiary. Kochały odległe miasteczka i porty pękające w szwach od nowych przybyszów. Ale przede wszystkim, Abe, kochały ją za niewolników. Bo w żadnym innym cywilizowanym kraju nie mogły karmić się upojną krwią ludzi bez lęku o odwet.

Gdy do naszych brzegów przyплыnęli Anglicy z zamiarem wciągnięcia nas z powrotem pod kontrolę Starego Świata, amerykańskie wampiry stanęły do walki. Walczyły w Lexington i w Concord, w Forcie Ticonderoga i Moore's Creek. Niektóre z nich wróciły do swojej ojczyzny Francji i tam przekonywały króla Ludwika, by pożyczył nam swoją marynarkę wojenną. Są równie amerykańscy jak ty i ja, Abe. Prawdziwi patrioci. A to dlatego, że przetrwanie Ameryki jest ich przetrwaniem.

– Na Kapitolu często się o nich rozmawia – wyszeptał Abe. – Nawet tam widać ich wpływy.

– Wszędzie je widać! I jeszcze się pogłębia, tak jak w Europie przez stulecia. Jak długo to wytrzymamy? Ile wampirów będzie musiało przybić do naszego brzegu, żeby zwykły człowiek wreszcie je zauważył? I co się wtedy stanie? Sądzisz, że dobrzy ludzie w Bostonie i Nowym Jorku będą chcieli żyć z wampirami za sąsiadów? Uważasz, że wszystkie wampiry charakteryzuje takie samo łagodne usposobienie jak Henry'ego i Reynoldsa?

Abe, wyobraź sobie tylko, co by się stało w Europie, gdyby wampiry nie miały dokąd uciec. Jak długo lwy pozwoliłyby owcom urządzać polowania? Ile czasu minęłoby, nim przypomniałyby sobie, że są lwami?

Abe'owi nie podobał się obraz kształtujący się w jego głowie.

– Mówię ci – dokończył Poe. – Czeka nas jakieś wielkie nieszczęście.

Przepowiednia ta przynajmniej dla Poego okazała się trafna.

Trzeciego października 1849 roku, niecałe osiem miesięcy po spotkaniu z Abem, Poego znaleziono na ulicach Baltimore. Był półżywy, zdezorientowany i w cudzym ubraniu. Zawieziono go do szpitala w Waszyngtonie, gdzie lekarze usiłowali zdiagnozować jego pogłębiającą się chorobę.

Pacjent ma wysoką gorączkę i doznaje urojeń. Kiedy odzyskuje przytomność, woła kogoś o nazwisku „Reynolds”. Symptomy podobne do duru brzuszego, ale szybkie pogarszanie się stanu zdrowia wskazuje na inne schorzenie. Przypadek beznadziejny.

W niedzielę 7 października, o piątej rano, Poe gwałtownie się obudził. Wymamrotał: „Panie, zlituj się nad mą duszą”, i zmarł.

IV

Piątego marca 1849 roku zakończyła się krótką, niezbyt pamiętną

kariera Abe'a w amerykańskim Kongresie. Postanowił nie ubiegać się o reelekcję.

Praca kongresmana nie dała mi spodziewanej satysfakcji. Przez te dwa lata okropnie zaniedbywałem swoją kochaną żonę i urwisów. W Waszyngtonie nie ma nic, co powstrzymałoby mnie przed powrotem do Illinois.

Wrócił do Springfield i od razu zajął się praktyką adwokacką. Przyjął też na naukę trzydziestoletniego prawnika, Williama H. Herndona (który później, po zamachu na Lincolna, napisze jego długą, kontrowersyjną biografię). Abe ze wszystkich sił starał się ukryć przed młodym współnikiem prawdę o swojej mrocznej przeszłości.

Pisał listy polecające dla przyjaciół szukających pracy. Brał udział w rozprawach na całym terytorium Illinois. Siłował się na żarty ze swoimi chłopcami i chodził na długie spacery z żoną.

Żył.

Ani słowa o bestiach, którym rozum przeczy,
Ani o ich życiach, co nie mają końca.
Pragnę wreszcie tylko prostych rzeczy,
Odrobiny słońca.

Jego życzenie się nie spełniło.

Eddy Lincoln miał trzy latka, dziesięć miesięcy i osiemnaście dni, gdy

umarł.

Z wpisu datowanego na 1 lutego 1850 roku, kilka godzin po śmierci syna:

Straciłem swoje maleństwo... Bardzo za nim tęsknię.

Nie ma radości w tym życiu...

Nie sposób podejrzewać, że śmierć Eddy'ego miała jakikolwiek związek z wampirami. Chorował od grudnia (prawdopodobnie na gruźlicę) i stopniowo gasł. Matka czuwała przy jego łóżku, bez skutku wcierając w piersi chłopca maść.

Mary nie chciała pozwolić, by Eddy umarł sam. Przytulała do siebie jego nieprzytomne ciało, kołysała je przez całą noc, dopóki nie odszedł.

Mary nigdy już nie była taka sama. Mimo iż miała pogrzebać jeszcze dwóch synów, nic nie mogło dorównać rozpaczycy po utracie jej ukochanego „aniołka”. Przez trzy dni po jego śmierci nie jadła, nie spała i nie przestawała płakać.

Mary nie sposób ukoić. Może to i dobrze, bo ja sam nie jestem w nastroju do pocieszania. Napisałem do Speeda i Armstronga z prośbą, by przyjechali. Dostałem list z wyrazami współczucia od Henry'ego, który obiecał przybyć [do Springfield] nie później niż jutro w południe. Skąd się dowiedział o śmierci Eddy'ego, nie wiem.

Eddy został pochowany na Cmentarzu Hutchinsona, kilka przecznic od domu Abe'a i Mary.

Przez całe nabożeństwo trzymałem Boba i Mary za ręce. Wszyscy troje płakaliśmy. Obok nas stali Armstrong i Speed, a oprócz nich wiele innych znajomych i życzliwych nam osób. Henry obserwował mszę z oddali, gdyż nie chciał potęgować bólu Mary przez wzbudzenie jej podejrzeń³². Jednak przed nabożeństwem dostarczył mi liścik, w którym jeszcze raz wyraziwszy współczucie, przypomniał, że istnieje inna droga.

Sposób na to, bym znów ujrział mojego chłopca.

Mimo iż najprawdopodobniej walczył z obłądną pokusą, Abe wybrał rozsądek.

Byłby wiecznie małym chłopcem. Anielskim mordercą. Nie mogłem znieść myśli, iż trzymałbym go w ciemnościach i uczył, jak zabijać, by przeżyć. Nie mogłem skazać mojego syna na piekło.

Mary napisała wiersz (niewykluczone, że z pomocą Abe'a), który został opublikowany w „Illinois State Journal” mniej więcej w czasie pogrzebu Eddy'ego. Ostatni wers widnieje na płycie nagrobnej.

Przyćmione smutkiem gwiazdki jego
Co dawniej tak świeciły jasno,
Karmazynowy odcień z ust, policzków
Wraz z ciepłem serca zasnął.

Anioł śmierci wysoko był na niebie,
Latał nad chłopcem, by wezwać go do siebie.
Jedwabne fale jego włosów
Leżą na marmurowym czole,
A bladość warg i twarzy
O obecności Śmierci woła.
Dany nam szczerze cudny maluch
Z koroną złotą, harfą w dłoni
Teraz na ucho szepce Panu
Piękne historie nam nieznane,
Do nieba łaską Boga zabran,
By tam rozkwitać.
Szczęśliwszy w niebie nasz aniołek
Eddy, miłości cudny kwiatek,
Wśród dawnych dusz dziś pomieszkuje.
Anielski chłopcze, żegnaj, żegnaj,
Najsłodszy Eddy,
Mówimy ci *adieu!*
Nie sięgnie cię nasz płacz żałosny,
Mimo iż szczery i donośny.
W jasnym zamieszkał teraz domu...
W Niebieskim jest Królestwie.

DZIEWIĘĆ Nareszcie spokój

Otrzymaliśmy najwspanialsze dary od Niebios. Przez wszystkie te lata żyliśmy w pokoju i dostatku. Powiększyliśmy swoją liczebność, zamożność i siłę, jak żaden inny naród na świecie. Ale zapomnieliśmy o Bogu. Zapomnieliśmy o tej szczodrej dłoni, która zapewniła nam pokój, która nas pomnożyła, wzbogaciła i uczyniła silnymi.

Abraham Lincoln w przemówieniu z okazji ogłoszenia
Narodowego Dnia Postu, 30 marca 1863

I

Artykuł w „New York Tribune” z poniedziałku 6 lipca 1857 roku:

BRUTALNE WALKI PARALIŻUJĄ MIASTO Dziwne zdarzenia podczas wojny gangów H. Greeley

Dziki walki, jakie przez ostatnie dwie doby toczyły się w wielu częściach Manhattanu, zostały wreszcie uciszone. Z rozkazu gubernatora oddziały zbrojne wkroczyły w niedzielę do dzielnicy Five Points i zaatakowały resztkę walczących

salwami z muszkietów. Niezliczoną ilość zwłok można było dziś rano oglądać przy Baxter, Mulberry i Elizabeth Street. Były to ofiary najpoważniejszych zamieszek, jakie zdarzyły się w którymkolwiek z naszych miast, odkąd sięga pamięć. Wiele wskazuje na to, że akty przemocy zaczęły się, gdy niesławne lokalne gangi, Brzydale i Zdechłe Króliki, napadły na wspólnych wrogów, Chłopców z Biedot. Według policji do pierwszych zabójstw doszło przy Bayard Street w sobotnie południe, po czym ich fala rozprzestrzeniła się po Five Points z siłą i prędkością powodzi.

Niewinni obywatele musieli ryglować drzwi, podczas gdy bandyci zabijali swoich rywali nożami, pistoletami i pałkami. Kupcy patrzyli bezradnie na demolowane sklepy i rozkradany w ogólnym chaosie towar. Jedenastu przechodniów – w tym kobieta z dzieckiem – zostało poturbowanych tylko dlatego, że znaleźli się zbyt blisko walczących.

DZIWNE ZDARZENIA PODCZAS WOJNY GANGÓW

Nasza redakcja została zasypana relacjami świadków, którzy oglądali „dziwne” i „nieprawdopodobne” wypadki przez cały sobotni wieczór i niedzielny poranek. Ludzie widzieli mężczyzn skaczących po dachach domów, „jakby niosło ich powietrze”, i wspinających się po ścianach budynków „z taką łatwością, z jaką człowiek wchodzi na drzewo”.

Jeden ze świadków, kupiec Jasper Rubes, twierdzi, iż obserwował, jak jeden ze Zdechłych Królików „podnosi Chłopca z Biedot nad głowę i rzuca nim o pierwsze piętro [fabryki przy

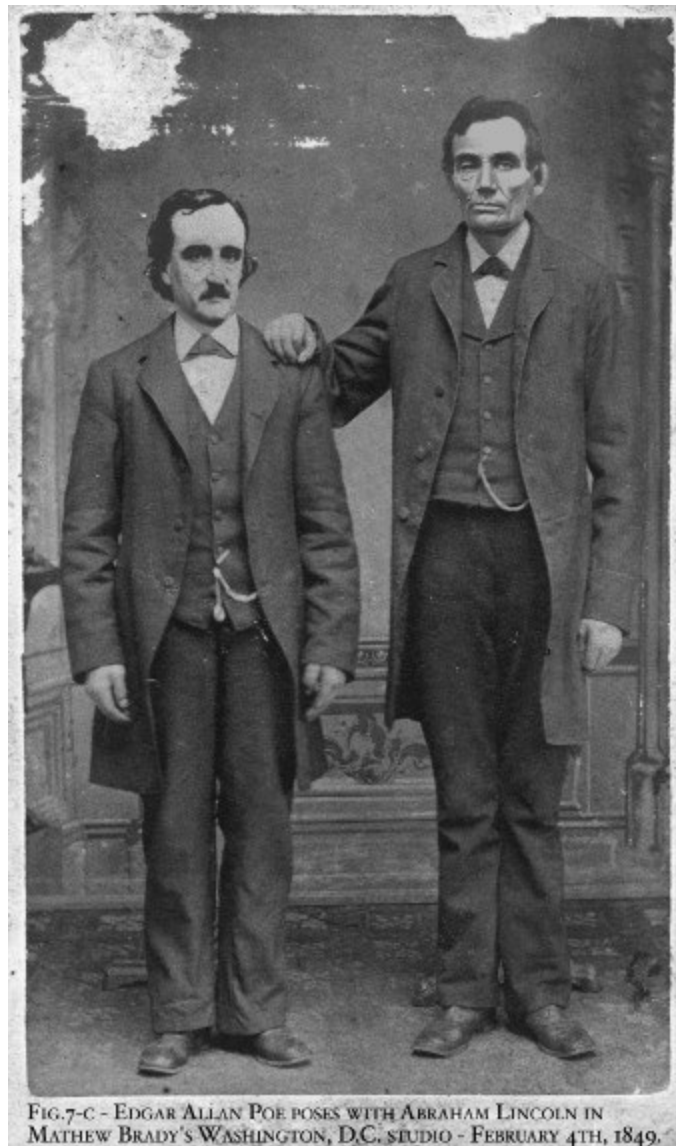
Baxter Street] z taką siłą, że ten wybił dziurę w ścianie”.
O dziwo rzucony „wylądował na nogi”, mówi świadek,
„i kontynuował walkę, jak gdyby nigdy nic”.

„Jego oczy”, powiedział Rubes, „były czarne jak sadza”.

Na początku lat pięćdziesiątych polowanie na wampiry było ostatnią rzeczą, o jakiej myślał Abraham Lincoln.

Dziesięć miesięcy po pogrzebie synka Abe i Mary przywitani na świecie następnego. Nazwali go William „Willy” Wallace Lincoln na cześć lekarza, który do samego końca czuwał przy Eddym. W roku 1853 na świat przyszedł jeszcze jeden chłopiec, Thomas „Tad” Lincoln, urodzony 4 kwietnia. Wraz z dziesięcioletnim Robertem cała trójka tworzyła „rozkrzyczaną gromadkę”.

„Podczas gdy piszę te słowa, Bob wyje w sąsiednim pokoju”, donosił Abe w liście do Speeda w 1853 roku. „Mary dała mu łupnia za wybieganie z domu i znikanie nie wiadomo gdzie. Podejrzewam, że nim skończę pisać ten list, chłopak zdąży jeszcze raz wybiec i zniknąć”.



RYS. 7-C – EDGAR ALLAN POE POZUJĄCY Z ABRAHAMEM LINCOLNEM W WASZYNGTOŃSKIM STUDIUM FOTOGRAFICZNYM MATHEW BRADY’EGO, 4 LUTEGO 1849 ROKU.

Po śmierci Eddy’ego Abe rzadko otwierał swój dziennik. Sześć i pół oprawionych w skórę tomików stało się zapisem jego życia, opowieścią o wampirach, historią broni i aktów zemsty, śmierci i straty. Ale tamte dni były już za nim, tamto życie dobiegło końca. Gdy wpisy w dzienniku pojawiły się znów w 1865 roku, Abe wspominał „ostatni, spokojny, cudowny okres”.

To były bez wątpienia dobre, ciche lata. Nie chciałem mieć nic wspólnego z wampirami ani polityką. Pomyśleć tylko, ile straciłem, marnując czas w Waszyngtonie! Jak wiele mnie ominęło z krótkiego, pięknego życia Eddy'ego. Nie, nigdy więcej. Prostota! To moja nowa przysięga. Rodzina! To moje zadanie. Gdy tylko nie mogłem być z chłopcami w domu, pozwalałem im biegać po biurze (wywołując, jak sędzę, niemałą konsternację u Lamona³³). Chodziliśmy z Mary na długie spacerów, o każdej porze roku i niezależnie od pogody. Rozmawialiśmy o naszych kochanych chłopcach, o przyjaciółach i o naszej przyszłości. O tempie, w jakim mijało nasze życie.

Nie dostawałem listów od Henry'ego. Nie odwiedzał nas ani nie zdradzał swojego miejsca zamieszkania. Czasem zastanawiałem się, czy zaakceptował w końcu fakt, że skończyłem z polowaniem na wampiry albo czy sam nie padł ofiarą czyjegoś topora. Niezależnie od przyczyny jego nieobecności, była mi ona na rękę. Bo mimo iż z czasem obdarzyłem go wielką sympatią, to nienawidziłem każdego wspomnienia, jakie wywoływał we mnie dźwięk jego imienia.

Długi płaszcz Abe'a, ozdobiony śladami walk, został bezceremonialnie spalony. Pistolety i noże zamknięte w skrzyni i zapomniane w ciemnej piwnicy. Ostrze topora zardzewiało. Widmo śmierci, które wisiało nad głową starego łowcy wampirów, odkąd skończył dziewięć lat, wreszcie zdawało się odchodzić.

Wróciło na krótką chwilę w 1854 roku, gdy Abe dostał wiadomość

od znajomego z Clary's Grove: Jack Armstrong nie żyje. Tak pisał w liście do Joshuy Speeda:

Ten przeklęty dureń dał się zabić koniowi, Speed.

Stary Jack stał wczesną zimą w ulewie, próbował zaciągnąć uparte bydło za wodze. Siłowali się tak przez blisko godzinę. Jack (jak na Chłopca z Clary's Grove przystało) nie pomyślał o włożeniu płaszcza ani o wezwaniu pomocy, mimo że miał jedną rękę i był całkiem przemoknięty. Gdy w końcu udało mu się zabrać zwierzę z deszczu, zdążył już złapać w płuca śmierć. Przez tydzień gorączkował, w końcu stracił przytomność i umarł. Wyjątkowo nędzna śmierć jak na takiego silnego człowieka, nie uważasz? Człowieka, który nieraz otarł się o zagładę i który widział te same okropności co ty i ja.

W tym samym liście Abe przyznał, że jest zaniepokojony tym, że nie czuje bólu w związku z odejściem Armstronga. Oczywiście przeżył śmierć Jacka, ale był to „inny rodzaj żalu” niż paraliżująca depresja, którą czuł po stracie matki, Ann i Eddy'ego.

Wydaje mi się, że życie tak blisko śmierci znieczuliło mnie na obydwa te doświadczenia.

Cztery lata później Abe będzie obrońcą syna Jacka, „Duffa” Armstronga, oskarżonego o morderstwo. Abe nie wziął zapłaty. Ciężko pracował, namiętnie się procesował i (przy odrobinie prawniczego geniuszu) wywalczył Duffowi wolność³⁴, tym samym ostatecznie podziękował swojemu walecznemu przyjacielowi.

II

W tym samym roku, w którym Abe opłakiwał śmierć dawnego druha, został na powrót wciągnięty w politykę przez dawnego rywala.

Abe znał senatora Stephena A. Douglasa z czasów, gdy obaj zasiadali w Zgromadzeniu Stanowym Illinois (i obaj ubiegali się o względy Mary Todd). Mimo iż był demokratą, Douglas od dawna sprzeciwiał się dopuszczeniu niewolnictwa na tereny, gdzie dotychczas nie istniało. Jednak w 1854 roku nagle zmienił zdanie i opowiedział się za ustawą Kansas–Nebraska, znoszącą federalny zakaz szerzenia niewolnictwa. Prezydent Franklin Pierce podpisał ją 30 maja, czym doprowadził do wściekłości miliony mieszkańców Północy i przyczynił się do wrzenia po obu stronach konfliktu.

Mimo usilnych starań nie umiałem opanować gniewu. Sączył się w mój umysł tak, jak woda przecieka do korzeni drzewa, aż w końcu przepęłił mnie całego. Sen nie dawał mi ulgi, gdyż co noc nawiedzało mnie morze czarnych twarzy, bezimiennych ofiar wampirów. Każda z nich wołała do mnie: „Sprawiedliwości! Sprawiedliwości, panie Lincoln!”.

Sam fakt istnienia niewolnictwa stanowił dostateczną obelgę. Moja świadomość, iż instytucja ta jest podwójnie zła, tylko pogarszała sprawę. Ale to?! Pomysł, by jej zatrute palce sięgały dalej na północ i zachód? By dotarła do mojego Illinois? Na to nie było zgody. Wycofałem się z polityki, lecz gdy poproszono mnie, bym stanął do debaty [z Douglasem], nie mogłem odmówić. Nie pozwoliłyby mi na to owe upiorne twarze.

Szesnastego października 1854 roku Lincoln i Douglas stanęli naprzeciw siebie przed sporym tłumem w Peorii, w stanie Illinois. Dziennikarz z „Chicago Evening Journal” tak opisał swoje zdumienie na widok przemawiającego Lincolna:

Jego twarz rozpalały płomienie geniuszu, a ciało poruszało się unisono z myślami. Jego mowa trafiała do serca, gdyż od serca pochodziła.

„Nie mogę nią nie gardzić!”, powiedział Lincoln o zgłoszonej propozycji. „Nienawidzę jej ze względu na monstrualną niesprawiedliwość samej idei niewolnictwa!”.

Widziałem wielu uznanych oratorów, którzy potrafili rozbudzić nawałnicę owacji, nie wpływając na zmianę zdania swoich słuchaczy. Elokwencja Lincolna jest wyższego rzędu, gdyż przekonuje innych dzięki przekonaniu mówiącego.

„Nienawidzę jej, ponieważ odbiera naszej republice prawo sprawiedliwego wpływania na resztę świata”, ciągnął. „Daje wrogom wolności uzasadnione prawo wyśmiewania nas jako hipokrytów!”.

Publiczność czuła, że Lincoln wierzy w każde swoje słowo i że, jak Marcin Luter, prędeż poszedłby na stos, niż unieważnił choć jedno zdanie. W takich chwilach przypominał ten rodzaj starożytnego hebrajskiego proroka, o jakim uczono mnie w szkółce niedzielnej, gdy byłem dzieckiem.

Choć jego wystąpienie nie przyczyniło się do zmiany zdania Douglasa ani jego sojuszników w Kongresie, to i tak stało się punktem zwrotnym w karierze Abe’a. Jego złość z powodu niewolnictwa (i tym

samym z powodu wampirów) popchnęła go z powrotem na arenę polityczną, a to dzięki geniuszowi i błyskowi elokwencji w Peorii. Przemówienie zostało spisane i opublikowane na całej Północy. Nazwisko Abraham Lincoln zaczęło nabierać ogólnokrajowego znaczenia wśród przeciwników niewolnictwa. W późniejszych latach jeden z akapitów pamiętnej mowy miał się okazać proroczy.

„Czyż nie jest prawdopodobne, że spór ten doprowadzi do wymiany ciosów i rozlewu krwi? Czy można sobie wyobrazić lepszy przepis na konfrontację i przemoc niż omawiana tu propozycja?”.

Senator Charles Sumner leżał nieprzytomny na podłodze izby senackiej, twarzą w kałuży własnej krwi.

Ten abolicjonista został zaatakowany przez trzydziestosiedmioletniego kongresmana, Prestona Smitha Brooksa. Brooks, zwolennik niewolnictwa z Karoliny Południowej, poczuł się dotknięty antyniewolniczym przemówieniem wygłoszonym dwa dni wcześniej przez senatora z Massachusetts, w którym wyśmiewał on jego wuja. Dwudziestego drugiego maja 1856 roku Brooks wszedł do izby Senatu w towarzystwie swojego rodaka z Karoliny Południowej, kongresmana Laurence'a Keitta, i podszedł do pulpitu Sumnera.

– Panie Sumner – powiedział Brooks. – Przeczytałem pańskie wystąpienie dwukrotnie i uważnie. Jest oszczerce wobec Karoliny Południowej oraz pana Butlera, mojego krewnego.

Zanim Sumner zdążył odpowiedzieć, Brooks zaczął bić go po głowie laską ze złotym uchwytem, każdym ciosem otwierając nową

ranę. Oślepiiony krwią Sumner zatoczył się i upadł. Brooks, mimo że jego ofiara była zakrwawiona i nieprzytomna, wymierzał kolejne ciosy, aż laska się złamała. Przerażeni senatorowie pośpieszyli Sumnerowi na pomoc, lecz powstrzymał ich Keitt, który wyciągnął pistolet i zawołał:

– Zostawcie ich!

Uderzenia połamały Sumnerowi czaszkę i kręgosłup. Przeżył, lecz przez trzy lata nie był w stanie pełnić służby senatora. Na wieść o zajściu mieszkańcy Karoliny Południowej wysłali Brookswi³⁵ tuzin nowych lasek.

Ostatnio jeszcze mocniej upewniłem się co do słuszności mojej decyzji o wyjechaniu z Waszyngtonu. Coraz bardziej jestem przekonany, że to siedlisko idiotów oraz że zmierzamy prostą drogą do „wielkiego nieszczęścia”, o którym mówił mi już dawno Poe. Widać na horyzoncie maszty rozwścieczonej floty i z każdym dniem zdaje się ona przybliżać. I jeśli, jak sądzi wielu, żagle ich napełnia wiatr wojny, to niech tę wojnę toczą inni. Moi chłopcy są zdrowi, moja żona silna duchem. I mieszkamy daleko, daleko od Waszyngtonu. Chętnie wygłoszę jedno albo dwa przemówienia, z radością użyję swojego pióra tym, którym się ono przyda. Ale jestem szczęśliwy, a szczęście – postanowiłem – jest szlachetną ambicją. Zbyt wiele już straciłem i przez trzydzieści lat byłem niewolnikiem wampirów. Teraz pozwólcie mi cieszyć się wolnością. Pozwólcie cieszyć się tym czasem, który otrzymam od Boga. A jeśli dzisiejszy pokój stanowi ledwie preludium do jakiejś katastrofy, niech i tak będzie. Będę się cieszył tym

pokojem.

Po obu stronach sporu o niewolnictwo nie brakowało pasji i agresji. Rozwścieczony napaścią na Charlesa Sumnera radykalny abolicjonista, John Brown, poprowadził atak na osadę w Pottawatomie Creek na terytorium Kansas. W nocy 24 maja 1856 roku (zaledwie dwa dni po tym, jak Brooks pobił Sumnera) Brown i jego ludzie brutalnie zamordowali pięciu osadników, którzy popierali niewolnictwo; wyciągnęli każdego z nich z domu, przebili szablą i strzelili z pistoletu w głowę. Była to pierwsza z serii akcji odwetowych, które później nazwano „wykrwawianiem Kansas”. Akty przemocy ciągnęły się przez trzy lata i pochłonęły w sumie ponad pięćdziesiąt ofiar.

Szóstego marca 1857 roku Sąd Najwyższy popchnął kraj jeszcze bliżej ku przepaści.

Dred Scott był sześćdziesięcioletnim niewolnikiem, który od ponad dziesięciu lat usiłował wywalczyć dla siebie wolność na drodze sądowej. Od 1832 do 1842 roku Scott podróżował jako służący ze swoim właścicielem (majorem armii USA Johnem Emersonem) po wolnych terytoriach Północy. W trakcie tych podróży zdołał wziąć ślub i spłodzić dziecko (wszystko to na wolnej ziemi), a po śmierci majora w 1843 roku postanowił wykupić swoją wolność. Jednak wdowa po majorze odmówiła i nadal zatrudniała Scotta, ale nie wypłacała mu pensji. W 1846 roku, za radą przyjaciół abolicjonistów, Scott wystąpił do sądu o przyznanie statusu wolnego człowieka, twierdząc, że przestał być niewolnikiem w chwili, gdy jego noga stanęła na wolnym terytorium. Sprawa wędrowała od sądu do sądu,

przykuwała uwagę całego kraju, aż w końcu w 1857 roku trafiła do Waszyngtonu.

Przewagą siedmiu głosów do dwóch sędziowie Sądu Najwyższego orzekli na niekorzyść Scotta, twierdząc, że Ojcowie Założyciele pisali Konstytucję przy założeniu, iż czarni są „osobami niższego rzędu, zupełnie nienadającymi się do kontaktów z białą rasą”. W związku z powyższym nie mogli być obywatelami Stanów Zjednoczonych, więc nie mieli prawa skarżyć się w sądach federalnych. W obliczu wymiaru sprawiedliwości dysponowali takimi samymi prawami jak pług, którymi orali ziemię swoich właścicieli.

Wyrok był fatalny dla Scotta, ale miał też implikacje wykraczające daleko poza kwestię jego osobistej wolności. W wydanym werdykcie Sąd oznajmił, że:

- Kongres przekroczył uprawnienia, zakazując rozszerzania niewolnictwa na nowe terytoria, a terytoria te nie miały prawa wprowadzać zakazu we własnym zakresie.
- Niewolnicy i ich potomkowie (wolni lub nie) nie są chronieni przez Konstytucję i nigdy nie będą mogli zyskać statusu obywateli Stanów Zjednoczonych.
- Zbiegli niewolnicy, którzy dotarli do wolnych terytoriów, pozostawali własnością swoich panów.

Po ogłoszeniu wyroku w sprawie Dreda Scotta gazeta „Albany Evening Journal” oskarżyła Sąd Najwyższy, Senat i niedawno zaprzysiężonego prezydenta Jamesa Buchanana o „spiskowanie” na rzecz niewolnictwa, a w „New York Tribune” został opublikowany komentarz, który wyrażał gniew wielu mieszkańców Północy:

Od dzisiaj, ilekroć załopoczą gwiazdy i paski, reprezentować będą i chronić niewolnictwo. Wyhodowaliśmy zatem ostatni owoc. Stanowi on zwieńczenie całej pracy naszych mężów stanu, krwi naszych bohaterów, wieloletnich trosk i zmagañ naszych przodków, aspiracji naszych uczonych i modlitw dobrych ludzi. Ameryka – tu produkuje się i trzyma niewolników!

Demokraci z Południa nabrali wiatru w żagle. Niektórzy z nich cieszyli się, że werdykt pozwoli urządzić „aukcje niewolników w centralnym parku w Bostonie”. Republikanie i abolicjoniści nigdy wcześniej nie byli tak zelektryzowani w swoim sprzeciwie wobec niewolnictwa. Ameryka zaczynała pękać na pół.

Ale niewielu Amerykanów wiedziało tak naprawdę, jak ogromne groziło im niebezpieczeństwo.

III

Trzeciego czerwca 1857 roku Abe otrzymał list i od razu rozpoznał charakter pisma. Nie było w nim pytań o zdrowie i szczęście Lincolna, w ogóle nie dotyczył spraw rodzinnych.

Abrahamie,

wybacz, proszę, że nie pisałem przez ostatnie pięć lat. Zrozum też moją szorstkość – sprawy wokół mnie wymagają mojej pilnej uwagi.

Muszę cię prosić o kolejną ofiarę. Wiem, jak bezczelnie

brzmi ta prośba w świetle wszystkiego, co wycierpiałeś, i jak niewiele mam do zaoferowania w formie zachęty, by oderwać cię od szczęśliwego życia w rodzinnym domu. Uwierz mi, że nie zwróciłbym się do ciebie, gdyby sytuacja nie była poważna lub gdyby jakikolwiek inny człowiek mógł zrobić to, o co proszę.

Załączam wszystko, co niezbędne, byś mógł szybko przybyć do Nowego Jorku. Jeśli się zgadzasz, błagam – przyjedź nie później niż 1 sierpnia. Dalsze instrukcje otrzymasz na miejscu. Jeśli jednak odmawiasz, nie będę cię więcej dręczył. Proszę tylko, daj mi o tym znać niezwłocznie, byśmy mogli rozważyć alternatywną strategię. W przeciwnym razie cieszę się na nasze spotkanie, stary druhu. Usłyszysz ode mnie wszystkie wyjaśnienia, na które od dawna zasługujesz.

Nadszedł czas, Abrahamie.

Na zawsze twój, H.

Do listu dołączone były rozkłady jazdy pociągów i statków parowych, pięćset dolarów i nazwa pensjonatu w Nowym Jorku, w którym zarezerwowany został pokój na nazwisko A. Rutledge.

Ach, jak mnie [list] zirytował! Doprawdy, Henry wykazał się niemałym sprytem, bo choć twierdził, że nie ma mnie czym zachęcić, to cały list był zawiłą zachętą: gryzienie się w język, pochlebstwa, obietnica wyjaśnień, nawet nazwisko zostawione w pensjonacie! Jakże śmiał, nawet półsłowem nie zdradzając celu, prosić, bym porzucił swoje sprawy, swoją rodzinę i przebył tysiące kilometrów!

A jednak nie mogłem odmówić.

I to było bardziej irytujące od samego listu. Bo Henry miał rację – nadszedł czas. Nie wiedziałem. Czułem tylko, że całe moje życie... wszystkie cierpienia, działania, śmierć... wszystko to prowadziło do czegoś więcej. Już jako dziecko miałem wrażenie, że los umieścił mnie na długim, prostym odcinku rzeki, z którego nie mogłem zboczyć, że niósł mnie coraz silniejszy nurt, po obu stronach otaczała dzicz i że daleko przede mną czekało coś, z czym niechybnie miałem się zderzyć. Nigdy, rzecz jasna, nie mówiłem nikomu o tym uczuciu, ponieważ nie chciałem, by wzięto mnie za próżnego (lub, co gorsza, by się okazało, że nie miałem racji – w końcu gdyby rację miał każdy mężczyzna spodziewający się za młodu, że czeka go wielkość, świat pękałby w szwach od Napoleonów). Teraz jednak niejasny dotąd obiekt zaczynał nabierać kształtów, choć nadal nie widziałem go wyraźnie. Jeśli miało mi w tym pomóc pokonanie ponad tysiąca kilometrów, to niech tak będzie, pomyślałem. Dawniej znacznie mniejsze korzyści skłaniały mnie do dłuższych podróży.

Abe dotarł do Nowego Jorku 29 lipca. Aby nie budzić podejrzeń (i nie zostawiać rodziny bez opieki), postanowił zabrać Mary i chłopców ze sobą na „spontaniczną” wycieczkę, by doświadczyć cudów wielkiego miasta.

Nie mogli wybrać sobie na tę wycieczkę gorszej pory.

Nowy Jork przeżywał lato pełne przemocy. Od maja dwie

rywalizujące ze sobą siły policji prowadziły krwawe walki o władzę, zapominając niemal zupełnie o walce z przestępczością. Różnej maści złodzieje i mordercy mieli prawdziwy piknik. Lincolnowie przybyli do miasta zaledwie trzy dni po najgorszych zamieszkach w jego historii, podczas których świadkowie widzieli ponoć „rzeczy niemożliwe”. Abe był w Nowym Jorku wcześniej tylko raz, zatrzymał się tam na krótko w podróży na północ. Teraz po raz pierwszy miał okazję poznać największe, najbardziej żywe miasto Ameryki.

Rysunki nie oddawały rzeczywistości. Jest to bezkresne miasto, nieporównywalne z żadnym innym. Każda następna ulica jest większa i bardziej tętni życiem od poprzedniej. Budynki niesamowitych rozmiarów. Nigdzie indziej nie widziałem tylu dorożek. W powietrzu dzwonią odgłosy kopyt stukających o bruk i szemrzą setki ludzkich rozmów. Tyle tu dam chodzących z czarnymi parasolkami, że gdyby człowiek spojrzał na wszystko z dachu kamienicy, nie dostrzegłby w ogóle chodnika. Na myśl przychodzi Rzym w czasach świetności. Londyn w szczytowym rozkwicie³⁶. Mary nalega, byśmy zostali przynajmniej miesiąc. Jak inaczej moglibyśmy docenić takie miejsce?

W niedzielną noc, 2 sierpnia, Abe wstał z łóżka, ubrał się na czarno i wyszedł na palcach z pokoju, w którym spała jego rodzina. Dokładnie o wpół do dwunastej przemierzył plac Waszyngtona i skierował się na północ, zgodnie z instrukcjami podanymi na kartce, którą ktoś wsunął mu pod drzwi tego dnia rano. Miał się spotkać z Henrym w Piątej Alei, naprzeciwko sierocińca przy rogu

z Czterdziestą Czwartą Ulicą.

Z każdą następną przecznicą ulice stawały się coraz bardziej puste. Coraz ciemniejsze. Wielkie budynki i szemrzące chodniki przeistaczały się w rzędy jednopiętrowych domów z oknami, w których nie sposób było uświadczyć choć jednej świecy. Ani żywej duszy, gdzie okiem sięgnąć. Przechodząc przez park Madisona, zachwyciłem się widokiem niedokończonego szkieletu jakiejś potężnej budowli³⁷. I absolutną ciszą. Zacząłem sobie wyobrażać, że jestem jedynym człowiekiem w całym Nowym Jorku, aż usłyszałem stukot kroków na brukowanej ulicy.

Abe spojrział przez ramię i zobaczył sylwetki trzech mężczyzn idących w niedużej odległości za nim.

Jak im się udało nie zwrócić mojej uwagi do tej pory? W kontekście ostatnich zamieszek uznałem, że najbezpieczniej będzie zawrócić do placu Waszyngtona oświetlonego latarniami gazowymi i pełnego przechodniów. Henry mógł poczekać. Jakimż byłem głupcem! Wybrałem się do miasta bez broni, choć wiedziałem przecież, że wielu ludzi zostało tu ostatnio okradzionych (lub gorzej) i że nie można było liczyć na interwencję policji. Przeklinając się pod nosem, skręciłem w lewo, w Trzydziestą Czwartą. Serce skoczyło mi do gardła, gdy usłyszałem, że oni wykonują ten sam manewr, gdyż teraz nie miałem już wątpliwości co do ich zamiarów. Przyspieszyłem kroku. Oni również. Byle dotrzeć do

Broadwayu, pomyślałem.

Nie dotarł. Śledzący go mężczyźni ruszyli sprintem. Abe zrobił to samo, skręcił w lewo i pobiegł między dwiema działkami w nadziei, że w ten sposób im ucieknie.

Wciąż potrafiłem szybko biec, lecz oni i tak byli szybsi. Gdy straciłem już szansę na ucieczkę, odwróciłem się, by przywitać ich pięściami.

Abe miał blisko pięćdziesiąt lat. Od piętnastu lat nie użył broni ani nie toczył bójki. Mimo to udało mu się wyprowadzić kilka ciosów, zanim jeden z napastników uderzył go i pozbawił przytomności.

Obudziłem się w całkowitych ciemnościach, czując pod sobą tylko niewyraźne dudnienie kół dorożki.

„Uderz go jeszcze raz”, powiedział nieznany mi głos.

Ostry i krótki ból na czubku głowy... przede mną wszechświat błyszczący tysiącem barw... a po chwili... nic.

– Bardzo mi przykro – odezwał się tym razem znany mi głos – ale nikt nie może wiedzieć, gdzie przebywamy.

Był to Henry.

Zdjęto mi kaptur i zobaczyłem, że siedzę na środku wielkiej, dwupoziomowej sali balowej, której misternie zdobiony sufit wisiał dziewięć metrów nad moją zboląłą

głową. W oknach wisały długie, ciemnoczerwone zasłony, a pomieszczenie oświetlały słabo żyrandole. Dużo złota i marmurów, najdoskonalsze rzeźbienia oraz meble i podłoga z drewna tak ciemnego i wypolerowanego, że wyglądała na szklaną. Był to najpiękniejszy pokój, jaki kiedykolwiek widziałem i jaki potrafiłbym sobie wyobrazić.

Trzej mężczyźni w różnym wieku i o różnych sylwetkach stali za Henrym, oparci o królewski kominek z marmuru. Każdy z pogardą w oczach. To, pomyślałem, moi napastnicy. Przed kominkiem ustawiono naprzeciwko siebie dwie kanapy, a między nimi długi, niski stół. Na jego blacie srebrny serwis do herbaty, który odbijał światło z kominka i rzucał na ściany i sufit dziwne, oszałamiające wzory. Drobny, siwy staruszek siedział na kanapie po lewej, trzymając w dłoni filiżankę. Znałem go... Byłem tego pewien, ale z powodu otumanienia nie potrafiłem sobie przypomnieć skąd.

Gdy stopniowo wracały mi zmysły, zauważyłem około dwudziestu innych mężczyzn w różnych miejscach sali. Niektórzy stali za moimi plecami, inni siedzieli na krzesłach z wysokimi oparciami, ustawionych wzdłuż ścian. Kolejnych dwudziestu snuło się nade mną, spoglądając w dół ze skrytych w mroku mezaninów po obu stronach komnaty. Jasne było, że nie zamierzają pokazać swoich twarzy.

– Proszę – powiedział Henry i wskazał Abe’owi miejsce naprzeciwko staruszka pijącego herbatę.

Zawahałem się i Henry (wyczuwając powód mojej niechęci)

dał znak moim napastnikom, by odeszli od kominka. „Daję ci moje słowo”, powiedział. „Nie stanie ci się już żadna krzywda”. Zawierzyłem mu i usiadłem naprzeciwko dżentelmena, którego wciąż nie poznawałem. Lewą ręką trzymałem się za tył głowy, a prawą pilnowałem, by nie stracić równowagi.

– Wampiry – powiedział Henry i kiwnął głową w kierunku trzech mężczyzn, którzy teraz usiedli pod ścianą.

– Tak – odparł Abe. – Domyśliłem się.

Henry się uśmiechnął.

– Wampiry – powtórzył i pokazał na całą salę. – Przekłeta, krwiożercza nasza rasa. Wszyscy z wyjątkiem ciebie i pana Sewarda.

Seward...

Senator William Seward był kiedyś gubernatorem stanu Nowy Jork, jednym z czołowych przeciwników niewolnictwa w Kongresie oraz człowiekiem przez wielu uważanym za pewnego kandydata republikanów w wyborach prezydenckich 1860 roku. Poznali się z Abem dziewięć lat wcześniej, gdy obaj wspierali kampanię generała Zachary’ego Taylora w Nowej Anglii.

– Cieszę się, że znów mogę pana spotkać, panie Lincoln – powiedział Seward, wyciągając dłoń.

Abe ją uścisnął i odparł:

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie Seward.

– Zapewne zdajesz sobie sprawę z reputacji senatora Sewarda? – zapytał Henry.

– Owszem.

– Zatem musisz wiedzieć, że tym razem jest faworytem do

nominacji.

– Oczywiście.

– Oczywiście – powtórzył Henry. – Ale czy wiedziałeś, że stary Seward upolował i zabił niemalże tyle samo wampirów co ty?

Abe musiał zagryźć wargę, by szczeka mu nie opadła. *Mój książkowy z uprzywilejowanej rodziny łowcą wampirów? Niemożliwe.*

– Objawienia – odezwał się Henry, chodząc tam i z powrotem przed kominkiem. – Objawienia są tym, co dziś zbliży nas do siebie. Ściągnąłem cię tutaj, ponieważ moi towarzysze chcieli zobaczyć na własne oczy pasję, jaką ja w tobie widzę. Pragnęli poznać tego Abrahama Lincolna, o którym im od lat opowiadam. Ściągnąłem cię tu, ponieważ zażądali dowodu, iż jesteś zdolny dokonać tego, o co prosimy. Chcieli ocenić cię bezpośrednio, nim zrobimy następny krok.

I jak niby mam być oceniany? Za szybkość, z jaką pozbawię ich głów?

Z ciemności dobiegł męski głos:

– Zapewne znajdziemy lepszą metodę, panie Lincoln.

Kilka osób zaśmiało się, wypełniając salę echem. Henry uciszył ich jednym ruchem dłoni.

– To się już odbyło, Abe – powiedział. – W chwili, gdy zostałeś wniesiony do tego pomieszczenia, zobaczyli twoją przeszłość i twój ból. Zajrzeli w twą duszę jak ja. Gdybyśmy uznali, że się nie nadajesz, nie obudziłbyś się wśród nas.

– Wśród „nas”? – powtórzył Abe. – Zawsze sądziłem, że wampiry nie tworzą sojuszy.

– Nadeszły ciężkie czasy. Nasi wrogowie zawarli sojusz, więc i my musimy to zrobić. Zwerbowali do swojej walki żywych ludzi i my też to zrobimy.

Henry stanął w miejscu.

– Rozpoczęła się wojna, Abe – oznajmił. – Nie jest to wojna ludzi, ale to oni przeleją krew na jej frontach, ponieważ dotyczy ona ich wolności. Wojna – ciągnął – i ty musisz ją wygrać.

Wszystko inne przestało istnieć – wampiry i mezaniny, zniknął Seward i serwis do herbaty. Był tylko Henry.

– Są tacy wśród mnie podobnych – powiedział – którzy chcą przebywać w cieniu. Chwytają się tego, co zostało w nich ludzkie. Wystarcza nam pożywienie i bycie zapomnianymi. Chcemy iść swoją przeklętą drogą w spokoju, zabijać tylko wtedy, gdy głód staje się nie do zniesienia. Ale są i tacy, którzy widzą siebie jako lwy pośród owiec. Uważają się za królów, pod każdym względem lepszych od ludzi. Czemu zatem mają żyć w ciemności? Czemu mają się bać ludzi?

Jest to konflikt, który zaczął się na długo, zanim powstała Ameryka. Konflikt między dwiema grupami wampirów: tymi, którzy szukali współistnienia z ludźmi, i tymi, którzy woleli ludzi zniewolić. Hodować i zaganiać niczym bydło.

Nie oceniaj nas jedną miarą, Abrahamie.

– Przez pięćdziesiąt lat – ciągnął Henry – robiliśmy, co w naszej mocy, by zapobiec tej wojnie. Każda misja, na którą cię wysłałem, miała na celu zniszczenie tego, który pragnął przyspieszyć jej wybuch. Twoje starania, wysiłki Sewarda i innych faktycznie spowolniły jej marsz. Ale nie możemy dłużej liczyć na to, że do niej nie dojdzie. Niecałe cztery tygodnie temu widzieliśmy jej pierwszą bitwę. Tutaj, na ulicach Nowego Jorku.

Dziwne zdarzenia... niemożliwe rzeczy...

– Nasi wrogowie są przebiegli – powiedział Henry. – Uczynili swoje postulaty postulatami Południa. Zawarli sojusz z żywymi, którzy z równym zapałem bronią niewolnictwa. Ale ludzie ci zostali

podpuszczeni, by działać na rzecz własnej zagłady, ponieważ czarni są tylko pierwszą grupą ludzi, która ma zostać zniewolona. Jeśli przegramy, będzie kwestią czasu, kiedy każdy mężczyzna, kobieta i dziecko w Ameryce stanie się niewolnikiem.

Abe'owi zrobiło się słabo.

– Właśnie dlatego nie możemy przegrać. Dlatego zawarliśmy sojusz. My, wampiry, które wierzą w prawa człowieka – oświadczył Henry. – My jesteśmy Unią i, stary druho, wiążemy z tobą pewne plany.

CZEŚĆ III

PREZYDENT

DZIESIĘĆ

Dom podzielony

*„Dom podzielony nie może się ostać”. Otóż uważam, że nasz na poły niewolniczy, a na poły wolnościowy ustrój długo przetrwać nie może. Nie twierdzę przy tym, że Unia się rozpadnie – nie wróżę upadku naszego domu. Przeciwnie, oczekuję, że Unia przestanie być tworem podzielonym. Stanie się jednością, albo w całości krajem wolnym, albo niewolniczym.*³⁸

Abraham Lincoln w przemówieniu z okazji przyjęcia nominacji Partii Republikańskiej w wyborach do senatu,
16 czerwca 1858

I

Przed świtem 23 lutego 1861 roku wysoki, odziany w płaszcz mężczyzna został zniesiony na peron dworca w Baltimore, zanim jego pociąg na dobre się zatrzymał, po przyjechaniu na miejsce z dziesięciogodzinnym wyprzedzeniem. Jego stopy nie dotknęły nawet ziemi, gdy grupa uzbrojonych ludzi doprowadzała go do czekającego już dylizansu, który ruszył w ułamek sekundy po tym, jak rozległ się trzask zamykanych pancernych drzwi. W środku za czarnymi zasłonami siedziało dwóch ochroniarzy z pistoletami

gotowymi do wystrzału, jakby lada moment spodziewali się wymiany ognia. Obok woźnicy trzeci ochroniarz wpatrywał się czarnymi oczyma w ciemne ulice Waszyngtonu, by na czas dostrzec najmniejszą nawet oznakę niebezpieczeństwa. W hotelu czekali kolejni, którzy pilnowali, by nikt nie wszedł bez ich wiedzy i błogosławieństwa oraz by ich bezcenny „towar” dotarł bezpiecznie do łóżka. Jeden człowiek stał nawet na dachu przeciwległego budynku, obserwując, czy ktoś nie próbuje spuścić się po fasadzie i wejść przez okno.

To Henry Sturges nalegał, by wprowadzić podwyższony stopień ochrony. Okazało się, że słusznie.

Nowo wybrany prezydent Abraham Lincoln właśnie przeżył pierwszy zamach na swoje życie.

Pod koniec 1857 roku, niedługo po powrocie z owego pamiętnego spotkania w Nowym Jorku, Abe ogłosił, iż wystartuje przeciwko Stephenowi Douglasowi w wyborach do senatu. Jego sympatycy nie wiedzieli, że deklarację poprzedziło nadejście listu:

Abrahamie,

jak zgadłeś w swoim liście z 13 września, prosimy cię, byś stanął do walki z Douglasem. Szanowny senator, czego się z pewnością domyślasz, należy do licznej grupy żywych ludzi, którzy padli ofiarą wpływów wroga. Nie przejmuj się wynikiem wyborów, lecz wykorzystaj każdą sposobność, by użyć swojej pasji i zdolności oratorskich do zwalczania niewolnictwa. My dopilnujemy, by rezultat był po naszej myśli. Uwierz w siebie, Abrahamie. Nie zapominaj nigdy, że to

twój cel życiowy.

Na zawsze twój, H.

PS Mateusz 12,25³⁹

Abe przyjął nominację Partii Republikańskiej w wyborach do senatu 16 czerwca 1858 roku i wygłosił przemówienie, które później będzie znane pod tytułem „O domu podzielonym”. Oskarżył w nim senatora Douglasa o bycie częścią „machiny” mającej na celu rozprzestrzenienie niewolnictwa na całą Amerykę. Nie wspominając ani słowem o wampirach, czynił aluzje do „obcych sobie, dalekich od zgody, a nawet wrogich sobie elementów”, które połączyły siły, by zwalczać „pełnego pychy i rozpieszczonego wroga” z Południa.

Między 21 sierpnia a 15 października Abe i Douglas odbyli siedem debat w różnych miastach Illinois, czasem przed publicznością liczącą nawet dziesięć tysięcy osób. Zyskali błyskawiczny rozgłos i mówiono o nich na szczeblu ogólnokrajowym dzięki gazetom, które publikowały zapisy ich starć. Douglas usiłował przedstawić Abe'a jako radykalnego abolicjonistę. Potrafił rozgrzać słuchaczy do czerwoności, kreśląc wizje niewolników, którzy zyskują niezależność i napływają do Illinois, oraz czarnych osad powstających w sąsiedztwie białych miast i czarnych mężczyzn biorących sobie za żony białe kobiety.

Jeżeli chcecie, by [czarni] głosowali na takich samych prawach jak wy, jeżeli chcecie nadać im obywatelstwo, posadzić na ławach przysięgłych i czekać, aż określą wasze prawa, głosujcie na Lincolna i murzyńską Partię Republikańską, która popiera prawa obywatelskie dla

czarnych!

Abe zwalczał mroczną wizję Douglasa prostą prawdą moralną, którą zawdzięczał (bez względu na to, czy otwarcie by to przyznał) baptystycznemu wychowaniu, które otrzymał od ojca.

Zgadzam się z sędzią Douglasem – [czarny człowiek] nie jest mi równy pod wieloma względami, z pewnością nie kolorem skóry, być może nie moralnie czy intelektualnie. Ale pod względem prawa, by bez niczyjego pozwolenia jeść chleb, na który zarobił pracą własnych rąk, jest równy mnie, sędziemu Douglasowi i każdemu człowiekowi żyjącemu na ziemi.

Jednak Abe'a frustrowała niemożność poruszenia prawdziwego problemu – faktu, iż Douglas służył kreaturom, które chciały zniewolić wszystkich ludzi⁴⁰. Po debacie w Charleston dał upust złości w swoim dzienniku.

Dziś kolejne transparenty. „Równość Czarnych jest Niemoralna!” „Ameryka dla Białych!” Patrzę na te tłumy... na tych głupców. Głupców, którzy nie mają najmniejszego pojęcia o tym, jak żyć według głoszonych przez siebie zasad. Głupców, którzy ogłaszają się dziećmi Boga, lecz nie okazują najmniejszego szacunku dla Jego słowa. Chrześcijanie żądający niewolnictwa! Właściciele niewolników mówiący o moralności! Czy różni się to czymś od pijaka propagującego wstrzemięźliwość? Od ladacznicy głoszącej cnotliwe życie?

Patrzę na tych durni proszących się o własną zagładę i kusi mnie, by powiedzieć im całą prawdę o tym, co ich czeka. Pomyśleć tylko, jak by zareagowali! Jaka by wybuchła panika! Gdybym mógł powiedzieć to słowo choć raz. „Wampir!” Och, gdybym tylko mógł pokazać na tego krępego karła⁴¹ i zawstydzić go przed całym światem! Ujawnić, jaki z niego zdrajca. Zdrajca własnego gatunku! Jakże pragnę zobaczyć ludzi takich jak Douglas i Buchanan skuty łańcuchami, zniewolonych przez tę samą instytucję, którą propagują.

Frustracja (lub pragnienie wytrącenia Douglasa z równowagi) popchnęła Abe'a do zawarcia kilku sugestywnych odniesień do zagrożenia ze strony wampirów podczas ostatniej debaty, stoczonej 15 października.

Kwestia ta nadal będzie ożywiać nasz kraj jeszcze długo po tym, jak mnie i sędziemu Douglasowi uschną języki. Jest to bowiem odwieczna walka między dwiema podstawowymi zasadami, między dobrem a złem. Te dwie zasady stały twarzą w twarz od zarania dziejów. I zawsze będą tak stać. Jedną z nich jest dobro wspólne ludzkości, a drugą – boskie prawo królów.

Abe'owi udało się zelektryzować siły przeciwne niewolnictwu w całym Illinois i innych terytoriach Północy. Niestety w 1858 roku senatorów nadal jeszcze wybierały zgromadzenia stanowe. Związana z demokratami większość (a właściwie popierające ją wampiry) w Springfield wysłała Stephena Douglasa na kolejną, sześćioletnią

kadencję do Waszyngtonu. „Kolejne sześć lat”, jak pisał Abe w dzienniku, „wykonywania poleceń wampirów z Południa”. Pierwszy raz od wielu lat Lincoln popadł w depresję.

Zawiodłem uciskanych, bezbronnych ludzi domagających się sprawiedliwości. Zawiodłem oczekiwania miłujących wolność. Czyżby to był cel mojego życia, o którym wciąż mówi Henry? By zawodzić?

Melancholia nie trwała długo. Trzy dni po przegranych wyborach Abe dostał od Henry’ego list składający się z trzech prostych zdań.

Cieszymy się z twojej porażki. Nasze plany pozostają bez zmian. Oczekuj dalszych instrukcji.

II

W ostatnich latach ulubionym schronieniem Abe’a stał się teatr. Być może przyciągało tam Lincolna zamiłowanie do opowiadania historii, a teatralne ozdobniki, jakie dodawał do swoich starannie przygotowanych wystąpień, pozwalały mu odnaleźć się w tej formie ekspresji. Może dreszcz emocji, który czuł, gdy przemawiał do tłumów, sprawiał, iż łatwo identyfikował się z aktorami. Abe cenił musicale i operę, ale najbardziej lubił dramaty (komedie czy tragedie – to nie miało znaczenia). Szczególną radość sprawiało mu oglądanie adaptacji ukochanego Szekspira.

Z tym większą przyjemnością obejrzelіśmy z Mary

przedstawienie *Juliusza Cezara* w wietrzny, lutowy wieczór, mając wreszcie za sobą trudy kampanii wyborczej. Nasz drogi przyjaciel, burmistrz [William] Jayne był tak łaskaw, że użyczył nam swojej czteroosobowej łoży.

Lincolnom towarzyszył tego wieczoru wspólnik z kancelarii: Ward Hill Lamon i jego trzydziestoczteroletnia żona Angelina. Występ był, według samego Abe'a, „cudownym pokazem starożytnych strojów i malowanych wnętrz”, z wyjątkiem błędnie wypowiedzianej kwestii w pierwszym akcie.

Niemalże wybuchnąłem śmiechem, gdy nieszczęsny wróżbita ostrzegł Cezara: „Strzeż się, gdy nastaną idy kwietniowe”⁴². Uznałem to za cud (nie bez ulgi), że nikt z publiczności nie chrząknął pogardliwie ani nie poprawił aktora. Jakże mógł on popełnić taki błąd? Czyżby słuch spłatał mi figła?

W drugiej scenie trzeciego aktu Marek Antoniusz stanął nad zamordowanym, zdradzonym ciałem Cezara i rozpoczął najbardziej znany monolog dramatu:

Bracia Rzymianie, słuchajcie z uwagą:
Przychodzę chować Cezara – nie chwalić.
Złe czyny ludzi żyją dłużej od nich,
Dobro wraz z nimi znika nieraz w grobie.

Słuchając płomiennej mowy aktora, Abe poczuł, że do oczu

napływają mu łzy.

Czytałem te słowa niezliczoną ilość razy. Zachwycąłem się ich genialną konstrukcją. Ale dopiero teraz w ustach tego zdolnego, młodego mężczyzny zabrzmiały prawdziwie. Dopiero teraz pojąłem ich pełne znaczenie. „Wszyscyście niegdyś kochali Cezara, nie bez przyczyny”, powiedział. „Jaka więc przyczyna wstrzymuje wasze łzy nad jego grobem?”. W tym momencie przerwał monolog i zeskoczył ze sceny w publiczność.

Cóż to za osobliwa interpretacja? Obserwowaliśmy go, speszeni i zafascynowani, jak idzie w kierunku naszej strony sali i znika za drzwiami prowadzącymi do naszej łoży. Nagle przepełnił mnie lęk, gdyż zdałem sobie sprawę, że aktor zamierza uczynić spektakl z mojej obecności na przedstawieniu. Miałem powód do niepokoju, bo zdarzyło mi się to już parokrotnie. Podobne incydenty zawsze stanowiły część bycia sławnym, zawsze też wprawiały mnie w zakłopotanie.

Tak jak się obawiał Abe, młody aktor pojawił się w łoży, czym wywołał śmiech i aplauz publiczności. Wszystkie oczy w teatrze skierowane były na niego, tymczasem on stanął za Lincolnami i ich gośćmi. Abe uśmiechał się nerwowo, wiedząc, co się zaraz wydarzy, lecz ku jego zaskoczeniu i uldze aktor po prostu kontynuował monolog.

„Bezmyślne zwierzę osądzi rzecz słuszniej niż wy, rozumni

ludzie!”, zawołał. Po tych słowach wyjął rewolwer, przystawił lufę do głowy [Angeliny] i wystrzelił. Huk mnie wystraszył i zaśmiałem się, sądząc przez chwilę, że to część spektaklu. Ale gdy zobaczyłem jej sukienkę pokrytą kawałkami mózgu, jej sylwetkę pochyloną do przodu i krew wypływającą nie tylko z rany, ale też z uszu i nozdrzy, od razu wiedziałem.

Krzyki Mary wywołały panikę na dole i widzowie zaczęli wzajemnie się tratować, usiłując dotrzeć do wyjścia. Wyciągnąłem nóż z płaszcza (nosiłem go przy sobie od mojego spotkania z Unią) i wstałem, by zmierzyć się z bydlakiem, podczas gdy Lamon zajął się żoną, podnosząc jej głowę i na próżno wołając jej imię, patrząc na krew spływającą po jego dłoniach. Dostoczyłem do aktora w chwili, gdy celował z pistoletu do Mary. Wbiłem mu całe ostrze noża w mięsień łączący szyję z barkiem, przez co tuż przed wystrzałem wypuścił rewolwer z dłoni. Wyjąłem ostrze i zamierzałem wbić je ponownie. Wtedy świat przewrócił się na bok.

Aktor kopnął Abe’a w nogi, posyłając go na ziemię i wytrącając nóż z ręki. Lincoln spojrzał na swoje ciało, w stronę dziwnego, pulsującego bólu w lewej nodze. Była wygięta nie w tył ani w przód, lecz na bok, co dawało iście groteskowy efekt.

Momentalnie zrobiło mi się słabo. Widząc mnie w tym stanie, Lamon zostawił żonę i włączył się do walki. Odwrócił się w stronę łajdaka, by strzelić do niego z własnego rewolweru, ale nim zdążył pociągnąć za spust, aktor uderzył go pięścią w usta z taką siłą, że wybił mu zęby i przestawił

zuchwę.

Cholerny wampir...

Mary zemdląca i opadła na podłogę obok swojego krzesła. Lamon zatoczył się w tył i oparł o balustradę, chwycił się za zuchwę i próbował ją nastawić. Wampir podniósł z ziemi broń, wycelował w głowę Lamona i wystrzelił, posyłając kawałki jego czaszki na opustoszałe krzesła pod lożą. Nie miałem już współnika. Następnie aktor wycelował w Mary i, nie bacząc na mój krzyk protestu, postrzelił ją w pierś. Wiedziałem, że już się nie obudzi.

W końcu przyszła kolej na mnie. Stał nade mną, wycelował lufę rewolweru w moją głowę. Spojrzeliśmy sobie w oczy.

Były to oczy Henry'ego.

– Sic semper tyrann...

Ostatnie słowo zagłuszył wystrzał.

Abe obudził się zlany potem.

Usiadł na łóżku i zasłonił twarz dłońmi, tak samo jak przed laty, gdy zobaczył, jak jego ojciec dobija targu z wampirem. Tamtej nocy Jack Barts skazał jego matkę na śmierć.

Mary spała spokojnie u jego boku, chłopcy bezpiecznie w swoich łóżkach. Sprawdzając starannie dom, Abe nie natknął się na żaden ślad włamywaczy, żywych lub martwych. Mimo to tamtej nocy już nie zasnął. W jego śnie było coś

niepokojąco znajomego, rzeczywistego. Widział w głowie każdy szczegół teatru, najmniejsze detale kostiumów i scenografii. Czuł mdlący ból w nodze i słyszał, jak na podłogę kapie krew Angeliny⁴³. Jednak mimo usilnych prób nie potrafił sobie przypomnieć tych trzech przeklętych słów, które przed obudzeniem usłyszał z ust swojego mordercy.

Niedługo po tym śnie William Seward, który wciąż był faworytem republikanów w wyborach prezydenckich 1860 roku, podjął dziwną decyzję taktyczną.

Seward niespodziewanie wyjechał w podróż po Europie i nie będzie go co najmniej przez sześć miesięcy. Co to może znaczyć w przeddzień tak ważnych wyborów? Jak nieobecność może mu pomóc? Wielu krytykuje jego wyjazd jako dowód arogancji i zdystansowania. Mnie z trudem przychodzi ferowanie podobnych wyroków, ponieważ podejrzewam, że został wysłany w tę podróż przez Unię.

Podejrzanie to zostało potwierdzone w następnym liście od Henry'ego.

Abrahamie,

nasz przyjaciel S. został wysłany z misją zdobycia poparcia dla naszej sprawy na najbliższe miesiące i lata. Prosimy cię zatem, byś włożył całe swe serce w ten największy z politycznych plebiscytów. H.

Pod nieobecność Sewarda sojusznicy Abe'a pracowali nad zdobyciem poparcia dla jego kampanii prezydenckiej, podczas gdy on sam usiłował zwiększyć ogólnokrajową rozpoznawalność swojego nazwiska. Wieczorem 27 lutego 1860 roku w nowojorskim Instytucie Coopera wygłosił mowę, którą wielu historyków do dziś uważa za najlepsze przemówienie polityczne w dziejach. Słuchało go ponad tysiąc osób.

– Nie pozwólmy, by szkalowały nas fałszywe oskarżenia naszych przeciwników – krzyczał Abe. – Nie bójmy się gróźb destrukcji dla rządu i kajdan dla nas samych. Miejmy pewność, że prawda daje siłę, i w takiej wierze do samego końca czynmy naszą powinność, tak jak ją rozumiemy.

Pełny tekst wystąpienia opublikowały nazajutrz wszystkie nowojorskie gazety, a przez parę tygodni ulotki z jego treścią krążyły po całej Północy. Abe zyskiwał renomę intelektualnego przywódcy Partii Republikańskiej i jej najzdolniejszego mówcy.

Tymczasem Partia Demokratyczna się podzieliła.

Demokraci z Północy nominowali do walki o Biały Dom dawnego rywala Abe'a, Stephen'a Douglasa, podczas gdy południowcy postawili na urzędującego prezydenta, Johna C. Breckenridge'a. Rozłam nie był przypadkowy, lecz stanowił rezultat kilkudziesięcioletnich starań Unii. Od początku dziewiętnastego wieku Henry i jego sojusznicy działali na rzecz osłabienia swoich wrogów. Przewozili niewolników na Północ koleją podziemną, wysyłali szpiegów na Południe, a w ostatnim czasie przeciwdziałali inicjatywom secesjonistów w Zgromadzeniach Stanowych. Ale największy sukces odnieśli 18 maja 1860 roku, w trzeciej turze głosowania podczas Krajowej

Konwencji Republikanów w Chicago.

Abe był w Springfield, gdy dowiedział się, że to on, a nie Seward, wystartuje w wyborach prezydenckich.

Trudno jest mi zrozumieć, że spotkał mnie taki zaszczyt, a jednocześnie (i nie ma szans na powiedzenie tego skromnie, więc nawet nie będę próbował) nie jestem zaskoczony. Nadchodzi wojna. Nie będzie to wojna między ludźmi, ale ludzie przeleją w niej krew, gdyż dotyczyć ona będzie ich prawa do wolności. I ze wszystkich ludzi to ja muszę ją wygrać.

III

W 1860 roku kandydaci na prezydenta nie prowadzili swoich kampanii. Przemówienia i uściski dłoni zostawiano na ogół politycznym sojusznikom i podwładnym, natomiast ubiegający się o urząd pozostawali w cieniu, pisząc listy i pozdrawiając sympatyków. Abe nie widział powodu, by wyłamywać się z tej tradycji. Podczas gdy jego zwolennicy (w tym Seward, który pomimo utraty nominacji udzielił Lincolnowi pełnego poparcia) niestrudzenie przemierzali kraj w jego imieniu, on pozostał z rodziną w Springfield. We wpisie datowanym na 16 kwietnia czytamy:

Każdego ranka, idąc do biura, pozdrawiam znajomych po drodze i dziękuję obcym za życzenia. Po pracy dokazuję trochę w domu z maluchami, po czym kładę ich do łóżka i, jeśli pogoda temu sprzyja, wychodzę na spacer z Mary. Życie

toczy się jak dawniej, z trzema wyjątkami. Są nimi trzy wampiry, które nas teraz chronią.

Ci, którzy napadli na Abe'a w Nowym Jorku, otrzymali od Henry'ego nowe zadanie. Objęli funkcję osobistych strażników Lincolna, po złożeniu przysięgi, że będą go bronić za wszelką cenę.



RYS. 29 – MĘŻCZYZNA I KOBIETA (PRAWDOPODOBNIENIE WAMPIRY) STOJĄ PRZED SIEDZIBĄ FIRMY HANDLUJĄCEJ NIEWOLNIKAMI W ATLANTCIE, TUŻ PRZED WOJNĄ SECESYJNĄ.

Podejrzewam, że nie cieszą się z nowego zadania, choć trudno to stwierdzić, gdyż rzadko się odzywają. Kilkakrotnie zwracałem się do nich słowami „moja trójca grzeszna”, ale jak dotąd nie udało mi się wywołać u nich choć cienia uśmiechu. Są śmiertelnie poważni, co pewnie pasuje do misji utrzymania mnie przy życiu.

Mary i dzieciom powiedziałem, że to „wolontariusze ze sztabu wyborczego”, którzy mają chronić mnie przed „zbyt

zagorzałymi zwolennikami”.

Było to wiarygodne wyjaśnienie, jako że Abe zyskał dużą popularność, a dom Lincolnów gościł wielu sympatyków i poszukiwaczy przysług. Ale ochroniarze-wampiry były tylko jedną ze spraw, jakie Prawdomówny Abe trzymał tego lata w tajemnicy przed żoną i wielbiącymi go wyborcami.

Usunął też rdzę z topora.

I pierwszy raz jego celem miał być żywy człowiek.

Abrahamie,

muszę cię prosić o wykonanie jeszcze jednego zadania. Ten należy do was, ale chroniony jest nieustannie przez dwóch z nas. Bądź bardzo ostrożny.

Abe niemal jęknął, kiedy ujrzał nazwisko na dole listu.

Jefferson Davis.

Nie było w Ameryce znamienitszego polityka Południa. Davis ukończył West Point, walczył mężnie w wojnie amerykańsko-meksykańskiej, był gubernatorem Missisipi, służył w administracji Franklina Pierce’a i dwukrotnie zasiadał w senacie. Był zdeklarowanym zwolennikiem niewolnictwa i, jako były Sekretarz Wojny, idealnym kandydatem na przywódcę Południa w starciu z lepiej uzbrojonym i liczniejszym wojskiem Północy.

Tym razem Abe odmówił.

Henry,

jestem starym człowiekiem z trzema synami i żoną, która wyplakała już zbyt wiele łez nad grobami bliskich. Nie sprawię jej dodatkowego bólu, dając się zabić. Z pewnością są setki lub tysiące wampirów, które nadają się do tej misji lepiej ode mnie. Dlaczego werbujesz mnie, człowieka mającego swoje najlepsze lata daleko za sobą?

Wyślij kogoś innego.

Abraham

Odpowiedź Henry'ego nadeszła ekspresem, ledwie cztery dni po tym, jak Abe wysłał swoją odmowę do Nowego Jorku.

Abrahamie,

trudno jest znać przyszłość. Widzimy ją jak odbicie w pomarszczonej wodzie – zniekształconą i ruchomą. Są jednak chwile, gdy fale cichną i odbicie staje się wyraźne. Unia dostrzegła jedną z takich chwil twojej przyszłości tamtego wieczoru w Nowym Jorku. W twoim przeznaczeniu zapisane jest, iż pokonasz Davisa. Tylko ty. Nie wierzę, że zginiesz podczas tej misji. Czuję to całym sobą. W przeciwnym razie nie posyłałbym ciebie. To musisz być ty, Abrahamie. Błagam, rozważ to jeszcze raz.

Zawsze twój, H.

Abe miał pięćdziesiąt dwa lata. I choć zdołał utrzymać niesamowitą sprawność jak na swój wiek, daleko mu było do młodego myśliwego,

który potrafił rozplatać pień rzutem topora z pięćdziesięciu metrów. Potrzebował wsparcia.

Od razu wysłałem Speedowi wiadomość, by przybył do Springfield. Po długim namyśle wtajemniczyłem też Lamona. Z początku, gdy opowiedziałem mu o wampirach i ich złowrogich planach wobec ludzkości, uznał mnie za „wariata lub przekłętego, załganego durnia”. Nieomal stracił nad sobą panowanie, ale udało mi się przekonać jednego z trójcy, by potwierdził moje słowa, co zresztą uczynił w dramatycznym stylu. Niewielu ludziom mogę zaufać w tej wojnie, ale choć Lamon i ja różnimy się w wielu poglądach (nie tylko w kwestii niewolnictwa), to przez lata udowodnił, że jest lojalnym druhem. Ponieważ zabrakło Jacka, zwerbowanie człowieka o jego posturze było mądrym posunięciem. Tym bardziej że Speed jest drobny, a ja mam już swoje lata.

Mój Boże, czuję się jak [król] Henryk pod Harfleur⁴⁴.

W lipcu trzech myśliwi wyruszyli do hrabstwa Bolivar w stanie Missisipi, gdzie Jefferson Davis miał przechodzić rekonwalescencję po operacji oka. W bagażu wieźli ukryty arsenał, na który składały się rewolwery, noże, kusze i topór Abe'a, świeżo naostrzony i na powrót lśniący. Kandydat Lincoln spędził wiele dni na potajemnym ciosaniu nowych kołków i modelowaniu pancerza pod płaszcz. Chadzał do lasu z toporem i ćwiczył rzucanie w pnie drzew, najpierw z dziesięciu, potem z dwudziestu metrów. Odgrzebał nawet przepis na męczennika i przygotował nową partię.

Udało mi się nakłonić trójkę, by została w domu i zaopiekowała się moją rodziną. Powiedziałem im, że wyruszam z łatwą misją. Naszym celem był w końcu zwykły człowiek, w dodatku kaleki i półślepy po operacji. Byłem przekonany, że ze Speedem i Lamonem bez trudu pokonamy Davisa i strzegące go wampiry.

Łowcy przywiązali swoje konie na skraju posiadłości Davisa tuż po pierwszej po południu, w poniedziałek 30 lipca. Zachowali bezpieczną odległość od głównego domu, leżąc przez pół godziny w pobliskim lesie, szeptem wymieniając się uwagami i czekając w słabym świetle skrytego za chmurami księżyca.

Przed wyjazdem ze Springfield Abe otrzymał drugi list od Henry'ego, zawierający nowe informacje. Szpiedzy Unii dowiedzieli się, że Davis leży w sypialni po zachodniej stronie na pierwszym piętrze. Aby zapewnić mu spokojną rekonwalescencję, jego żona Varina zajęła sąsiedni pokój, gdzie spała z ich dwoma synami w wieku niemowlęcym i pięcioletnią córką. Nocą dwaj strażnicy Davisa patrolowali teren, trzeci zostawał w domu.

Wydało mi się dziwne, że nie zauważyliśmy żadnych śladów patrolu ani świateł w żadnym z okien. Jednak instrukcje Henry'ego były dokładne i przebyliśmy długą drogę, więc o odwrocie nie było mowy. Gdy uznaliśmy, że nie ma co dłużej czekać, naszykowaliśmy broń i doczołgaliśmy się do polany otaczającej jednopiętrowy budynek. Był biały lub żółty (trudno się zorientować po ciemku), z podwyższonymi werandą i parterem, jako że Missisipi często tu wylewała.

Spodziewałem się, że przed drzwiami stać już będzie wampir, od dłuższego czasu zaalarmowany odległym rżeniem naszych koni i zapachem męczenników w moich kieszeniach. Tymczasem przed domem panował spokój. Gdy wchodziliśmy po schodkach werandy, dopadło mnie zwątpienie. Czy nadal miałem dość siły, by pokonać wampira w walce? Czy przygotowałem Lamona do pojedynku z przeciwnikiem tak szybkim i silnym? Czy Speed wciąż nadawał się do naszej misji? Topór ciążył mi w dłoni bardziej niż przed laty.

Abe powoli pchnął drzwi wejściowe, a Lamon wycelował z rewolweru, pewny, że ze środka wyskoczy zaraz wampir.

Nic takiego się nie stało.

Weszliśmy do środka – ja z uniesionym toporem, Speed ze strzelbą kaliber .44, a Lamon z dwoma rewolwerami. Przeszukaliśmy pogrążony w ciemnościach i prawie nieumeblowany parter, a każdemu naszemu krokowi wtórowały skrzypiące deski parkietu. Jeśli faktycznie Davisa chronił na górze wampir, to z pewnością wiedział już o naszej obecności. Nie znalazłszy na dole ani śladu życia (lub śmierci), wróciliśmy na przód domu, gdzie wcześniej widzieliśmy wąskie schody.

Abe wchodził na górę jako pierwszy. Były tam wampiry, czuł to.

Wchodząc po schodach, widziałem oczyma wyobraźni, co się zaraz wydarzy. Gdy dojdziemy na górę, jeden z wampirów

wyskoczy z ukrycia i zaatakuj mnie z prawej strony. Odwróć się ku niemu i wbiję mu topór w klatkę piersiową, ale przy tym odchyłę się w tył i obydwaj spadniemy ze schodów. Kiedy będziemy się siłować, drugi wampir zaatakuj Speeda i Lamona. Lamon wpadnie w panikę (to jego pierwsza konfrontacja z wampirami) i opróżni na oślep obydwie magazynki, chybiając celu. Wówczas unieszkodliwienie kreatury spadnie na Speeda, który wywiąże się ze swojego zadania, strzelając wampirowi prosto w serce i głowę. Huk wystrzałów obudzi panią Davis i jej dzieci; wybiegną na korytarz dokładnie w chwili, gdy ja wyciągnę topór z piersi mojego wampira i odrąbię mu głowę. Ich krzyki sprawią, że niedołężny, półślepy Jefferson Davis wybiegnie z sypialni, a wtedy Speed i Lamon go zastrzelą. Składając na ręce jego rodziny szczere wyrazy ubolewania, wybiegniemy z domu i znikniemy w ciemnościach.

Jednak po dotarciu na piętro Abe nie znalazł nikogo. Wszystkie drzwi były otwarte, każdy pokój pusty.

Czyżbyśmy przeszukiwali niewłaściwy dom? Czyżby Davis nagle wstał z łóżka i wyjechał do Waszyngtonu? Nie, nie. Instrukcje Henry'ego były drobiazgowo. To ten dom. Przybyliśmy o ustalonej porze i właśnie teraz mieliśmy zaatakować. Nic się nie zgadzało.

Są tu wampiry. Czuję to.

Nagle odkryłem prawdę. Och, jak mogłem zignorować własny instynkt! Jak mogłem w ogóle tu przyjechać? Przeklęty Henry i jego pomarszczona woda. Jak mogłem postąpić tak lekkomyślnie! Jak mogłem rzucić na szalę swoje życie, mając w domu trzech synów i żonę, która już i tak tyle wycierpiała? Nie, nie mogłem tam umrzeć.

– Wychodzimy – szepnął Abe. – Natychmiast wychodzimy. I szukajcie broń. Zostaliśmy zdradzeni.

Ruszyliśmy w stronę drzwi, ale gdy do nich dotarliśmy, okazało się, że są zamknięte od zewnątrz. Nagle otoczył nas dźwięk uderzeń drewna o drewno i zobaczyliśmy zatrzaskiwane okiennice. Usłyszeliśmy chór młotków wbijających gwoździe. „Na górę!”, zawołałem. Ale tam też okiennice zostały zamknięte i zabite.

– Uwięzili nas – powiedział Lamon.

– Prawda – odparł Speed. – Ale przyznam, że wolę być tutaj z wami niż na zewnątrz z nimi.

Abe milczał. Wiedział, że niedługo poczują zapach dymu i ciepło ognia żrącego ściany i podłogę. Jakby odpowiadając na jego myśli, Lamon zawołał:

– Spójrzcie!

Pokazał na drgające, pomarańczowe światło widoczne przez szparę pod drzwiami wejściowymi.

Nie mieli wyboru.

Jakikolwiek koszmar czekał na nich na dworze, nie byłby gorszy

od pewnej śmierci w płomieniach. Ogień przebłyskiwał ze wszystkich stron między deskami okiennic.

Miałem pewien pomysł: gdy sforsujemy drzwi, staniemy ramię w ramię i ruszymy przed siebie, aż dotrzemy do linii drzew. Ja pójdę środkiem i toporem będę ciął wszystko, co stanie nam na drodze. Speed i Lamon po mojej lewej i prawej będą strzelać do wroga nadchodzącego z boków. Plan miał niemal zerowe szanse powodzenia (sądząc po tempie, w jakim zostały zamknięte okiennice, otaczał nas co najmniej tuzin mężczyzn, wampirów lub grupa złożona z jednych i drugich), ale inny nie przyszedł mi do głowy. Uniosłem topór i odzyskałem równowagę. „Panowie”, powiedziałem.

Jedno uderzenie toporem wystarczyło, by obalić drzwi i posłać na zewnątrz chmurę dymu z popiołem.

Momentalnie buchnęło gorąco. Początkowo zrobiliśmy krok wstecz. Ogień parzył nam skórę i o mało nie spalił naszych ubrań. Gdy mój wzrok przyzwyczaił się do płomieni na werandzie, teraz już całej w ogniu, zauważyłem, że przewrócone drzwi utworzyły wąski pasaż. Wziąłem powietrze w płuca i ruszyłem jako pierwszy, biegnąc przez drzwi, po schodach werandy i na trawnik przed domem. Gdy tylko moje nogi dotknęły ziemi, zdałem sobie sprawę z tego, jak opłakana jest nasza sytuacja. W świetle płonącego budynku dostrzegłem co najmniej dwadzieścia sylwetek. Jedni celowali ze strzelb, niektórzy mieli ciemne okulary osłaniające oczy przed

blaskiem ognia. Żywi ludzie i wampiry, wspólnie odcinali nam drogę ucieczki. Jeden z tych pierwszych, starszy mężczyzna, wystąpił naprzód i stanął ledwie trzy metry ode mnie.

– Pan Lincoln, jak mniemam – powiedział.

– Pan Davis – odparł Abe.

– Będę zobowiązany, jeśli pańscy towarzysze odłożą swoje żelastwo. Nie chciałbym, by jeden z moich ludzi się wystraszył i zrobił z waszej trójki sito.

Abe skinął na Speeda i Lamona. Odrzucili broń.

– Ten duży ukrywa jeszcze rewolwer – odezwał się jeden z wampirów stojących za Davisem. – Właśnie myśli o tym, żeby po niego sięgnąć.

– No to jeśli to zrobi – odparł mu Davis – proponuję go zastrzelić. – Zwracając się ponownie do Abe’a, dodał: – I jeszcze pański topór.

– Jeśli pan pozwoli, panie Davis – powiedział Lincoln – spodziewam się żyć jeszcze tylko parę chwil i bardzo bym chciał umrzeć w ręku z toporem, który jako mały chłopiec dostałem od ojca. Gdybym uniósł go w gniewie, któryś z pańskich ludzi z pewnością zdąży mnie zastrzelić.

Davis się uśmiechnął.

– Lubię pana, Lincoln. Naprawdę. Syn Kentucky, jak ja. Self-made man. Jeden z lepszych mówców, jaki żył. I jakże oddany sprawie! Przebyć taką drogę tylko po to, żeby zabić człowieka i zostawić rodzinę bez opieki. Nie, sir, niech nikt nie wątpi w siłę pańskich przekonań. Mógłbym wychwalać pańskie cnoty do rana, ale niektórzy z moich współtowarzyszy są nieco wrażliwi na promienie słoneczne, więc obawiam się, że nie mamy tyle czasu.

Niech mi pan powie – ciągnął Davis. – Przy tak licznych zaletach i sławnym umyśle, jak to się stało, że znalazł się pan po niewłaściwej stronie tego sporu?

– Ja? – zapytał Abe. – Musiałem się przesłyszeć, sir, gdyż spośród nas dwóch tylko jeden kolaboruje przeciwko własnemu gatunkowi.

– Panie Lincoln, wampiry są istotami wyższymi niż ludzie, tak jak ludzie przewyższają czarnych. Taki jest naturalny porządek rzeczy. Z pewnością zgodzi się pan ze mną w tej jednej kwestii?

– Zgadzam się, że niektóre wampiry są lepsze od niektórych ludzi.

– Czyż zatem popełniam błąd, rozpoznając nieuchronność ich władzy nad nami? Czyż mylę się, jeśli staję w nadchodzącej wojnie po stronie silniejszych? Nie jest mi miła myśl o białych ludziach zamkniętych w klatkach, lecz jeśli tak się musi stać, jeśli wampiry mają objąć nad nami władzę, działajmy wraz z nimi, póki mamy jeszcze czas. Ustalmy zasady: ograniczyć niewolę do czarnych i niepożądanych z naszej własnej rasy.

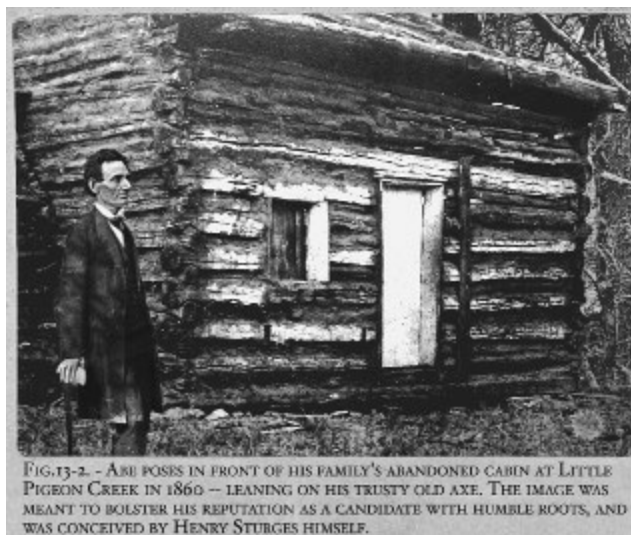


FIG.13-2. - ABE POSES IN FRONT OF HIS FAMILY'S ABANDONED CABIN AT LITTLE PIGEON CREEK IN 1860 -- LEANING ON HIS TRUSTY OLD AXE. THE IMAGE WAS MEANT TO BOLSTER HIS REPUTATION AS A CANDIDATE WITH HUMBLE ROOTS, AND WAS CONCEIVED BY HENRY STURGES HIMSELF.

RYS. 13-2. – ABE POZUJE PRZED PORZUCONĄ RODZINNĄ CHATĄ W LITTLE PIGEON CREEK W 1860

R., OPARTY O SWÓJ STARY TOPÓR. OBRAZ TEN MIAŁ ZBUDOWAĆ JEGO REPUTACJĘ JAKO CZŁOWIEKA Z NIZIN I ZOSTAŁ STWORZONY PRZEZ SAMEGO HENRY'EGO STURGESA.

– A cóż będzie – odparł Abe – gdy krew czarnych przestanie wystarczać, gdy wyczerpie się źródło „niepożądanych”? Niech mi pan powie, panie Davis. Kim wówczas będą się karmić nasi królowie?

Davis nie odpowiedział.

– Ameryka – ciągnął Abe – wyrosła na krwi tych, którzy oparli się tyranii. Pan i pańscy sojusznicy pragniecie dostarczyć ją w ręce nowych tyranów.

– Ameryka jest w tamtą stronę, panie Lincoln – zaśmiał się Davis i pokazał na północ. – Teraz jesteśmy w Missisipi. – Zrobił krok do przodu i zbliżył się do miejsca, w którym mógłby go dosięgnąć topór Lincolna. – Mówmy wprost, sir. Obydwaj jesteśmy na usługach wampirów. Ale gdy walki dobiegną końca, ja będę w spokoju i bogactwie dożywał resztek moich dni, a pan będziesz martwy. Ot co.

Davis odczekał chwilę, lekko się uklonił i wycofał. Trzej żywi mężczyźni wyszli przed szereg, każdy ze strzelbą wymierzoną w naszą stronę, i czekali na rozkaz Davisa.

– Do cholery, Abe – odezwał się Lamon. – Będziemy tak po prostu stali?

– Mam przy sobie zegarek – zawołał Speed do strzelców. – Należał do mojego dziadka. Proszę tylko, by ktoś dostarczył go mojej żonie w Louisville.

Oto ostatnie sekundy mojego życia.

– Jeśli mam umrzeć – powiedział Lamon – to umrę z pistoletem w dłoni.

Po tych słowach sięgnął za pazuchę płaszcz.

– Chłopcy – Abe zwrócił się do swoich kompanów. – Przepraszam, że was w to wcią...

Huk wystrzałów wypełnił noc, nim Lincoln dokończył zdanie.

W tej jednej chwili zobaczyłem twarze wszystkich bliskich, którzy odeszli ze świata: swojego kochanego synka; krzepkiego Armstronga i umiłowanej Ann. Ujrzałem siostrę i matkę, mojego anioła. Ale gdy chwila ta minęła i otworzyłem oczy, zobaczyłem, że nasi kaci stoją wciąż w blasku ognia i z twarzami zastygłymi w szoku. Speed i Lamon stali po moich bokach.

My żyliśmy, ale trzech strzelcy nie mieli takiego szczęścia. W tym samym momencie upadli na ziemię, z czaszkami przestrzelonymi na wylot.

To był cud.

Tym cudem był Henry Sturges.

Wyskoczył z ciemności z jedenastoma wampirami Unii. Niektóre były uzbrojone w sztucery, inne miały rewolwery, z których strzelały w biegu. Wampiry z Południa stojące najbliżej Davisa błyskawicznie go odeskortowały, podczas gdy reszta szykowała się, by odeprzeć atak. Jednak jeden z nich pamiętał, że nasza egzekucja nie została dokończona. Skoczył w moją stronę z odległości dwudziestu metrów, z wyciągniętymi pazurami i kłami, łypiąc czarnymi oczami zza ciemnych okularów. Rzuciłem toporem. Ostrze znalazło cel,

ale ponieważ nie jestem już tak silny jak dawniej, wbiło się zaledwie na parę centymetrów. Wampir odskoczył na chwilę i spojrzał na ciemne wstążki ciekące z rany w brzuchu. Nie przejął się nimi zbyt. Podniósł z ziemi mój topór i znów ruszył na mnie. Włożyłem rękę do kieszeni płaszcza, szukając noża, którego nie było tam od dwudziestu lat. Gdy potwór był już metr ode mnie, Lamon wycelował przez moje ramię i wystrzelił, na zawsze pozbawiając mnie słuchu w lewym uchu, lecz jednocześnie unieszkodliwiając wampira, któremu kula przebiła twarz.

Gdy dym z rewolweru Lamona gęstniał dookoła jego głowy, Abe zdał sobie nagle sprawę z ostrego bólu w podbródku.

Dotknąłem go dłonią. [Wampir] zdołał podejść na tyle blisko, że skaleczył mnie ostrzem topora. Krew skapywała mi na koszulę, podczas gdy wokół nas wampiry walczyły między sobą w świetle płonącego domu, pokonując pojedynczymi susami niewiarygodne odległości i wpadając na siebie z taką siłą, że ziemia drżała nam pod nogami.

Pierwszy raz miałem okazję zobaczyć Henry'ego w walce. Widziałem, jak taranuje głową wampira z Południa i wbija go w drzewo, którego pień w efekcie rozdzielił się na pół. Jednak na przeciwniku Henry'ego nie zrobiło to większego wrażenia. Odepchnął się od konaru i zaczął wymachiwać dziko rękoma, jakby w każdej trzymał szablę. Henry odpierał wszystkie ciosy, aż w końcu, jako że był lepszym szermierzem, dostrzegł okazję i przebił rywala na wysokości brzucha pięcioma

wyprostowanymi palcami, które wyszły z drugiej strony, po drodze łamiąc kręgosłup. Henry wyciągnął rękę i pozwolił przeciwnikowi upaść na ziemię. W końcu wykręcił mu głowę i oderwał ją od korpusu.

Żywi mężczyźni, którzy mieli pecha i znaleźli się w środku tej bitwy, zostali rozszarpani przez zbłąkane szpony lub zmiżdżeni przez ciała kotłujących się wokół nich wampirów. Widząc, że ustępują liczebnie napastnikom, pozostałe wampiry z Południa błyskawicznie się wycofały. Kilka wampirów Unii puściło się za nimi w pościg, a reszta, w tym Henry, pospieszyli w naszym kierunku.

– Abrahamie – powiedział Sturges. – Cieszę się, że widzę cię żywym, przyjacielu.

– A ja ciebie martwym.

Henry się uśmiechnął. Oderwał rękaw swojej koszuli i przystawił do podbródka Abe'a, by zatamować krwotok. Jego kompani zajęli się Speedem i Lamonem, którzy byli wstrząśnięci, ale w gruncie rzeczy nie poszkodowani.

Unia otrzymała od zdradzieckiego szpiega fałszywe informacje, które miały mnie wystawić na śmierć. Henry i jego przyjaciele dowiedzieli się o zdradzie już po tym, jak wyruszyliśmy ze Springfield. Ponieważ nie mógł się z nami skontaktować (jako że podróżowaliśmy pod przybranymi nazwiskami), jechał dwie doby, by nas ostrzec; wcześniej wysłał rozkaz do trójcy, by umieścili Mary i chłopców w kryjówce.

– Na pewno są bezpieczni? – spytał Abe.

– Na pewno pozostają w ukryciu i pod ochroną moich trzech najprzebieglejszych i najbardziej bezwzględnych sojuszników – odparł Henry.

Ta informacja zadowalała Abe'a, bo wiedział, że trójca podchodzi serio do swojej pracy.

– Henry – odezwał się po długim milczeniu. – Byłem pewien, że za chwilę...

– Mówiłem ci, Abrahamie. Twój czas nie nadszedł.

Była to ostatnia wyprawa łowiecka Abe'a.

Szóstego listopada 1860 roku Abe siedział w zatłoczonym biurze telegrafu w Springfield.

W miarę jak zbliżał się dzień wyborów, fala sympatyków i interesantów urosła do nieprawdopodobnych rozmiarów. Gdy wreszcie nadszedł szósty listopada, powiedziałem, że dopóki nie zostanie oddany ostatni głos, nie zamierzam się z nikim widzieć. Moim jedynym towarzyszem miał być młody telegrafista. Wiedziałem, że jeśli wynik okaże się po myśli mojej i moich zwolenników, w najbliższym czasie nie zaznam wielu spokojnych dni.

Pierwszy raz w życiu Abe zapuścił brodę, by zakryć bliznę na podbródku⁴⁵. Nadała ona jego twarzy pełniejszy, zdrowszy wyraz.

– Wyglądasz poważniej – oceniła Mary. – Twarz odpowiednia dla następnego prezydenta.

Początkowo Mary była przeciwna mojemu startowi w wyborach, jako że nie wspominała dobrze naszego pierwszego pobytu w Waszyngtonie i w pełni zdawała sobie sprawę, jak wielkich poświęceń wymagać ode mnie będzie nowa funkcja. Jednak gdy moja kampania zaczęła przynosić rezultaty, jej stanowisko ulegało stopniowej zmianie. Podejrzewam, że lubiła przyjmować moich sympatyków, którzy przychodzili do naszego domu niemal o każdej porze dnia. Cieszyły ją zaproszenia na kolacje od zamożnych par oraz wystawne przyjęcia organizowane na moją cześć. Zapewne zaczęła dostrzegać liczne korzyści towarzyskie płynące z bycia żoną prezydenta Stanów Zjednoczonych.

W miarę jak w ów wtorkowy wieczór wyniki sływały telegrafem, stawało się coraz bardziej jasne, że funkcja ta przypadnie właśnie Abe'owi.

Przyznam, że nie byłem zaskoczony, gdyż spodziewałem się, że Unia zapewni mi zwycięstwo – zasłużenie czy nie⁴⁶. Nie czułem więc tego zaszczytu, który towarzyszył mi, gdy moi towarzysze broni wybrali mnie na kapitana. Ciężar nowego tytułu był ogromny. Wyzwania i porażki stojące przede mną – nieznane i niezliczone.

Tego ranka, na długo zanim został policzony choćby jeden głos, dotarł do Abe'a telegram od Henry'ego.

GRATULACJE PANIE PREZYDENCIE NA ZAWSZE TWÓJ H.

IV

Podróż prezydenta elekta Abrahama Lincolna do Białego Domu rozpoczęła się w Springfield, 11 lutego 1861 roku. Prywatny pociąg miał przewieźć Abe'a, jego rodzinę, bliskich współpracowników i osobistą ochronę do Waszyngtonu.

Nie była to łatwa zmiana.

Nieco ponad miesiąc po wyborach Zgromadzenie Stanowe Karoliny Południowej przegłosowało oderwanie się od Unii. Kolejne południowe stany szły w jej ślad – do dnia inauguracji Lincolna w sumie siedem: Luizjana, Missisipi, Alabama, Floryda, Georgia, Karolina Południowa i Teksas. Abe mógł tylko stać i patrzeć, jak prezydent Buchanan odpowiada na kryzys bezczynnością.

[Buchanan] dalej siedzi z założonymi rękami, podczas gdy kraj rozpada się na kawałki. Okręty naszej marynarki wojennej i forty każdego dnia poddają się Południowi i na naszych oczach Unia przestaje istnieć. Jego słabość jest niebywała. Wydaje się jasne, że postanowił nie reagować na kryzys i przeczekać do końca kadencji. Ja natomiast zamierzam wygonić go z Białego Domu.

Trzy dni przed odjazdem Abe'a do Waszyngtonu samozwańczy „Przywódcy Ludzi Południa” spotkali się w Montgomery, w stanie Alabama, by przyjąć konstytucję i ogłosić powstanie Skonfederowanych Stanów Ameryki.

Na swojego prezydenta wybrali Jeffersona Davisa.

Trójca Abe'a patrolowała pociąg dzień i noc. Oficjalnie jej członkowie byli prywatnymi detektywami, którzy zgłosili się na ochotnika, by chronić nowego prezydenta. W ekipie ochroniarzy byli też dwaj ludzie. Detektyw Allan Pinkerton i stary przyjaciel Lincolna, Ward Hill Lamon. Ten drugi zgłosił się do służby kierowany wyłącznie troską o bezpieczeństwo Abe'a. Był jedną z nielicznych osób w otoczeniu prezydenta, która zdawała sobie w pełni sprawę ze skali zagrożenia. W ciągu następnych kilku lat członkowie administracji Białego Domu przywykli do widoku Lamona patrolującego teren w nocy lub śpiącego przed drzwiami prezydenckiej sypialni. Umiał posługiwać się pistoletem, był duży, twardy i bezwzględnie lojalny. Jego pomoc bardzo się przydawała.

Po drodze do Waszyngtonu pociąg Abe'a miał się zatrzymać w co najmniej dziesięciu dużych miastach. Na każdym przystanku tysiące (jeśli nie dziesiątki tysięcy) miejscowych przybywało w nadziei na zobaczenie nowego prezydenta na własne oczy. Abe czasem wygłaszał improwizowane przemówienie, stojąc na platformie ostatniego wagonu, często w odległości kilku centymetrów od słuchającego go tłumu. Następnie jechał dyliżansem z dworca na umówione spotkanie z miejscowymi politykami. Dla członków ochrony był to prawdziwy koszmar.

To dosyć przytłaczający okres, ale chłopcy są w dobrych nastrojach. Biegają po wagonach, patrzą na widoki za oknami. Bob mówi, że to „takie niesamowite”, a Willie i Ted zdają się

zupełnie pogodzeni z tłumami i obecnością tylu nowych twarzy. Mary również dobrze to wszystko znosi, choć głowa sprawiała jej podczas tej podróży wyjątkowe kłopoty⁴⁷.

Jednak pomimo ogólnej ekscytacji w pociągu panowało wyczuwalne napięcie. Wszyscy mieli tego świadomość, ale nikt otwarcie o nim nie mówił.

Są tacy, co przysięgli, że nigdy nie dożyją dnia, gdy moje oczy ujrzą Biały Dom. Takie pogłoski budzą niepokój moich opiekunów. Ale ja mogę powiedzieć bez obłudy, że na mnie nie robią najmniejszego wrażenia, albowiem od dziecka żyję za pan brat ze swoją śmiercią, którą traktuję jako starego kompana. Mary oczywiście odchodziła od zmysłów (choć, z drugiej strony, Mary bardzo często odchodzi od zmysłów). Tak długo, jak chłopcy o niczym się nie dowiedzą, ja będę zadowolony.

Przez następnych dziesięć dni podróż przebiegała bez incydentów, a zahaczyli o Indianę, Ohio, Nowy Jork, New Jersey i Pensylwanię. Stawało się jasne, że plotki o zamachu są tylko plotkami. Ale 22 lutego w Filadelfii pilną wizytę złożył Abe'owi syn Williama Sewarda, Frederick. Miał ze sobą zapieczętowany list.

Drogi Prezydencie Elekcje,
nasz wspólny znajomy poinformował mnie, iż w Baltimore został zawiązany spisek. Czterej mężczyźni zaatakują Pana nożami i pistoletami, gdy będzie się Pan przesiadał na stacji

Calvert Street. Człowiek ten uznał, że powinien Pan o tym wiedzieć, by przedsięwziąć konieczne środki bezpieczeństwa.

Z poważaniem,
William Seward

Postanowiono, że Abe (w asyście Pinkertona i Lamona) włoży kapelusz i płaszcz, by ukryć swoją tożsamość przed innymi pasażerami, i pojedzie osobnym pociągiem przez Baltimore bezpośrednio do Waszyngtonu. Pinkerton i Lamon mieli być uzbrojeni, Abe nie.

Pamiętam, że stało się to powodem burzliwej kłótni. Lamon (który wiedział, że potrafię obchodzić się z bronią) nalegał, by i mnie dać rewolwer, ale Pinkerton się nie zgodził. „Nie pozwolę, by mówiono, że przyszły prezydent wjechał do Waszyngtonu uzbrojony!”. Obaj o mały włos nie rzucili się sobie do gardeł, więc zaproponowałem kompromis: Lamon będzie miał dwa rewolwery i poda mi jeden z nich, jeśli znajdziemy się pod ostrzałem. Propozycja została przyjęta i wyruszyliśmy w drogę.

Ale plan uległ zmianie, gdy Pinkerton zauważył, że nie ma z nimi trójcy.

Najzwyczajniej zniknęli gdzieś między Filadelfią a Harrisburgiem, bez słowa wyjaśnienia. Jako że nie zgodziłem się, by Mary i chłopcy zostali bez ochrony, uzgodniliśmy, że Pinkerton pojedzie z nimi, a Lamon będzie

mi towarzyszył w osobnym pociągu. Następnie przecięliśmy kable telegrafu łączące Pensylwanię z Maryland, aby spiskowcy nie mogli przekazać informacji o naszym odjeździe z Harrisburga.

Tuż po północy 23 lutego „potajemny” pociąg Abe’a minął Baltimore w drodze do Waszyngtonu.

Przeżyliśmy chwile napięcia, przejeżdżając przez centrum miasta (miałem wtedy wrażenie, że nigdy wcześniej nie jechałem pociągiem tak wolno). Czyżby zamachowcy odkryli nasz plan i szykowali się właśnie do zaatakowania nas ogniem armatnim?

Abe martwił się niepotrzebnie. Gdy pociąg toczył się przez stację, trzech spośród jego niedoszłych zabójców już nie żyli, a czwarty umierał pod jego stopami.

Następnego ranka nieopodal stacji Calvert Street znaleziono szczątki czterech mężczyzn. W numerze „Baltimore Sun” z 23 lutego pisano:

Dwu dżentelmenom odcięto głowy. Trzeci został brutalnie pobity – do tego stopnia, iż policja jak dotąd nie zdołała ustalić jego rasy ani wieku. Czwarty, jak się zdaje, został przepołowiony kołami przejeżdżającej lokomotywy. O dziwo, świadek zajścia twierdzi, iż ofiara żyła jeszcze przez kilka minut. Kręgosłup mężczyzny został przecięty w taki sposób, że

człowiek ten nadal mógł ruszać głową i rękami. Przed śmiercią próbował jeszcze wołać o pomoc i przeciągnąć swoje ciało z dala od torów.

Choć nigdy nie poruszyli tego tematu w rozmowie, Abe nie miał wątpliwości, że za opisaną w prasie rzeź odpowiedzialni byli jego trzech opiekunowie.

V

Czwartego marca 1861 roku Abraham Lincoln – wyjątkowy chłopiec z farmy Sinking Springs, oczko w głowie swojej matki, ocalony z hiobowych prób, jeden z najznamienitszych łowców wampirów – został zaprzysiężony jako szesnasty prezydent Stanów Zjednoczonych.

Nie jesteśmy wrogami, lecz przyjaciółmi. Nie wolno nam być wrogami. Zapalczywość może naderwać łączące nas więzi uczuciowe, ale nie może ich do końca zerwać. Mistyczne więzi pamięci, sięgające wprost z pól bitewnych, z grobów poległych patriotów do każdego bijącego jeszcze serca i do każdego ogniska domowego na tej rozległej ziemi ojczystej, sprawią, że zabrzmie chóralna pieśń na cześć Unii. Niech tylko obudzą się dobre anioły, które – wierzę w to głęboko – drzemią w naturze każdego z nas.⁴⁸

Dziesiątki tysięcy ludzi zebrały się przed drewnianym podestem na schodach Kapitolu, by usłyszeć jego przemówienie. Nie wiedzieli jednak, że są świadkami największej operacji służb bezpieczeństwa w historii. Wokół miasta rozlokowano żołnierzy gotowych stłumić

wszelkie zamieszki lub odeprzeć atak. Policjanci (w mundurach i cywilu) stali pod podium, z którego przemawiał Abe, i obserwowali, czy ktoś w tłumie nie podnosi ręki z rewolwerem lub strzelbą. Blżej prezydenta elekta Ward Hill Lamon krążył po platformie z dwoma rewolwerami w kieszeniach płaszcz i długim nożem za pasem. Wampiry z trójcy stały w trzech różnych miejscach, ale przez cały czas blisko Abe'a.

Jak później się dowiedziałem, podczas mojej przemowy serca dwóch uzbrojonych mężczyzn zostały dyskretnie przebite. W przeciwieństwie do zamachowców z Baltimore ci byli wampirami.

W piątym tygodniu kadencji Abe'a narodowe „więzy uczuciowe” w końcu się przerwały.

Fort Sumter, bastion sił federalnych na wybrzeżu Charleston w Karolinie Południowej, był atakowany przez konfederatów od stycznia. Południowcy żądali, by żołnierze Unii (dowodzeni przez majora Roberta Andersona) poddali fort, ponieważ leżał w Karolinie Południowej, więc nie był własnością rządu federalnego. Abe robił, co mógł, by nie dopuścić do eskalacji konfliktu, lecz podwładnym Andersona brakowało żywności i jedynym sposobem na zaopatrzenie fortu było wysłanie na terytorium Konfederacji okrętów marynarki wojennej.

Jestem zmuszony wybrać między jednym złem a drugim. Albo pozwolę, by kilku żołnierzy umarło z głodu, albo

sprowokuję wojnę, w której bez wątpienia zginą tysiące żołnierzy. Walczę ze sobą, ale trzeciej opcji nie widzę.

Abe wysłał okręty.

Pierwszy z nich dotarł do Charleston 11 kwietnia. Nad ranem następnego dnia, przed wschodem słońca, pułkownik Konfederacji James Chestnut Jr. dał rozkaz ostrzelania fortu.

Tak padły pierwsze strzały wojny secesyjnej.

JEDENAŚCIE Ofiary

Drodzy rodacy, nie uciekniemy przed historią. My, członkowie tego Kongresu i tego rządu, zostaniemy zapamiętani nawet wbrew sobie. Żadnego z nas nie oszczędzi jego osobiste znaczenie lub jego brak. Próba ognia, przez którą wszyscy przejdziemy, będzie nas oświecać, z honorem lub potępieńczo, aż po ostatnie pokolenie.

Abraham Lincoln w liście do Kongresu, 1 grudnia 1862

I

Trzeciego czerwca 1861 roku znaleziono zwłoki Stephena A. Douglasa na schodach jego domu w Chicago.

Właśnie w tej godzinie usłyszałem straszną wiadomość. Choć nieznane są jeszcze wszystkie fakty, nie mam wątpliwości, że była to robota wampirów, i że ja ponoszę częściową odpowiedzialność za jego śmierć.

Oficjalnie podaną przyczyną śmierci był dur brzuszny, mimo iż żaden z przyjaciół Douglasa nie pamiętał, by wcześniej skarżył się on na jakieś dolegliwości. Ciało przewieziono dorożką do Szpitala Łaski

Bożej, gdzie zostało zbadane przez młodego chicagowskiego lekarza, doktora Bradleya Millinera. W raporcie z autopsji napisał on:

- Cztery małe okrągłe rany kłute na ciele zmarłego; dwie na lewym barku, bezpośrednio nad [tętnicą] pachwową, i dwie na szyi, tuż nad prawą [tętnicą] szyjną wspólną.
- Wszystkie otoczone siniakami; w każdym odległość między ranami wynosi 3,8 centymetra.
- Całe ciało zmarłego w stanie daleko posuniętego rozkładu, szaroniebieskie; twarz zapadnięta; skóra szorstka, co sugeruje, że zgon nastąpił kilka tygodni bądź miesięcy przed badaniem.
- Żołądek zawiera jasne w barwie, niepogryzione kawałki niestrawionego pożywienia, co sugeruje, że ofiara jadła niedługo przed śmiercią i że zgon nastąpił mniej niż dwadzieścia cztery godziny przed badaniem.

Oprócz tych stwierdzeń doktor Milliner napisał na marginesie jedno słowo:

„Niewiarygodne”.

Sam raport uznano za niejednoznaczny i został on utajniony przez przełożonych Millinera, którzy doszli do wniosku, że opublikowanie go w takim brzmieniu podsyciłoby tylko „atmosferę domysłów i podejrzeń” otaczającą śmierć senatora⁴⁹.

Lincoln i Douglas byli najbardziej znanymi antagonistami w Ameryce. Przez dwie dekady rywalizowali o wszystko – od miłości kobiety po najwyższy urząd w państwie. Jednak pomimo politycznych różnic

z czasem obdarzyli się szacunkiem, nawet polubili. Douglas był w końcu dla Abe'a jedną z „latarni geniuszu” w waszyngtońskiej „mgłę głupoty”. I choć Mały Olbrzym – bo tak go zwano – poświęcił całe lata wykorzystywaniu namiętności ludzi Południa, to sam w głębi serca nie był jednym z nich. Douglas gardził ideą podziału Unii i potrafił nazwać zwolenników secesji „kryminalistami”, a nawet zaapelować: „Musimy walczyć o nasz kraj i zapomnieć o dzielących nas różnicach. Istnieją tylko dwie partie. Partia patriotów i partia zdrajców. My należymy do tej pierwszej”.

Gdy Unia zaczynała pękać w szwach po jego przegranej kampanii, to on jako pierwszy wyciągnął dłoń do dawnego rywala.

Pragnie przyłączyć się do mnie w staraniach o zapobieżenie secesji. W tym celu poprosiłem go, by wyruszył z przemówieniami w podróż po stanach granicznych i północnym zachodzie (gdzie wciąż możemy wzniecić płomień jedności, który w przeciwnym razie zgaśnie). Nie przychodzi mi do głowy lepszy posłaniec ani sojusznik bardziej pasujący do kampanii na rzecz jedności. Muszę przyznać, że jego propozycja mocno mnie zaskoczyła. Możliwe, że z czasem pożałował swoich związków z wampirami z Południa i szuka jakiegoś odkupienia. Bez względu na kierujące nim powody, cieszę się z jego pomocy.

Douglas wygłosił prounijne przemówienia w trzech stanach, po czym wrócił do Waszyngtonu. Podczas inauguracji rządów Abe'a, kiedy groźba zamachu wisiała w powietrzu, stanął przed podium i zawołał:

– Ktokolwiek zaatakuje Lincolna, zaatakuje i mnie!

A 14 kwietnia 1861 roku, gdy Fort Sumter poddał się siłom Konfederacji, Douglas był jednym z pierwszych polityków, którzy pośpieszyli do Białego Domu.

Przybył dzisiaj nieumówiony i dowiedział się, że mam spotkanie z rządem i będę długo zajęty. [Mój sekretarz] John Nicolay poprosił go, by przyszedł innym razem, lecz sędzia Douglas odmówił. Gdy już zmęczyło mnie jego pokrzykiwanie wypełniające korytarz obelgami, otworzyłem drzwi gabinetu i wykrzyknąłem: „Na litość boską, wpuście go albo będę musiał toczyć dwie wojny naraz!”.

Rozmawialiśmy w cztery oczy przez godzinę. Nigdy wcześniej nie widziałem go w stanie takiej paniki. „Wmaszerują do Waszyngtonu i mnie zabiją!”, zawołał. „Wszystkich nas pozabijają! Żądam, by ujawnił mi pan plany odparcia ich ataku, sir!”. Opanowując wzburzenie, powiedziałem mu prawdę: że nazajutrz zamierzam wezwać 75 tysięcy rezerw oraz że będę tłumił tę rebelię wszystkimi dostępnymi mi środkami administracyjnymi i zbrojnymi. Jednak moje zapewnienia tylko pogłębiły jego lęk. Nalegał, bym wezwał trzykrotnie większe posiłki. „Panie prezydencie”, powiedział. „Nie zna pan tak dobrze jak ja niecnych zamiarów tych ludzi. Nie wie pan – mówię to z najgłębszym szacunkiem – kto tak naprawdę jest pańskim wrogiem”.

„Zapewniam pana, panie Douglas, że wiem to aż nadto dobrze”.

Dzięki Henry'emu Abe wiedział o związkach Douglasa z wampirami Południa już w trakcie ich walki o miejsce w senacie trzy lata wcześniej. Za to Douglas nie miał pojęcia, że tyczkowaty, siwiejący mężczyzna, z którym właśnie rozmawiał, był kiedyś najlepszym łowcą wampirów w dolinie Missisipi.

Nie potrafię opisać jego zdziwienia, gdy usłyszał z moich ust słowo „wampiry”. Teraz, gdy prawda wyszła wreszcie na jaw, mogliśmy opowiedzieć sobie nawzajem nasze historie: ja o śmierci matki i latach spędzonych na zabijaniu wampirów, a Douglas o dniu, w którym kontakt z nim, wówczas jeszcze młodym demokratą w Zgromadzeniu Stanowym Illinois, nawiązali dwaj „ziemiści” panowie z Południa. „Wtedy to po raz pierwszy dowiedziałem się o istnieniu wampirów”, powiedział. „Wtedy też odurzyły mnie ich pieniądze i wpływy”.

Douglas płacił za ich poparcie wystąpieniami przeciwko abolicjonistom w senacie. Wykorzystywał też swój dar jako mówca, by jednoczyć zwolenników niewolnictwa w całym kraju. W ostatnich latach zaczął jednak mieć zastrzeżenia do swoich wampirzych patronów.

„Czemu odrzucają kompromis z Północą?”, zapytał. „Czemu zależy im na wojnie za wszelką cenę? I dlaczego, na Boga, tak zapalczywie bronią instytucji niewolnictwa? Nie widziałem w tym żadnej logiki i nie mogłem dłużej iść drogą rozłamu”.

Stało się dla mnie jasne, że Douglas nie znał całej prawdy.

Chociaż był winny drobnej zdrady, to nie sposób było stawiać go w jednym rzędzie ze zdrajcą pokroju [Jeffersona] Davisa. Poruszony jego skruchą, postanowiłem powiedzieć mu o związku między niewolnictwem a wampirami z Południa: o ich planach zniewolenia wszystkich z wyjątkiem kilku szczęśliwców, o tym, że zamierzają trzymać nas w klatkach, skutych łańcuchami, tak jak my trzymamy czarnych. Wyjawiłem mu plan stworzenia nowej Ameryki – narodu wampirów, wolnego od opresji i ciemności, cieszącego się bogactwem żywych ludzi służących im za pokarm.

Gdy skończyłem mówić, Douglas zapłakał.

Tego wieczoru Abe usiadł u szczytu długiego stołu w swoim gabinecie, z Sekretarzem Stanu, Williamem Sewardem, po swojej lewej stronie. Dołączyła do nich reszta ministrów. Wszyscy chcieli wiedzieć, dlaczego oderwano ich od kolacji z rodziną i kazano wrócić do Białego Domu.

„Panowie”, powiedziałem. „Pragnę porozmawiać z wami o wampirach”.

Od początku kadencji Abe spotykał się z członkami rządu niemal codziennie. Omawiali każdy szczegół zbliżającej się wojny: mundury, szlaki zaopatrzeniowe, dowódców, konie, zapasy. Wszystko oprócz prawdy o tym, o co tak naprawdę miała toczyć się bitwa i z kim w rzeczywistości będą musieli walczyć.

Mimo to prosiłem moich ludzi, by zaplanowali mi wojnę! Czym to się różniło od postawienia grupy ślepców za sterami parowca?

Po rozmowie z Douglasem Abe zmienił zdanie. Kiedy tylko się rozstali, kazał Nicolayowi ponownie zwołać posiedzenie rządu.

Uznałem za konieczne, by ludzie, którzy mieli mi służyć radą w okresie niewypowiedzianych nieszczęść, wiedzieli dokładnie, przed jakim stoją wyzwaniem. Nie życzyłem sobie już żadnych olśnień, żadnych półprawd ani przemilczeń. Postanowiłem powiedzieć im całą prawdę, mając u boku Sewarda, który w razie potrzeby potwierdziłby prawdziwość moich słów. Całą prawdę o mojej historii. O moich polowaniach i o sojuszu z niewielką grupą wampirów, którzy nazywali siebie Unią. Prawdę o niewiarygodnych konsekwencjach nadchodzącej wojny.

Niektórymi wstrząsnął sam fakt rozmowy o wampirach. [Sekretarz Marynarki Wojennej Gideon] Wells i [Sekretarz Skarbu Salmon] Chase przez całe życie sądzili, że to tylko mit. Wells siedział w ponurym milczeniu. Za to Chase był oburzony. „Nie zgadzam się na głupstwa w obliczu wojny!”, zakrzyknął. „Nie chcę być odciągany od domowego posiłku tylko po to, by prezydent mógł zrobić ze mnie durnia dla swojej rozrywki!”. Seward stanął w mojej obronie i potwierdził, że każde moje słowo to prawda oraz przyznał się do udziału w jej zatajeniu przed resztą członków rządu. Chase’a to nie przekonało.

Nie tylko on miał wątpliwości. Następnym mówcą był [Sekretarz Wojny Edwin] Stanton, który od dawna uważał, że wampiry istnieją, lecz sądził, iż nigdy nie wychodzą z mroku. „Jakiż w tym sens?”, spytał. „W jakim celu Davis albo jakikolwiek inny człowiek spiskowałby przeciwko sobie? Po co ktokolwiek miałby przyspieszać własne zniewolenie?”.

„Davis myśli tylko o własnym przetrwaniu”, odparłem. „On i jego sojusznicy to jedynie ryby piloty, które czyszczą zęby rekinom, by nie zostać przez nie zjedzone. Być może obiecano im w nowej Ameryce bogactwo i władzę, wyłączenie z niewoli. Wiedźcie jednak, że żadna ze złożonych im obietnic nie zostanie dotrzymana”.

Chase nie mógł tego dłużej znieść. Wstał i wyszedł z sali. Spodziewałem się, że inni do niego dołączą. Widząc, iż nikt nie ma takiego zamiaru, mówiłem dalej.

„Nawet teraz”, powiedziałem, „jakaś część mnie nie chce w to uwierzyć i pragnie wybudzić się z tego snu, który trwa pięćdziesiąt lat. Po upływie tylu lat i pomimo wszystkich doświadczeń. Zresztą czemu nie? Uwierzyć w wampiry oznacza porzucić rozum! Pogodzić się z ciemnością, która miała już przecież nie istnieć. Nie tutaj, nie w tej wspaniałej epoce, w której nauka rozświetliła nam niemal wszystkie tajemnice. Nie, nie. Ta ciemność nadal należy do Starego Testamentu, do tragedii Szekspira. Ale nie tutaj.

Właśnie dlatego, moi panowie, wampiry się mnożą. I od stuleci usiłują nam wmówić, że wyszliśmy już z mroków niewiedzy. Śmiem twierdzić, iż jest to największe kłamstwo w dziejach”.

II

Trzy dni po upadku Fortu Sumter od Unii oddzieliła się Wirginia i stolica konfederatów została przeniesiona do jej przemysłowego serca w Richmond. W ciągu następnych kilku tygodni w ślady Wirginii poszły Arkansas, Tennessee i Karolina Północna. Konfederacja liczyła już jedenaście stanów i łącznie dziewięć milionów mieszkańców (w tym cztery miliony niewolników). Mimo to większość obywateli Północy uważała, że wojna będzie trwała krótko, a secesjoniści zostaną poskromieni z końcem lata.

Mieli powody, by czuć się pewni swego. Na Północy było w końcu dwa razy więcej ludzi niż na Południu. Unia dysponowała liniami kolejowymi, umożliwiającymi szybkie zaopatrywanie swoich wojsk, doskonałymi fabrykami produkującymi buty i amunicję oraz okrętami, którymi mogła blokować porty i ostrzeliwać nadbrzeżne miasta. Sympatyzujące z Unią gazety nawoływały, by prezydent „szybko położył kres tym nieprzyjemnościom”. Na całym terytorium słychać było wołanie o atak na Richmond. Henry Sturges uważał podobnie. W telegramie datowanym na 15 lipca użył cytatu z Szekspira, by przesłać Abe’owi zakodowaną wiadomość⁵⁰: uderz na Richmond natychmiast.

Abrahamie,

„Więc w imię Boże, odważni rycerze, ruszajmy naprzód w radosnym nastroju po bujne żniwa wiecznego pokoju, przez ten ostatni, krwawy, ostry bój!”⁵¹ H.

Abe postąpił zgodnie z sugestią Henry’ego. W dzień po otrzymaniu

telegramu rozkazał trzydziestu pięciu tysiącom żołnierzy – największym siłom zbrojnym, jakie kiedykolwiek zebrano w Ameryce Północnej – aby wyruszyli z Waszyngtonu w kierunku Richmond pod dowództwem generała brygady Irvina McDowella. Większość podwładnych McDowella została zwerbowana spośród siedemdziesięciu pięciu tysięcy ochotników wezwanych do Waszyngtonu po wydarzeniach w Fortcie Sumter. Byli to głównie rolnicy i handlarze. Nastolatki o twarzach niemowląt i niedołążni starcy. Niektórzy z nich nigdy w życiu nie mieli w ręku broni palnej.

McDowell się skarży, że jego ludzie są niedoświadczeni. „Jesteście zieloni”, powiedziałem mu. „Ale [konfederacji] też. Wszyscy jesteście zieloni! Nie możemy czekać, aż wróg ruszy na Waszyngton. Musimy spotkać się z nim na jego ziemi. Na Richmond! Z Bogiem!”.

By dotrzeć do celu, McDowell i jego podwładni musieli przejść czterdzieści kilometrów na południe. W Wirginii czekał na nich generał Pierre Beauregard i dwadzieścia tysięcy konfederatów. W upalny poniedziałek 21 lipca 1861 roku dwie armie spotkały się niedaleko miasteczka Manassas. Ich starcie miało przejść do historii jako pierwsza bitwa nad Bull Run, nazwana tak od wijącego się nieopodal strumyka, który po walkach spłynął krwią.

Dwa dni po bitwie młody szeregowy Unii, Andrew Merrow, napisał list do żony w Massachusetts⁵². Nakreślił w nim brutalny obraz wydarzeń tamtego dnia, zarazem dając pierwszy dowód, iż w wojskach Konfederacji służyły wampiry.

Na początku dawaliśmy im łupnia. Ciesząc się przewagą liczebną, zepchnęliśmy wroga na południe, przez wzgórze Henry'ego House'a, ku grupce drzew na szczycie. Cóż to był za widok, gdy rozpierzchli się jak szczury, uciekając przed naszym szeregiem, który ciągnął się na kilometr wszcz! Zewsząd dobiegał dźwięk wybuchającego prochu!

„Przegońmy ich aż do Georgii!”, zakrzyknął pułkownik Hunter ku uciesze żołnierzy.

Gdy zbliżaliśmy się do szczytu, rebelianci zaczęli osłaniać się ogniem. Dym od wystrzałów tak zgęstniał, że nie sposób było ich dostrzec między drzewami, gdzie się skryli. Zza tej zasłony dymnej dobiegły nas nagle dzikie wrzaski. Głosy dwudziestu, trzydziestu mężczyzn, z sekundy na sekundę coraz donośniejsze.

„Pierwszy szereg! Bagnety!”, krzyknął pułkownik. Wtedy z dymu wyłoniła się niewielka grupa konfederatów, która biegła w naszą stronę szybciej, niż możesz to sobie wyobrazić. Nawet na odległość widać było ich dziwne, dzikie oczy. Żaden z nich nie był uzbrojony ani w karabin, ani pistolet, ani nawet w szablę.

Pierwszy szereg puścił salwę w ich kierunku, ale nie na wiele się ona zdała. Melissa, przysięgam na wszystko, co święte: widziałem, jak kule trafiały ich w piersi, w kończyny i twarze. A jednak nie przerywali szarży. Jakby nie dosięgnął ich żaden z naszych pocisków! Wreszcie wpadli na nas i na moich oczach zaczęli rozrywać ludzi na strzępy. To nie znaczy, że przebijali ich bagnetami lub że strzelali do nich z rewolwerów. Chcę powiedzieć, że ci rebelianci – trzydziestu

nieuzbrojonych mężczyzn – rozerwali stu naszych na kawałki gołymi rękami. Widziałem odrywane ręce i wykręcane głowy. Krew tryskała z gardeł i brzuchów mężczyzn dźganych samymi opuszkami palców. Widziałem chłopca chwytającego się za dziury, w których przed chwilą jeszcze miał oczy. Szeregowemu, który stał parę metrów ode mnie, przeciwnik wyrwał karabin z rąk, po czym kolbą zgruchotał czaszkę. Było to na tyle blisko mnie, że jego krew obryzgała mi twarz. Na tyle blisko, bym poczuł na języku jego śmierć.

Nasze szyki zostały przerwane. Nie wstydzę się powiedzieć, że wraz z innymi rzuciłem się do ucieczki. Rebelianci pobiegli za nami, wyprzedzając nas i masakrując ludzi na prawo i lewo ode mnie. Ich wrzask gonił mnie w dół wzgórza.

Podobne raporty o „szarżach rebeliantów” napływały od innych dowódców McDowella. „No cóż”, miał rzekomo powiedzieć na wieść, iż Północ jest w pełnym odwrocie. „Mieliśmy lepszą armię, ale oni sprowadzili lepszych ludzi”. McDowell nie miał pojęcia, że owi „lepsi ludzie” byli kimś zgoła innym.

Bitwa trwała ledwie kilka godzin. Gdy kurz opadł, ponad tysiąc mężczyzn nie żyło, a trzy tysiące było poważnie lub śmiertelnie rannych. Z pamiętnika unijnego generała dywizji Ambrose’a Burnside’a:

Przejeżdżałem o świcie obok małego stawu i widziałem mężczyzn obmywających w nim rany. Woda mocno poczerwieniała, lecz nie powstrzymało to zdesperowanych żołnierzy przed piciem jej, gdy doczołgiwali się do brzegu.

Nieopodal dostrzegłem ciało młodego rebelianta trafionego pociskiem armatnim. Zostały tylko ręce, ramiona i głowa. Leżał z otwartymi, pozbawionymi wyrazu oczyma. Kilka myszołowów zebrało się wokół jego zwłok i dziobało wnętrzności, połykając kawałki mózgu, które wypłynęły na trawę. Widok ten zostanie ze mną na zawsze.

A przecież widziałem tego dnia setki podobnych scen. Człowiek mógł przejść kilometr w dowolnym kierunku, nawet nie dotykając ziemi – tyle było martwych ciał. Kiedy piszę te słowa, wciąż słyszę krzyki umierających. Błagających o pomoc. O wodę. A nawet o śmierć.

Nie boję się już piekła, bo widziałem je na własne oczy.

Północ była głęboko wstrząśnięta i opłakiwała porażkę pod Bull Run.

Gdybym tylko posłuchał Douglasa i McDowella! Gdybym wezwał więcej ludzi i dał im więcej czasu na szkolenie, wojna mogłaby się skończyć wczoraj i uniknęlibyśmy śmierci i cierpień tysięcy żołnierzy. Stało się jasne, że Południe zamierza zrekompensować mniejszą liczebność swych wojsk, posyłając do walk wampiry. Niech tak będzie. Poświęciłem życie zabijaniu wampirów toporem, mogę teraz zabić kilka z pomocą wojska. Jeśli ma to być długa i kosztowna walka, to musimy podwoić naszą determinację.

Gdy szok nieco zmalął, Północ posłuchała prezydenta i zacisnęła pięści. Tysiące mężczyzn zaciągało się do armii, a stany zgłaszały

gotowość posyłania kolejnych pułków wraz z zaopatrzeniem. Dwudziestego drugiego lipca 1861 roku, w dniu podpisania ustawy wzywającej do zwerbowania pięciuset tysięcy żołnierzy, Abraham Lincoln zanotował w swoim dzienniku proroczą myśl.

Módlmy się za przyszłych zmarłych. Choć nie znamy jeszcze ich imion, wiemy, że będą aż nadto liczni.

III

Dla prezydenta i jego rządu była to gorzka, frustrująca zima. Z powodu zamrzniętych rzek oraz dróg pokrytych błotem i śniegiem obydwie armie mogły tylko palić ogniska i czekać na odwilż. Dziewiątego lutego 1862 roku, w dzień swoich pięćdziesiątych trzecich urodzin, Abe siedział w gabinecie, gdy pojawiły się pierwsze oznaki wiosny.

Właśnie otrzymałem wiadomość o sukcesie [generała Ulyssesa S.] Granta w Forcie Henry w Tennessee. To dla nas kluczowe zwycięstwo i potrzebna odmiana po długich miesiącach czekania. W dodatku za oknem słyszę moich bawiących się urwisów. Zaiste, dobra niedziela!

„Urwisy”, czyli siedmioletni Tad i dziesięcioletni Willie Lincoln, były niekwestionowaną duszą (inni powiedzieliby, że zakałą) Białego Domu. W pierwszym roku prezydentury ojca chłopcy potrafili całymi godzinami biegać po posiadłości i otaczającym ją terenie, co doprowadzało współpracowników Abe’a do białej gorączki, ale

samemu Lincolnowi dawało niezbędne wytchnienie od stresu wynikającego z kierowania krajem i prowadzenia wojny.

Odgłosy zabaw moich synów są (zbyt często, przyznaję) jedynym powodem do radości między świtem a zmierzchem. Dlatego ilekroć to możliwe, ochoczo się z nimi siłuję i ścigam, bez względu na to, kto mnie może zobaczyć. Niespełna tydzień temu [senator z Iowa, James W.] Grimes wszedł do mojego gabinetu na umówioną rozmowę i zastał mnie na podłodze, przyszpilonego przez chłopców: Tad i Willie trzymali moje nogi, a Bud i Holly⁵³ krępowali mi ręce. „Senatorze”, powiedziałem. „Będę zobowiązany, jeśli wynegocjuje pan warunki mojej kapitulacji”. Mary uważa, że takie wygłupy nie przystoją prezydentowi, ale gdyby nie takie ciepłe chwile, to w ciągu miesiąca odszedłbym od zmysłów.

Abe był czułym, kochającym ojcem dla wszystkich trzech synów, ale ponieważ Robert wyjechał na studia do Harvardu (gdzie strzegła go spora grupa tamtejszych ludzi i wampirów), a Tad był „zbyt młody i dziki, by usiedzieć w miejscu”, szczególnym uczuciem obdarzył Williego.

Ma niezaspokojony głód książek. Uwielbia rozwiązywać zagadki. Gdziekolwiek dojdzie do bójki, na pewno wkroczy do niej, by zaprowadzić spokój. Niektórzy lubią wskazywać na podobieństwa między nami, choć ja dostrzegam znaczące różnice. Willie ma łagodniejsze serce niż ja. I szybszy umysł.

Ciesząc się z dobrych wieści, które dotarły w owo niedzielne popołudnie, Abe spojrzął przez okno na chłopców bawiących się na oszronionym trawniku.

Tad i Willie zajęci byli rozprawą przed sądem polowym, oskarżając Jacka⁵⁴ o takie czy inne przestępstwo. Niespełna dziesięć metrów dalej pilnowało ich dwóch młodych żołnierzy (też prawie chłopców), którzy trzęśli się z zimna i na pewno się zastanawiali, czym sobie zasłużyli na to niewdzięczne zadanie.

Byli ledwie dwoma spośród tuzina strażników, którzy przez całą dobę patrolowali Biały Dom i przyległe tereny. Zgodnie z rozporządzeniem Abe'a, jego żonie i dzieciom towarzyszyć miało co najmniej dwóch ludzi lub jeden wampir, ilekroć którekolwiek z nich wychodziło na dwór. W roku 1862 posiadłość nie była odgradzona od ulicy. Zwyczajni przechodnie mogli spacerować po przyległych ogrodach, a nawet wejść na parter Białego Domu. Jak pisał dziennikarz Noah Brooks: „Rzesze, umyte czy nieumyte, mogą zawsze swobodnie wejść i wyjść”. Nie wolno im było jednak wnosić na teren budynku broni palnej.

O wpół do czwartej strażnicy dostrzegli drobnego brodatego mężczyznę z karabinem, który zmierzał w kierunku Białego Domu od strony placu Lafayette'a. Wartownik pilnujący północnego wejścia wycelował broń i, krzycząc na cały głos, rozkazał mężczyźnie, by się zatrzymał.

Słyszając zamieszanie, podszedłem do północnych okien

i zacząłem obserwować człowieka, który kontynuował marsz, trzymając karabin w poprzek ciała. Strażnicy zbiegli się już ze wszystkich stron, zaalarmowani – jak my wszyscy – powtarzającym się wołaniem: „Stój albo strzelam!”.

Trzej strażnicy biegli dużo szybciej od pozostałych i rzucili się na intruza, nie zważając na jego broń. Widząc ich atak (i, jak podejrzewam, ich kły), człowiek ten upuścił karabin i podniósł ręce. Mimo to został brutalnie powalony na ziemię. Trójca trzymała go za ręce, a Lamon przeszukiwał jego kieszenie. Później powiedziano mi, że intruz sprawiał wrażenie wystraszonego. Powtarzał ponoć przez łzy: „Dał mi dziesięć dolarów. Dał mi dziesięć dolarów”.

I dopiero gdy bezpośrednie zagrożenie zostało zażegnane, rozpoznałem dwie twarze wśród żołnierzy tworzących krąg wokół intruza.

Serce Abe'a przestało bić. Byli to ci sami młodzi strażnicy, którzy mieli pilnować Williego i Tada.

Dzieci zostały bez opieki.

Chłopcy byli zbyt pochłonięci zabawą, by zauważyć jakiegokolwiek zamieszanie lub zwrócić uwagę, że ich opiekunowie pobiegli zobaczyć, co się dzieje. Wtedy właśnie podszedł do nich obcy.

On również mógł ujść ich uwagi, gdyby przypadkiem nie nastąpił butem na zabawkę, przerywając tym samym grę. Willie i Tad podnieśli wzrok i zobaczyli mężczyznę średniego wzrostu, o przeciętnej budowie ciała, który stał nad nimi

w długim, czarnym płaszczu, z szalem i kapeluszem do kompletu. Jego oczy skrywały się za ciemnymi okularami, a usta zasłaniały gęste, brązowe wąsy. „Witaj, Willie”, powiedział. „Mam wiadomość dla twojego ojca. Będę wdzięczny, jeśli mu ją zanieziesz”.

Tym razem to krzyk Tada zaalarmował strażników, którzy rzucili się w jego stronę.

Pierwsze na miejsce dobiegły wampiry, a tuż za nimi Lamon i kilku żołnierzy. Zbiegłem po schodach południowego portyku i znalazłem Tada wystraszonego i zapłakanego, lecz całego i zdrowego. Willie pocierał językiem o rękaw kurtki i pluł. Wziąłem go na ręce i uważnie obejrzałem jego szyję i głowę, modląc się, bym nie znalazł żadnych ran.

„Tam!”, zawołał Lamon i wskazał sylwetkę uciekającego człowieka. On i trójca rzucili się w pościg, podczas gdy reszta odprowadzała nas do środka.

„Żywego!”, krzyknąłem za Lamonem. „Żywego!”

Lamon i trójca biegli za obcym po Pennsylvania Avenue i przez park Ellipse⁵⁵. Kiedy zrozumiał, że nie będzie w stanie dotrzymać mu kroku, zdyszany Lamon wyciągnął rewolwer i, nie bacząc na przechodniów, których mógł omyłkowo postrzelić, wycelował w uciekiniera i opróżnił magazynek.

Tymczasem trójca doganiała zbiega. Cztery wampiry biegły na południe, w kierunku niedokończonego pomnika Waszyngtona i okalającego budowlę pastwiska dla bydła. Budowa gigantycznego,

marmurowego obelisku (zaplanowany na czterdzieści pięć metrów, miał jedną trzecią tej wysokości) została wstrzymana, a w jego cieniu postawiono tymczasową rzeźnię, by zaspokoić żywieniowe potrzeby wojska. I właśnie w tym długim, drewnianym budynku zniknął uciekający mężczyzna, który za wszelką cenę pragnął zgubić swoich prześladowców biegnących już tylko pięćdziesiąt metrów za nim. Liczył też pewnie, że w środku znajdzie broń i że pośród zwierzęcej krwi jego prześladowcy zgubią trop.

Ale tego niedzielnego popołudnia nie było w rzeźni ubitych zwierząt ani pracowników podrzynających krowom szyje. Jedynie kilkadziesiąt haków wisiało na krokwiach i odbijało popołudniowe światło wpadające po obu stronach budynku przez otwarte drzwi. Obcy biegł po zakrwawionej drewnianej podłodze, szukając kryjówki i broni. Nie znalazł żadnej z tych rzeczy.

Rzeka... Mogę ich zgubić w rzece...

Pomknął ku otwartym drzwiom, by stamtąd ruszyć w stronę Potomaku. Zamierzał zanurkować pod powierzchnię i wymknąć się wrogom. Ale drogę zagroziła mu sylwetka mężczyzny.

Drugie drzwi...

Obcy zatrzymał się i odwrócił. Za jego plecami stały kolejne dwie osoby.

Nie było drogi ucieczki.

Stał na środku długiego budynku, a jego prześladowcy zbliżali się do niego z obu stron, powoli i ostrożnie. Zamierzali go schwytać. Poddać torturom. Dowiedzieć się, kto go nasłał i co zrobił chłopcu. Gdyby dostał się w ich ręce, prawdopodobnie wszystko by im wyśpiewał. Nie mógł do tego dopuścić.

Obcy uśmiechnął się i powiedział:

– Jesteście niewolnikami na łasce niewolników.

Wziął głęboki wdech, zamknął oczy i wskoczył na jeden ze zwisających haków, przebijając sobie serce.

Mam nadzieję, że w ostatnich chwilach, gdy ogarnęły go konwulsje, a krew spływała mu z nosa i ust, łącząc się z krwią zwierząt, zobaczył pod stopami płomienie piekła i poczuł pierwsze z czekających go wiecznych mąk. Mam nadzieję, że się bał.

Podczas gdy strażnicy barykadowali Biały Dom i przeszukiwali teren, Willie siedział w gabinecie ojca i relacjonował na spokojnie spotkanie z obcym. W tym samym czasie lekarz badał chłopca.

Willie opowiedział, że obcy złapał go za twarz, otworzył mu usta i wstrzyknął coś „gorzkiego”. Momentalnie pomyślałem o mojej matce, która umarła od małej dawki wampirzej krwi. Popadłem w cichą rozpacz na myśl o tym, że mojego ukochanego malca miałyby spotkać ten sam los. Lekarz nie znalazł żadnych ran ani symptomów otrucia, ale na wszelki wypadek kazał chłopcu połknąć kilka łyżek sproszkowanego węgla⁵⁶, co dla Williego było dużo bardziej nieprzyjemne niż wcześniejszy incydent.

Tej nocy, gdy Mary zajmowała się Tadem (mocno wstrząśniętym wydarzeniami minionego dnia), ja siedziałem przy łóżku Williego i patrzyłem, jak śpi, szukając najdrobniejszych oznak choroby. Ku mojej wielkiej uldze nad

ranem zdawał się zupełnie zdrow i uwierzyłem, że niepotrzebnie się wszyscy martwiliśmy.

Jednak gdy poniedziałek dobiegał końca, Willie poczuł ból i zmęczenie. Drugiej nocy wystąpiła gorączka. Rząd praktycznie przerwał działalność, gdy stan chłopca się pogorszył. Wezwano najlepszych lekarzy w Waszyngtonie.

Robili, co mogli, by wyleczyć objawy, ale nie znaleźli skutecznego lekarstwa. Przez trzy dni i trzy noce czuwaliśmy z Mary przy jego łóżku, modląc się, by wyzdrowiał. Mocno wierzyliśmy, że młody wiek i Opatrzność pomogą mu przejść tę ciężką próbę. Gdy spał, czytałem mu fragmenty jego ulubionych książek, muskałem palcami jego gładkie, kasztanowe włosy i wycierałem mu pot z czoła. Czwartego dnia wydawało się, że nasze modlitwy zostały wysłuchane. Willie zaczął zdrowieć, przywracając mi cień nadziei. Dawka krwi nie mogła być śmiertelna, myślałem sobie, bo w przeciwnym razie chłopiec już by nie żył.

Lecz po kilku godzinach poprawy stan Williego znów się pogorszył. Nie mógł jeść ani pić, bo od razu wymiotował. Jego ciało zwiotczało i osłabło, a gorączka nie chciała ustąpić. Dziewiątego dnia nie udało się obudzić go ze snu. A dziesiątego, pomimo usilnych starań lekarzy, stało się jasne, że Willie umrze.

Mary nie była w stanie zebrać sił, by znów tulić w ramionach umierające dziecko, więc to mnie przypadło

kołysanie przy piersi naszego śpiącego chłopca przez całą noc, poranek i cały następny dzień. Nie chciałem go puścić. Nie chciałem pozbyć się ostatniej nadziei na Boskie zmiłowanie.

W czwartek, 20 lutego 1862 roku, Willie Lincoln umarł w ramionach swojego ojca.

Elizabeth Keckley była uwolnioną niewolnicą, która pracowała głównie jako krawcowa Mary Lincoln. Wiele lat później wspominała, jak Lincoln zanosił się nieskrywanym płaczem, a jego postawne ciało trzęsło się z emocji. „Geniusz i wielkość”, powiedziała, „opłakujące utraconą miłość”. John Nicolay pamiętał, jak twardy, wybitny prezydent szedł do swojego biura „niczym w transie”. „No więc, Nicolay”, powiedział, patrząc niewidzącym wzrokiem. „Mój chłopiec odszedł. Naprawdę odszedł”. I tuż po przekroczeniu progu gabinetu Abe wybuchnął gwałtownym płaczem.

Przez następne cztery dni mało pracował, natomiast zapisał dwa tuziny stron swojego dziennika. Niektóre pełne lamentu...

[Willie] nigdy nie pozna czułego dotyku kobiety i nie doświadczy tej rzadkiej radości, jaką daje pierwsza miłość. Nigdy nie zazna absolutnego spokoju człowieka trzymającego na rękach swojego własnego malutkiego synka. Nigdy nie przeczyta wielkich dzieł literatury ani nie zwiedzi wspaniałych miast świata. Nie zobaczy już ani jednego wschodu słońca i nie poczuje na twarzy kropli deszczu.

Inne z opisami myśli samobójczych...

Doszedłem do przekonania, iż spokoju w tym życiu zaznam tylko, gdy wreszcie się ono skończy. Chciałbym się już obudzić z tego koszmaru... tego krótkiego, bezsensownego koszmaru naznaczonego stratą i cierpieniem. Wieczną ofiarą. Wszystko, co kocham, czeka na mnie po drugiej stronie śmierci. Niech znajdę odwagę, by w końcu otworzyć oczy.

A czasem wyrażające ślełą furię...

Chętnie zobaczę twarz tego tchórzliwego Boga, który rozkoszuje się nieszczęściem! Który uwielbia zabijać dzieci! Kraść niewinnych synów ich matkom i ojcom! Niech no ujrzę tę twarz i wyrwę mu jego czarne serce! Zniszczę go tak, jak niszczyłem kiedyś służące mu demony!

Ustalono, że ciało Williego zostanie przewiezione do Springfield i pochowane niedaleko domu Lincolnów. Ale Abe nie mógł znieść myśli o takiej rozłące i w ostatniej chwili postanowił, że do końca jego prezydentury Willie będzie spoczywać w waszyngtońskiej krypcie. Dwa dni po pogrzebie (w którym Mary, przytłoczona żalem, nie była w stanie uczestniczyć) Abe wrócił do krypty i rozkazał, by otworzono trumnę syna.

Siedziałem przy nim, tak jak to wiele razy czyniłem w trakcie jego krótkiego życia. Jakaś część mnie się spodziewała, że Willie się obudzi, by mnie objąć – tak doskonale balsamista wykonał swoją pracę. Malec zdawał się

po prostu spać. Zostałem przy nim godzinę, może dłużej, rozmawiając z nim czule. Śmiałem się na głos, opowiadając o jego dziecięcych psotach, o pierwszych krokach, o jego charakterystycznym śmiechu. Zapewniałem, że zawsze będziemy go kochać. Gdy nasz czas dobiegł końca, a wieko trumny ponownie zamknięto, rozplakałem się. Nie mogłem znieść myśli, że zostaje sam w tej zimnej, ciemnej skrzyni i że nie mogę go pocieszyć.

Ponieważ Mary nie wstawała z łóżka, Abe szukał schronienia za zamkniętymi drzwiami gabinetu przez cały tydzień po śmierci Williego. Obawiając się o zdrowie prezydenta, Nicolay i Hay odwołali wszystkie spotkania z nim, a Lamon i trójca strzegli drzwi przez całą dobę. Dziesiątki sympatyków przybywało, by złożyć wyrazy współczucia. Wszystkim dziękowano i uprzejmie odsyłano. Aż do 28 lutego, kiedy do biura Abe'a wpuszczono dyskretnie jednego mężczyznę.

Podał przy wejściu nazwisko, któremu nie można było odmówić.

IV

– Trudno mi sobie wyobrazić, jakie dźwigasz brzemię – powiedział Henry. – Ciężar narodu na twych barkach. I wojna. A teraz ciężar kolejnego straconego dziecka.

Abe siedział w świetle kominka, nad którym wisiał jego stary topór.

– Czy po to przybyłeś, Henry? By przypomnieć mi o moim nieszczęściu? Jeśli tak, to zapewniam cię, że dobrze sobie z niego

zdaje sprawę.

– Przybyłem, by okazać ci współczucie i wy...

– Nie! – momentalnie zakrzyknął Abe. – Nie chcę tego słyszeć! Nie życzę sobie znów tej męki!

– Nie chciałem cię męczyć.

– Więc o co chodzi, Henry? Powiedz. Czego sobie życzysz? Chcesz widzieć, jak cierpię? Popatrzeć na łzy spływające po mojej twarzy? Patrz. Czy ta twarz cię zadowala?

– Abrahamie...

Abe wstał z fotela.

– Całe życie spędziłem, wykonując twoje polecenia. Całe życie! I z jakim skutkiem? Czy zaznałem dzięki temu szczęścia? Wszystko, co kiedykolwiek kochałem, padło łupem podobnych tobie. Oddałem ci wszystko. Cóż dostałem w zamian?

– Moją wieczną lojalność. Ochronę przed...

– Śmierć! – zawołał Abe. – Dałeś mi śmierć!

Abe spojrzał na topór.



RYS. 3A-I – PILNIE STRZEŻONY POŁUDNIOWY TRAWNIK PRZY BIAŁYM DOMU, OKOŁO 1862 R.
MĘŻCZYŻNA NA PORTYKU TO PRAWDOPODOBNIENIE JEDEN Z TRÓJCY ABE'A.

Wszystko, co kiedykolwiek kochałem...

– Abrahamie, nie poddawaj się rozpacz. Wspomnij swoją matkę. Pamiętaj, co ci wyszeptała ostatnim tchnieniem.

– Nie próbuj mną manipulować! I nie udawaj, że moje cierpienie cokolwiek dla ciebie znaczy. Dbasz tylko o własne korzyści. O swoją wojnę. Nie masz pojęcia o stracie!

Teraz i Henry wstał.

– Od trzystu lat oplakuję śmierć żony i dziecka. Oplakuję życie, które zostało mi odebrane. Tysiąc miłości skradzionych przez czas! Nie masz pojęcia, przez co przechodzę, próbując cię chronić! Nie wiesz, jakie cier...

Henry się uspokoił.

– Nie – powiedział. – Nie możemy tak rozmawiać. Zbyt daleko zaszedliśmy, by do tego dopuścić.

Wziął płaszcz i kapelusz.

– Usłyszałeś wyrazy współczucia i moją ofertę. Jeśli wolisz, by Willie został pod ziemią, niech tak będzie.

Dźwięk jego imienia i bezduszny ton, jakim Henry je wypowiedział, wywołały we mnie taką złość, że zerwałem topór ze ściany i zamachnąłem się nim na jego głowę. Chybiłem zaledwie o centymetr, rozbijając zegar stojący na gzymsie kominka. Odzyskałem równowagę i wyprowadziłem kolejny cios, ale Henry przeskoczył nad ostrzem. Drzwi gabinetu się otworzyły i do środka wbiegli dwaj z trójcy. Kiedy nas ujrzeli, zamarli, nie wiedzieli bowiem, komu mają

służyć. Ale Lamon nie miał podobnych rozterek. Wszedłszy do biura, wyciągnął rewolwer i wycelował w Henry'ego. Jednak zanim zdążył wystrzelić, jeden z wampirów mu go odebrał.

Henry stał na środku pokoju ze spuszczoneymi rękami. Natarłem ponownie, unosząc topór. Henry nawet nie mrugnął, widząc mój atak. Chwycił tylko za rękojeść, wyrwał mi ją, złamał na pół i upuścił kawałki na podłogę. Rzuciłem się na niego z pięściami, ale te ciosy też bez trudu odparł: wykręcił mi ręce i sprowadził na kolana. Trzymając mnie, pochylił się i zbliżył kły do mojej szyi. „Nie!”, krzyknął Lamon i skoczył w jego stronę. Tamci go zatrzymali. Poczułem dotyk igieł na skórze.

„Śmiało!”, zawołałem.

Spokoju w tym życiu zaznam tylko, gdy...

„Zrób to, błagam!”

Jego kły przebiły mi naskórek i kropelki krwi spłynęły po mojej szyi. Zamknąłem oczy i przygotowałem się na spotkanie nieznanego, na widok moich ukochanych chłopców... Nie było mi to dane.

Henry schował kły i puścił mnie.

„Niektórzy ludzie są zbyt interesujący, by ich zabijać”, powiedział, wstając. Zebrał swoje rzeczy i podszedł do drzwi, gdzie stali trzej strażnicy, których serca biły chyba jeszcze szybciej od mojego.

– Henry.

Sturges odwrócił się i spojrzał na Abe'a.

– Doprowadzę tę wojnę do końca, ale póki żyję, nie życzę sobie widzieć ani jednego wampira.

Henry lekko się pokłonił.

– Panie prezydencie.

Po tych słowach zniknął.

Abe nie zobaczył go już nigdy więcej.

DWANAŚCIE „Zagłodzić diabła”

Głęboka w nas nadzieja, gorące nasze prośby, by plaga wojny rychło się skończyła. Gdyby jednak Bóg postanowił, że ma trwać... Póki każda kropla krwi wycoczona batogiem nie zostanie splacona krwią wycieczoną ostrzem szabli, wciąż trzeba nam będzie powtarzać słowa sprzed trzech tysięcy lat: „sądy Pańskie prawdziwe, wszystkie razem są słuszne”⁵⁷.

Abraham Lincoln, drugie przemówienie inauguracyjne,
4 marca 1865

I

Waszyngton został zaatakowany i Abe nie zamierzał przegapić okazji do zobaczenia walk z bliska.

Jedenastego lipca 1864 roku, ignorując apele osobistych ochroniarzy, pojechał konno i w pojedynkę do Fortu Stevens⁵⁸, gdzie generał konfederatów, Jubal A. Early, dowodził siedemnastoma tysiącami rebeliantów w zuchwałym marszu na północne formacje obronne stolicy. Prezydent został powitany przez unijnych oficerów i natychmiast wprowadzony do fortu, gdzie mógł się nieco odprężyć i ochłodzić zimnym napojem pod bezpiecznym schronieniem grubych,

kamiennych murów.

Nie przybyłem tam, by być rozpieszczanym, ani po to, by słuchać relacji z pola bitwy. Chciałem na własne oczy zobaczyć horror wojny. Zrozumieć, czego inni doświadczali przez te trzy lata, które ja przesiedziałem przy ciepłym kominku. Mimo usilnych starań oficerowie nie potrafili zniechęcić mnie do obserwowania z nad parapetu, jak młodzi chłopcy ustawiają się w szyki i strzelają do siebie, jak rozrywa ich [ogień armatni] i ostrza bagnatów.

Widok Abrahama Lincolna górującego nad polem bitwy w wysokim cylindrze musiał być odebrany przez strzelców wyborowych wroga jako dar od niebios. Trzy kule świsnęły Abe'owi koło głowy w ciągu paru minut, a każda z nich przyprawiała jego opiekunów o atak paniki. W końcu, gdy jeden z naboji trafił w głowę i zabił stojącego obok niego oficera, Abe poczuł, że ktoś szarpie go od dołu za kurtkę. Porucznik (i przyszły sędzia Sądu Najwyższego) Oliver Wendell Holmes krzyknął:

– Kryj się, cholerny głupcze!

Abe nie zareagował.

Kompletnie stracił lęk przed śmiercią.

W Białym Domu nie było już żadnego wampira. Abe wygnał je wszystkie po śmierci Williego i swojej konfrontacji z Henrym. Nawet trójca – jego najsprawniejsi i najzagorzalsi obrońcy – została odesłana do Nowego Jorku.

Uratuję tę Unię, ponieważ jest tego warta. Ocalę ją, by oddać cześć ludziom, którzy ją zbudowali własną krwią i geniuszem oraz dla przyszłych pokoleń, bo one zasługują na wolność. Poświęcę każdą godzinę mojego nieszczęsnego życia sprawie zwycięstwa i pokoju, ale prędzej zstąpię do piekła, niż dopuszczę do siebie wampira.

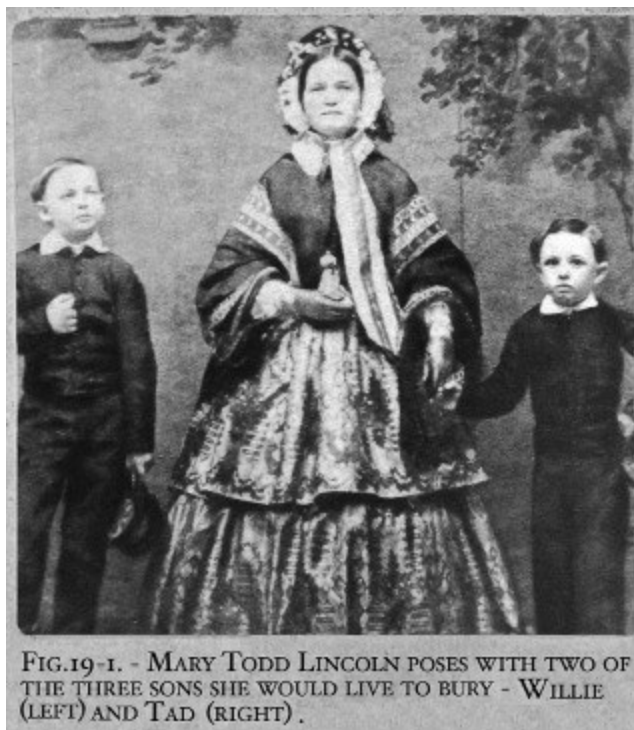
Rodzina Abe'a była teraz strzeżona wyłącznie przez ludzi, a ochrona samego prezydenta stopniowo słabła na jego własną prośbę. Każdy dzień przynosił nowe ograniczenia dla strażników, codziennie kolejny pokój był wyłączany z ochrony. Wbrew obiekcjom Warda Hilla Lamona Abe upierał się, by jeździć w otwartej dorożce, ilekroć pogoda na to pozwalała. Nie chciał też zrezygnować z chodzenia bez obstawy i po zmroku z Białego Domu do Departamentu Wojny. Jak wspominał później Lamon w swoim pamiętniku: „Sądzę, że było to coś więcej niż zwykły brak lęku. Sądzę, że wręcz prosił o śmierć”.

Wpis datowany na 20 kwietnia 1862 roku dobrze oddaje rosnący fatalizm Abe'a.

W ciągu tygodnia widzę w Białym Domu tysiąc obcych twarzy. Czy mam traktować każdą z nich jak twarz potencjalnego zamachowca? Człowiek, który postanowiłby odebrać mi życie, nie miałby z tym większych trudności. Czy zatem mam zamknąć się w żelaznej skrzyni i czekać na koniec wojny? Jeśli Bóg zapraśnie mojej duszy, będzie wiedział, gdzie ją odebrać. Może też dowolnie wybrać czas.

W końcu jednak, siłą woli, wy dobył się z depresji, tak jak zdarzało mu się to w przeszłości. Niedługo po śmierci Williego, gdy stary przyjaciel Lincolna, William McCullough, zginął w walce za Unię, Abe wysłał list do jego córki. Zawarte w nim słowa otuchy kierował nie tylko do niej, lecz w równym stopniu do siebie samego.

Całkowita ulga możliwa jest dopiero po latach. Dziś nie jesteś w stanie wyobrazić sobie, że kiedykolwiek poczujesz się lepiej. A jednak to błąd. Na pewno jeszcze będziesz szczęśliwa. Wiedząc to, a z całą pewnością taka właśnie jest prawda, odczuwać będziesz teraz mniejszy ból. Mam dostateczne doświadczenie, by wiedzieć, co mówię. Wystarczy, że w to uwierzysz, a momentalnie odczujesz ulgę. Zamiast męki, w twoim sercu zawita wspomnienie ukochanego Ojca i będzie to słodkie, choć smutne, uczucie czystsze i świętsze niż wszystko, co dotychczas znałaś.



Ale gdy Abe dodawał sobie animuszu i coraz lepiej radził sobie z żałobą, stan Mary coraz bardziej się pogarszał.

RYS. 19-I. – MARY TODD LINCOLN Z DWOMA Z TRZECH SYNÓW, KTÓRYCH ŚMIERCI DOCZEKAŁA. WILLIE (PO LEWEJ) I TAD (PO PRAWĘJ).

Nie może opuścić łóżka na dłużej niż godzinę. Nie opiekuje się też Tadem, który opłakuje teraz nie tylko śmierć brata, lecz także stratę matki. Wstyd mi przyznać, ale są chwile, gdy na sam jej widok ogarnia mnie gniew. Wstydzę się, gdyż nie jest jej winą, że cierpi na ataki wściekłości ani że wierzy szarlatanom, którzy za pieniądze „łączą się” z naszym umiłowanym synem. Mary zniosła w życiu więcej, niż jakakolwiek matka powinna znieść. Boję się, że postradała rozum i że już nigdy go nie odzyska.

II

Wprawdzie Abe nie życzył sobie żadnych kontaktów z Henrym i z jego Unią, był dostatecznie pragmatyczny, by przyjąć ich pomoc w wygraniu wojny. Nowojorska sala balowa (w której Abe po raz pierwszy dowiedział się o istnieniu Unii i jej planach co do jego osoby) została przekształcona w centrum dowodzenia, wyposażona w mapy, tablice szkolne i telegraf. Członkowie Unii służyli jako wysłannicy sympatyzujących z Północą wampirów europejskich. Walczyli, gdzie tylko mogli, i uzupełniali informacje wywiadowcze danymi zdobywanymi przez własnych szpiegów. Te ostatnie dostarczane były Sewardowi, a on, po ich przeczytaniu, i spaleniu, przekazywał dane prezydentowi. Z wpisu do dziennika datowanego na 10 czerwca 1862 roku:

Dziś otrzymałem wiadomość, że konfederaci przekazują naszych więźniów tamtejszym wampirom. Mają być torturowani i zabici. „Słyszymy o ludziach wieszanych głową w dół i rozciąganych pomiędzy palami”, powiedział mi Seward. „Dwa wampiry piłą powoli przepoławiają więźnia, zaczynając od pachwiny. W tym czasie trzeci wampir kładzie się na plecach pod biedakiem i pije krew, która spływa po jego ciele. Ponieważ głowa torturowanego jest najbliżej ziemi, jego mózg jest odżywiony, a on sam zachowuje świadomość, dopóki ostrze piły nie dochodzi powoli do jego brzucha i klatki piersiowej. Pozostali więźniowie muszą na to patrzeć, nim sami zostaną poddani torturom”.

Z nastaniem drugiego lata wojny secesyjnej wśród żołnierzy Unii krążyć zaczęły pogłoski o „duchach” i „demonach” konfederatów, które porywają ludzi z namiotów i piją ich krew. Niektórzy śpiewali przy ogniskach popularną piosenkę:

Od Florydy po Wirginię jego śmiech rozbrzmiewa,
Zawarł kontrakt z diabłem młody Johnny Rebel.
Wybrał się na północ, podłe to nasienie,
Żeby naszych chłopców posyłać w płomienie.

Przynajmniej w jednym przypadku plotki te doprowadziły do tego, że grupa żołnierzy Unii zwróciła się przeciwko swoim towarzyszom. Piątego lipca 1862 roku szeregowy Morgan Sloss został zamordowany przez pięciu kolegów, gdy ich oddział obozował nieopodal plantacji Berkley w Wirginii.

Wyciągnęli go z namiotu w środku nocy i pobili, oskarżając o to, że jest „krwiożerczym demonem”. (Gdyby ten chłopiec faktycznie był wampirem, dałby im dużo lepszą lekcję samoobrony). Przywiązali go do słupa i zaczęli tłuc kijami i łopatami, domagając się przyznania do winy. „Powiedz, żeś krwiożerczy demon, to cię puścimy!”, wołali, chlastając po całym ciele, aż zaczął płakać i błagać o zlitowanie. Po kwadransie takich tortur wreszcie wymamrotał przez zakrwawione usta to, co chcieli usłyszeć. Podejrzewam, że gdyby od tego zależał koniec męki, chłopak przyznałby się, że jest Jezusem Chrystusem. Napastnicy oblali go naftą i podpalili żywcem. Jakiż strach musiał czuć... Konsternację

i strach... Nie umiem myśleć o tym bez gniewu. Gdybym tylko jakimś niebiańskim zrządzeniem mógł się tam znaleźć na czas i zainterweniować.

Incydent głęboko go poruszył. Nie tylko ze względu na okrucieństwo żołnierzy, lecz dlatego, że pokazywał on skuteczność strategii konfederatów.

Jak możemy zwyciężyć, skoro nasi ludzie zabijają się nawzajem? Jak mamy przetrwać, jeśli sparaliżuje nas strach? Na jednego wampira sympatyzującego z Unią dziesięciu wspiera naszego wroga. Jak mam się im przeciwstawić?

Jak to często bywało u Abe'a, odpowiedź nadeszła we śnie. Z wpisu datowanego na 21 lipca 1862 roku:

Znów byłem małym chłopcem. Siedziałem na znajomym płocie w chłodny, pochmurny dzień i patrzyłem na podróżujących szlakiem Old Cumberland. Pamiętam, że zobaczyłem wóz wypełniony czarnymi, których nadgarstki były spętane. Nie mieli nawet garści siana, by nim złagodzić wyboistą drogę, ani koców, by wytrzymać na zimowym chłódzie. Gdy przejeżdżali koło mnie, napotkałem oczy najmłodszej z nich, pięcio-, może sześciolatniej dziewczynki. Chciałem odwrócić wzrok (taki smutek bił z jej twarzy), ale nie mogłem, gdyż wiedziałem, dokąd ich wiozą.

Zapadła noc. Podążyłem za czarnoskórą dziewczynką (nie wiem jak) do obszernej stodoły, oświetlonej od wewnątrz

pochodniami i lampami naftowymi. Patrzyłem z zewnątrz, jak jej i innym kazano stać w szeregu ze wzrokiem utkwionym w ziemi. Patrzyłem, jak za plecami każdego z nich staje wampir. Spojrzała mi w oczy, gdy para kłów wbijała się od tyłu w jej drobną szyję.

„Sprawiedliwość...”, wyrzekła, patrząc na mnie.

Kły rozerwały jej skórę.

Jej krzyk złączył się z moim, który mnie obudził.

Nazajutrz Abe zwołał posiedzenie rządu.

„Panowie”, zacząłem. „Wiele razy mówiliśmy o prawdziwej naturze tej wojny, o tym, kto jest w niej naszym faktycznym wrogiem. Spieraliśmy się – zawsze w duchu przyjaźni – o najlepszy sposób walki z tym wrogiem, skarżąc się na jego zdolność zaszczepiania lęku w sercach naszych ludzi. Śmiem twierdzić, że i w naszych sercach zapanował strach. Tak nie może dłużej trwać.

Panowie, niech to nas boi się nasz wróg.

Odbierzmy mu pracowników, którzy prowadzą gospodarstwa ich żywych sojuszników, którzy budują ich garnizony i noszą ich proch armatni. Odbierzmy im tych biedaków, którzy sami są hodowani niczym zboże, by pod osłoną nocy można ich było ścinać. A zatem, panowie, zagłódźmy te kreatury, nadając status wolnych ludzi wszystkim niewolnikom Południa”.

Dookoła stołu wzniosły się oklaski. Nawet Salmon Chase (który nadal nie wierzył w istnienie wampirów) dostrzegł taktyczny geniusz zaatakowania wroga tam, gdzie tkwiła jego siła napędowa. Seward, po wyrażeniu swojego uznania, zaoferował równocześnie cenną radę:

Zaproponował, by proklamacja ta stała się zwieńczeniem jakiegoś zwycięstwa, gdyż w przeciwnym razie mogłaby się wydać aktem desperacji.

„No cóż”, odparłem. „W takim razie trzeba nam zwycięstwa”.

III

Siedemnastego września 1862 roku armie Unii i Konfederacji starły się ze sobą nad Antietam Creek, niedaleko Sharpsburga w stanie Maryland. Konfederaci walczyli pod dowództwem generała Roberta E. Lee, którego przed wojną łączyła z prezydentem pewna zażyłość. Wojskiem Unii dowodził generał George B. McClellan, demokrat, który z całego serca nienawidził Abrahama Lincolna. Abe pisze:

[McClellan] ma mnie za bufona, niedojrzałego do wydawania rozkazów człowiekowi o jego pochodzeniu i intelekcie. Nie miałyby to dla mnie najmniejszego znaczenia, gdyby tylko wygrywał więcej bitew. Tymczasem on przesiaduje w obozowisku, używając Armii Potomaku jako swojej osobistej ochrony. Cierpi na nadmiar ostrożności: obserwuje, gdy powinien atakować, a zarządza odwrot, gdy powinien trzymać pozycje i walczyć. Tego grzechu u generała

nie umiem wybaczyć.

W środę 17 września wojska Lee i McClellana czekały po cichu przed świtem, nie wiedząc, że wkrótce wezmą udział w najbardziej krwawym dniu w historii amerykańskiej wojskowości. Wraz z pierwszymi promieniami słońca obydwie strony uruchomiły swoje artylerie. Przez blisko godzinę pociski fruwały jeden za drugim, uzbrojone często w taki sposób, by eksplodować w powietrzu. Płonące odłamki przebijały ciała tych żołnierzy, którzy mieli pecha stać w pobliżu. Z pamiętnika żołnierza Unii, Christopha Niederera z 20. Pułku Piechoty Nowego Jorku 6. Korpusu:

Właśnie wymościłem sobie dosyć wygodne gniazdko, gdy nagle wybuchł nade mną pocisk, kompletnie mnie ogłuszając. Poczułem uderzenie w prawym barku, a kurtkę pokryła biała substancja. Sprawdziłem, czy nadal mam rękę, i podziękowałem Bogu, że wciąż była w jednym kawałku. Jednocześnie poczułem na twarzy coś wilgotnego. Starłem to dłonią, było krwawe. Zobaczyłem, że człowiek obok mnie, Kessler, nie ma górnej części głowy i prawie cały jego mózg obryzgał następnego w szeregu, Merkela, który przez to nic nie widział. A że w dowolnej chwili to samo mogło spotkać każdego z nas, nikt się tym nie przejął.

Gdy armaty ucichły, żołnierze unijni dostali rozkaz zamocowania bagnatów i rozpoczęcia szarży przez otwarte pole kukurydzy, w stronę oddziałów konfederatów. Ale wśród wysokich łądy czekała na nich bateria armat, które, gdy się do niej zbliżyli, posłały

prawdziwy deszcz kartaczy⁵⁹, odrywając głowy i rozrzucając po całym polu części ciała. Z listu porucznika Sebastiana Duncana juniora⁶⁰ z 13. Pułku Piechoty 12. Korpusu:

Nad naszymi głowami zaczęły świstać i eksplodować zbłąkane kule i pociski. Tuż przed naszymi szykami leżało mnóstwo martwych i rannych. Jakiemuś biedakowi urwało jedną nogę, a drugą pogruchotało. Chłopak wył z bólu.

Gdy szarża dobiegła końca, pole kukurydzy było gołą, zwęgloną ruiną, pokrytą ciałami umarłych i umierających. Rannymi nikt się nie zajmował, ponieważ w powietrzu fruwały pociski, odrywając nowe kończyny i rozrzucając dookoła te, które już leżały odcięte. Minęły zaledwie dwie godziny.

Tego dnia nad Antietam życie straciło sześć tysięcy ludzi, a dwadzieścia tysięcy było rannych, w tym wielu śmiertelnie.

Lee został w końcu zmuszony do odwrotu. Ale po użyciu w bitwie zaledwie dwu trzecich swoich wojsk (nad czym historycy do dzisiaj łamią sobie głowy) generał George B. McClellan tylko patrzył, jak pobita armia Konfederacji kuśtykała do Wirginii, by tam się przegrupować. Gdyby poszedł za wrogiem, mógłby zadać wojskom Południa śmiertelny cios i zakończyć wojnę.

Abe był wściekły.

– Niech to diabli! – krzyknął do Stanton, kiedy się dowiedział, iż McClellan nie ruszył za cofającym się wrogiem. – Ten człowiek napsuł mi więcej krwi niż jakikolwiek konfederata!

Natychmiast pojechał na front, by spotkać się z generałem.

Na słynnej fotografii Abraham Lincoln siedzi naprzeciwko George'a B. McClellana w namiocie generała w Sharpsburgu. Obydwaj sprawiają wrażenie sztywnych i niezadowolonych. Według źródeł historycznych Abe powiedział nonszalancko do McClellanda: „Jeśli nie chce pan używać wojska, chętnie je od pana pożyczę”. Te same źródła milczą jednak odnośnie do tego, co zdarzyło się bezpośrednio przed tym, jak zrobiono owo zdjęcie.

Przywitawszy się [z McClellanem] w jego namiocie, poprosiłem, by zostawiono nas samych. Zamknąłem klapę namiotu i położyłem kapelusz na stoliku, obciągnąłem kurtkę i stanąłem naprzeciwko McClellana. „Panie generale”, powiedziałem. „Muszę panu zadać pytanie”.

„Bardzo proszę”, odparł.

Chwyciłem go za kołnierz i przysunąłem do siebie tak blisko, że nasze twarze dzieliło ledwie kilka centymetrów. „Czy mogę je zobaczyć?”.

„O czym pan mówi, na miłość boską?”.

Przyciągnąłem go jeszcze bliżej.

„Pańskie kły, generale! Niech no je obejrzę!”.

McClellan próbował się oswobodzić, ale jego stopy nie dotykały już ziemi.

„Muszą tu gdzieś być”, powiedziałem, otwierając mu usta jedną ręką. „Przecież żaden żywy człowiek nie przedłużałby dobrowolnie wojennej agonii. No, śmiało! Niech pan pokaże te czarne oczęta! Proszę się pochwalić kłami i stanąć do walki!”, zawołałem, mocno nim potrząsając.

„Pokaż je!”

„Nie rozumiem”, odezwał się w końcu.

Jego zdumienie było szczere, a strach wyczuwalny.

Puściłem go i nagle ogarnął mnie wstyd, iż dałem się ponieść emocjom.

„Tak, teraz widzę”, odparłem.

Wygładziłem poły kurtki i uniosłem klapę namiotu.

„Chodźmy. Niech Gardner⁶¹ zrobi w końcu to zdjęcie i miejmy to już z głowy”.

Miesiąc później Abe zdymisjonował McClellana.

Po opuszczeniu obozowiska w Sharpsburgu Lincoln postanowił na własne oczy zobaczyć krajobraz po bitwie. Widok pogruhotanych, sztywnych ciał rozrzuconych po całym terenie doprowadził prezydenta do łez.

Płakałem, gdyż każdy z tych chłopców był Willim. Każdy zostawił ojca, który był równie przeklęty jak ja. I matkę tak samo nieszczęśliwą jak Mary.

Abe siedział na ziemi przy zwłokach jednego z żołnierzy przez niemal godzinę. Powiedziano mu, że chłopiec został trafiony w głowę pociskiem armatnim.

Miał rozprutą potylicę. Stracił większość mózgu i czaszki, w wyniku czego jego twarz i skóra głowy leżały na ziemi

płasko, niczym pusty worek. Widok był odrażający, a jednak nie mogłem odwrócić wzroku. Ten chłopiec, ten bezimienny chłopiec, obudził się wrześniowego poranka, nie wiedząc, że nie dożyje następnego. Ubrał się i zjadł. Poszedł odważnie na pole bitwy. A potem zginął i całe jego życie zostało sprowadzone do jednej chwili nieszczęścia. Wszystkie jego doświadczenia, dawne i przyszłe, wylane na jakieś obce pole daleko od domu.

Opłakuje jego matkę i ojca, braci i siostry. Ale nie jego, gdyż teraz wierzę już w to stare porzekadło: „Tylko martwi znają koniec wojny”.

IV

Choć bitwa nad Antietam była straszna, przyniosła Abe'owi zwycięstwo, którego potrzebował. Dwudziestego drugiego września 1862 roku wydał Pierwszą Proklamację Emancypacji, która głosiła, iż wszyscy niewolnicy stanów rebelianckich są „na zawsze wolni”.

Reakcja była natychmiastowa. Abolicjoniści twierdzili, że uwalniając tylko niewolników Południa, Abe nie poszedł dostatecznie daleko. Ugrupowania umiarkowane obawiały się, że proklamacja doda jedynie animuszu armii Południa. Niektórzy żołnierze Północy grozili buntem, mówiąc, że walczyli o zachowanie Unii, a nie o „wolność dla czarnych”.

Abe się tym nie przejmował.

Obchodziła go jedynie reakcja samych niewolników. Sądząc po raportach, jakie spływały na jego biurko w ostatnich miesiącach 1862 roku, była ona zgodna z jego oczekiwaniami.

Otrzymałem dziś wspaniałą wiadomość od naszych sojuszników w Nowym Jorku (przekazał mi ją Seward) o niedawnym powstaniu na plantacji niedaleko Vicksburga w Missisipi. Jestem pewien, że doniesienia nie zostały podkolorowane, gdyż pochodzą od czarnego chłopca, który był naocznym świadkiem zdarzeń. „Usłyszawszy tego ranka dobre wieści o Proklamacji,” powiedział Seward, „czarni świętowali, śpiewając radosne pieśni. Spotkało się to jednak z wściekłą reakcją ich właścicieli, którzy zabrali jedną dziewczynę i skuli jej stopy kajdanami, co zawsze do tej pory oznaczało transport w miejsce, z którego nikt nie wracał. Nie godząc się, by spotkał ją los podobny do tego, jaki podzieliło tak wielu przed nią, zebrali się w tłum i otoczyli stodołę, w której została zamknięta. Gdy wtargnęli do środka z sierpami i kosami w dłoniach, ich oczom ukazał się widok, który nawet najodważniejszych spośród nich przyprawił o dreszcze. Para dżentelmenów o dzikich oczach klęczała nad dziewczyną z zakrwawionymi ustami przyssanymi do jej odsłoniętych piersi. Jej ciało zdążyło stracić cały kolor i prawdopodobnie już wcześniej zemdląca. Czarni opanowali strach i kilku z nich podniosło broń i ruszyło z szarżą na dwóch diabłów, sądząc, że mają do czynienia ze zwykłymi śmiertelnikami. Wampiry odskoczyły z taką szybkością, że ich napastnicy wpadli w konsternację. Niemal fruwały po stodole, czepiając się ścian z owadzią łatwością i unikając sierpów i kos. Ci, którzy zaatakowali jako pierwsi, zostali zabici. Wampiry rozrywały im gardła pazurami i biły po głowach

z taką siłą, że czarni ginęli, jeszcze zanim padli na ziemię. Było ich jednak tylu, że w końcu obezwładnili dwóch intruzów. Choć na każdego z wampirów trzeba było sześciu ludzi, to udało im się je wyprowadzić na zewnątrz, przyciągnąć nad koryto z wodą i obciąć im głowy”.

Wieść rozniosła się po całym kraju. Dni amerykańskich wampirów były policzone.

Dziewiętnastego listopada 1863 roku Abe stanął przed piętnastotysięcznym tłumem. Wyciągnął z kieszeni małą kartkę, rozłożył ją, odchrząknął i przemówił:

Lat temu osiemdziesiąt i siedem ojcowie nasi na tym kontynencie dali początek narodowi poczętemu w wolności i w przekonaniu, że wszyscy ludzie rodzą się równi.⁶²

Przybył do Gettysburga, by poświęcić pomnik ku czci ośmiu tysięcy żołnierzy, którzy polegli w trakcie trzydniowej bitwy zwycięskiej dla Unii. Ward Hill Lamon (którego widać obok Abe'a na jednej z niewielu zachowanych do dziś fotografii dokumentujących tamto wydarzenie) patrzył nerwowo na zebrany tłum, trzymając dłoń na rewolwerze za pazuchą. Odczuwał wielkie napięcie, ponieważ tego dnia stanowił jedyną ochronę prezydenta.

Siedzieliśmy na scenie trzy godziny. Trzy godziny niesłabnącej troski, bo byłem pewien, że dojdzie do próby

zamachu. Każda twarz zdawała się wyrażać nienawiść do prezydenta. Każda chwila zdawała się preludium do ataku na jego życie.

Początkowo Abe chciał jechać do Gettysburga bez ochrony, bo uważał, że widok uzbrojonych mężczyzn będzie „niewłaściwy” dla uczczenia tych, którzy oddali życie za kraj. Dopiero gdy Lamon zagroził pół żartem, pół serio, że uszkodzi prezydencki pociąg, by nie dopuścić do podróży, Abe zgodził się zabrać go ze sobą.

... że postanowimy, iż śmierć tych poległych nie mogła być daremna; że ten naród doczeka się odrodzenia idei wolności; i że rządy narodu, przez naród i dla narodu nie znikną z powierzchni ziemi.

Abe złożył kartkę i usiadł z powrotem na miejscu, nagrodzony umiarkowanymi brawami. Mówił tylko dwie minuty, ale w tym czasie wygłosił być może najlepsze przemówienie dziewiętnastego wieku, które miało wryć się na stałe w świadomość Amerykanów. W tym krótkim czasie Ward Hill Lamon, najbardziej oddany stróż Abrahama Lincolna, podjął decyzję, która na zawsze odmieniła bieg amerykańskiej historii.

Lęk, jakiego doświadczył w Gettysburgu, okazał się zbyt wielkim ciężarem. W drodze powrotnej do Waszyngtonu Lamon oznajmił prezydentowi, że nie może go dłużej strzec.

W nocy 8 listopada 1864 roku Abe szedł samotnie przez wichurę i ulewę.

Postanowiłem sam siedzieć w biurze telegrafu i czekać na wyniki, tak jak to robiłem cztery lata temu w Springfield. W razie porażki nie życzyłem sobie pocieszenia. Gdybym wygrał, nie chciałem, by mi gratulowano. Albowiem istniało wiele powodów, by cieszyć się z tego pierwszego, a opłakiwać drugie.

Wojna pochłonęła do czasu wyborów blisko pół miliona ofiar. Pomimo tych niewyobrażalnych strat, rosnącego zmęczenia konfliktem oraz pogłębiających się podziałów wewnątrz samej Północy w kwestii emancypacji, Abe i jego nowy wiceprezydent, demokracja Andrew Johnson z Tennessee, odnieśli zdecydowane zwycięstwo nad George'em B. McClellanem (tym samym, z którym Abe pokłócił się po bitwie nad Antietam). Osiemdziesiąt procent żołnierzy Unii zagłosowało za swoim dowódcą – zadziwiający to wynik, jeśli wziąć pod uwagę fakt, iż Abe konkurował z byłym generałem, a także w świetle żalosnych warunków życia, jakich doświadczali oni od paru lat. Na wieść o wyniku wyborów żołnierze Unii stacjonujący pod stolicą Konfederacji w Richmond wzniesli tak donośny okrzyk, iż oblężeni mieszkańcy sądzili, że Południe właśnie się poddało.

Mieli powody, by tak podejrzewać. Richmond było otoczone od miesięcy. Atlanta (serce przemysłowego Południa) była zdobyta i tysiące niewolników uciekały za linię wojsk Północy, przez co rujnowali produkcję rolną Południa i zmuszali wampiry do polowań

na łatwą krew. W rezultacie budzący postrach „żołnierze-widma”, którzy siali przerażenie i mordowali bojowników Unii, pojawiali się na polach bitew coraz rzadziej. W drugą rocznicę inauguracji prezydentury Abe’a, 4 marca 1865 roku, wojna była już prawie zakończona.

Nikommu złym zamiarem nie płacąc, lecz każdemu dobrodziejstwem, stanowczo trwając po stronie tego, co słuszne, a co dzięki Bogu widzieć umiemy, dokończmy dzieła, któremu daliśmy początek, by zagoić rany, by roztoczyć opiekę nad poszkodowanymi, nad wdowami i sierotami, by uczynić wszystko, co pozwoli osiągnąć i zachować trwałą pokój między nami i wszystkimi narodami.

Podczas defilady, która nastąpiła po przemówieniu, przed prezydentem przemaszerował batalion złożony z czarnoskórych żołnierzy.

Wzruszyli mnie do łez, idąc przede mną i salutując mi, bo w ich twarzach widziałem oblicza bezimiennych ofiar wołających o sprawiedliwość, w tym małej dziewczynki, którą wiele lat temu widziałem na szlaku Old Cumberland. Z każdej twarzy bił ból dawnych lat i nadzieja przyszłości.

Generał Robert E. Lee złożył kapitulację 9 kwietnia 1865 roku i tym samym wojna secesyjna została zakończona. Następnego dnia Abe otrzymał list skreślony znajomym charakterem pisma.

Abrahamie,

odsuń, proszę, niechęć na bok, choć na kilka chwil, bym zdążył przekazać ci kilka słów uznania.

Z radością cię zawiadamiam, że nasz wróg rozpoczął exodus. Część z nich wraca do Europy, inni jadą do Ameryki Południowej lub na Daleki Wschód, gdzie nie grożą im prześladowania. Spojrzeli w przeszłość i zobaczyli, że Ameryka jest i na zawsze będzie krajem wolnych ludzi. Podobnie jak twój imiennik, stałeś się przez ostatnie cztery lata „ojcem wielu” i również od ciebie Bóg wymagał nieprawdopodobnych ofiar. A jednak wspaniale to wszystko przetrwałeś. Pobłogosławiłeś przyszłość tych, którzy dzielą z tobą ten czas na ziemi, a także tych, którzy dopiero się narodzą.

Byłaby z ciebie dumna.

Na zawsze twój, H.

Jako chłopiec Abe przysiągł, że zabije wszystkie wampiry w Ameryce. Choć okazało się to niemożliwe, udało mu się coś, co miało prawie takie samo znaczenie: najgorszych spośród nich wygnał z Ameryki. Jednak jeden wampir nie zamierzał uciekać, bo wierzył, że marzenie o narodzie nieśmiertelnych wciąż jest żywe i że pierwszym krokiem do jego urzeczywistnienia będzie zabicie Abrahama Lincolna.

Nazywał się John Wilkes Booth.

TRZYNAŚCIE

Tak zawsze tyranom

Zostawiam was, mając nadzieję, iż płomień wolności nie zgaśnie w waszych sercach aż do dnia, gdy ponad wszelką wątpliwość wszyscy będziemy wolni i równi.

Abraham Lincoln, przemówienie w Chicago,
10 lipca 1858

I

Dwunastego kwietnia 1865 roku samotny człowiek przeszedł przez ogród Białego Domu ku wysokim kolumnom południowego portyku, gdzie w jasne, wiosenne popołudnia sam prezydent miał w zwyczaju przesiadywać na balkonie drugiego piętra. Mężczyzna szedł zwawo, a w ręku niósł niewielką skórzaną dyplomatkę. Ustawa powołująca Secret Service trafiła tego wieczoru na biurko Abrahama Lincolna i tam już pozostała do końca jego życia.

Na trzy minuty przed czwartą mężczyzna wszedł do budynku i przedstawił się jednemu z kamerdynerów.

– Joshua Speed do prezydenta.

Życie poświęcone wojnie wreszcie odbiło się na Abie. Od śmierci Williego czuł się coraz słabszy. Przytłumiony i niepewny. Bruzdy na

jego twarzy się pogłębiły, a skóra pod oczyma zapadła, nadając jego obliczu wyraz człowieka wiecznie zmęczonego. Mary była w niemal nieustannej depresji, a rzadkie chwile beztroski wypełniały jej szalone napady dekorowania wnętrza lub seanse „komunikowania się” z ukochanymi chłopcami. Poza wymianą prostych zdań Abe i Mary prawie ze sobą nie rozmawiali. Gdzieś między 3 a 5 kwietnia, w podróży do opanowanego Richmond, prezydent zanotował na marginesie dziennika taki wiersz:

Melancholia,
wierny druh,
wraca często,
znów.

Abe, spragniony nowych zajęć i spotkań, zaprosił do Białego Domu dawnego towarzysza łowów na wampiry. Po informacji o przybyciu Speeda kulturalnie opuścił spotkanie, w którym brał udział, i pośpieszył do salonu. Speed wspominał wejście Abe’a w liście do Williama Sewarda, napisanym już po śmierci prezydenta.

Kładąc dłoń na moim ramieniu, przez chwilę się zawahał. Musiał dostrzec w moich oczach zaskoczenie i smutek, bo gdy mu się przyglądałem, zobaczyłem kruchość, wcześniej mi nieznaną. Zniknął gdzieś barczysty gigant, który potrafił przebić wampira toporem. Zniknęły roześmiane oczy i pewność siebie. Stał przede mną przygarbiony, wymizerowany dżentelmen o chorowitej skórze i rysach twarzy pasujących do osoby o dwadzieścia lat starszej.

„Przyjacielu”, powiedział i przycisnął mnie do piersi.

Dwaj łowcy zjedli kolację na osobności, gdyż Mary poszła wcześniej spać z racji migreny. Po posiłku przeszli do gabinetu Abe'a, gdzie zostali do wczesnego ranka, śmiejąc się i wspominając, jakby znów siedzieli w Springfield, w pokoiku nad sklepem. Rozmawiali o czasach polowań, o wojnie i o pogłoskach, jakoby wampiry masowo opuszczały Amerykę. Ale przede wszystkim mówili o błahostkach: o swoich rodzinach, o interesach, o cudownym wynalazku fotografii.

Było dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałem. Moje problemy odeszły na daleki plan, myśli nieco ucichły i znów poczułem się jak dawniej – choć na krótką chwilę.

Trochę po północy, po rozśmieszeniu przyjaciela solidną dawką anegdot, Abe opowiedział mu sen, który dręczył go od kilku dni. Utrwalił go potem dla pokoleń w jednym z ostatnich wpisów do dziennika.



RYS. 8-47. – ABE SIDZI W TOWARZYSTWIE ZDENERWOWANEGO GENERAŁA GEORGE’A MCCLELLANA BEZPOŚREDNIO PO ICH KONFRONTACJI W SHARPSBURGU. WARTO ZAUWAŻYĆ TOPÓR OPARTY O KRZESŁO PREZYDENTA, WZIĘTY NA WYPADEK, GDYBY JEGO PODEJRZENIA CO DO MCCLELLANA OKAZAŁY SIĘ SŁUSZNE.

Wyczuwałem w sobie spokój, który przypominał śmierć. Potem usłyszałem ciche łkanie, jakby w oddali płakało kilka osób. Wstałem z łóżka i zszedłem na dół. Tam ciszę przerywał ten sam szloch, ale nigdzie nie było widać żałobników. Chodziłem od pokoju do pokoju, lecz nie napotkałem ani jednej osoby, choć odgłosy płaczu towarzyszyły mi nieprzerwanie. Byłem zdziwiony i zaniepokojony. Cóż to mogło oznaczać? W końcu dotarłem do Sali Wschodniej i wszedłem do środka. Tam ujrzałem zaskakującą i mdlącą

scenę. Naprzeciwko mnie stał katafalk, a na nim zwłoki ubrane w żałobne szaty. Naokoło stali żołnierze pełniący straż. Chmara ludzi przyglądała się ze smutkiem ciału, którego twarz była zakryta. Niektórzy żałośnie zawodzili.

„Kto umarł w Białym Domu?“, zapytałem jednego z żołnierzy.

„Prezydent“, odparł. „Zabił go zamachowiec“.

Wtedy od tłumu dobiegł głośny szloch, który mnie obudził. Tamtej nocy już nie zasnąłem.

II

John Wilkes Booth nienawidził światła słonecznego. Drażniło jego skórę i oczy. Sprawiało, że oślepiały go tłuste, różowe i zadowolone twarze mieszkańców Północy, których mijał, idąc ulicą, i którzy rozprawiali głośno o zwycięstwach Unii i cieszyli się z końca „rebelii”. *Nie macie pojęcia, o co chodzi w tej wojnie.* Ten dwudziestosześcioletek wolał ciemność, jeszcze zanim stał się jej sługą. Jego dom zawsze był sceną. Plecione sznury i aksamitne zasłony. Ciepły blask lamp gazowych. Teatr stanowił centrum jego życia i właśnie do teatru wszedł tego dnia tuż przed południem, by odebrać pocztę. Spodziewał się listów od swoich miłośników. Być może ktoś widział go w Nowym Jorku w legendarnej już roli Marka Antoniusza lub przeżył dreszcze, oglądając go jako księcia Pescarę w *Apostacie*, sztuce wystawianej na deskach, na których właśnie stał.

Drzwi załadunkowe na zapleczu, a także wszystkie wejścia na salę otwarto, by wpuścić do środka trochę światła, lecz mimo to wnętrze Teatru Forda pozostawało w znacznej mierze zaciemnione. Pierwsze

dwa rzędy balkonów były skryte w cieniu i każde uderzenie obcasów Bootha o parkiet sceny wypełniało echem pustą przestrzeń. Nie było na świecie miejsca, w którym czułby się lepiej. Często spędzał dni w mrocznych salach teatralnych, śpiąc na pomoście nad sceną, czytając przy świecy na górnym balkonie lub ćwicząc przed niewidzialną publicznością. *Pusty teatr jest obietnicą. Czy nie tak mówili? Pusty teatr jest niespełnioną obietnicą.* Za kilka godzin będzie tu tylko światło i hałas. Śmiech i owacje. Barwni ludzie w kolorowych strojach. Dziś wieczorem obietnica zostanie spełniona. A potem kurtyna pójdzie w dół, lampy gazowe zgasną i znów zapanuje ciemność. W tym tkwiło piękno. Tym właśnie był teatr.



FIG. 27-C - A GROUP OF FREED SLAVES COLLECTS CONFEDERATE BODIES IN COLD HARBOR, VIRGINIA AFTER THE WAR IN 1865. NOTE THE FANGS VISIBLE IN THE SKULL TO THE KNEELING MAN'S FEET.

RYS. 27-C – GRUPA BYŁYCH NIEWOLNIKÓW ZBIERA CIAŁA ŻOŁNIERZY KONFEDERACJI W COLD HARBOR W WIRGINII, PO WOJNIE W 1865 R. WARTO ZWRÓCIĆ UWAGĘ NA KŁY WIDOCZNE W CZASZCE PO LEWEJ OD KLĘCZĄCEGO MĘŻCZYZNY.

Booth zauważył dwóch mężczyzn pracujących w łoży po lewej stronie sceny, jakieś trzy metry nad jego głową. Usuwali przepierzenie

między dwiema małymi łóżkami, by połączyć je w jedną, większą, prawdopodobnie dla jakiejś ważnej osobistości. Rozpoznał jednego z nich. Był to Edmund Spangler, jego stary znajomy, często zatrudniany do pracy w teatrze. Człowiek o zgrabiąłych dłoniach i przekrwionej twarzy.

– I kogóż to zaprosiłeś do swej łóży, Spangler? – spytał Booth.

– Prezydenta i Pierwszą Damę. W towarzystwie generała Granta i pani generałowej.

Both wybiegł bez słowa z teatru, zapomniał o odebraniu poczty.

Należało skontaktować się z przyjaciółmi, nakreślić plany, przygotować broń – na wszystko było tak niewiele czasu. Tak mało czasu, ale taka szansa! Udał się prosto do pensjonatu Mary Surratt.

Mary, krągła kobieta przeciętnej urody, była dawną kochanką Bootha i gorącą zwolenniczką Południa. Poznała Johna wiele lat wcześniej, gdy pojawił się w knajpie prowadzonej przez jej rodzinę w Maryland. Choć była od niego czternaście lat starsza, zakochała się bez pamięci w młodym aktorze i wybuchł między nimi romans. Po śmierci męża Mary sprzedała knajpę i przeprowadziła się do Waszyngtonu, gdzie otworzyła niewielki pensjonat przy H Street. Booth bywał w nim regularnie, ale ostatnimi laty przejawiał mniejsze zainteresowanie „sprawami cielesnymi”. Za to jej uczucie do Bootha nie zgasło. Zatem gdy poprosił ją, by udała się do starej tawerny i kazała obecnemu właścicielowi, Johnowi Lloydowi, szykować broń, nie zawahała się ani przez chwilę. Kilka tygodni wcześniej Booth zostawił u Lloyda skład broni, przygotowując, w końcu niezrealizowany, plan porwania Lincolna i wymienienia go na jeńców

Konfederacji. Tym razem zamierzał wykorzystać tę samą broń w bardziej bezpośredni sposób.

Miłość Mary do Bootha okazała się jej zgubą. Za przekazanie jego wiadomości trzy miesiące później zawisła na stryczku.

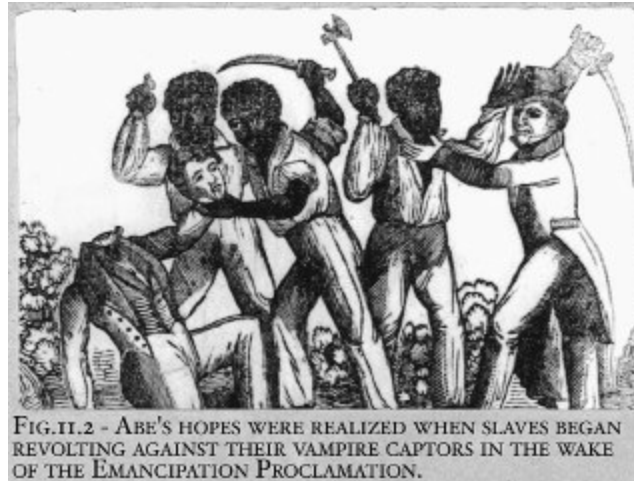
Podczas gdy ona spełniała swoje zadanie, Booth odwiedził po kolei Lewisa Powella i George'a Atzerodta. Obydwaj brali udział w nieudanym spisku mającym na celu porwanie prezydenta i obydwaj byli niezbędni, jeśli miał się udać zuchwały plan, który rodził się jeszcze w głowie Bootha. Atzerodt, starszy z nich, niemiecki imigrant zajmujący się naprawą dorożek, to jego dawny znajomy. Chłopięco przystojny Powell, który nie skończył nawet dwudziestu dwóch lat, był kiedyś żołnierzem i członkiem Secret Service Konfederacji oraz przyjacielem Surrattów. Spotkanie zostało umówione na siódmą tego wieczoru. Booth nie powiedział żadnemu z nich, czego ma dotyczyć.

Kazał im tylko przekazać, że zadanie wymaga odwagi.

III

Abe był w znakomitej formie.

„Przez cały ranek jego gabinet rezonował śmiechem”, wspominał po latach Nicolay. „Początkowo myślałem, że to jakiś inny dźwięk – tak bardzo odwykłym od dobrego nastroju prezydenta”.



RYS. II.2 – NADZIEJE ABE’A SIĘ SPEŁNIŁY, GDY PO OGŁOSZENIU PROKLAMACJI EMANCYPACJI NIEWOLNICY POWSTALI PRZECIWKO SWOIM WŁAŚCICIELOM.

Hugh McCullough, Sekretarz Skarbu, pisał: „Nigdy wcześniej nie widziałem pana Lincolna w tak dobrym humorze”.

Abe’a podniosło na duchu odnowienie kontaktu z towarzyszami łowów oraz telegramy napływające z Departamentu Wojny niemalże co godzinę. Pięć dni wcześniej Lee skapitulował w Wirginii przed Ulysessem Grantem, praktycznie kończąc działania wojenne. Jefferson Davis i jego rząd byli zbiegami.

Chcąc osobiście pogratulować generałowi Grantowi jego wspaniałego zwycięstwa nad Robertem E. Lee, państwo Lincolnowie zaprosili go wraz z żoną do teatru. Wystawiano właśnie nową komedię, a kilka godzin beztróskiego śmiechu było tym, czego Abraham i Mary potrzebowali najbardziej. Jednak generał odmówił, gdyż tego samego wieczoru wyjeżdżał z Julią pociągiem. Spowodowało to całą falę zastępczych zaproszeń, lecz wszystkie były odrzucane z tego czy innego powodu. Podobno Mary powiedziała w którymś momencie: „Można by pomyśleć, że zapraszamy ich na egzekucję”. Abe się niczym nie przejmował. Żadna liczba odpowiedzi

odmownych (choćby i wyrażanych bez należnego szacunku) nie była w stanie zepsuć mu nastroju w to ciepłe wielkopiątkowe popołudnie.

Jestem dziwnie pogodny. [Przewodniczący Izby Schuyler] Colfax przyszedł dziś rano, by omówić odbudowę kraju, ale przyjrząwszy mi się uważnie przez kwadrans, przerwał rozmowę i zapytał, czy aby nie zamieniłem porannej kawy na whisky – taki miałem nastrój. Ani rząd, ani [wiceprezydent Andrew] Johnson nie byli w stanie popsuć mi dzisiaj humoru (choć usilnie się starali). Jednak nie śmiem mówić o moim szczęściu na głos. Mary z pewnością uznałaby to za kuszenie losu. Od dawna w jej naturze – i w mojej – leży lęk, iż takie chwile spokoju stanowią muszą preludium do jakiejś nieprzewidzianej katastrofy. Mimo to drzewa pięknie dziś kwitną i nie mogę tego nie zauważyć.

Powyższy wpis nosi datę 14 kwietnia 1865 i jest ostatnim, jakiego dokonał Abe.

Późnym popołudniem, po wypełnieniu wszystkich obowiązków dnia, prezydent ze swoją żoną szykowali się na przejażdżkę dorożką. Choć Mary nie dorównywała mężowi wesołością, też była w nadzwyczaj dobrym nastroju i to ona zaproponowała „krótką wycieczkę”. Gdy Abe wyszedł przez północny portyk, jednoręki żołnierz Unii (który stał tam cały dzień w nadziei na takie spotkanie) zawołał:

- Oddałbym drugą rękę za uściśnięcie dłoni Abrahama Lincolna!
- Abe podszedł do chłopca i wyciągnął dłoń.
- Uściśniesz ją, nie płacąc żadnej ceny.



RYS. 14C-3. – WARD HILL LAMON SIEDZI NA PRAWO OD ABE'A, NA CHWILĘ PRZED ROZPOCZĘCIEM PRZEZ NIEGO „ADRESU GETTYSBURSKIEGO”. ROZGLĄDA SIĘ NERWOWO W POSZUKIWANIU WAMPIRÓW-ZAMACHOWCÓW. BLIŻSZE SPOJRZENIE NA PRAWĄ KRAWĘDŹ KADRU POZWALA SĄDZIĆ, ŻE JEGO OBAWY BYŁY UZASADNIONE.

IV

Booth zjawił się w wynajmowanym przez Lewisa Powella pokoju dokładnie o siódmej, a towarzyszył mu niski, nerwowy dwudziestodwuletni aptekarz, niejaki David Herold, którego poznał przez Mary Surratt. Atzerodt już tam był. Booth nie tracił czasu.

Wy tłumaczył im, co następuje: za kilka godzin ich czwórka rzuci Unię na kolana. O dziesiątej Lewis Powell zabije Sekretarza Stanu Williama Sewarda, przykutego do łóżka po upadku z powozu. Powella, który nie zna Waszyngtonu, zaprowadzi do domu Sewarda nerwowy aptekarz. Gdy Seward będzie już martwy, dwaj konspiratorzy pojedą mostem Navy Yard do Maryland, gdzie spotkają

się z Boothem. W tym samym czasie Atzerodt zastrzelił wiceprezydenta Andrew Johnsona w jego domu, po czym dołączył do reszty w Maryland. Potem Booth wrócił do Teatru Forda. Tam zabił prezydenta jednostrzałowym pistoletem kieszonkowym i wbijeł nóż w serce generała Granta.

Wobec dekapitacji rządu Unii Jefferson Davis i jego rząd będą mieli czas na reorganizację. Generałowie Konfederacji, Joseph E. Johnston, Meriwether Thompson czy Stand Watie, którzy jeszcze teraz walczyli dzielnie przeciwko podłym Jankesom, dostaną szansę na ponowne uzbrojenie się. Booth i jego trzech kompani ruszą z Maryland na południe, korzystając z pomocy sympatyków Konfederacji w ucieczce przed ścigającymi ich agentami Unii. W miarę jak wieść o ich czynie rozniesie się po kraju, od Teksasu po obydwie Karoliny, rozbrzmiewać będą radosne głosy. Los się odmieni. Zostaną uznani za bohaterów, a John Wilkes Booth otrzyma przydomek „Zbawiciel Południa”.

Atzerodt zaprotestował, mówiąc, że zgodził się na porwanie, nie na morderstwo. Booth odpowiedział płomienną mową. Żadne źródła historyczne nie podają jej treści – wiadomo jedynie, iż była inspirująca i przekonująca.

Prawdopodobnie nie brakowało w niej odniesień do Szekspira. Z pewnością uprzednio dobrze ją sobie Booth przećwiczył. Cokolwiek wtedy rzekł, odniosło to skutek. Co prawda niechętnie, ale Atzerodt przystąpił do spisku. Lękliwy Niemiec nie mógł jednak wiedzieć – nie wiedzieli tego zresztą inni, nawet już idąc po trzynastu schodkach na śmierć – jaka była prawdziwa natura nienawiści młodego aktora do Lincoln.

Z pozoru wydawało się, że to nie ma najmniejszego sensu. John Wilkes Booth cieszył się opinią „najprzystojniejszego mężczyzny w Ameryce”. W całym kraju tłumy zapełniały widownie teatrów, by zobaczyć go na scenie. Kobiety tratowały się nawzajem, by tylko rzucić na niego okiem. Urodził się w rodzinie aktorów i zadebiutował już jako nastolatek. W przeciwieństwie do swoich słynnych starszych braci, Edwina i Juniusa, którzy byli aktorami szkoły klasycznej, John był surowy i kierował się instynktem, skacząc po scenie i krzycząc na cały głos. „Każde słowo, choćby i najbardziej niewinne, brzmiało niczym atak gniewu”, pisał recenzent gazety „Brooklyn Daily Eagle”. „A jednak widz mimowolnie poddaje się jego urokowi. Jest w tym panu coś eterycznego”.

Pewnego wieczoru, po spektaklu *Makbeta* w Richmond, Booth zabrał ponoć sześć młodych dam do pensjonatu i nie wychodził z niego przez trzy dni. Był zamożny i uwielbiany. Robił to, co kochał. John Wilkes Booth powinien być być najszczęśliwszym z żywych.

Tyle tylko, że nie był żywy.

Życie jest tylko przechodnim półcieniem,
Nędznym aktorem, który swoją rolę
Przez parę godzin wygrawszy na scenie,
W nicość przepada – powieścią idioty,
Głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą.⁶³

W wieku trzynastu lat Johnny Booth zapłacił Cygance za wrózenie z dłoni. Zawsze miał obsesję na punkcie losu, zwłaszcza własnego, a to za sprawą historii, którą lubiła opowiadać jego ekscentryczna

matka. „Gdy się urodziłeś”, mawiała, „poprosiłam Boga o znak, który mi powie, co czeka mojego nowo narodzonego syna. I Bóg mi odpowiedział”. Do końca życia Mary Ann Booth przysięgała, że z kominka wyskoczyły nagle płomienie i ułożyły się w słowo „kraj”. Johnny wielokrotnie zastanawiał się, co to mogło oznaczać. Wiedział, że czeka go coś wyjątkowego. Czuł to przez skórę.

– Och, niedobra dłoń – powiedziała Cyganka, lekko się wzdrygając.
– Smutek i kłopoty, smutek i kłopoty za każdym razem.

Booth spodziewał się jakichś oznak swojej przyszłej wielkości, tymczasem usłyszał przepowiednię zagłady.

– Umrzesz młodo – oznajmiła Cyganka. – Ale najpierw doczekasz się potężnej masy wrogów.

Booth zaprotestował. Nie miała racji! Musiała się mylić! Cyganka pokręciła głową. Nic tego nie powstrzyma.

John Wilkes Booth miał „źle skończyć”.

Siedem lat później spełniła się pierwsza część jej mrocznej przepowiedni.

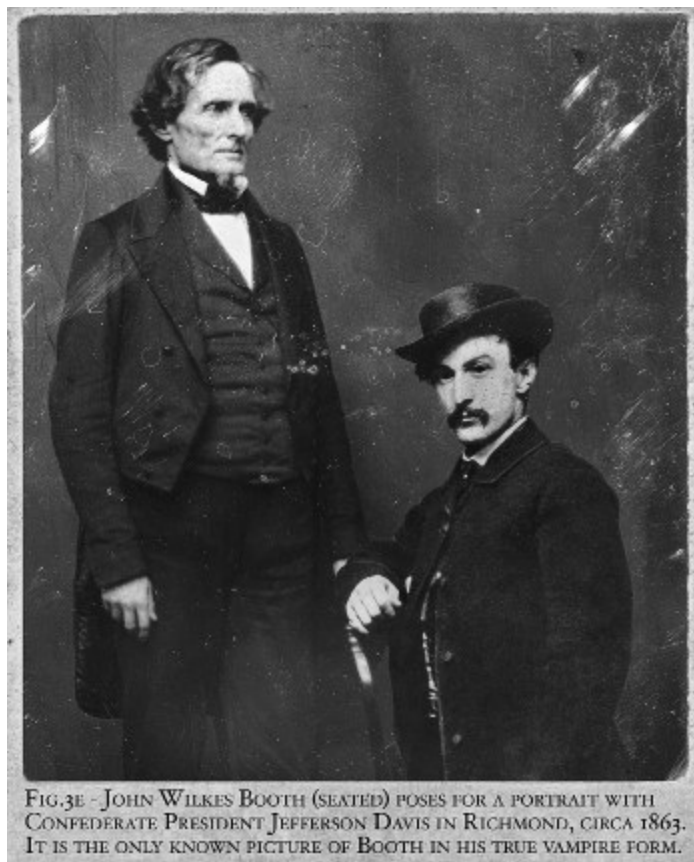
Z sześciu kobiet, które Booth zabrał ze sobą do pensjonatu w Richmond po pamiętnym spektaklu, tylko jedna doczekała następnego dnia. Pozostałe wygonił przed świtem, nie dając im nawet czasu na ubranie się i uczesanie. Gdy opary whisky się ulotniły, zobaczył, że są to te same durne, gadatliwe i oportunistyczne dziewczuchy, jakie stały pod jego garderobą po każdym spektaklu, w każdym mieście. Nie miał z nich żadnego pożytku prócz tego, który przed wschodem słońca zdążył już sobie zapewnić.

Ale dziewczyna, która leżała w jego łóżku, była zupełnie inna.

Drobna ciemnowłosa piękność o skórze w kolorze kości słoniowej, zaledwie dwudziestoletnia, lecz obdarzona spokojem i pewnością siebie dużo starszej kobiety. Charakteryzowała ją też pewna przebiegłość i choć dziewczyna odzywała się rzadko, to zawsze z humorem i głębią. Kochali się godzinami. Żadna kobieta, ani Mary Surratt, ani jego niezliczone garderobiane kochanki, nie dała mu tego co ona. Wzbudzała w nim uczucie, jakie poza nią żywił jedynie do teatru.

Każda kobieta przed nią była niespełnioną obietnicą.

W chwilach odpoczynku Booth wypełniał ciszę opowieściami z młodości. Mówił o słowie „kraj” z płomieni, o Cygance, o narzucającym się przeczuciu, iż czeka go coś wielkiego, coś o większym znaczeniu niż sława czy pieniądze. Dziewczyna zbliżyła usta do jego ucha i powiedziała, w jaki sposób uda mu się osiągnąć tę wielkość. Może jej uwierzył, a może kierowała nim pobłażliwość dla młodej kochanki, ale drugiej nocy John Wilkes Booth dobrowolnie wypił jej krew.



RYS. 3E – JOHN WILKES BOOTH (NA SIEDZĄCO) POZUJE DO PORTRETU Z PREZYDENTEM KONFEDERACJI, JEFFERSONEM DAVISEM, W RICHMOND, OK. 1863 R. JEST TO JEDYNE ZNANE ZDJĘCIE BOOThA W PRAWDZIWYM, WAMPIRYCZNYM WCIELENIU.

Przez następne dwa dni cierpiał najgorszą, lecz ostatnią, chorobę w swoim życiu. Obficie się pocił, miał straszliwe wizje i trząsł się tak gwałtownie, że nogi łóżka stukały o podłogę.

Trzy dni po tym, jak widziano go po raz ostatni, Booth się przebudził. Wstał z łóżka i stanął pośrodku pokoju. Dziewczyna o skórze jak kość słoniowa zniknęła. Nigdy się nie dowiedział, jak miała na imię, nigdy też już jej nie zobaczył. Ale nie martwiło go to. Nigdy nie czuł się tak żywy, jak w tej chwili. Nigdy nie widział ani nie słyszał z taką intensywnością.

Mówiła prawdę.

Booth od dziecka marzył o nieśmiertelności. Teraz ją miał. Zawsze wiedział, że czeka go wyjątkowy los. I oto go spotkał. Teraz zyskał pewność, że zostanie największym aktorem swojego pokolenia, wszystkich pokoleń. Zdobędzie sławę, o jakiej Edwin i Junius mogli tylko śnić. Będzie zaszczycił swoimi występami teatry całego świata, oglądał upadki imperiów i zapamiętywał każde słowo napisane przez Szekspira. Był panem czasu i przestrzeni. Booth mimowolnie się uśmiechnął, gdy przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl. *Stara Cyganka miała rację*. Rzeczywiście umarł młodo, jak mówiła. A teraz będzie żył wiecznie.

Jestem wampirem, pomyślał. Bogu niech będą dzięki.

Nieśmiertelność początkowo go rozczarowała. Jak wiele innych wampirów w historii, Booth musiał sam odebrać bolesne lekcje o śmierci. Nie miał mentora, który wyjaśniłby mu tysiąc szeptów wypełniających teraz widownie teatrów, w których występował. Żaden sprzedawca nie mógł mu doradzić w kwestii wyboru okularów przeciwsłonecznych ani nauczyć go usuwania plam krwi z mankietów płaszcza. Gdy po raz pierwszy zaczął odczuwać głód rozbijający się falami w jego mózgu, potrafił snuć się godzinami po ciemnych uliczkach Richmond i śledzić zataczających się pijaków w krętych alejkach, ale nigdy nie odważył się na zadanie ciosu.

Gdy głód stał się tak nieznośny, że spychał go w szaleństwo, Booth zebrał się wreszcie na odwagę, lecz nie w Richmond. Dwadzieścia dni po uzyskaniu nieśmiertelności wskoczył po zmroku na konia i ruszył na plantację do leżącego nieco dalej Charles City. Bogaty hodowca tytoniu Harrison był kiedyś na *Hamlecie* i zaprosił młodego aktora na

kolację do swojego domu. Booth postanowił skorzystać z jego oferty przed czasem.

Przywiązał konia do drzewa w sadzie, jakieś osiemdziesiąt metrów od kwater niewolników, na które składało się dziesięć identycznych, ciasno ustawionych baraków z cegły. Z ich kominów nie wylatywał dym, w oknach było ciemno. Booth podszedł do najbliższego z budynków (dla własnej wygody) i zajrzał do środka. Wewnątrz nie płonął ogień, a na niebie nie było księżyca, lecz mimo to widział wszystko jakby oświetlone gazowymi lampami rampy, które oślepiły go co wieczór.

W izbie spał tuzin czarnych w różnym wieku, niektórzy na łózkach, inni na plecionych matach. Najbliżej niego, tuż pod oknem, leżała na brzuchu dziewczynka, siedmio- lub ośmioletnia ubrana w obszarpaną, białą koszulę nocną.

Kilka minut później Booth siedział w sadzie i łkał. Na rękach trzymał martwe ciało małej. Jej krew spływała mu po dłoniach, kłach i podbródku. Upadł na kolana i przycisnął dziecko do piersi.

Był diabłem.

Booth poczuł, jak kły wbijają się w gruby mięsień jej szyi. Znow zaczął pić.

V

Po całym dniu wysłuchiwania kulturalnych odpowiedzi odmownych Lincolnowie znaleźli w końcu parę chętną, by spędzić z nimi wieczór w teatrze. Major Henry Rathbone i jego narzeczona, Clara Harris, córka nowojorskiego senatora, Iry Harrisa, siedzieli tyłem do kierunku jazdy, patrząc na parę prezydencką, podczas gdy dyliżans

przecinał kładącą się na ulicach lekką mgłę. Mary czuła chłód wieczoru, ubrana w czarną suknię z jedwabiu i czepek. Abe'owi było ciepło w czarnym wełnianym płaszczu i białych rękawiczkach. Dotarli do Teatru Forda tuż przed ósmą trzydzieści. Sztuka *Nasz kuzyn w Ameryce* już się zaczęła. Abe, który nie cierpiał się spóźniać, przeprosił odźwiernego i powitał swojego ochroniarza, Johna F. Parkera.

Tego dnia Parker, waszyngtoński policjant, zjawił się na dyżur w Białym Domu z trzygodzinnym opóźnieniem, bez usprawiedliwienia. William H. Crook, dzienny ochroniarz Lincolna, ze złością odesłał Parkera do Teatru Forda i kazał tam czekać na prezydenta. Z czasem naród miał się dowiedzieć, że Parker był pijakiem, wielokrotnie karany za zasypianie na służbie.

Tego wieczoru spoczywała na nim odpowiedzialność za ochronę Abrahama Lincolna.

Lincolnowie i ich goście zostali poprowadzeni wąskimi schodami do podwójnej łoży, gdzie czekały na nich cztery miejsca. Najdalej na lewo stał czarny fotel bujany dla Abe'a. Mary usiadła obok niego. Miejsce po jej prawej stronie zajęła Clara, major usadowił się najbardziej na prawo.

Gdy tylko cała czwórka zajęła miejsca, przerwano przedstawienie, by ogłosić przybycie prezydenta. Abe wstał, nieco zakłopotany, a orkiestra zagrała marsza prezydenckiego. Tysięczna publiczność podniosła się z foteli i salę wypełnił aplauz. Gdy sztuka została wznowiona, John Parker usiadł za drzwiami łoży. Z tego miejsca mógł widzieć każdego, kto zechciałby zbliżyć się do prezydenta.

Na zapleczu sceny nikt nie zwrócił uwagi na Johna Wilkesa Bootha, który zjawił się godzinę po przybyciu Lincolna. Był stałym

bywalcem Teatru Forda, często śledził przedstawienia zza kulis. Jednak tym razem nie interesowała go wystawiana sztuka. Nie miał też czasu na rozmowy z młodymi aktorkami. Wykorzystując swoją znajomość budynku, przemierzył labirynt korytarzy i przesmyków, by dostać się do drzwi prowadzących do łoży prezydenckiej. Ze zdziwieniem stwierdził, że nikt ich nie pilnuje. Booth spodziewał się przynajmniej jednego ochroniarza i planował wykorzystać swoją sławę, by wejść do łoży prezydenta. *Wielki aktor składa wyrazy uznania wielkiemu człowiekowi.* W tym celu miał przy sobie bilet wizytowy.

Stało tam jednak tylko puste krzesło.

John Parker był zły, że nie widzi sceny, więc w drugim akcie po prostu opuścił swój posterunek, by znaleźć lepsze miejsce. Na początku trzeciego aktu poszedł na drinka do sąsiadującej z teatrem knajpy. Booth i Lincoln dzieliły jedynie wąskie schodki.

Mary Lincoln ujęła dłoń męża. Spojrzała ukradkiem na Clare Harris, której dłonie spoczywały na kolanach, i szepnęła Abe'owi na ucho:

– Co sobie o mnie pomyśli panna Harris, widząc, że tak się ciebie trzymam?

– Nic sobie nie pomyśli.

Większość historyków uważa, że były to ostatnie słowa Abrahama Lincolna.

Booth wszedł cicho po schodach i stanął przy drzwiach, czekając, aż ze sceny padnie kwestia, która zawsze wywoływała salwę śmiechu.

Dostatecznie głośną, by stłumić odgłos wystrzału pistoletu.

Harry Hawks stał sam na scenie i wygłaszał podniosły monolog. Booth czekał bez ruchu, słuchając donośnego głosu aktora. W końcu zrobił krok do przodu, wycelował w tył głowy Lincolna i ostrożnie, bardzo ostrożnie odciągnął kurek. Gdyby Abe był o dziesięć lat młodszy, mógłby usłyszeć kliknięcie i zareagować ze zwinnością i siłą, które tyle razy wyciągały go z opresji. Ale był stary. Zmęczony. Czuł tylko dłoń Mary na swojej. Słyszał jedynie tubalny głos Harry'ego Hawksa: „Nie znasz ty manier dobrego towarzystwa? Cóż, ja znam je na tyle, by cię wywrócić na nice, stara babo. Ty przebiegła jędz!”.

Publiczność zawyła. Booth strzelił.

Kula przebiła czaszkę Abe'a; upadł nieprzytomny. Krzyk Mary zmieszał się z ogłuszającym śmiechem widowni, a Booth wyjął nóż myśliwski i skierował się do następnej ofiary, lecz zamiast generała Granta, stanął przed nim młody major Rathbone, który wyskoczył z fotela i zaatakował zamachowca. Booth wbił ostrze noża w biceps majora i doskoczył do poręczy. Rathbone chwycił go za płaszcz zdrową ręką, ale zabrakło mu sił, by go utrzymać. Booth przeskoczył przez poręcz. Jednak zaczepił ostrogą o jedną z flag zawieszonych wcześniej przez Edmunda Spanglera. Booth upadł na scenę i złamał lewą nogę w kolanie.

Pomimo kontuzji wytrawny aktor nie mógł sobie darować teatralnego gestu. Wstał, spojrzął na ogarniętą paniką widownię i zawołał:

– Sic semper tyrannis!

Było to motto Wirginii. *I tak zawsze tyranom!* Po tych słowach John Wilkes Booth zszedł po raz ostatni ze sceny.

Podobnie jak przemowę do spiskowców, również i tę partię wcześniej przećwiczył.

VI

Mniej więcej w tym samym czasie Lewis Powell wybiegał z domu Sekretarza Stanu Sewarda z okrzykiem: „Oszalałem! Oszalałem!”. Choć wtedy jeszcze tego nie wiedział, jego misja zakończyła się fiaskiem.

Herold, nerwowy aptekarz, wykonał swoje zadanie. Zaprowadził Powella do posiadłości Sewarda, a sam patrzył z oddali, jak Powell puka do drzwi tuż po dziesiątej wieczorem. Gdy kamerdyner otworzył, Powell wypowiedział starannie przećwiczoną kwestię:

– Dobry wieczór. Przyniosłem lekarstwa dla Sekretarza. Mam mu je dostarczyć do rąk własnych.

Parę chwil później był już na piętrze, zaledwie kilka metrów od swojej niedosłej ofiary. Jednak zanim wszedł do pokoju Sewarda, napotkał po drodze jego syna, Fredericka.

– Pan w jakiej sprawie do ojca?

Powell powtórzył swoją kwestię, słowo w słowo. Ale młody Seward nie uwierzył. Coś mu nie pasowało i kazał przybyszowi wrócić nazajutrz.

Lewis Powell nie miał wyboru. Wyciągnął rewolwer, wycelował w głowę Fredericka i pociągnął za spust. Nic. Pistolet nie wystrzelił.

Oszalałem! Oszalałem!

Nie było czasu do stracenia. Powell uderzył Fredericka pistoletem w głowę. Ten padł na podłogę, krwawiąc z nosa i uszu. Napastnik wbiegł do pokoju Sekretarza, gdzie zastał jego krzyczącą córkę, Fanny Seward. Nie zwracając na nią uwagi, rzucił się z nożem na starca, dźgając go wielokrotnie w twarz i szyję, aż spadł z łóżka martwy.

Tak przynajmniej wydawało się Powellowi. Od wypadku z dorożką

Seward nosił na szyi żelazny kołnierz. Twarz miał poważnie okaleczoną, ale ostrze noża nie dosięgło tętnicy szyjnej.

Powell poranił dłonie i rękę Fanny Seward i wybiegł z pokoju na korytarz. Uciekając po schodach, natknął się na kolejne dziecko Sewarda, Augustusa, oraz gościa rodziny, sierżanta Robinsona. Obydwaj próbowali zatrzymać intruza i obydwaj zostali przy tym zranieni, podobnie jak Emerick Hansell, kurier z telegramem. Hansell miał pecha znaleźć się u drzwi Sewardów dokładnie w chwili, gdy wybiegał przez nie Powell.

O dziwo żadna z ofiar nie umarła.

Nerwowy aptekarz zapadł się pod ziemię, wystraszony krzykami Fanny Seward. Powell, który nie znał dobrze tych terenów, musiał dać sobie radę sam. Wyrzucił zakrwawiony nóż do rynsztoka, odwiązał konia i popędził w noc.

Choć napad na Sewarda zakończył się fiaskiem, Powell mógł się pocieszyć myślą, że poradził sobie znacznie lepiej niż George Atzerodt. Niemcowi zabrakło odwagi, upił się w barze w pensjonacie wiceprezydenta, po czym do rana łaził bez celu po ulicach Waszyngtonu.

VII

Dwudziestotrzyletni Charles Leale pomagał innym żołnierzom położyć prezydenta na łóżku w pensjonacie Petersena naprzeciwko teatru. Musieli położyć go na ukos, gdyż był zbyt wysoki, by leżeć prosto. Leale, chirurg wojskowy, który znalazł się na widowni, był pierwszym lekarzem na miejscu zdarzenia. Przepchnął się przez tłum i wszedł do łóża, gdzie znalazł prezydenta pochylonego w fotelu bujanym. Po

ułożeniu go na podłodze i zbadaniu stwierdził brak oddechu i pulsu. Szybko wyczuł dłonią otwór w czaszce, tuż za lewym uchem. Gdy skrzep został usunięty, Abe odzyskał oddech.

Leale był młody, ale nie naiwny. Widział zbyt wiele podobnych obrażeń na polu bitwy, by nie wiedzieć, czym się kończą. Kilka minut po zamachu ogłosił ponurą, lecz trafną diagnozę:

– Rana jest śmiertelna. Nie da się prezydenta uratować.

Mary nie była w stanie wytrzymać w jednym pokoju z umierającym mężem, więc całą noc spędziła w salonie pensjonatu, płacząc. Robert i Tad zjawili się trochę po północy i usiedli przy łóżku Abe'a, tak jak Abe siedział niemal pięćdziesiąt lat temu u boku umierającej matki. Byli tam też Gideon Welles, Edwin Stanton i cała plejada najlepszych lekarzy stolicy, którzy przybyli na pomoc. Ale nic nie dało się zrobić. Doktor Robert King Stone, lekarz rodzinny Lincolnów, zbadał prezydenta w nocy i stwierdził, że przypadek jest „beznadziejny”.

Koniec był tylko kwestią czasu.

Do rana przed budynkiem zebrał się spory tłum. Oddech prezydenta zdecydowanie osłabł, a rytm serca stał się nieregularny. Jego skóra była zimna w dotyku. Wielu lekarzy twierdziło, że rana tego typu zabiłaby prawie każdego w ciągu dwóch godzin, może nawet szybciej. Abe wytrwał dziewięć. Ale Abe Lincoln zawsze był wyjątkowy. Abe Lincoln zawsze żył.

Dziecię, które matka karmiła i kochała,
Matka, co dziecieniu miłość pokazała,
Ojciec, który obu dał błogosławieństwo,
Wszyscy oni w drodze na spoczynku miejsce. ⁶⁴

Abraham Lincoln zmarł o 7.22 rano, w idy kwietniowe 1865 roku.

Czuwający przy jego łóżku pochyłili głowy w modlitwie. Gdy skończyli, Edwin Stanton powiedział:

– Teraz należy do wieczności.

Po tych słowach wrócił do swoich telegramów. John Wilkes Booth uciekł i Stanton zamierzał go schwytać.

VIII

Boothowi i Heroldowi udało się uniknąć kontaktu z armią Unii przez jedenaście dni. Uciekli najpierw do Maryland, a potem do Wirginii. Ukrywali się na bagnach i spali na ziemi. Booth spodziewał się, że ludzie uznają go za bohatera, za Zbawiciela Południa, a tymczasem został odtrącony. „Posunąłeś się za daleko”, mówili mu. „Jankesi spalą teraz każdy dom od Baltimore po Birmingham, żeby cię znaleźć”.

Spełniła się druga przepowiednia Cyganki. Booth doczekał się „potężnej masy wrogów”.

Dwudziestego szóstego kwietnia obudził się z krzykiem i od razu wiedział.

Przeklęty zdrajca...

Richard Garrett był jedynym mieszkańcem Wirginii, który ich nie odtrącił. Nakarmił i pozwolił spać w ciepłej stodole z tytoniem. Sądząc po zebranych teraz na zewnątrz żołnierzach Unii, sprzedał ich za pieniądze z nagrody.

Herolda nie było. *Cholerny tchórz pewnie się poddał.* Nie miało to znaczenia. W pojedynkę będzie szybszy. Zapadła noc, a noc należała do jemu podobnych. *Niech poczekają, pomyślał. Niech zobaczą, kim*

jestem. Noga już dawno mu się zagoiła i choć był osłabiony przez głód, żołnierze nie mogli wyrządzić mu krzywdy. Nie w ciemnościach.

– Poddaj się, Booth! To ostatnie ostrzeżenie!

Booth nie zareagował. Zgodnie z zapowiedzią żołnierze Unii drugi raz go nie uprzedzali. Po prostu podpalili ściany stodoły i rzucili pochodnie na dach. Stary, wyschnięty budynek zajął się w ciągu kilkunastu sekund. Oślepiający ogień sprawił, że ciemne kąty pomieszczenia wydawały się jeszcze mroczniejsze. Booth założył ciemne okulary. Wysłuzone dźwigary zaczęły trzaskać w płomieniach, a pasma szarego dymu pełzały po ścianach. Stał na środku i obciągnął w dół poły kurtki – aktorskie przyzwyczajenie. Chciał wyglądać jak najlepiej. Chciał, żeby Jankesi zobaczyli, z kim mają do czynienia, zanim...

Ktoś tu ze mną jest... ktoś, kto źle mi życzy...

Booth obracał się wokół, przygotowując na atak, który mógł nadejść z dowolnej strony, w dowolnej chwili. Wypuścił kły, oczy przybrały czarny kolor. Był gotów na wszystko...

Ale nic się nie działo. Nic, tylko dym, płomienie i cień.

Co to za podstęp? Dlaczego nie wyczułem go, zanim...

– Bo jesteś słaby...

Booth odwrócił się gwałtownie w kierunku, z którego dobiegł obcy głos.

Henry Sturges wyłonił się z ciemnego kąta stodoły.

– ...i za dużo myślisz.

On chce mnie zniszczyć...

– Ukarzesz mnie za zabicie żywego człowieka? – Booth zrobił krok w tył, widząc, że Henry naciera. – Wolisz ŻYWEGO CZŁOWIEKA?

Henry nie odpowiedział. Czas na słowa minął. Wysunął kły, a jego

oczy zaszły czernią.

Booth nagle wszystko pojął. Może ten ktoś chciał, by zrozumiał.
Zmusił go do zrozumienia.

To ostatnie sekundy mojego życia.

Booth mimowolnie się uśmiechnął.

Stara Cyganka miała rację.

John Wilkes Booth właśnie kończył źle.

CZTERNAŚCIE

Dom

Miałem sen, że nadejdzie dzień, w którym ten naród powstanie i urzeczywistni prawdziwy sens tych słów: „Uważamy te prawdy za oczywiste: wszyscy ludzie rodzą się równi”.

Dr Martin Luther King Jr., 28 sierpnia 1963

I

Abraham Lincoln miał sen.

Obserwował swoją ofiarę, jak porusza się wśród ludzi. Patrzył, z jaką pewnością ich okrąża. Jak wybiera. Jak piorunuje ich wzrokiem niczym bóg, w duchu się z nich śmiejąc, pławiąc w ich bezsilności. *Ale to ty, pomyślał, jesteś dziś bezsilny.*

Jeszcze tylko chwila. Jeszcze chwila i się zacznie. Seria wyćwiczonych ruchów. Przedstawienie doskonałe z każdą mijającą nocą. Tylko chwila, a po niej siła, nagły ruch i szybkość. Będzie patrzył w ciemne oczy i widział, jak uchodzi z nich życie. Na zawsze. I to będzie koniec. Na dzisiaj.

Znów miał dwadzieścia pięć lat i był krzepki. Cały smutek jego życia – wszystkie wątpliwości, śmierci i rozczarowania – prowadził do tego momentu. Był ogniem płonącym w jego piersi. Dawał mu siłę.

Był nią. W takich chwilach przychodziła mu do głowy pewna modlitwa. W chwilach przed krzykiem, przed targiem i krwią. Nieczęsto odmawiał modlitwy, ale tę lubił:

Jeśli wróg mój jest szybki, daj mi zwinność. Jeśli jest silny, daj mi, Panie, moc, by go pokonać. Bo ja walczę po stronie dobra. Za sprawiedliwość. Ja jestem po stronie światła.

Wielokrotnie ostrzył topór. *Gdybym dostatecznie mocno nim machnął, powietrze by krwawiło.* Przez lata uchwyt idealnie dopasował się do jego masywnych dłoni. Każda bruzda była mu przyjacielem. Trudno było stwierdzić, gdzie kończyła się jego ręka, a zaczynał topór. Nie dało się wiedzieć, ile...

Teraz.

Zeskoczył z dachu stodoły i leciał nad swoją ofiarą. Kreatura podniosła wzrok, oczy momentalnie jej poczerniały. Wypuściła kły, puste i głodne. Abe rzucił topór z całych sił i poczuł, jak uchwyt opuszcza jego dłoń, gdy był jeszcze wysoko nad ziemią. Opadając, kątem oka dostrzegł twarz bezbronny mężczyzny, wystraszonego i nic nierozumiejącego. Nieświadomego jeszcze, że właśnie uratowano mu życie. *Nie robię tego dla ciebie, pomyślał. Robię to dla niej.* Patrzył, jak jego stary przyjaciel wiruje w powietrzu... *drewno metal drewno metal drewno metal.* Wiedział. W momencie, gdy rzucił toporem, wiedział, że jego ostrze znajdzie cel. Znał dźwięk, jaki wyda, wbijając się w czaszkę tego fałszywego bóstwa i przełamując jego uśmiech na pół, rwąc mózg i odbierając życie wieczne. Wiedział, bo było to jego celem.

Od zawsze było to jego celem.

Abe obudził się w swoim gabinecie w Białym Domu.

Ubrał się i usiadł przy niewielkim biurku, które stało pod jednym z południowych okien. Był idealny sierpniowy poranek.

Dobrze jest być w Waszyngtonie. Dziwnie jest pisać te słowa, ale może poniosło mnie ogólne podniecenie, które wisi dziś w powietrzu. A zanosi się na historyczny dzień. Modłę się tylko, by został zapamiętany z właściwych powodów, a nie przez przemoc, którą niektórzy wieszczą (a o której inni marzą). Nie ma jeszcze ósmej rano, a już widzę ludzi idących przez park Ellipse w stronę pomnika. Ilu ich będzie? Kto będzie przemawiał i jak zostaną odebrane ich mowy? Dowiemy się tego za kilka godzin. Żałuję tylko, że nie wybrano innego miejsca. Przyznam, że bliskość pomnika sprawia mi niemały dyskomfort. Jednak zdziwiła mnie łatwość, z jaką przyszło mi zasnąć w moim gabinecie. W końcu to tutaj złożyłem podpis pod dokumentem, który umożliwił wydarzenia tego dnia. Muszę pamiętać o podziękowaniu prezydentowi Kennedy'emu za zaproszenie mnie.

II

Rano 21 kwietnia 1865 roku pociąg żałobny z Abrahamem Lincolnem wyjechał z Waszyngtonu i rozpoczął kurs do Springfield.

Tysiące ludzi stało wzdłuż torów, gdy pięć po ósmej, z dworca

Baltimore & Ohio odjeżdżał „Lincoln Special” – dziewięć wagonów ozdobionych czarnymi girlandami z portretem zmarłego prezydenta zawieszonym nad zgarniaczem lokomotywy. Wzruszeni mężczyźni stali z kapeluszami w dłoniach, panie z pochylonymi głowami. Żołnierze, a wśród nich wielu, którzy podnieśli się z łóżek szpitalnych, stali wyprostowani jak struny, salutując swojemu nieżyjącemu dowódcy.

Z Abem jechali jego dwaj synowie – Robert, dwudziestojednoletni kapitan, i Willie, którego trumna została wyjęta z krypty i ustawiona obok trumny ojca. Tam został w Waszyngtonie z Mary, która była pogrążona w zbyt głębokim żalu, by opuścić Biały Dom. Przez trzynaście dni pociąg jechał przez terytorium Północy, pokonał blisko trzy tysiące kilometrów, zatrzymując się w wyznaczonych miastach, gdzie prezydencka trumna wystawiana była na widok publiczny. W Filadelfii trzysta tysięcy ludzi tłoczyło się, by oddać hołd ciału zamordowanego prezydenta. W Nowym Jorku pół miliona chciało zobaczyć Abe’a, a procesję pogrzebową oglądał sześćioletni Theodore Roosevelt. W Chicago setki tysięcy ludzi zebrały się na czuwaniu pod gołym niebem przy podeście z napisem „Wierny Prawdzie – Męczennik Sprawiedliwości”.

W sumie ponad dwanaście milionów Amerykanów stało przy torach, by ujrzeć przejeżdżającą procesję pogrzebową, a ponad milion widziało otwartą trumnę z prezydentem.

W czwartek 4 maja 1865 roku morze czarnych parasolek osłaniało tysiące żałobników, którzy patrzyli w upalnym słońcu, jak zamknięta na wieki trumna Abe’a wwożona jest na cmentarz Oak Ridge na

karawanie ciągniętym przez sześć białych koni.

Gdy biskup Matthew Simpson wygłaszał mowę żałobną na cześć „zbawcy Unii”, jeden z obecnych żałobników wyglądał na szczególnie przygnębionego; spoglądał znad ciemnych okularów i ścisnął w dłoniach czarny parasol. Choć jego oczy nie znały łez, cierpiał po stracie Abe’a bardziej niż którykolwiek z żywych przybyłych tego dnia do Springfield.

Henry stał przy tymczasowej krypcie (w której trumny Abe’a i Williego miały czekać na zbudowanie właściwego grobowca) jeszcze długo po zachodzie słońca i rozejściu się tłumów, pełniąc straż przy przyjacielu, którego znał przez czterdzieści lat. Pilnował człowieka, który uratował naród przed niewolą i przegonił ciemność z powrotem do strefy cienia.

Został przy nim przez większą część nocy, a to cicho kontemplując, a to odczytując kartki zostawione przez ludzi wśród kwiatów i innych pamiątek przy żelaznej kracie. Jeden z tych liścików szczególnie go wzruszył:

„Jestem wrogiem tyranii, obrońcą wolności”⁶⁵.

W 1871 roku Tad Lincoln, który wówczas mieszkał z matką w Chicago, zachorował na gruźlicę. Umarł 15 lipca w wieku osiemnastu lat. Jego ciało zostało przewiezione do Springfield i złożone w rodzinnym grobowcu, obok ojca i braci, Williego i Eddy’ego. I znowu to Robert szedł w procesji żałobnej, gdyż Mary pogrążona była w zbyt wielkim żalu.

Spośród wszystkich dzieci Abe’a tylko Robert dożył nowego stulecia. W przyszłości miał się ożenić i spłodzić trzech synów,

a potem służyć jako Sekretarz Wojny w rządach dwóch prezydentów, Jamesa Garfielda i Chestera A. Arthura. Zmarł spokojną śmiercią w 1926 roku, w swoim domu w Vermont, w wieku osiemdziesięciu dwóch lat.

Śmierć Tada była ostatnim ciosem dla psychiki Mary. W następnych latach stawała się coraz bardziej nieobliczalna. Często się zaklinała, że podczas wieczornych spacerów widzi wpatrzoną w nią twarz swojego zmarłego męża. Miewała ataki paranoi, utrzymywała, że obcy ludzie próbują ją otruć lub okraść. Kiedyś kazała krawcowej wszyć pod podszewki halek bony skarbowe o wartości pięćdziesięciu sześciu tysięcy dolarów. Gdy wreszcie spróbowała popełnić samobójstwo, Robert nie miał wyboru i umieścił ją w klinice psychiatrycznej. Po wyjściu z niej Mary wróciła do Springfield, gdzie zmarła w 1882 roku, w wieku sześćdziesięciu trzech lat. Jej ciało złożono obok trzech synów, których opłakiwała za życia.

Po wojnie secesyjnej zdarzyło się kilka prób wykradzenia zwłok Abrahama Lincolna, aż w 1901 roku Robert Lincoln nakazał zalanie trumny cementem, tak by nikt nigdy już jej nie zobaczył. Żadnemu z niedoszłych złodziei nie udało się nawet otworzyć ciężkiego wieka trumny.

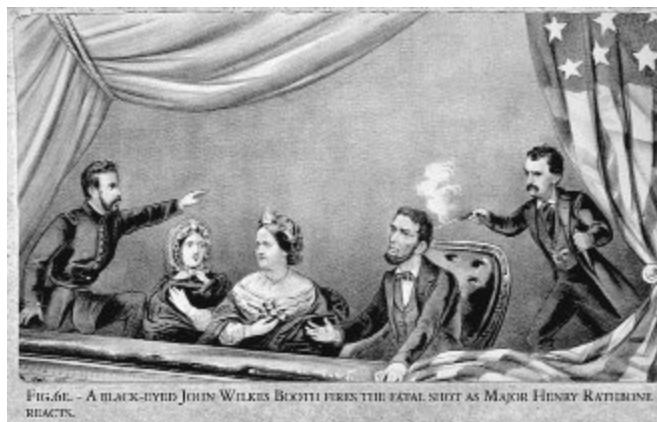
Gdyby im się udało, dokonaliby wstrząsającego odkrycia.

III

Dwudziestego ósmego sierpnia 1963 roku Henry Sturges stanął przed pomnikiem Lincolna, ubrany i uczesany zgodnie z duchem czasu, z czarnym parasolem i ciemnymi okularami. Towarzyszył mu

nienaturalnie wysoki przyjaciel z oczami schowanymi za parą raybanów i długimi do ramion włosami pod kapeluszem z opadającym rondem. Gęsta broda zasłaniała jego kościstą twarz – tę samą, która patrzyła na niego z marmurowego tronu (wywołując w nim niemałe zażenowanie). Obaj słuchali uważnie i z dumą, jak czarnoskóry kaznodzieja przemawia do dwustu pięćdziesięciu tysięcy ludzi.

– Sto lat temu – rozpoczął duchowny – wielki Amerykanin, w którego symbolicznym cieniu dziś stoimy, podpisał Proklamację Emancypacji. Ów monumentalny dekret posłużył za latarnię morską dającą światło nadziei milionom niewolników uginających się pod ciężarem niesprawiedliwości. Był radosnym świtem po długiej nocy w niewoli. Ale sto lat później musimy spojrzeć w oczy prawdzie, iż czarni wciąż nie są wolni.



RYS. 6E. – CZARNOOKI JOHN WILKES BOOTH ODDAJE ŚMIERTELNY STRZAŁ, PROWOKUJĄC REAKCJĘ MAJORA HENRY'EGO RATHBONE'A.

Abe i Henry przybyli, by dokończyć dzieła rozpoczętego sto lat wcześniej. Byli obecni podczas Rekonstrukcji, wyganiaли z kraju wampiry, które zostały, by dręczyć wyemancypowanych niewolników.

– Mam sen, iż pewnego dnia na czerwonych wzgórzach Georgii synowie dawnych niewolników i synowie dawnych właścicieli niewolników będą mogli usiąść razem do braterskiej wieczerzy.

Byli obecni w Missisipi, gdzie zadawali śmierć demonom w białych kapturach, w świetle płonących krzyży.

– Nadszedł czas, by urzeczywistnić ideę sprawiedliwości dla wszystkich dzieci Bożych.

I byli w Europie, gdzie miliony ludzi oddało życie, aby stłumić drugie powstanie wampirów w latach 1939–1945.

Ale wciąż było nad czym pracować.

– Nareszcie wolni! Nareszcie wolni! Dzięki Bogu Wszechmogącemu nareszcie wolni!



MARTIN LUTHER KING

Tłum odpowiedział owacją, a kaznodzieja zszedł z mównicy. Był przepiękny letni dzień. Kluczowy dzień w walce człowieka o wolność. Podobnie jak ten, w którym złożono ciało Abrahama Lincolna do grobu dziewięćdziesiąt osiem lat wcześniej, a Henry Sturges podjął decyzję...

...że niektórzy są po prostu zbyt interesujący, by pozwolić im

umrzeć.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Benowi Greenbergowi, Jamie Raab i wszystkim moim nowym przyjaciołom z Grand Central, który zapalili się do mojego pomysłu i pomogli mi go zrealizować. Wyrazy wdzięczności dla Claudii Ballard, bez której nie byłoby to możliwe, dla Alicii Gordon, bez której wiele innych rzeczy nie mogłoby się zdarzyć, i dla wszystkich w William Morris Endeavor. Dziękuję cudownie przerażającemu Greggowi Gellmanowi; internetowi (bez którego nie napisałbym tej książki), a zwłaszcza wyszukiwarce Google, Wikipedii i stronie The Lincoln Log. Wszystkie one okazały się bezcennymi źródłami. Dziękuję kawiarni Starbucks – dopełniacie mnie; Stephanie Isaacson za jej genialne opanowanie Photoshopa; Davidowi i całej ekipie w MTV za cierpliwe znoszenie mojej przerośniętej ambicji. I mojemu nieustraszonemu asystentowi Samowi.

Specjalne podziękowania należą się Erin i Joshowi za to, że dali mi wolne na większą część 2009 roku.

No i dziękuję wreszcie Abe'owi, którego życie nawet bez wampirów było fascynujące. I Henry'emu Sturgesowi – gdziekolwiek teraz jest.

-
- ¹ Wtedy nie posługiwał się tym imieniem. By zachować konsekwencję, w całej książce używam jego prawdziwego imienia.
- ² *To Mock a Killing Bird* (ang.) – Wyśmiać zabójczego ptaka: gra słów polegająca na odwróceniu porządku wyrazów w oryginalnym tytule powieści Harper Lee *Zabić drozda* (*To Kill a Mocking Bird*).
- ³ Pierwsi osadnicy często budowali swoje domy w okolicach fortów, zwanych „stacjami”. W razie ataku Indian forty dawały schronienie. Utrzymywane były przez niewielkie oddziały ochotników.
- ⁴ *Romeo i Julia*, przekł. Józef Paszkowski
- ⁵ Wielu farmerów prowadziło gorzelnie, zapewniając sobie w ten sposób dodatkowy dochód z uprawy zbóż. Tutaj Abe nawiązuje do faktu, iż jego ojciec często oferował usługi ciesielskie w zamian za whisky, co wpędzało jego nową żonę w niemałą konsternację.
- ⁶ Nie wiadomo, w jaki sposób Barts zabił Nancy Lincoln i Sparrowów, ale na podstawie informacji zawartych w innych partiach dziennika można podejrzewać, iż zaaplikował im małą dawkę własnej krwi. Najczęstsza metoda to nakłucie palca i wpuszczenie kilku kropli do ust śpiącej ofiary. Taka ilość wystarcza do wywołania efektów ubocznych transformacji (choroba, śmierć), lecz bez jej trwałych korzyści.
- ⁷ Warto zauważyć powtarzające się w tych wczesnych zapiskach użycie słów „zabić” i „zabijanie”. W późniejszych latach Abe korzystał z bardziej trafnych określeń „zniszczyć” i „zarżnąć”.

⁸ *Makbet*. Akt I, scena 3 (przekł. Józef Paszkowski).

⁹ Abe nie mógł się nadziwić, że ludzie gotowi byli płacić dolara za przepłynięcie niekiedy ledwie dziewięciu metrów. Podobnie jak dawniej, na szlaku Old Cumberland w Kentucky, tak i teraz młody Lincoln upajał się rozmowami z podróżnymi i wsłuchiwał namiętnie w ich opowieści, z których niejedną powtarzał do końca swojego życia.

¹⁰ Substancja smolista.

¹¹ Ster z długim rumplem, którym można było operować z dachu kabiny.

¹² Dziś nazywa się on Cmentarzem św. Ludwika nr 1.

¹³ Poe o tym porozumieniu najwyraźniej zapomniał w 1843 roku, gdy uczynił de Vere'a postacią w wierszu *Lenore*.

¹⁴ Zdrowy mężczyzna w kwiecie wieku osiągał cenę nawet 1100 dolarów (takiej kwoty żaden niewolnik nie był w stanie zbierać), podczas gdy starsze kobiety lub osoby dotknięte jakąkolwiek wadą sprzedawano za 100 dolarów lub mniej.

¹⁵ Rok później miasto zmieniło nazwę na Springfield.

¹⁶ Zapałki Johna Walkera wykonane były z mieszanki antymonitu, chloranu potasu, kleju i skrobi. Były wyjątkowo wstrętne, a ich działanie nieprzewidywalne.

¹⁷ Nazwa nadana grupie około pięciuset wojowników i tysiącu kobiet i dzieci z pięciu różnych plemion, którą dowodził Czarny Jastrząb. Określano ich takim mianem, gdyż Czarny Jastrząb otrzymał zapewnienia, że dostanie wsparcie armii brytyjskiej w każdym konflikcie zbrojnym z Amerykanami. Obietnica nigdy nie została spełniona.

- ¹⁸ William F. Berry, syn lokalnego pastora i były pułkownik w jednostce Lincolna.
- ¹⁹ Do 1839 roku stolica stanu była w Vandalii, potem przeniesiono ją do Springfield.
- ²⁰ Nazwa ta została nadana budynkowi przez prezydenta Roosevelta w 1901 roku. Wcześniej nazywany był Pałacem Prezydenckim, Domem Prezydenckim i Siedzibą Władz Wykonawczych.
- ²¹ Tutaj Abe albo błędnie cytuje, albo parafrazuje *Sen nocy letniej* (akt I, scena 2).
- ²² 25 sierpnia 1838 r., w trzecią rocznicę śmierci Ann, „Sangamon Journal” opublikował ten wiersz na pierwszej stronie. Autor postanowił zachować anonimowość.
- ²³ Pensjonat przy Hoffman’s Row.
- ²⁴ Mały, trzylufowy pistolet, który pozwalał na wykonanie trzech strzałów (z każdej lufy) bez przeładowywania.
- ²⁵ W tym czasie Abe nazywał już Sarah Bush Lincoln „matką”. Warto odnotować, że ani słowem nie wspomina o ojcu.
- ²⁶ Jack Armstrong postanowił zostać w Clary’s Grove, gdy Abe wyruszał do Springfield. Tak zakończyła się ich krótkotrwała współpraca.
- ²⁷ W czteropokojowym domu w posiadłości Farmington, około kilometra od głównej rezydencji.
- ²⁸ Ten epizod tylko pogłębił paranoję McDowella, który opuścił Kemper College i założył własną uczelnię medyczną na rogu Dziewiątej i Gratiot Street. Na jej dachu zamontował armaty i trzymał magazyn muszkietów, by w razie czego móc odeprzeć atak. Później zaciągnął się do Armii Stanów Skonfederowanych

i wkrótce zniknął z powierzchni ziemi. Budynek w St. Louis, w którym mieściła się jego szkoła, jest ponoć nawiedzony przez ducha McDowella, aczkolwiek nie znaleziono dotychczas dowodu śmierci naukowca.

²⁹ Skromnym, jednopiętrowym domu, który stał w miejscu, gdzie obecnie mieści się Biblioteka Kongresu.

³⁰ Siedemdziesięcioletni założyciel partii wigów, doświadczony mąż stanu i idol Lincolna.

³¹ Dzisiejsza zachodnia Słowacja.

³² Mary nie miała pojęcia, kim jest Henry Sturges. Nie wiedziała też nic o istnieniu wampirów.

³³ W 1852 roku Abe otworzył kancelarię prawniczą z Wardem Hillem Lamonem, postawnym człowiekiem, który później miał służyć Abe'owi jako prezydencki ochroniarz. Podobnie jak swoim poprzednim wspólnikom, Abe nie powiedział Lamonowi o wampirach.

³⁴ Świadek twierdził, że widział, jak Duff popełnia zbrodnię, z odległości pięćdziesięciu metrów, „w świetle księżyca w pełni”. Abe pokazał w sądzie almanach, z którego wynikało, że ta noc była bezksiężycowa.

³⁵ Brooks zmarł osiem miesięcy po napaści na Sumnera.

³⁶ Choć już wtedy Nowy Jork był sporym miastem, to wciąż jednak czterokrotnie mniejszym od Londynu.

³⁷ Prawdopodobnie chodzi o Hotel Fifth Avenue ukończony w 1859 roku.

³⁸ Przeł. Elżbieta Żelazna.

³⁹ „Każde królestwo, wewnętrznie skłócone, pustoszeje. I żadne

miasto ani dom, wewnątrznie skłócony, się nie ostoï”. Według Biblii Tysiąclecia.

⁴⁰ Nie ma dowodów na to, że Douglas wiedział o tych planach. Wiadomo jedynie, że pozostawał w sojuszu ze snującymi je wampirami.

⁴¹ Abe ma tu na myśli Douglasa.

⁴² Kwestia brzmi: „Strzeż się, gdy nastaną idy marcowe” (15 marca). *Juliusz Cezar*, akt I, scena 2.

⁴³ Angelina faktycznie umarła dwa miesiące po koszmarnym śnie Abe’a. Przyczyna jej śmierci pozostaje nieznaną, ale nie ma powodów przypuszczać, że maczały w niej palce wampiry.

⁴⁴ Odniesienie do *Henryka V* Szekspira. W pierwszej scenie trzeciego aktu król Henryk wygłasza poruszającą mowę do żołnierzy, zaczynającą się od słynnych słów: „Raz, przyjaciele, jeszcze do wyłomu!”.

⁴⁵ Powszechnie uważa się, że pomysł wziął Abe od jedenastoletniej Grace Bedell. Choć to prawda, że Bedell napisała w liście do Lincolna, iż „panie lubią zarost”, w związku z czym będą zachęcały swoich mężów do głosowania na niego, to Abe zaczął zapuszczać brodę, jeszcze zanim dotarł do niego legendarny list.

⁴⁶ Unia nie musiała interweniować. Abe wygrał dużą przewagą głosów.

⁴⁷ Mary cierpiała na przewlekłe bóle głowy (lub migreny) przez całe dorosłe życie. Wielu historyków uważa, że to one były odpowiedzialne za jej słynne ataki depresji. Niektórzy twierdzili nawet, że była schizofreniczką, choć nie sposób to potwierdzić.

⁴⁸ Przeł. Elżbieta Żelazna.

⁴⁹ W 1871 roku uznano, iż raport spłonął w wielkim pożarze Chicago,

ale w roku 1967 został odnaleziony podczas remontu Szpitala Łaski Bożej. Gdy zostało to podane do wiadomości publicznej, szpital otrzymał datek w wysokości miliona dolarów od anonimowego darczyńcy. Dzień później ogłoszono, że odnalezienie raportu było oszustwem ze strony kierownictwa placówki.

⁵⁰* Ze względu na działalność szpiegów wszystkie wojenne wiadomości od Henry'ego do Abe'a były zaszyfrowane.

⁵¹ Kwestia wypowiedziana przez Richmonda pochodzi z dramatu *Ryszard III* – akt V, scena 2.

⁵² List Merrowa, przechowywany w Archiwum Uniwersytetu Harvarda, długo uważano za fragment powieści epistolarnej.

⁵³ Horatio „Bud” Nelson Taft Jr. i Halsey „Holly” Cook Taft byli najlepszymi przyjaciółmi Williego i Tada. Często towarzyszyła im ich nastoletnia siostra, Julia, którą Abe nazywał pieśczośliwie „trzpiotką”. Pięćdziesiąt dziewięć lat później opisała swoje wspomnienia dotyczące Abe'a i jego chłopców w książce pod tytułem *Ojciec Tada Lincolna*.

⁵⁴ Chodzi o małą figurkę żołnierza, którą Tad dostał w prezencie. Razem z bratem lubili stawiać go przed sądem polowym za zdradę lub niedopełnienie obowiązków, skazywali na karę śmierci i zakopywali. Potem powtarzali całą zabawę. Kiedyś poprosili ojca o ułaskawienie Jacka, co Abe uczynił z radością: „Lalka Jack zostaje niniejszym ułaskawiona przez prezydenta A. Lincolna”.

⁵⁵ Okrągły park, często wykorzystywany jako obozowisko dla żołnierzy Unii.

⁵⁶ Aktywny węgiel od dawna stosowany jest jako lekarstwo przy zatruciach. Jego działanie polega na wchłonięciu toksyn, zanim te trafią z wnętrzości do krwiobiegu.

⁵⁷* Psalm 19,10 wg Biblii Tysiąclecia.

⁵⁸ W bitwie o Fort Stevens po raz pierwszy w amerykańskiej historii urzędujący prezydent znalazł się pod ostrzałem.

⁵⁹* Kartacz to rodzaj pocisku artyleryjskiego, podobny do naboju śrutówki. Do jego obudowy wciśnięte są małe, metalowe kulki. Po wystrzale wybuchają w powietrzu, rozprzestrzeniają się, powodując wielkie szkody.

⁶⁰ Listy Duncana, Towarzystwo Historyczne New Jersey.

⁶¹ Alexander Gardner, waszyngtoński fotografik, który wykonał też ostatni portret Abe'a.

⁶² Przekł. Elżbieta Żelazna.

⁶³ *Makbet*, akt V, scena 5.

⁶⁴ Z ulubionego wiersza Abe'a autorstwa Szkota, Williama Knoksa.

⁶⁵ *Juliusz Cezar*, akt V, scena 4.